

Raymond E. Feist

Powrót Wygnańca

(Exile's Return)

Konklawe Cieni

Księga III.

Ta jest dla Jamesa,

Z całą miłością, jaką może dać ojciec.

Teraz rozumiem, choć późno imię twe oczyszczono,

I odzyskał sławę ten, kogo niegdyś potępiono.

Richard Savage

Dzieje Jamesa Fostera.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Więzień

Jeźdźcy byli coraz bliżej.

Jeszcze wczoraj Kaspar cieszył się tytułem księcia Olasko. Teraz czekał, gotów na wszystko, poruszając lekko łańcuchami. Za ledwie chwilę wcześniej został przeniesiony na tę zapyloną równinę przez białowłosego maga, który zanim zniknął, zdobył się jedynie na kilka suchych pożegnalnych słów. I zostawił byłego władcę całkiem samego, podczas gdy banda nomadów zbliżała się w zastraszającym tempie.

Kaspar nigdy jeszcze nie czuł się tak pełen sił i życia. Wyszczерzył zęby w uśmiechu, wziął głęboki oddech i lekko ugiął kolana. Jeźdźcy rozproszyli się i ustawili w półkolu. Domyślił się, że uważają starcie za dość ryzykowne, chociaż stał przed nimi sam, bosy i pozbawiony wszelkiej broni. Jeżeli nie liczyć ciężkich łańcuchów z obręczami i zamkami.

Jeźdźcy zwolnili. Księżę naliczył ich sześciu. Nosili obco wyglądające stroje – luźne płaszcze w kolorze indygo, a pod spodem białe kaftany przepasane biczami. Szerokie szarawary włożyli w czarne skórzane buty. Na głowach mieli turbany, których wolne końce opadały aż na prawe ramię. Domyślił się, że luźno zwisający koniec może być szybko umocowany z lewej strony, a tym samym osłania nos i usta przed wszechobecnym pyłem, wzniecanym przez nagłe podmuchy wiatru. Albo po prostu umożliwia ukrycie twarzy właściciela. Stwierdził, że ubiór przypomina raczej strój etniczny niż jakiś rodzaj munduru. Mężczyźni posługiwali się całą gamą śmiercionośnej broni.

Ich przywódca przemówił w języku, którego Kaspar nie rozumiał, chociaż słowa brzmiały mu dziwnie znajomo.

– Nie przypuszczam, byście znali język Olasko? – zapytał księżę.

Mężczyzna, który zdaniem Kaspara był przywódcą oddziału powiedział coś do towarzyszy, machnął ręką, a potem rozparł się w siodle i zaczął się przyglądać. Dwaj podwładni zsiadli z wierzchowców i ruszyli w kierunku księcia, wyciągając broń. Trzeci odplątał od pasa skórzany bat, który najwyraźniej miał służyć jako pęta dla przyszłego więźnia.

Olaskanin pozwolił, aby łańcuch opadł lekko, opuścił ciężko ramiona, jakby godził się z przeznaczeniem. Były władca natychmiast zorientował się, co zamierzają napastnicy. Wyciągnął wnioski ze sposobu, w jaki się zbliżali. Byli to doświadczeni wojownicy, twardzi, spaleni słońcem nomadzi, zapewne mieszkający w namiotach, ale z pewnością nie odebrali wojskowego przeszkolenia. Jeden rzut oka pozwolił Kasparowi wybrać odpowiednią strategię. Żaden z jeźdźców nie sięgnął jeszcze po łuk.

Pozwolił, aby mężczyzna dzierżący skórzany bat podszedł bliżej, i w ostatniej chwili kopnął go mocno. Trafił napastnika prosto w klatkę piersiową. Wiedział, że zaatakowany nomada jest najmniej niebezpieczny ze wszystkich trzech, którzy się zbliżali. Następnie Kaspar rozhuścił łańcuchy i uderzył nimi prawie natychmiast. Zbliżający się z prawej strony, uzbrojony w miecz, mężczyzna najwyraźniej uważał, że jest poza zasięgiem księcia. Dostał prowizoryczną bronią prosto w twarz. Kaspar usłyszał trzask łamanej kości. Napastnik w milczeniu osunął się na ziemię.

Ostatni szermierz zareagował szybko. Uniósł miecz i krzyknął kilka niezrozumiałych słów, które mogły być obrazą, zawołaniem bitewnym albo wezwaniem jakiegoś obcego boga. W każdym razie przybysz nie wiedział, co znaczą. Były władca zdawał sobie sprawę, że zostały mu trzy, może cztery sekundy życia. Zamiast uciekać przed przeciwnikiem, rzucił się nań i uderzył go mocno całym ciałem, miecz przeciął powietrze.

Udało mu się wepchnąć ramię pod pachę wojownika, a kiedy chybiony cios wytrącił nomadę z równowagi, księżę przerzucił go przez plecy. Mężczyzna poleciał daleko i ciężko wylądował na twardej ziemi. Powietrze opuściło jego płuca ze świstem. Kaspar podejrzewał, że nomada złamał sobie kręgosłup.

Raczej wyczuł, niż zobaczył, że dwaj łucznicy właśnie sięgają po strzały, więc skoczył naprzód i przetoczył się po ziemi. Kiedy wstawał, dzierżył miecz najbliżej leżącego napastnika. Wojownik co trzymał wcześniej rzemienny bat, próbował podnieść się na nogi i także wyciągnąć ostrze, ale księżę był już przy nim i uderzył mężczyznę w głowę płazem. Nomada upadł na plecy nie wydając nawet jednego dźwięku.

Kaspar nie był może tak doskonałym szermierzem jak Talwin Hawkins, ale przez większość życia trenował walkę mieczem jako żołnierz i w bezpośrednim starciu czuł się jak ryba w wodzie. Ruszył w kierunku trzech jeźdźców, z których dwóch uzbrojonych było w łuki, a jeden w smukłą lancę. Ostatni z napastników wycelował oręż w Olaskanina i wbił piętę w brzuch wierzchowca. Zwierzę z pewnością nie było koniem szkolonym do bitwy, ale dobrze je ujeżdżono. Skoczyło naprzód jak sprinter z linii startowej i księżę ledwie uniknął stratowania. Mężczyzna prawie trafił go lancą w pierś i tylko szybki unik w lewo ocalił atakowanemu życie. Gdyby koń stał metr, czy dwa dalej w momencie startu, znalazłby się przy nim tak szybko, że Kaspar nie byłby w stanie zrealizować swego zamiaru. Księżę obrócił się wokół własnej osi, lewą ręką złapał jeźdźca za luźny płaszcz na plecach. Przeciwnik został ściągnięty z siodła.

Kaspar nie czekał, aż mężczyzna uderzy o ziemię, lecz obrócił się ponownie, żeby stawie czoła bliższemu z łuczników, który właśnie usiłował naciągnąć łuk. Rzucił się do przodu i lewą dłonią złapał nomadę za kostkę. Pchnął, a następnie pociągnął mocno łucznik wylądował na ziemi, podobnie jak jego kompan.

Były władca odwrócił się na pięcie i spojrzał na ostatniego z nomadów, zerkając kątem oka, czy powaleni nie próbują wstać. Dwukrotnie omiótł pole walki spojrzeniem, zanim zaakceptował to, co zobaczył. Wstał powoli i pozwolił, żeby miecz wysunął mu się z dłoni.

Ostatni z łuczników spokojnie odjechał parę kroków dalej. Milcząc siedział w siodle i celował grotem strzały prosto w Kaspara. Sytuacja była beznadziejna. Nawet jeżeli napastnik był kiepskim

lucznikiem, książę nie mógłby uniknąć strzały wycelowanej prosto w jego klatkę piersiową.

Mężczyzna uśmiechnął się i pokiwał głową. Powiedział coś, co Szlachcic odebrał jako słowa aprobaty, po czym spojrzał na to, co działo się za plecami pokonanego.

Nagle jeden z jeźdźców, których z taką łatwością pozrzucał z siodeł, z wielką siłą wbił łokieć w kark Olaskanina, obalając go na kolana. Usłyszał brzęk żelaza i spróbował się obejrzyć. Domyślił się, że z tyłu ktoś nadchodzi, niosąc jego łańcuchy. Zanim zdołał obrócić głowę, zimne żelazo uderzyło go w szczękę. Pod jego czaszką eksplodował jasny ogień. Chwilę później pogrzył się w nieprzeniknionej czerni.

* * *

Bolała go szczeka. Podobnie jak szyja i reszta ciała. Kaspar przez moment czuł się całkowicie zdezorientowany, a potem przypomniał sobie starcie z nomadami. Zamrugał, chcąc odzyskać ostrość wzroku, po czym zdał sobie sprawę, że jest noc. Spróbował się poruszyć. Z różnorodności odczuć bólowych wysnuł wniosek, że jeźdźcy musieli spędzić sporo czasu na maltretowaniu go po tym, jak stracił przytomność. Najwyraźniej pragnęli w ten sposób skrytykować jego interpretację rozkazu poddania się.

Uznał, że raczej nie zabił żadnego z napastników, w przeciwnym bowiem razie skończyłby z poderżniętym gardłem. Uświadomił sobie, że szansa na pokonanie sześciu wrażeń jeźdźców była i tak niewielka. Ale wiedział także, że wśród ludzi pokroju nomadów dobry, wyszkolony wojownik miał więcej szans na przetrwanie i zyskanie szacunku niż zwyczajny wieśniak czy sługa.

Z wysiłkiem spróbował się podnieść, co nie było łatwe, gdyż związane mu ręce na plecach skórzonym rzemieniem.

Rozejrzał się dookoła i odkrył, że leży za namiotem. Więzy na nadgarstkach zaciągnięto bardzo umiejętnie. Dla pewności przywiązano go także do masztu namiotu mocną liną, na tyle długą, że mógł odejść na metr czy dwa od płóciennej ścianki. Jednak nie był w stanie się wyprostować, gdyż linę zbyt mocno napięto. Szybka inspekcja masztu wykazała, że prawdopodobnie udałooby mu się go wyrwać, ale jeżeli by to uczynił, zawaliłby namiot, a tym samym poinformował swoich gospodarzy, że zamierza ich opuścić.

Nadal miał na sobie ubranie, w którym go pojмали. Zrobił szybki przegląd uszkodzeń ciała i stwierdził, że nic mu nie złamano ani zaledo nie nadwerezono.

Siedział cicho i zastanawiał się nad swoją sytuacją. Jak do tej pory wydawało się, że prawidłowo ocenił motywy postępowania napastników. Nie mógł zbyt wiele dojrzeć zza ścianki namiotu, lecz zorientował się, że obóz nie należał do dużych. Zapewne przebywało w nim tylko sześciu jeźdźców i ich rodziny. Być może nieco więcej. Widział jednak prowizoryczną zagrodę dla

koni, więc mógł oszacować, że każda osoba w obozie posiada co najmniej dwa, jeżeli nie trzy wierzchowce.

Z drugiej strony namiotu dobiegły go ciche głosy. Wyprostował się i zaczął nasłuchiwać obcego języka. Oparł się o maszt. Zdawało mu się, że rozpoznaje pojedyncze słowa.

Kaspar miał talent do nauki języków. Jako następca tronu, od najmłodszych lat musiał szkolić się w obcych mowach krajów ościennych, więc płynnie i bez akcentu posługiwał się językiem królewskim, którym mówiono w Królestwie Wysp, oraz całą gamą odmian roldemskiego, używanych w jego rodzinnym Olasko i okolicach. Doskonale władał dworską odmianą języka Keshu, a także nauczył się podstaw quegańskiego, który wywodził się z kesańskiego, powstając na skutek wyodrębnienia Królestwa Queg z Imperium Wielkiego Keshu dwa wieki temu.

Podczas swoich podróży poznał narzecza i języki, jakimi posługiwano się na terytoriach wielu księstw i królestw. I to, co słyszał teraz, wydawało mu się dziwnie znajome. Zamknął oczy i pozwolił swoim myślom wędrować bez celu, jednocześnie pilnie przysłuchiwał się toczącej się rozmowie.

Nagle usłyszał słowa: *ak-kawa. Acqua!* Akcent był ciężki, a intonacja zupełnie inna, ale słowo w quegańskim oznaczało wodę! Rozmówcy mówili o tym, że muszą zatrzymać się gdzieś, żeby nabrać wody. Słuchał dalej, pozwalając, żeby słowa przepływały przez jego umysł i nie starał się ich zrozumieć. Po prostu przyzwyczajał uszy do rytmu zdań, akcentów, wzorców intonacji i dźwięków nowej mowy.

Przez godzinę siedział słuchając obcego języka. Z początku rozpoznawał co setne słowo. Potem jedno na pięćdziesiąt. Kiedy już mógł zidentyfikować jedno na tuzin, usłyszał zbliżające się kroki. Osunął się na ziemię i udał, że ciągle jest nieprzytomny.

Zbliżało się do niego dwóch ludzi. Jeden z nich powiedział coś do drugiego ściszym głosem. Księżę rozumiał słowa „dobry” i „silny”. Po tej uwadze nastąpiła szybka wymiana zdań. O ile dobrze rozumiał, jeden z mężczyzn upierał się, że należy go zabić, dopóki nie odzyskał przytomności, gdyż może im sprawić więcej kłopotów, niż jest wart. Drugi nomada twierdził, że jeniec ma dużą wartość, ponieważ jest silny i dobrze walczy, chociaż zademonstrował tylko technikę walki mieczem, zanim go obezwładniono.

Kaspar musiał wykorzystać najgłębsze pokłady silnej woli, aby się nie poruszyć, gdy poczuł, jak jeden z wojowników szturcha go butem, aby sprawdzić, czy wzięty do niewoli człowiek rzeczywiście jest wciąż nieprzytomny. Potem obaj odeszli.

Księżę czekał, a kiedy już zyskał pewność, że go nie usłyszą, zaryzykował lekkie uniesienie głowy i spojrzął za oddalającymi się mężczyznami. Dostrzegł tylko ich plecy, nim schowali się za namiotem.

Usiadł.

Z trudem usiłował skoncentrować się na tym, co właśnie usłyszał i jednocześnie zaczął walczyć

z pętami. Obawiał się, że tak bardzo zapamięta się w pragnieniu wolności, iż nie usłyszy kroków zbliżających się ludzi. Wiedział, że pierwszej nocy ma najwięcej szans na ucieczkę, bo jego prześladowcy myślą, że ciągle jest nieprzytomny. Nie miał nad nimi wielkiej przewagi. Oni najprawdopodobniej doskonale orientowali się w topografii okolicy i byli doświadczonymi tropicielami.

Jedynie, co mu pozostało, to zaskoczenie. Kaspar był na tyle dobrym myśliwym, że wiedział, do czego zdolna może być ścigana zwierzyna. Potrzebował co najmniej godziny przewagi, a najpierw musiał uwolnić się od rzemieni, które unieruchomiły mu nadgarstki.

Poddał się niedorzecznemu pragnieniu przetestowania więzów. Przekonał się, że zawiązano je na tyle mocno, że odczuwa ból, kiedy próbuje rozsunąć ręce. Nie mógł zobaczyć pęt, ale czuł, że zrobiono je z nie wyprawionej skóry. Gdyby udało mu się je zmoczyć, mogłyby się rozciągnąć i wtedy jakoś by je zsunął.

Po krótkiej chwili bezskutecznych zmagani zwrócił uwagę na linę, którą przywiązano go do masztu. Wiedział, że nie istnieje wielka szansa, aby ściągnąć ją z kołka, nie zawalając przy tym całego namiotu, lecz nie miał innego wyjścia. Przyjrzał się dokładnie linie oraz masztowi z obu stron, po czym doszedł do wniosku, że nie uda mu się nic zrobić z rękami związanymi na plecach.

Olaskanin siadł i czekał. Mijały godziny i odgłosy obozu powoli cichły. Usłyszał kroki i raz jeszcze udał nieprzytomnego. Ktoś przyszedł, by rzucić nań okiem, zanim położą się spać. Odczekał jeszcze trochę, aby nabrać pewności, że mieszkańcy namiotu zapadli już w sen. Dopiero wtedy usiadł. Popatrzył na niebo i ujrzał miliony obcych gwiazd. Podobnie jak większość członków nadmorskiego ludu z Olasko potrafił nawigować na podstawie gwiazd, zarówno na lądzie, jak i oceanie. Teraz jednak widział zupełnie inne konstelacje. Będzie musiał polegać na podstawowych umiejętnościach, zanim przywyknie do nowego nieboskłonu. Wiedział, w którym miejscu zaszło słońce, gdyż zapamiętał odległą skałę, przypominającą spiralę, oświetloną czerwienią ostatnich promieni słońca. A to oznaczało, że wie także, gdzie jest pomoc.

Aby dotrzeć do domu, musiał kierować się na pomocny wschód. Kaspar studiował mapy i znał położenie Novindusu względem Olasko. Musiał określić punkt, w którym się znajduje, by odnaleźć miejsce zwane Miastem Nad Gadzią Rzeką. Wtedy będzie miał największą szansę, by dotrzeć do Olasko. Pomiedzy Novindusem, a resztą świata praktycznie nie istniał handel, jeżeli jednak jakiegokolwiek statki wyruszały na inne kontynenty, to właśnie z tego portu. Stamtąd może udałoby mu się dopłynąć do Wysp Zachodzącego Słońca, a potem do Krondoru. Kiedy już znajdzie się w Królestwie Wysp, dotrze do domu choćby na piechotę, jeśli tak będzie trzeba.

Sądził, że prawdopodobnie nie uda mu się wrócić do domu, ale cokolwiek miało się wydarzyć, wolał zginąć w drodze, niż zdać się na łaskę swoich prześladowców.

Dom, pomyślał z goryczą. Jeszcze dzień wcześniej był w domu i rządził poddanymi, potem został pojmany w swojej własnej cytadeli i pokonany przez byłego sługę, którego uważał za martwego. Spędził noc w łańcuchach rozważając nad dramatyczną zmianą losu. Spodziewał się, że o świcie zawisnie na szubienicy.

Zamiast tego Tal win Hawkins, jego dawny podwładny, wybaczył mu i skazał na wygnanie na ten odległy kontynent. Kaspar nie był pewny, co tak naprawdę się wydarzyło podczas minionych kilku dni. Zastanawiał się, czy rzeczywiście był w pełni sobą przez ostatnie lata.

Słyszał rozmowę strażników, toczącą się za zamkniętymi drzwiami pomieszczenia, w którym oczekiwał na egzekucję. Leso Varen, doradca i mag, zginął podczas bitwy w cytadeli. Czarnoksiężnik pojawił się na jego dworze parę dobrych lat temu i obiecał mu wielką moc w zamian za ochronę. Na początku jego obecność stanowiła tylko niewielkie zakłócenie codzienności, a sam mag od czasu do czasu okazywał się przydatny.

Książę wziął głęboki oddech i ponownie skoncentrował się na obmyśleniu planu uwolnienia się z więzów. Jeszcze znajdzie czas na zastanawianie się nad przeszłością, zakładając, że uda mu się przeżyć kilka następnych godzin.

Kaspar był potężnym mężczyzną o niespotykanej sile, choć na pierwszy rzut oka wcale się taki nie wydawał. W przeciwieństwie do większości mężczyzn o takiej samej budowie dbał o kondycję. Wypchnął powietrze z płuc i wysunął ramiona do przodu. Jednocześnie podciągnął wysoko kolana i wepchnął głowę pomiędzy uda. Z wysiłkiem przecisnął stopy pomiędzy związanymi rękami. Kiedy wyciągał ramiona coraz dalej, czuł, jak wiązadła protestują bólem, lecz w końcu udało mu się przełożyć ręce do przodu.

Podczas tego zabiegu prawie przewrócił namiot. Zmusił się do położenia na ziemi, zmniejszając tym samym naprężenie liny i masztu. Przyjrzał się dokładnie węzłom. Więzy rzeczywiście wykonano z surowego rzemienia. Zaatakował je zębami. Zmoczył pierwszy węzeł śliną i zaczął go rzuć, aż skóra nieco zmiękła. Przez długie minuty zmagał się z pętlami i supłami, aż nagle rzemień puścił i Olaskanin miał już wolne ręce.

Zaczął przebierać palcami i rozcierać nadgarstki. Wreszcie odważył się wstać, wolno i ostrożnie. Zmusił się do powolnego, miarowego oddechu, po czym zakradł się przed wejście do namiotu. Wyrzwał zza płóciennej ścianki i zobaczył pojedynczego strażnika. Siedział plecami do ogniska, rozpalonego po przeciwnej stronie obozu.

W głowie Kaspara galopowały myśli i pomysły. W swoim życiu, pełnym doświadczeń, nauczył się jednego: brak decyzji potrafi wyrządzić większe szkody niż zły wybór. Mógł spróbować uciszyć wartownika i zyskałby kilka godzin przewagi nad pościgiem, który z pewnością za nim podąży. Mógł także po prostu odejść i mieć nadzieję, że strażnik nie przyjdzie sprawdzić stanu więźnia przed świtem. Lecz cokolwiek zdecyduje, musi działać już teraz!

Ledwie zdając sobie sprawę z tego, co robi, ruszył w kierunku mężczyzny. Ufał swym instynktom. Ryzyko było warte potencjalnej nagrody. Strażnik mruczał pod nosem jakąś prostą piosenkę, zapewne po to, aby nie zasnąć. Książę podkraść się i stanął za plecami nomady.

Może sprawiła to nieznaczna zmiana oświetlenia, cichy dźwięk, a może po prostu intuicja. Kiedy Kaspar stanął pomiędzy nim a ogniskiem, mężczyzna się odwrócił. Uciekinier zamachnął się i uderzył go z całej siły w głowę, tuż za uchem. Wartownik zachwiał się, a jego oczy uciekły w głąb czaszki. Były władca uderzył ponownie, tym razem w szczękę. Mężczyzna zaczął osuwać się na ziemię, książę

złapał go w ostatniej chwili.

Wiedział, że jego wolność może potrwać zaledwie kilka sekund. Błyskawicznie pozbawił strażnika nakrycia głowy i miecza. Na nieszczęście mężczyzna miał mniejsze stopy niż Kaspar Książę nie mógł zabrać jego butów.

Przeklął żołnierza, który zabrał mu buty w noc, gdy go wtrącono do więzienia. Nie mógł przecież uciekać na bosaka. Jego stopy nie przywykły do takiego podróżowania i nie znał terenu, przez który przyjdzie mu się przedzierać, ale już na pierwszy rzut oka ziemia wyglądała na jałową i kamienistą. Przypomniał sobie niewielki zagajnik, rosnący samotnie na wzgórzu na północnym wschodzie, wątpił jednak, czy zdoła się w nim skutecznie ukryć. Nie wiedział, jakie inne kryjówki znajdują się w pobliżu. Nie miał okazji na przyglądanie się okolicy, gdyż został zaatakowany przez tubylców, kiedy tylko znalazł się na obcej ziemi. Jediną szansą na ucieczkę było zdobycie pary butów i odejście od obozowiska nomadów, jak najdalej i jak najszybciej, zanim się obudzą. Musiał wdrapać się na kamieniste wzgórza, żeby prześladowcy nie mogli go ścigać konno.

Przez krótką chwilę stał w ciszy, a potem pobiegł w kierunku największego namiotu. Trzymając miecz w pogotowiu, delikatnie odsunął na bok płachtę zasłaniającą wejście. Usłyszał dobiegające ze środka chrapanie. Wyglądało na to, że wewnątrz śpi dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta. Niewiele widział w mroku, więc postanowił zaczekać, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. W końcu dostrzegł także trzecią postać, spoczywającą niedaleko, po lewej stronie namiotu, sądząc po wielkości było to dziecko.

Kaspar ujrzał parę butów, stojącą obok małej skrzyni, gdzie mogły znajdować się cenne przedmioty, należące do wodza. Książę ostrożnie ruszył w tamtym kierunku, z kocią gracją, rzadką u tak potężnie zbudowanego mężczyzny. Cicho podniósł buty i uznał, że rozmiar z grubsza mu odpowiada, a następnie zawrócił ku wyjściu z namiotu. Nagle zatrzymał się. Okazja była zbyt pociągająca. Nomadzi mieli nad nim wielką przewagę i z pewnością uda im się go schwytać, o ile nie zadba o to, by zyskać kilka dodatkowych punktów. Ale jak? Podczas gdy się zastanawiał, mijał cenny czas, czas, który został zmarnowany, a przecież uciekające minuty pozwoliłyby mu oddalić się na większą odległość od obozu.

W naturze Kaspara leżała umiejętność podejmowania decyzji. Rozejrzał się po mrocznym wnętrzu. Zobaczył broń wodza umieszczoną w zasięgu ręki na wypadek kłopotów, czyli dokładnie w tym miejscu, gdzie się jej spodziewał. Przeszedł obok śpiącej pary i wziął sztylet przywódcy. Był długi, o szerokim ostrzu, wyraźnie zaprojektowany do jednego celu, aby skutecznie uderzyć w brzuch podczas bezpośredniego starcia. Broń wyglądała dość topornie i przypominała nieco sztylety noszone przez nomadów z pustyni Jal-Pur w Imperium Wielkiego Keshu. Zastanowił się przelotnie, czy ci ludzie mają ze sobą coś wspólnego. Język ludów z Jal-Pur nie wywodził się z keshkańskiego, ale z kolei quegański był dialektem Keshu, a język nomadów z Novindusu wykazywał pewne podobieństwo do mowy Queganów.

Były książę Olasko wziął sztylet i podkradł się bliżej do wyjścia. Spojrzał na małą sylwetkę, ledwie widoczną w mroku. Było zbyt ciemno, aby rozróżnić, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Włosy śpiącego dziecka sięgały ramion, a twarz była odwrócona. Szybkim ruchem rzucił sztylet w dół, przebijając płócienną podłogę. Ostrze wbiło się w ziemię. Cichy dźwięk sprawił, że dziecko

się poruszyło, lecz nie obudziło.

Opuścił namiot. Rozejrzył się szybko dookoła i zauważył to, czego potrzebował – napełniony wodą bukłak. Chwyciwszy go, popatrzył tęsknie na konie, ostatecznie jednak zignorował je. Wierzchowiec dałby mu większą szansę na przetrwanie, ale próba osiodłania z pewnością ściągnęłaby na głowę połowę obozowiska. Poza tym ostrzeżenie pozostawione w namiocie mogło przemówić do tych surowych ludzi, lecz kradzież konia na pewno zniweczyłaby efekt osiągnięty dzięki oszczędzeniu dziecka.

Wyszedł z obozu i ruszył ku porośniętym rzadkim lasem wzgórzom. Zanim go schwytano, zdążył zobaczyć, że tam gdzie uciekał, rozciągała się kamienista wyżyna. Miał nadzieję, że jeźdźcy zrezygnują z pościgu ze względu na trudne warunki. Może ich trasa wiodła w innym kierunku, więc nie mogli sobie pozwolić na opóźnienia, a może ostrzeżenie Kaspara skłoni ich do wycofania się.

Jeżeli tylko wódz nomadów nie jest głupcem, z pewnością zrozumie pozostawioną wiadomość. Sztylet wbity tuż przy śpiącym dziecku mówił: mogłem cię zabić, a także twoją rodzinę, kiedy spaliście. Ale was oszczędziłem. A teraz zostaw mnie w spokoju. A przynajmniej miał nadzieję, że przywódca tak to właśnie zrozumie.

* * *

Świt zastał Kaspara wysoko w górach, wspinającego się na osypisko skalne. Poza widzianym już wczoraj małym zagajnikiem nie napotkał żadnej kryjówki na swojej trasie. Księżę desperacko rozglądał się za jakimkolwiek schronieniem.

Ciągle widział obóz, rozłożony na równinie poniżej. Teraz jednak namioty wyglądały tylko jak małe kropki na dnie rozległej doliny. Z miejsca, w którym stał, widział, że dolina leży w centrum rozległej równiny. Z jednej strony otaczały ją poszarpane wzgórza, z drugiej zaś znajdował się płaskowyż. Przed nim, w sporej odległości od krańca doliny, wznosiły się wysokie góry. Okryte śniegiem szczyty wskazywały, iż góry nie są łatwe do przebycia. Jako żołnierz, Kaspar podziwiał doskonale wybrany przez nomadów punkt obronny. Pomyślał, że w miejscu obozu powinno się zbudować fortecę. Ale kiedy rozejrzył się dokładniej, doszedł do wniosku, że w okolicy nie ma nic, co warto byłoby bronić.

W dolinie najwyraźniej brakowało wody. Mijane drzewa nie należały do żadnego znanego mu gatunku. Były powykręcane, miały czarną, twardą korę i kolce. Na pierwszy rzut oka dało się zauważyć, że nie potrzebowały zbyt wiele wilgoci, aby przetrwać. Wszędzie, gdzie spojrzył, widział kamienie i pył. Dolina leżąca poniżej oraz gładko toczony płaskowyż powiedziały mu, iż kiedyś płynęła tamtędy rzeka. Trzęsienie ziemi albo drastyczna zmiana klimatu sprawiły, że woda wyschła. Suche koryto pełniło teraz funkcję drogi dla konnych nomadów, łączącej dwa nieznane mu miejsca.

Z odległych dźwięków wywnioskował, że odkryto jego ucieczkę. Powrócił więc do prób

pokonania skał. Czuł zawroty głowy, ogarniała go słabość. Nie jadł od co najmniej dwóch dni, jeśli prawidłowo ocenił upływ czasu. W środku nocy zawleczono go, zakutego w łańcuchy, przed oblicze Talwina Hawkinsa i jego sprzymierzeńców, a już o świcie przybył tutaj. Naprawdę znalazł się po drugiej stronie świata.

Potrzebował jedzenia i odpoczynku. W kieszonce na bukłaku znalazł odrobinę czegoś, co chyba było suszonym mięsem, oraz twarde suchary. Planował jednak, że zje to dopiero wtedy, gdy znajdzie chwilę, by odetchnąć. Teraz zależało mu tylko na tym, aby odsądzić się od prześladowców na jak największą odległość.

Dotarł do grani wzniesienia, po którym biegła wąska ścieżka. Podciągnął się na kamieniach, po czym odwrócił na moment, żeby spojrzeć na odległy obóz. Zwinięto namioty. Ludzie i konie, wyglądający na małe kropki, poruszali się w umiarkowanym tempie. Nie widział żadnych oznak pościgu. Kaspar odpoczął chwilę, by złapać oddech, i przyjrzał się ścieżce.

Była szersza niż szlak wydeptany przez zwierzyńcę. Uklęknął i przyjrzał się nawierzchni. Ktoś zadał sobie trud, aby dobrze ubić ziemię. Poszedł zatem ową ścieżką. Wznosiła się nieznacznie, prowadząc go coraz dalej od obozu. Niebawem po prawej zobaczył potężną skałę, która nosiła ślady obróbki narzędziami. Nawis skalny częściowo chronił przed słońcem, więc księżę usiadł pod nim i zjadł suchary z odrobiną suszonego mięsa. Wypił około jednej trzeciej wody z bukłaka i postanowił nieco odpocząć.

Najwyraźniej udało mu się uciec. Wyglądało na to, że przywódca nomadów prawidłowo odczytał wiadomość. Nie podążali za nim żaden jeźdźcy, jego tropem nie szli zwiadowcy. Był wolny i nikt go nie ścigał.

Powietrze było suche. Wznoszące się słońce ułatwiało mu orientację. Ścieżka, którą szedł, stanowiła kiedyś drogę wojskową. Wyglądała na opuszczoną, lecz nie domyślał się przyczyny. Teren wokoło był surowy i nieprzyjazny, więc prawdopodobnie żaden władca nie rościł sobie do niego pretensji. Może droga służyła niegdyś jakiemuś narodowi, co już dawno temu opuścił tę niegościnną ziemię.

Wiedział, iż niebawem upał stanie się nie do wytrzymania, więc zaczął szukać schronienia. Niestety w zasięgu wzroku nie widział nic zachęcającego. Postanowił zatem iść dalej starą wojskową drogą, gdyż roztaczał się z niej widok na spory fragment krajobrazu. Pozwolił sobie na ostatni, solidny łyk wody, a potem zatkał bukłak. Nie miał pojęcia, na jak długo woda musi mu wystarczyć i kiedy odnowi zapasy.

Urywki rozmowy, podsłuchanej ubiegłej nocy, sugerowały, że woda jest bardzo cennym towarem dla nomadów. Zakładał, że przenoszą obóz w pobliże nowego źródła, więc zdecydował się iść szlakiem równoległym do ich trasy.

Minęła kolejna godzina i Kaspar zauważył, że dystans pomiędzy nim a niedawnymi prześladowcami zwiększa się. Co prawda prowadzili konie, ale przemieszczali się po płaskim terenie, a księżę musiał starannie wybierać drogę pomiędzy luźnymi kamieniami. Ścieżka zazwyczaj biegła prosto przez kilkanaście metrów, nie więcej. Na jego trasie co chwila wyrastały ospiska,

skalne szczeliny i wielkie głązy, naniesione przez lawiny ze wzgórz. Raz musiał zejść w dół sześć metrów, żeby ominąć zawalony odcinek.

Kiedy nadeszło południe, był wyczerpany. Zdjął koszulę i zawiązał tkaninę wokół głowy, robiąc prowizoryczny turban. Nie pamiętał skąd posiada te informacje, ale jako chłopiec słyszał od kogoś, że ciało może długo opierać się słonecznym promieniom, jeżeli tylko głowa jest zakryta. Wypił jeszcze trochę wody, a następnie przeżuł twarde mięso. Było suche i nie miało wiele tłuszczu, za to sporo soli. Z trudem poskromił pragnienie i pozwolił sobie jedynie na niewielki łyk po posiłku.

Siedział i rozglądał się po okolicy.

Był myśliwym. Może nie tak doskonałym jak Talwin Hawkins, lecz wiedza i intuicja łowiecka pozwalały mu poznać, że znajduje się w opłakanej sytuacji. Nawet jeżeli deszcz kiedykolwiek padał w tej nieprzystępnej krainie, musiały być to opady sporadyczne i nieregularne. Książę nie widział żadnych roślin, poza rachitycznymi drzewami, wyrastającymi tu i ówdzie pomiędzy skałami. Kamienia, na którym siedział, nie okalały nawet pojedyncze ździebełka trawy. Kiedy go odwrócił, przekonał się, że na zacienionej stronie nie rosły porosty ani mech. Ta kraina była sucha przez większą część roku.

Popatrzył wzdłuż grani, którą podążał, i stwierdził, że ścieżka biegnie na południe. Na wschodzie nie było nic prócz usianej skałami równiny, a na zachodzie rozciągała się jałowa dolina. Postanowił iść drogą jeszcze przez jakiś czas i poszukać czegokolwiek, co pozwoli mu przeżyć. Nomadzi szli na południe. Nawet nie znając terenu, mógł być pewien, że rdzenni mieszkańcy tego kraju kierują się w stronę wody. A żeby przetrwać, potrzebował płynu.

Kaspar na chwilę obecną wyznaczył sobie jeden cel przeżycie. Książę miał wiele ambitnych planów, chciał wrócić do Oparum i zażądać tronu Olasko, a także zemścić się na byłych podwładnych w jego twierdzy – zdrazieckim kapitanie Quentinie Havrevulenie i Talwinie Hawkinsie. Kiedy szedł dalej, wpadła mu do głowy pewna myśl. Ci dwaj mężczyźni tak naprawdę nie byli zdrajcami, bo przecież to on sam zesłał ich do więzienia na wyspie zwanej Fortecą Rozpaczy. Ale palicho subtelności – książę marzył o tym, by zobaczyć ich martwych.

Będzie musiał zebrać lojalną armię i odbić cytadelę z ich rąk. Zapewne Talwin zmusił jego siostrę, Talię, do małżeństwa, aby na tej podstawie rościć sobie prawa do tronu, a Havrevulen prawie na pewno został dowódcą armii Olasko. Lecz dawny książę Olasko znajdzie ludzi, co pamiętają, kto jest prawowitym władcą. Gdy już pomogą mu odzyskać utracony tron, nagrodzi ich hojnie.

Kiedy był władca szedł kamienistą ścieżką, myśli kłębiły się w jego głowie, plan gonił za planem. Kaspar wiedział, że zanim wdroży owe pomysły w życie, musi pokonać kilka przeszkód. Fakt, że aktualnie przebywa po drugiej stronie świata, wcale nie był najmniej istotną z nich. A to oznaczało, że będzie potrzebował statku z załogą, a to z kolei oznaczało, że potrzebuje złota. A żeby mieć złoto, musi znaleźć sposób, aby je zarobić lub ukraść. Zatem musi znaleźć jakąś cywilizację, albo coś, co za taką uchodzi na tym kontynencie. Dotarcie do ludzi zapewniało przetrwanie.

Rozejrzał się wokół. Słońce stało w zenicie. Pomyślał, że na chwilę obecną przetrwanie jest

praktycznie nierealne. W zasięgu wzroku nic się nie poruszało, za wyjątkiem małej chmurki kurzu, która znaczyła trasę nomadów.

Jednakże wiedział, że zatrzymywanie się, jest równoznaczne ze śmiercią. Postanowił iść, dopóki starczy mu sił.

Szedł więc dalej przed siebie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Przetrwanie

Kaspar umierał.

Kiedy schronił się pod skalnym nawisem przed palącymi promieniami popołudniowego słońca, wiedział, że nie pozostało mu wiele życia. Szedł już trzy dni, a o świcie skończyła się woda. W głowie mu szumiało i czuł się nieco zdezorientowany. Potykając się zszedł ze szlaku i zwałił się ciężko w cieniu urwiska, żeby przeczekać upał.

Zdawał sobie sprawę, że jeżeli przed nastaniem nocy nie znajdzie wody, to najprawdopodobniej już się nie obudzi następnego dnia. Miał spękane wargi, a spalone słońcem policzki i nos obłaziły ze skóry. Leżał na plecach, na twardej skale, ignorując ból pokrytych pęcherzami ramion. Był zbyt zmęczony, żeby się nim przejmować. Poza tym fakt cierpienia dowodził, że nadal żyje. Zamierzał poczekać, aż słońce schyli się ku zachodowi, a potem zejść na równinę. Teren był jałowy i nieprzystępny. Olaskanin wszędzie widział tylko pokruszone skały i osypiska. Zrozumiał, że mag nie dał mu wielkich szans na przeżycie. Przeniósł go na pustynię, choć nie pokrywał jej piach, który na ogół kojarzy się z tą nazwą.

Kaspar mijął po drodze kilka drzew, ale były one od dawna suche i martwe. Nawet po drugiej stronie przewracanych kamieni nie znalazł ani śladu wilgoci. Jeden z jego nauczycieli powiedział mu wiele lat temu, że czasem pod powierzchnią pustyni można znaleźć wodę. Księżę jednak miał pewność, że na tej wysokości nie odnajdzie wilgoci. Kiedyś przez tę krainę płynęły strumienie, lecz teraz cała woda znikła. Jeżeli nawet pozostały jakieś resztki, musiał ich szukać poniżej – w wąwozach, które były jego celem, a nie na tej kamienistej wyżynie. Przez krótką chwilę z trudem łapał powietrze. Oddychał bardzo ciężko. Nieważne jak wielkie hausty powietrza brał do płuc – ciągle czuł się niedotleniony. Wiedział, że to kolejny objaw jego słabości.

Kaspar nigdy nie widział tak pęsnego miejsca. Wielkie piaszczyste wydmy pustyni Jal-Pur w północnym Keshu wydawały mu się egzotyczne. Jak wielkie morze rozhuśtanego piasku, jak syplące góry. Był tam jako dziecko wraz z ojcem i oczywiście z eskortą królewskich służących z dworu Wielkiego Keshu, oczekujących na każde jego skinienie. Podróżowali całym miasteczkiem kolorowych namiotów i luksusowych pawilonów. Kiedy ojciec polował na legendarne piaskowe jaszczury z Jal-Pur, słudzy zawsze byli w pobliżu wraz z odświeżającymi napojami: wodą zaprawioną korzeniami albo sokami owocowymi. Przemyślnie przechowywano je w pudełkach zawierających lód z wysokich gór, dzięki czemu wciąż były chłodne. Każdej nocy odbywała się królewska uczta, na której podawano schłodzone piwo i korzenne wino.

Już samo rozmyślanie o napojach przyprawiało go o niemal fizyczny ból. Z trudem oderwał myśli od tego tematu i skupił się na chwili obecnej.

Na pustkowiach istniały kolory, ale nie na tyle atrakcyjne, aby przyciągnąć wzrok. Widział tylko surową ochrę, wyblakłą żółć, czerwień jak zardzewiałe żelazo i brąz wymieszany z szarością. Wszystko było pokryte pyłem i nigdzie nie skrzyła się zieleń ani błękit, znamionujące wilgoć. Chociaż na pomocnym wchodzie dostrzegł migotanie, które mogło pochodzić od rozgrzanej upałem wody.

Tylko jeden raz polował na pustkowiach Keshu, ale pamiętał doskonale wszystko, o czym mu mówiono. Keshanie byli potomkami łowców lwów mieszkających na trawiastych równinach wokół wielkiego jeziora, nazywanego Otchłanią Overn. Ich tradycje przetrwały stulecia. Stary przewodnik, Kulmaki, udzielał Kasparowi wielu rad. Kazał mu patrzeć na ptaki o zachodzie słońca, gdyż wtedy zwierzyna podąża w kierunku wody. Przez ostatnie dwa dni książę rozglądał się po niebie w poszukiwaniu pierzastych stworzeń, ale żadnego nie widział.

Kiedy tak leżał wyczerpany i odwodniony, na przemian to tracił, to odzyskiwał przytomność. Jego umysł kipiał od gorączkowych snów, wspomnień i iluzji.

Przypominał sobie chłopięce lata, gdy ojciec zabrał go na polowanie. Wtedy po raz pierwszy pozwolono mu dołączyć do towarzystwa mężczyzn. Zwierzyną łowną był odyniec. Kaspar z trudem dźwigał w dłoniach ciężką, okutą metalem włócznię na grubego zwierza. Jechał tuż przy boku ojca i widział, jak ów powala dwa pierwsze dziki. Później sam musiał ubić zdobycz. Zawahał się przez ułamek sekundy i dzika świnia uniknęła szerokiego ostrza włóczni. Obejrzał się przez ramię i zobaczył niezadowolenie w oczach ojca. Popędził więc za zwierzęciem, uciekającym w gęste krzaki, nie zwracając uwagi na ostrzeżenia wykrzykiwane przez mistrza polowania.

Zanim reszta myśliwych dogoniła Kaspara, jego koń zapędził dziką w gąszcz. Nie miał już dokąd uciekać. Książę praktycznie złamał wszystkie zasady polowania. Kiedy jednak ojciec i pozostali dołączyli do niego, chłopiec, ignorując głębokie rozcięcie na nodze, stał triumfująco nad ciągle miotającym się stworzeniem. Mistrz polowania dobił zwierzę strzałem z łuku, a władca Olasko pospieszył do syna i opatrzył mu nogę.

Mimo surowej nagany i wytknięcia głupoty postępów chłopak widział podziw w oczach ojca i to utkwilo w jego sercu na całe życie. Nigdy nie czuj strachu, powiedział sobie wtedy. Wiedział, że niezależnie od okoliczności każdy wybór musi zostać podjęty bez wahania i obaw, w przeciwnym bowiem razie wszystko stracone.

Pamiętał dzień, gdy ciężar korony spadł na jego barki. Stał milczący i smutny, trzymając za rękę młodszą siostrę, a kapłani pochylili pochodnie nad pogrzebowym stosem. Kiedy dym i popiół wzniosły się do nieba, młody książę Olasko ponownie poprzysiągł sobie, że nie będzie nigdy czuł strachu, i że będzie bronił swoich poddanych, jak gdyby sam musiał znów stawie czoła dzikiemu odyńcowi.

Ale w którymś momencie wszystko się popsuło. Wciąż szukał dla siebie odpowiedniego miejsca pod słońcem Olasko i w jakiś sposób ta chęć zamieniła się w czystą, nagą ambicję. Nagle zapragnął zostać królem Roldem. Był ósmy w kolejce do tronu, więc potrzebował tylko kilku wypadków i przypadkowych zgonów, żeby wreszcie zebrać wszystkie rozproszone nacje wschodu pod sztandarem Roldem.

Kiedy tak leżał i myślał o przeszłości, nagle przed jego oczami pojawił się ojciec. Przez chwilę Kaspar zastanawiał się, czy już umarł i czy rodzic ma go odprowadzić do Królestwa Umarłych, gdzie Lims-Kragma położy na szali jego dobre i złe uczynki, po czym wyszuka dla niego miejsce na Kole Losu, które obróci się ponownie.

– Czy nie mówiłem ci, żebyś był ostrożniejszy?

Próbował odpowiedzieć, lecz jego głos był jedynie skrzeczącym szeptem Co?

Ze wszystkich słabości, które powalają człowieka, próżność jest najbardziej niebezpieczna. Próżność sprawia, że mądry człowiek staje się głupcem.

Kaspar usiadł i ojciec nagle zniknął.

Gorączka nie pozwalała mu zebrać myśli, więc książę nie wiedział, co oznaczała wizja. Coś jednak mówiło mu, że niosła ze sobą ważne przesłanie. Nie miał czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Zrozumiał, że nie może czekać, aż zapadnie zmrok, gdyż pozostało w nim już niewiele życia. Potykając się o kamienie ruszył w dół, w kierunku równiny. Gorące powietrze tańczyło ponad ochrowymi i szarymi skałami. Książę omijał pokruszone głazy, które w dawnych czasach wygładziła płynąca woda.

Woda.

Widział rzeczy, które były tylko iluzjami. Wiedział, że jego ojciec nie żyje, choć zdawało mu się, że duch mężczyzny idzie kilka kroków przed nim.

– Pokładałeś zbyt wiele ufności w tych, którzy mówili ci to, co chciałeś, aby było prawdą, a ignorowałeś tych, co rzeczywiście mówili ci prawdę.

– Ale zmusili mnie do tego! Musiałem być taki, żeby się mnie bali! – krzyknął Kaspar w głębi swego umysłu. Dźwięk wyszedł z jego ust jako nieartykułowane stęknięcie.

– Strach nie jest jedynym narzędziem dyplomacji i rządów, mój synu. Lojalność rodzi się z zaufania.

– Zaufanie! – warknął mężczyzna, ciężko łapiąc powietrze; jego głos zabrzmiał, jak drapanie piórem po suchym pergaminie, w który zmieniło się gardło. – Nikomu nie można ufać! – Zatrzymał się, gdyż o mało nie upadł, i wycelował oskarżycielski palec w ojca. – To ty mnie tego nauczyłeś!

– Myliłem się – odparł ojciec z zasmuconą twarzą i zniknął.

Kaspar rozejrzał się dookoła i stwierdził, że idzie w kierunku migoczącej mgielki, którą widział z góry. Ruszył dalej przed siebie, potykając się i ledwo unosząc stopy. Powoli pokonywał odległość dzielącą go od wybranych punktów krajobrazu; mozolnie parł przed siebie.

Jego umysł nadal wędrował w przeszłości. Wspominał wydarzenia z dzieciństwa, a potem upadek swoich rządów. Nagle pojawiła się przed nim młoda kobieta, której imienia nie mógł sobie

przypomnieć. Przez chwilę szła obok niego, a potem znikła. Kim była? Przypomnił sobie w końcu. Córka kupca. Dziewczyna bardzo mu się podobała, lecz jego ojciec zabronił mu się z nią widywać. Powiedział mu, że musi się ożenić z kimś ze swojego stanu i miłość nie ma tu nic do rzeczy. Oświadczył, że jeżeli chce, może się z nią przespać, ale niech odsunie na bok głupie myśli o głębszym uczuciu.

Dziewczyna wyszła za męż. Za kogoś innego.

Chciałby sobie przypomnieć jej imię.

Zataczając się parł do przodu; kilka razy upadł na kolana i tylko dzięki niezłomnej sile woli udało mu się wstać. Mijały minuty, godziny, dni, nie wiedział jak wiele. Myśli zwróciły się do wewnątrz, jakby czuł, że ciało już niedługo umrze.

Książę na chwilę się ocknął i ujrzał, że dzień ma się ku końcowi. Znajdował się w wąskiej rozpadlinie, prowadzącej w dół.

A potem coś usłyszał.

Śpiew ptaka. Nie więcej niż ćwierknięcie wróbla, ale z pewnością był to śpiew ptaka.

Kaspar zmusił wymęczony umysł do działania i zamrugał. Usiłował wyostrzyć wzrok, lecz obraz ciągle zamazywał się przed oczami. Znów usłyszał ćwierkanie. Przechylił głowę i nasłuchiwał uważnie. Śpiew dotarł do niego po raz trzeci.

Ruszył w kierunku dźwięku, niepomny na luźne kamienie i ustępliwy grunt. Niemalże upadł, ale udało mu się oprzeć o strome ściany coraz głębszego wąwozu.

Pod stopami pojawiła się twarda trawa i umysł uchwycił się natychmiast jednej myśli: jeśli rośnie tutaj trawa, musi też być woda. Rozejrzał się dookoła. Nie zobaczył nawet śladu wilgoci, jednak kawałek dalej majaczyła kępa drzew. Zmusił się do dalszego marszu, aż siły całkowicie go opuściły. Upadł na kolana, a potem na twarz.

Leżał dysząc ciężko z czołem wciśniętym w trawę. Czuł wilgotne źdźbła, ocierające się o skórę. Z wysiłkiem wbił palce w splątane korzonki i przeorał luźną warstwę gleby. Poczul, że ziemia jest mokra. Ostatnim aktem woli dźwignął się na kolana i wyjął miecz z pochwy. Przez głowę przepłynęła mu dziwna myśl. Gdyby jego stary nauczyciel szermierki zobaczył, do czego zamierza użyć miecza, nie obyłoby się bez chłosty. Zignorował wspomnienie i wbił ostrze w glebę. Kopał. Używał miecza jak ogrodnik łopatę. Odrzucał ziemię na boki.

Darł i ciągnął resztkami sił. Gwałtownie jak borsuk kopiący norę, niemal histerycznie, odrzucał za siebie ziemię i porwaną trawę. A potem poczul to. Z dziury buchnął zapach wody, a na ostrzu pojawiła się lśniąca mgiełka wilgoci.

Wcisnął ręce w wykopany dołek i natrafił na błoto. Odrzucił miecz na bok i zaczął kopać gołymi rękoma. Nagle jego palce zagłębiły się w wodzie. Była błotnista i miała smak gliny, ale książę rzucił się na brzuch. Zaczął wyciskać skąpo sączący się płyn. Napełnił wodą stuloną dłoń, uniósł ją do

spękanych warg i wypił. Kiedy już nasycił pragnienie, zwilżył kark i twarz, a następnie znów czerpał z dziury i pił nieprzerwanie. Nie miał pojęcia, ile razy unosił dłoń do ust, ale w końcu stracił przytomność. Głowa uderzyła o ziemię, oczy wywróciły się białkami do góry... i zapadł w czerń.

* * *

Ptak rozgarnął ziarno, jakby przeczuwał, że w pobliżu czai się niebezpieczeństwo. Kaspar leżał cicho w niewielkim zagłębieniu kilka metrów dalej, ukryty za gęstym, kolczastym krzakiem. Obserwował, jak stworzenie dziobie ziarno. Nie rozpoznawał gatunku, choć sądził, że to rodzaj cietrzewia. Ptak wziął ziarenko do dzioba i połknął.

Olaskanin na tyle doszedł do siebie, że o poranku zdołał się podnieść i znaleźć miejsce w cieniu. Opuszczał je tylko po to, aby napić się z zaimprovizowanej studni. Woda nie napływała już tak szybko jak na początku – książę wiedział, że płyn niebawem się wyczerpie. W południe zdecydował się pójść dalej wąwozem i zobaczyć, dokąd prowadzi. Miał nadzieję znaleźć kolejne miejsce, gdzie woda płynie płytko pod powierzchnią.

Kiedy słońce chyliło się już ku zachodowi, znalazł drzewo. Nie wiedział, jak się nazywa, ale z jego gałęzi zwisały owoce pokryte twardą skórą. Zerwał kilka. Odkrył, że gdy usunie się z nich skórkę, miąższ nadaje się do jedzenia. Także był twardy i dość suchy. Smak z pewnością nie zadowoliliby hedonisty, lecz dawny władca był zdesperowany. Zjadł kilka kęsów, chociaż pusty żołądek domagał się więcej, i czekał.

Wyglądało na to, że owoce nie są trujące. Zjadł jeszcze parę, zanim żołądkiem targnął pierwszy spazm. Owoce może i nie były trujące, ale z pewnością nie należały do lekkostrawnych. Choć z drugiej strony trzydniowy post sprawił, że układ trawienny Kaspara reagował nieco przesadnie na każde pożywienie.

Książę zawsze odznaczał się zdrowym apetytem oraz nigdy nie zaznał głodu dotkliwszego niż ten, gdy opuścił popołudniowy posiłek, będąc na polowaniu albo pływając żaglówką u wybrzeży Opardum. Dworzanie z domostwa ojca często narzekali gorzkimi słowami, kiedy przez niego pozbawiono ich posiłku. Zaśmiał się duchu, wyobrażając sobie ich reakcję na takie warunki. Śmiech zamarł mu na ustach, gdyż zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie większość jego przyjaciół byłaby już martwa.

Ptak podszedł bliżej.

Mężczyzna wysypał ziarno w linii prowadzącej prosto do sideł, skonstruowanych z tego, co miał pod ręką. Obolałymi dłońmi splótł twarde włókna, które wyciął z bulwy dziwacznie wyglądającego kaktusa. Pleceni sideł nauczył go keshkański przewodnik. Następnie odciął niewielki twardy kolec i pociągnął mocno. Dzięki temu zyskał ostry szpikuliec przymocowany do długiego włókna. Przewodnik powiedział mu, że to naturalna igła z nitką. Kaspar bardzo się starał – w efekcie udało

mu się wyciąć włókno dwukrotnie dłuższe od jego ramienia. Dłonie i ramiona pokrywały teraz niezliczone cięcia i ukłucia, obrazujące determinację, z jaką usiłował pozyskać materiał do sideł z kolczastych gałęzi lokalnych roślin.

Ptak podchodził coraz bliżej, zaś Olaskanin ze wszystkich sił starał się pozostać cichy i nieruchomy. Rozpalił już mały ogień, który przysypał delikatnie ziemią. Wystarczyło lekko dmuchnąć, żeby płomień znów buchnął wysoko. Na myśl o pieczonym cietrzewiu miał usta pełne śliny.

Ptak całkowicie zajął się ziarnem, ignorując księcia. Usiłował przebić się dziobem przez zewnętrzną twardą łupinę i dostać się do miękkiego jądra. Kaspar patrzył, jak ptak zjada małego orzeszka i przesuwa się do następnego. Mężczyzna zawahał się przez chwilę, ponieważ przez jego umysł przemknęło zwątpienie. Poczul niemal obezwładniający strach, że stworzenie w jakiś sposób mu się wymknie, a on umrze na tym pustkowiu powolną, głodową śmiercią.

Zwątpienie omal go nie sparaliżowało. Przez chwilę utrata zdobyczy wydawała się nieunikniona. Cietrzew podrzucił orzeszek do góry, a drobinka wylądowała tak daleko od sideł, iż księżę poczuł pewność, że ptak zdoła mu uciec. Jednakże kiedy zwolnił zaimprovizowaną linę, pułapka opadła dokładnie w tym miejscu, w którym powinna.

Ptak zatrzepotał skrzydełkami i wydał z siebie rozdzierający dźwięk, próbując uciec z klatki. Kaspar nie zważał na kolejne ukłucia ostrych jak igły kolców, gdy podnosił małą klatkę i wyciągał go ze środka.

Szybko złamał stworzeniu kark i jeszcze nim dotarł do ogniska, zaczął skubać zdobycz z piór. Musiał wypatroszyć zwierzynę, niestety miał tylko miecz, a to nie dawało nadziei na szybką i łatwą robotę. Pożałował, że nie zatrzymał sztyletu, lecz wbił go w podłogę namiotu jako ostrzeżenie dla przywódcy pustynnych nomadów.

W końcu ptak został oskubany, wypatroszony i nadziany na zaimprovizowany rożen. Były władca ledwie nad sobą panował, kiedy patrzył, jak mięso się piecze. Minuty mijały i żołądek cały się kurczył w oczekiwaniu na królewską ucztę.

Przez całe swoje życie wypracował żelazną samodyscyplinę, ale powstrzymanie się przed pożarciem na wpół upieczonego cietrzewia było z pewnością najtrudniejszym zadaniem, któremu musiał stawić czoła. Lecz wiedział, jakie niebezpieczeństwo grozi po zjedzeniu surowego mięsa. Jako młodzieniec widział przypadek spożycia zatrutej żywności i widok ten wystarczył mu na całe życie.

W końcu ocenił, że posiłek jest już gotowy. Niepomny na poparzone wargi i język, rzucił się nań jak szalony. Niestety skończył się zbyt szybko. Księżę zjadł najmniejszy nawet strzępek mięsa i każdy kawałek tłuszczu małego, chudego ptaszka. Było to najwspanialsze jedzenie, jakie kiedykolwiek mu się trafiło, ale nie zaspokoilo jego apetytu. Wstał, po czym rozejrzał się wokoło z nadzieją, że znajdzie jeszcze jednego ptaka, który tylko czeka na to, żeby być złapanym i zjedzonym.

I wtedy zobaczył chłopca.

Dzieciak wyglądał góra na siedem czy osiem lat. Nosił tunikę domowej roboty i sandały. Jego ubranie pokrywał kurz.

Kaspar nie widział jeszcze chłopca o tak urodziwej twarzy, a zarazem tak poważnej. Włosy dziecka miały jasny odcień. Nieznajomy przypatrywał się księciu wielkimi, jasnobłękitnymi oczami.

Mężczyzna stał nieruchomo przez dłuższy czas, lecz nagle chłopiec odwrócił się i uciekł.

Księżę ruszył za nim moment później, ale ciągle był wycieńczony z głodu. Jedyne, co dodawało mu sił, to strach, że chłopak zaalarmuje ojca albo innych ludzi ze swojej wioski. Nie czuł lęku przed żadnym mężczyzną, wiedział jednak, że jest zbyt słaby, aby stawić czoła więcej niż jednemu przeciwnikowi.

Kaspar walczył o to, aby nie stracić chłopca z oczu, ale wkrótce dziecko znikło pomiędzy skałami w dole wąwozu. Pobiegł za nim, najszybciej jak potrafił. Po kilku minutach przedzierania się przez kamienie, tam gdzie ostatni raz dostrzegł chłopca, musiał się zatrzymać, gdyż zakręciło mu się w głowie. W żołądku mu zaburczało i głośno beknął siadając na najbliższym kamieniu. Poklepał się po brzuchu i znów poczuł zawroty głowy. Zaśmiał się, gdy pomyślał, jak musi wyglądać. Przecież minęło dopiero sześć czy siedem dni, odkąd został schwytany w swojej twierdzy w Olasko, a już czuł pod dłonią wystające żebra. Było po nim widać, że niemal umarł z głodu.

Siłą woli narzucił sobie spokój, a potem wstał i rozejrzał się za śladami. Należał do zdolnych tropicieli, jak większość szlacheckich synów z wschodnich królestw. Kaspara cechowała próżność, ale jeżeli chodziło o umiejętności tropicielskie i zmysł myśliwego, nie przeceniał swych możliwości. Był naprawdę tak dobry, jak sądził. Zauważył rysy na kamieniach, a kiedy wdrapał się ich śladem, odnalazł ścieżkę.

Podobnie jak opuszczona starożytna droga, ten szlak także nie należał do najnowszych. Zrobiono go wieki temu dla wozów albo dyliżansów, teraz jednak korzystały z niego tylko zwierzęta i paru ludzi. Zobaczył ślady chłopca, prowadziły w przeciwnym kierunku niż ten, z którego nadszedł, więc ruszył za nimi.

Szedł, bawiąc się myślą, że jedynym szlachcicem o zbliżonych umiejętnościach łowieckich był Talwin Hawkins – człowiek, który odebrał mu tron i zabrał wszystko, co uważał za drogie. Księżę zatrzymał się na chwilę, żeby złapać oddech. Coś mu się nie zgadzało. W głowie czuł pustkę, a myśli wędrowały własnymi ścieżkami. Najwyraźniej parę kęsów owoców i chudy ptaszek mogły go najwyżej chwilowo utrzymać przy życiu. Nie potrafił się skoncentrować na jednej rzeczy, a to dokuczało tak samo jak ciągły głód i pył.

Potrząsnął głową, żeby oczyścić umysł, a potem ruszył przed siebie. Zmusił się do zachowania swego rodzaju stanu gotowości i ponownie wrócił do rozmyślań o Hawkinsie. Oczywiście jego wróg był całkowicie usprawiedliwiony, kiedy podejmował działania przeciwko Kasparowi, gdyż to właśnie księżę go zdradził. Wyczuł, że Natalia coraz bardziej angażuje się w związek z młodym arystokratą z Królestwa Wysp. Osobiście nawet lubił Talwina i podziwiał jego umiejętności jako szermierza i myśliwego. Kaspar znów się zatrzymał. Nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego właśnie kawalera wybrał na przynętę w planie zamordowania księcia Rodoskiego z Roldem. W tamtych

dniach wydawało mu się to dobrym posunięciem, ale teraz zastanawiał się, skąd wpadł mu do głowy taki pomysł. Hawkins był użytecznym narzędziem, a dodatkowo zatrudniał przebiegłego, starego mordercę, Amafiego. Razem stanowili parę nie do pokonania i często udowadniali swoją przydatność. A jednak książę zdecydował się zrzucić całą odpowiedzialność za śmierć Rodoskiego właśnie na głowę Tala Hawkinsa.

Kaspar potrząsnął głową. Odkąd opuścił Olasko, kilkakrotnie czuł, że coś się w nim zmieniło, coś więcej, niż mogłoby wynikać z okoliczności. Po chwili doszedł do wniosku, że to jego przyjaciel Leso Varen zasugerował młodzieńca na stanowisko kozła ofiarnego.

Zamrugnął i znów zdał sobie sprawę, że jego umysł zszedł na manowce. Skoncentrował się ponownie na odnalezieniu chłopca, zanim ów zdąży zaalarmować pozostałych. W pobliżu nie było ani śladu ludzkich siedzib, więc książę zakładał, że dziecko ma jeszcze spory kawałek do domu. Skupił się na śladach chłopca i poszedł za nimi najszybciej, jak potrafił, gdyż obawiał się najgorszego.

Czas mijał, słońce przesuwało się po niebie. W odczuciu Kaspara minęło jakieś pół godziny, gdy poczuł dym. Ścieżka zaprowadziła go do płytkiego wąwozu, lecz kiedy wdrapał się na przeciwległe zbocze i obszedł spory występ skalny, jego oczom ukazała się farma. W zagrodzie kręciły się dwie kozy, a w pewnej odległości zobaczył także bydło nieznanego mu rasy – o długich zakręconych rogach i brązowej sierści, nakrapianej białymi plamkami. Zwierzęta skubały trawę na zielonej łące. Za niskim domem, zbudowanym z gliny i trawy, na lekkim wietrze kołysały się uprawne rośliny. Pole zajmowało co najmniej dwa akry. Pomyślał, że to kukurydza, ale nie był pewny. A przed budynkiem znajdowała się studnia!

Mężczyzna pobiegł w jej kierunku i wyciągnął wiadro na długiej linie. Woda była czysta i chłodna. Kaspar wreszcie napił się do syta.

Kiedy wpuścił wiadro z powrotem do studni, zobaczył kobietę, stojącą w drzwiach do budynku, i chłopca, wyglądającego zza jej spódnicy. Celowała do niego z kuszy. Ściągnięte brwi, zwężone oczy i mocno zaciśnięte szczęki świadczyły o determinacji. Powiedziała coś w tym samym języku, którego używali nomadzi. Najwyraźniej ostrzeżenie.

Książę przemówił do niej po quegańsku, mając nadzieję, że rozpozna chociaż kilka słów albo choć odgadnie jego zamiary z intonacji.

– Nie skrzywdzę cię – powiedział powoli, chowając miecz do pochwy. – Ale muszę zobaczyć, co macie do jedzenia. – Na migi pokazał, że jest głodny i skinął ręką w kierunku domu.

Kobieta warknęła coś w odpowiedzi i machnęła kuszą, odpędzając go od chaty. Kaspar był dobrym myśliwym, więc doskonale zdawał sobie sprawę, że samica broniąca młodych jest bardzo niebezpieczna i trzeba się jej wystrzegać.

Zbliżył się powoli do chałupy.

– Nie zrobię wam krzywdy – oznajmił znów, powoli i wyraźnie. – Potrzebuję tylko jedzenia. –

Wyciągnął przed siebie dłonie i skierowane wewnątrz ku górze.

Nagle poczuł zapach. Wewnątrz budynku coś się gotowało. Aromat jedzenia przyprawił go niemal o fizyczny ból. Gorący chleb. I gulasz lub zupa.

– Kobieto, jeżeli wkrótce czegoś nie zjem, padnę martwy rzekł spokojnie. Jeżeli więc chcesz mnie zabić, zrób to teraz i niechże mam wreszcie spokój.

Tylko refleks ocalił mu życie, gdyż zawahała się zaledwie na ułamek sekundy, zanim zacisnęła palce na spuście kuszy Olaskanin rzucił się w lewo i bełt przeciął powietrze w miejscu, gdzie stał jeszcze przed chwilą. Książę przetoczył się po ziemi, zerwał się na nogi i zaatakował.

Kiedy tylko kobieta zobaczyła, że bełt chybił celu, uniosła kuszę, by użyć jej jak pałki. Z całej siły uderzyła Kaspara w ramię, gdy usiłował przedrzeć się przez drzwi do wnętrza chaty.

– Niech cię – krzyknął, kiedy wreszcie udało mu się złapać przeciwniczkę w pól i obalić na podłogę.

Chłopiec krzyknął coś, rozeźlony, i zaatakował. Był mały, ale silny, więc jego ciosy sprawiały niemiły ból. Książę leżał na walczącej kobiecie i mocno trzymał ją za rękę, w której ciągle ścisnęła kuszę. Ścisnął jej nadgarstek, aż krzyknęła i puściła broń. Poderwał się na nogi w samą porę, by umknąć ciosu metalową patelnią, którą chłopak celował w jego głowę.

Złapał dzieciaka za rękę i wykręcił nadgarstek. Chłopiec krzyknął i puścił patelnię.

– Dostyc tego! – zawył dawny władca.

Wyciągnął miecz i wycelował ostrze w leżącą. Syn zamarł, a jego twarz zastygła w maskę przerażenia.

– A więc dobrze – powiedział mężczyzna, ciągle posługując się quegańskim – Powtarzam jeszcze raz nie zamierzam was skrzywdzić. Przesadnym gestem odłożył na bok miecz. Podeszedł do kobiety i podniósł kuszę. Podał ją dziecku – Masz, chłopcze, idź i poszukaj bełtu na zewnątrz. Zobacz, czy da się go znów użyć. Jeżeli już musisz mnie zabić, nie krępuj się i spróbuj ponownie.

Pomógł matce chłopaka wstać i przyjrzał się jej uważnie. Była chuda, lecz dostrzegł w niej ślad dawnej urody. Ciężkie życie mocno ją postarzyło. Nie potrafił powiedzieć, czy ma trzydzieści, czy czterdzieści lat. Jej twarz była niczym brązowa skora, tak spaliło ją słońce, ale oczy miały żywy, błękitny odcień. Nie okazywała strachu.

– Przynieś mi jedzenie, kobieto – poprosił książę łagodnie, a potem ją puścił.

Kaspar rozejrzał się i stwierdził, że chłopiec nadal stoi bez ruchu, trzymając kuszę. W chacie było tylko jedno pomieszczenie, lecz przedzielono je kotarą, żeby kobieta miała choć odrobinę prywatności podczas snu. Z miejsca, gdzie usiadł, widział jej poślanie oraz małą skrzynię. Drugie poślanie leżało zrolowane pod jedynym w pomieszczeniu stołem. Obok stały dwa stołki. Własnej roboty kredens przycupnął tuż obok paleniska, nad którym wisiał kociołek z bulgoczącym gulaszem.

Pod paleniskiem zbudowano prymitywny piec, a w nim znajdował się dopiero co wypieczony chleb. Były książę Olasko wyciągnął rękę i złapał jeden z ciepłych bochenków. Oderwał spory kawał, po czym wepchnął sobie do ust. Później usiadł na jednym ze stołków. Popatrzył na gospodynię, tak niechętną jego wizycie.

– Przepraszam, że zachowałem się jak cham, ale wolę już złe maniery od głodowej śmierci.

Uśmiechnął się, żując chleb o doskonałym smaku.

– Bardzo dobre – Pokazał gestem na kociołek z potrawką – Z chęcią spróbowałbym też tamtego.

Kobieta zawahała się, a potem podeszła do paleniska. Nałożyła trochę gulaszu do miski i postawiła ją przed intruzem. Podała mu drewnianą łyżkę.

– Dziękuję ci powiedział i skinął głową.

Odsunęła się, przytulając do siebie chłopca. Przybysz zjadł potrawkę i zanim poprosił o dokładkę, spojrzał na nieruchomą parę. Najwyraźniej quegański nie wystarczał, aby porozumieć się z tymi ludźmi, jednak ów język najbardziej przypominał mowę, jaką posługiwali się nomadzi.

– Kaspar – rzekł pokazując palcem na siebie.

Kobieta nie zareagowała.

– Jak się nazywacie? – zapytał Kaspar wskazując na nich.

Pomyślał, że jest może wystraszona, ale z pewnością nie należy do głupich.

– Jojanna – powiedziała.

– Joanna – powtórzył.

– Jojanna – poprawiła go. Usłyszał miękką głoskę „h” tuż po spółgłosce, j”.

– Jojhanna – powiedział i kobieta skinęła głową, jakby na tyle zbliżył się do prawidłowej wymowy, że nie musiała już poprawiać.

Pokazał na chłopca.

– Jorgen – nadeszła odpowiedź.

Kiwnął głową i powtórzył imię chłopca. Wstał, żeby nałożyć sobie więcej potrawki i stwierdził, że zjadł większość wieczornego posiłku swoich gospodarzy. Popatrzył na nich, a następnie wlał zawartość miski z powrotem do kotła. Zadowolił się samym chlebem.

– Jedzcie. – Skinął na kobietę i dziecko. Gestem wskazał, by podeszli do stołu.

– Jedzcie – powtórzyła. Zdał sobie sprawę, że to samo słowo, tylko wypowiedziane z zupełnie innym akcentem. Przytaknął ruchem głowy.

Matka ostrożnie poprowadziła chłopca w kierunku stołu, więc książę wstał i ruszył do wyjścia. Zobaczył pusty kubek, podniósł go i użył jako zaimprovizowany stółek. Mały przypatrywał się jego poczynaniom poważnymi, niebieskimi oczami, a kobieta rzucała spojrzenia z ukosa, kiedy stawiała na stole jedzenie dla dziecka.

– A więc, Jojanno – zaczął Kaspar, gdy już oboje usiedli – Jorgenie, nazywam się Kaspar i zaledwie kilka dni temu byłem jednym z najpotężniejszych ludzi po drugiej stronie świata. Niestety znalazłem się w opłakanej sytuacji, ale mimo kiepskiego wyglądu, naprawdę jestem tym, za kogo się podaję.

Popatrzyli na niego, najwyraźniej nic nie rozumiejąc. Zachichotał.

– Bardzo dobrze. Nie musicie uczyć się quegańskiego. To ja muszę się nauczyć waszego języka. – Uderzył w wiadro, na którym siedział. – Wiadro – powiedział.

Kobieta i jej syn milczeli. Wstał, pokazał na kubek i powtórzył słowo ponownie. Potem wskazał na nich i znów na wiadro.

– Jak to nazywacie?

Jorgen zrozumiał i wypowiedział słowo. Było niepodobne do niczego, co przybysz słyszał do tej pory. Powtórzył je i chłopak skinął głową.

– Cóż, to dobry początek – oznajmił były książę Olasko. – Może zanim zapadnie zmrok, dogadamy się na tyle, że będę was mógł przekonać o moich dobrych zamiarach i nie poderżniecie mi gardła, kiedy położę się spać.

ROZDZIAŁ TRZECI

Farma

Kaspar obudził się na podłodze małej chaty. Spał tuż przy drzwiach, żeby uniemożliwić Jorgenowi albo Jojannie potajemną ucieczkę. Uniósł się na łokciu i rozejrzał po chacie w mętnym świetle wczesnego poranka. W budynku było tylko jedno okno. Znajdowało się w pobliżu komina, po prawej stronie księcia, więc w pomieszczeniu ciągle panował mrok.

Chłopiec i kobieta nie spali, ale żadne z nich nie ruszyło się z posłania.

– Dzień dobry – powiedział Kaspar siadając. Zabrał im kuszę i wszystkie ostre przedmioty, które na pierwszy rzut oka mogły wyrządzić poważną krzywdę. Wyniósł wszystko poza zasięg właścicieli chaty. Jako myśliwy i wojownik ufał swoim instynktom, wierzył, że obudzi się, jeśli chłopak lub jego matka podejmą próbę ataku, więc spał całkiem nieźle.

Kiedy już wstał, odniósł uprzednio skonfiskowane narzędzia na ich miejsca. Kobieta z pewnością miała wiele pracy. Poprzednie popołudnie i wieczór Olaskanin wskazywał obiekty z najbliższego otoczenia i wypytywał o ich nazwy. Powoli uczył się nowego języka. Poznał go już na tyle, żeby się zorientować, iż dialekt jest spokrewniony ze starożytną odmianą języka Keshu, jakim posługiwano się w regionie Morza Gorzkiego zaledwie kilka stuleci temu. Znał dość dobrze historię Imperium, gdyż jako syn władcy został zmuszony do nauki. Przypominał sobie teraz o religijnej wojnie, której efektem stała się ucieczka sporej grupy Keshanów na zachód. Najwyraźniej jakaś część uchodźców musiała wylądować gdzieś w pobliżu.

Księżę zawsze miał talent do języków, choć teraz żałował, że spędził tak mało czasu na nauce quegańskiego, a zwłaszcza odmiany keshkańskiego dialektu, którym mówili przodkowie nomadów z tych ziem. Jednakże radził sobie z nowym językiem na tyle dobrze, że bez trudu mógłby wtropić się w lokalną ludność, gdyby kiedykolwiek zdecydował się tutaj zostać i uprawiać ziemię.

– Możecie wstać – rzekł patrząc na chłopca.

Dziecko wstało.

– Czy mogę wyjść na zewnątrz?

Kaspar zdał sobie sprawę z nieprecyzyjności zwrotu i poprawił się.

– Powiedziałem, że możesz wstać, ale jeżeli potrzebujesz wyjść na zewnątrz, zrób to.

Mimo wcześniejszego zachowania mężczyzny Jorgen nadal obawiał się, że zostanie pobity, albo

nawet zabity, a Jojanna zgwałcona. Książę zresztą uważał, że kobieta jest całkiem atrakcyjna, a spalona słońcem twarz i szczupła sylwetka tylko przydają jej uroku. Nigdy jednak nie znajdował satysfakcji w obcowaniu z niewiastami, które nie życzyły sobie zawarcia bliższej znajomości; nawet z tymi, co udawały, że chcą, chociaż tak naprawdę ulegały jego bogactwu i władzy.

Kobieta wstała i odciągnęła na bok kotarę, zaś chłopiec zrolował swoje posłanie i schował je pod stołem. Były władca usiadł na jednym z dwóch stołków. Podeszła do paleniska, po czym poruszyła przygasłe polana. Później dorzuciła drewna.

– Potrzebujesz drewna? – zapytał Kaspar.

Skinęła głową.

– Rano porąbię więcej, ale najpierw muszę wydoić jedną z moich krów. W zeszłym tygodniu górski kot porwał jej cielę.

– Czy kot nadal was nęka?

Nie zrozumiała pytania, więc sformułował je inaczej.

– Czy kot wrócił i zabił więcej cieląt?

– Nie – odparła.

– Ja porąbię drewno – oświadczył. – Gdzie jest siekiera?

– W... – Książę nie rozpoznał słowa i poprosił, aby je powtórzyła. Nagle zdał sobie sprawę, że to dziwnie akcentowana odmiana kesańskiego słowa „szopa”. Powtórzył nowy wyraz. – Będę pracował na jedzenie – dodał.

Przerwała na chwilę, a potem skinęła głową i powróciła do przygotowywania dziennego posiłku.

– Nie ma chleba – powiedziała. – Zazwyczaj piekę dzień wcześniej.

Pochylił głowę, ale nic nie odpowiedział. Oboje wiedzieli, dlaczego nie upiekła chleba dzień wcześniej. Siedziała przerażona i czekała, aż obcy mężczyzna weźmie ją siłą, podczas gdy on bez końca zadawał dziwne albo bezsensowne pytania o nazwy różnych rzeczy.

– Nie zrobię krzywdy ani tobie, ani dziecku – zapewnił ją powoli. – Jestem tutaj obcy i muszę się wiele nauczyć, jeżeli mam przeżyć. Będę pracował na jedzenie.

Znów przerwała i przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy, W końcu skinęła głową, jakby ją przekonał.

– Mam ubrania, które należały do mojego... – znów wymówiła słowo, którego nie rozumiał.

– Twojego kogo? – przerwał jej.

– Mojego mężczyzny – wyjaśniła i powtórzyła tamto słowo. – Ojca Jorgena.

Domyślił się, że to lokalne słowo oznaczające męża. – Gdzie on jest?

– Nie wiem – odrzekła. – Trzy... – znowu nowe słowo, lecz książę postanowił nie przerywać; dowie się później, czy miała na myśli dni, tygodnie, czy miesiące – ...poszedł na targ. Nigdy nie wrócił. – Głos pozostał spokojny, a twarz nie wyrażała emocji, ale Kaspar dostrzegł w jej oczach łzy. – Szukałam go przez trzy... – I znowu słowo, którego nie zrozumiał. – A potem musiałam wrócić, żeby zająć się Jorgenem.

– Jak się nazywa?

– Bandamin.

– Czy to dobry człowiek?

Przytaknęła ruchem głowy.

Przybysz więcej się nie odezwał. Wiedział, że musiała się zastanawiać, jak wyglądałaby sytuacja, gdyby Bandamin był w domu, kiedy intruz pojawił się na horyzoncie.

– Pójdę porąbać drewno – rzekł książę.

Wyszedł z chaty i znalazł siekiere w małej szopce. Obok leżała nieduża sterta polan. Zobaczył Jorgena, który karmił stadko kur, i przywołał go do siebie gestem dłoni. Wskazał na skąpy zapas drewna.

– Niebawem będziecie potrzebować więcej.

Chłopiec kiwnął głową i zaczął mówić coś szybko, pokazując na nieduży zagajnik, mający po drugiej stronie łąki. Kaspar potrząsnął głową.

– Nie rozumiem – powiedział. – Mów wolniej.

Najwyraźniej Jorgen także go nie zrozumiał, więc przybysz na migi pokazał mu, że mówi za szybko, a następnie sam powtórzył wolno własne słowa.

Twarz chłopaka rozjaśniła się, kiedy zrozumiał, o co mu chodzi.

– Wytniemy jedno z tamtych drzew – oznajmił.

– Ale później – odparł Kaspar, kiwając głową potakująco.

Ciągle jeszcze nie odzyskał sił, nadwątlonych długotrwałym głodem i pragnieniem, lecz udało mu się zanieść do chaty wystarczającą ilość drewna, aby Joanna miała czym podsycać ogień przez najbliższy tydzień.

– Po co tu jesteś? – spytała księcia, kiedy już odłożył ostatni łądunek polan do pojemnika obok paleniska.

– Ponieważ potrzebuję wody i jedzenia, żeby przeżyć.

– Nie, nie na tej farmie – powiedziała wolno. – Mam na myśli, że tutaj... – Zatoczyła dłonią krąg wokół siebie, jakby chciała zaznaczyć większy obszar – Jesteś – nastąpiło kilka słów, których nie zrozumiał – z bardzo daleka, prawda?

– Jestem obcy – zgodził się – Tak, z bardzo daleka – Usiadł na stołku – Trudno mi o tym opowiadać bez – przerwał na chwilę – Nie znam aż tylu słów – rzekł w końcu – Ale kiedy już się nauczę języka, z pewnością ci opowiem.

– Powiesz prawdę?

Przypatrywał się jej przez dłuższą chwilę.

– Powiem ci prawdę.

Nie odezwała się, tylko popatrzyła mu prosto w oczy. Potem skinęła głową i powróciła do pracy przy kuchni. Kaspar wstał.

– Pójdę i pomogę chłopakowi.

Książę wyszedł na zewnątrz i zobaczył, że Jorgen idzie w kierunku łąki. Zatrzymał się na chwilę i pomyślał, że nie ma pojęcia, czym powinien się zająć. Był właścicielem kilku farm w Olasko, jednak były one dzierzawione. Jedynie, gdy przejeżdżał konno w pobliżu, czasem rzucał na nie okiem. Nie miał pojęcia, co się na nich uprawia, lecz w jego umyśle kołatały się jakieś strzępki wiedzy, jak to się robi Zachichotał pod nosem i ruszył za chłopcem Doszedł do wniosku, że wszystkiego można się nauczyć.

* * *

Ścinanie drzewa okazało się trudniejsze, niż Kaspar przypuszczał. Zresztą tylko raz widział, jak to się robi, a był wtedy małym chłopcem. Potężny pień prawie przygniótł mężczyznę ku złośliwej uciesze Jorgena – kiedy tylko chłopiec przekonał się, że niebezpieczeństwo zranienia zostało zażegnane.

Książę obciął gałęzie, a potem porąbał pień na kawałki, które był w stanie unieść Następnie powiązał bale grubymi skózanymi pasami, przeznaczonymi do tego, by je przytwierdzić do końskiej uprzęży. Wcześniej dowiedział się, że jedyny koń, jaki należał do farmy, zaginął razem z ojcem Jorgena, więc teraz Kaspar pełnił rolę pociągowego zwierzęcia. Pociągnął związane drewno w kierunku domu przez podmokłą łąkę. Walczył z ciężkim ładunkiem i napinał wszystkie mięśnie,

a drewniane bale podążały za nim w podskokach i szarpnięciach.

Tam na miejscu ten sposób transportu wydawał mi się niezłym pomysłem – wysapał mężczyzna do Jorgena, kiedy zatrzymał się na chwilę, żeby złapać oddech. Chłopiec roześmiał się.

– Mówiłem ci, że powinniśmy pociąć pień na mniejsze kawałki i zanieść je do domu pojedynczo.

Kaspar z niedowierzaniem potrząsnął głową. Dzieciak go pouczał. Ta sytuacja była dla niego na tyle dziwna, że wydawała się zarówno zajmująca, jak i irytująca. Przyzwyczyił się, że ludzie automatycznie się kontrolują, by nie powiedzieć w jego obecności nic krytycznego.

– Gdyby Tal Hawkins i jego banda mogli mnie teraz zobaczyć – westchnął zakładając ponownie uprząż – Turlaliby się ze śmiechu po podłodze.

Spojrzał na Jorgena, najwyraźniej zainteresowanego wypowiedzią, i nagle wesołość chłopca udzieliła się także jemu. Olaskanin również zaczął chichotać.

– No dobrze, miałeś rację. Leć z powrotem i przynieś siekiere. Porąbimy drewno tutaj.

Dzieciak pobiegł do lasu. Księżciu niezbyt podobał się pomysł tuzina albo i więcej wycieczek przez łąkę, ale musiał przyznać, że bez koma jego plan jest głupotą. Przeciągnął się i odwrócił, żeby popatrzeć na chłopaka, biegnącego do miejsca, gdzie zostawili siekiere i bukłak z wodą.

Kaspar przebywał na farmie już osiem dni. To, co z początku było koszmarem dla matki i syna, przerażonych pojawieniem się obcego, powoli przerodziło się w relatywnie spokojną sytuację. Księżę ciągle spał przy drzwiach, lecz przestał ukrywać niebezpieczne przedmioty przed mieszkańcami chaty. Wybór miejsca spoczynku został podyktowany chęcią zapewnienia Jojannie tak wiele prywatności, jak tylko możliwe w domu, gdzie istniało tylko jedno pomieszczenie, a także względami bezpieczeństwa. Każdy, kto próbowałby wejść do chaty przez drzwi, najpierw natknąłby się na mężczyznę.

Księżę ciągle miał ogólne wyobrażenie o otaczającym go terytorium, ale bez wątplenia ten obszar stale nawiedzały liczne niebezpieczeństwa. Bandyty i bandy wolnych najemników często pustoszyły okolicę. Farma jednak była na tyle odsunięta od starej drogi, wiodącej przez grań, którą wybrał Kaspar, że niewielu wędrowców mogło się na nią natknąć.

Przeciągnął się ponownie i z radością poczuł, jak wracają mu siły. Wiedział, że stracił sporo na wadze podczas trzech dni bez wody i pożywienia, a teraz stała praca na farmie dalej redukowałą jego masę. Były księżę Olasko, mężczyzna o szerokich ramionach, nigdy nie przykładął wagi do diety, gdyż gustował w winie i jedzeniu najwyższej klasy. Teraz jednak musiał nosić ubrania zaginionego Bandamina, ponieważ jego własne spodnie zsuwały się z talii. Pozwolił swej brodzie, dotąd zawsze kunsztownie przyciętej, rosnać jak chciała, gdyż nie miał ani nożyczek, ani brzytwy, ani lustra. Każdego ranka, zanim umył twarz w kubie z wodą, patrzył przez chwilę na swoje odbicie i ledwo się poznawał. Cerę spaliło mu słońce, połowę twarzy zasłaniała gęsta, czarna broda, a rysy

wyostrzyły się z powodu utraty wagi. A przebywał tutaj mniej niż dwa tygodnie. Jak więc będzie wyglądał za miesiąc? Kaspar nie chciał o tym myśleć. Zamierzał nauczyć się możliwie najwięcej od tych ludzi, a potem ruszyć dalej. Nieważne, jaki los szykowały mu najbliższe lata, praca na roli nie stanowiła dla niego przyszłości. Zastanawiał się jednak, jak powiedzie się Jojannie, kiedy on odejdzie.

Jorgen próbował pomóc mężczyźnie, ale dzieciak miał tylko osiem lat, więc często pochłaniały go ważne chłopięce sprawy. Do jego stałych obowiązków należało dojenie krowy, co straciła cielę, karmienie kurczaków, sprawdzanie szczelności ogrodzeń i inne proste czynności, które leżały w zasięgu możliwości tak małego chłopca.

Jojanna przejęła tak wiele prac swego męża, ile tylko była w stanie, lecz wiele z nich wykraczało poza jej siły. Kaspar nigdy nie spotkał tak ciężko pracującej osoby, ale nawet ona nie potrafiła znajdować się jednocześnie w dwóch miejscach. Książę wciąż nie mógł się nadziwić jej pracowitości. Wstawiała przed świtem i wracała do domu dopiero, gdy słońce zachodziło. Dbała o to, aby farma prosperowała tak samo dobrze, jak wtedy, kiedy był tu jeszcze jej mąż.

Kaspar dzierżawił swoje farmy setkom rolników, ale nigdy nie poświęcił choćby jednej myśli ich wysiłkom, zakładając, że z oczywistych względów praca na roli musi być ciężka. Teraz zaczął podziwiać tych ludzi. Jojanna i Jorgen, w porównaniu z większością olaskańskich farmerów, żyli znacznie lepiej. Ziemia i małe stado należały do nich. Spore poletko przynosiło solidne plony. Lecz gdy były władca porównał ich sytuację do swojego dawnego trybu życia, doszedł do wniosku, że balansują na granicy nędzy. A o ile biedniejsi byli farmerzy w jego kraju?

W moim kraju, pomyślał z goryczą. Odebrano mu jego dziedzictwo i musi je odzyskać albo zginać, próbując to osiągnąć.

Jorgen powrócił z siekierą, więc Kaspar zaczął rąbać drewno na mniejsze kawałki.

– Dlaczego tego nie rozszczepisz? – spytał chłopiec po chwili.

– Co masz na myśli?

Malec wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Pokażę ci.

Popędził do szopy i niedługo potem wrócił z metalowym klinem. Przyłożył węższy koniec klina do grubego bala i przytrzymał go mocno.

– Uderz w klin tępym końcem siekiery – poinstruował mężczyznę.

Książę spojrział na siekierę i stwierdził, że przeciwległa strona ostrza jest ciężka i rozklepana; przypominała młot. Obrócił narzędzie, złapał mocno za trzonek i uderzył, wbijając klin głęboko w drewno. Jorgen odsunął ręce ze śmiechem i potrząsnął głową.

– Zawsze mrowi mnie od tego w dłoniach!

Kaspar dobił klin trzema silnymi uderzeniami i pień rozpękł się na pół z satysfakcjonującym trzaskiem.

– Każdego dnia uczysz się czegoś nowego – mruknął. – Musisz tylko się zatrzymać i uważnie przyglądać.

Chłopiec popatrzył na niego nie rozumiejącym spojrzeniem.

– Co? – zapytał.

Zdał sobie sprawę, że użył języka Olasko, więc powtórzył zdanie w lokalnym narzeczu, starając się jak najlepiej oddać jego sens. Chłopak skinął głową.

Następnie książę zabrał się za rozszczepianie pozostałych pniaków, a potem porąbał drewno na mniejsze kawałki, zdatne do palenia w piecu. W trakcie pracy zauważył z zaskoczeniem, że powtarzający się wysiłek jest dla niego dziwnie relaksujący.

Ostatnio męczyły go sny, dziwne uczucia i niepokojące majaki. Odpryski zdarzeń, które z trudem sobie przypominał, a mimo tego nie dawały mu spokoju. Najdziwniejszym aspektem tych snów były szczegóły, zupełnie nie zauważane w codziennym życiu. Czuł się tak, jakby obserwował samego siebie i widział się po raz pierwszy w różnych sytuacjach. Obrazy przeskakiwały z przyjęcia w sali bankietowej, gdy tuż przy nim siedziała jego siostra, do rozmowy z więźniem w jednym z lochów pod cytadelą, żeby zmienić się we wspomnienie o czymś, co stało się, kiedy był sam. Najbardziej niepokoiło go to, że w momencie przebudzenia, czuł się tak, jakby naprawdę przeżywał te sytuacje. Jednak towarzyszące im przedtem emocje zupełnie się zmieniały po owym śnie.

Trzeciej nocy miał szczególnie żywy sen. Rozmawiał z Leso Varenem w prywatnych komnatach maga. Pokój śmierdział krwią i ludzkimi ekskrementami; wypełniał go także dziwny odór substancji, które czarnoksiężnik mieszał i spalał w pracowni. Kaspar pamiętał tę rozmowę, gdyż to wtedy po raz pierwszy Leso zasugerował, że powinien rozważyć usunięcie tych, co stali pomiędzy władcą Olasko a tronem królewskim w Roldem. Książę przypominał sobie także, jak bardzo spodobał mu się ten pomysł.

Ale gdy się obudził, niemalże zwymiotował na wspomnienie smrodu panującego w pokoju. Kiedy odwiedzał Varena, prawie nie zauważał zapachu. Fetor ani trochę go nie niepokoił. Jednakże tamtego ranka rzucił się do drzwi chaty i z trudem łapał oddech, co prawie obudziło Jorgena.

* * *

Kaspar zachęcał dzieciaka do mówienia o wszystkim, co mu tylko przyjdzie do głowy, gdyż ciągle gadanina chłopca pomagała mu przyswoić sobie lokalny język. Coraz łatwiej się nim posługiwał, ale nowe słowa były źródłem ciągłej frustracji. Mimo licznych umiejętności Jorgen i Jojanna byli

prostymi farmerami i nie wiedzieli prawie nic o świecie, w którym żyli. Znali tylko swoją farmę i wioskę, leżącą o kilka dni marszu dalej na północnym zachodzie. To tam sprzedawali bydło i ziarno, a z tego, co Olaskanin zrozumiał, wedle miejscowych standardów Bandamin uchodził za dość zamożnego rolnika.

Opowiedzieli mu o wielkiej pustyni, rozciągającej się na północnym wschodzie, zamieszkaney przez plemię ludzi zwanych Jeshandi. Nie przypominali oni w niczym nomadów, którzy go schwytali. Należeli do narodu Bentu. Przybyli w te strony z południa, w czasach ojca Jojanny. Kaspar wyliczył, że musiało się to zdarzyć w czasie wojny, zakończonej pokonaniem armii Szmaragdowej Królowej na Koszmarnym Wzgórzu w Zachodnim Królestwie Królestwa Wysp. Kiedy księciem był ojciec Kaspara, olaskański wywiad zebrał na ten temat tak wiele informacji, jak tylko się dało. Okruchy wiedzy uzyskano także, z wielkim trudem, od agentów Królestwa i Keshu, ale to, co książe czytał, upewniło go w mniemaniu, że większa część historii została zatajona.

Wiedział tylko, że kobieta znana jako Szmaragdowa Królowa pojawiła się gdzieś na zachodnich rubieżach kontynentu Novindus i stworzyła wielką armię, po czym podbiła szereg miast i państw. Wedle pewnych doniesień w jej szeregach służyli gigantyczni ludzie-węże. Królowa zgromadziła wielką flotę w celu inwazji na Królestwo Wysp.

Do tej pory nie wiadomo, w jaki sposób jej się to udało. Fakty zaprzeczały wszelkiej tradycyjnej logice wojskowej, a jednak dokonała tego. Krondor praktycznie legł w gruzach, a Zachodnie Królestwo ciągle jeszcze nie podźwignęło się z wojennych zniszczeń, chociaż minęło już trzydzieści lat.

Może, pomyślał były władca, gdy kończył rąbać drewno, dowiem się o tych wydarzeniach czegoś więcej, kiedy będę szedł przez ten nieznany kontynent. Popatrzył na chłopca.

– Nie stój tak beczymnie – powiedział. – Weź trochę drewna. Nie zamierzam nosić tego wszystkiego sam.

Chłopak zamruczał coś pod nosem, lecz humor najwyraźniej go nie opuścił. Złapał tak wiele drewna, jak tylko był w stanie, czyli całkiem sporą ilość drobnych trzasek na rozpałkę. Kaspar wziął o wiele większy ładunek.

– Dałbym wiele za konia i wóz – oznajmił.

– Ojciec wziął konia, kiedy... odszedł – rzekł Jorgen, sapiąc z wysiłku.

Książę nauczył się już wielu słów oznaczających czas i wiedział teraz, że ojciec chłopca zniknął na trzy tygodnie przed pojawieniem się na farmie obcego. Bandamin pojechał do wioski nazywanej Heslagnam, żeby sprzedać plony karczmarzowi. Potem miał zrobić zapasy i kupić parę rzeczy, niezbędnych na farmie.

Jojanna i Jorgen poszli do wioski po trzech dniach nieobecności mężczyzny. Na miejscu dowiedzieli się, że nikt nie widział Bandamina. Człowiek, jego wóz i koń zaginęli gdzieś po drodze pomiędzy farmą a Heslagnam.

Jojanna nie wykazywała chęci rozmowy na ten temat. Miała nadzieję, że jej mąż powróci, chociaż minęły już prawie dwa miesiące. Kaspar uważał to za dziwne. W tym regionie mało kto przestrzegał prawa. W teorii wśród żyjących na tym terytorium, nawiedzanym od czasu do czasu przez nomadów z północy, Jeshandich, obowiązywała niepisana konwencja, głosząca, że nie atakuje się podróżnych ani tych, którzy dbają o ich potrzeby. Pochodzenie umowy ginęło w pomroce dziejów, ale podobnie jak wiele innych rzeczy została zarzucona i rozwiała się jak dym na wietrze w chwili najazdu Szmaragdowej Królowej.

Olaskanin wydedukował, że względny dobrobyt na farmie Jojanny, bydło i obfite plony, jest rezultatem tego, że ojciec Bandamina należał do tej nielicznej grupy sprawnych fizycznie mężczyzn, którym udało się uniknąć przymusowego zaciągu do armii Szmaragdowej Królowej. Kaspar czuł złość, że jego wiedza jest tak niekompletna, lecz dał radę ułożyć obraz prawdopodobnych zdarzeń z okrucichów informacji, jakich udzielała mu Jojanna.

Jej teść zdołał się ukryć. Wielu innych zostało siłą wcielonych do armii i pod groźbą śmierci zapędzonych do bitwy po drugiej stronie pasma górskiego, biegnącego na południowym zachodzie; kobieta nazywała je Sumami. Przedsiębiorczy farmer wyłapał bezpańskie bydło z opuszczonych gospodarstw oraz zdobył ziarno na się w i nasiona warzyw. Znalazł wóz i konie, a po kilku miesiącach tułaczki dotarł do małej studni. Tutaj założył swoją farmę, którą odziedziczył po nim Bandamin.

Księżę umieścił drewno w skrzyni za chatą i poszedł z powrotem przez łąkę, żeby wziąć następną porcję. Popatrzył na zmęczonego chłopca.

– A może zobaczysz, czy matka nie potrzebuje twojej pomocy? – zapytał.

Jorgen kiwnął głową i odbiegł.

Kaspar zatrzymał się na chwilę, by popatrzeć, jak dzieciak znika za rogiem chaty. Zdał sobie sprawę, że nigdy nie myślał o tym, jak to jest być ojcem. Zakładał, że nadejdzie taki dzień, kiedy ożeni się i spłodzi następcę tronu, ale nigdy nie rozważał posiadania potomka w kategoriach ojcostwa. Aż do tej chwili. Chłopiec bardzo tęsknił za ojcem. Mężczyzna doskonale to widział. Zastanawiał się, czy zniknięcie Bandamina kiedykolwiek doczeka się wyjaśnienia.

Ruszył po następną porcję drewna, przyznając w duchu, że praca na gospodarstwie jest znacznie cięższa, niż potrafił sobie kiedyś wyobrazić. Jednakże sami bogowie zdecydowali, że farmerzy zajmowali właśnie to miejsce na Kole Życia. I nawet jeżeli powróci na tron Olasko, nie może przecież wydać całego skarbcza na to, by kupić każdemu z nich konia i wóz. Zachichotał pod nosem, myśląc o absurdalności tego pomysłu i przeciągnął bolące ramiona.

* * *

Kaspar podniósł głowę znad miski.

– Będę musiał odejść – oznajmił.

Jojanna skinęła głową.

– Spodziewałam się, że to niebawem nastąpi.

Siedzieli cicho przez dłuższą chwilę i tylko Jorgen wodził wzrokiem od jednego do drugiego. Książę przebywał w ich domostwie już dłużej niż trzy miesiące. Chłopiec często drwił z jego ignorancji i nieznanomości podstaw życia na farmie, lecz Kaspar podświadomie wyczuwał, że pragnie, aby mężczyzna wypełnił puste miejsce po ojcu.

Ale miał swoje zmartwienia i nie mógł przejmować się losem samotnego chłopca z dalekiego kraju, nawet jeżeli przywykł do jego towarzystwa. Nauczył się już wszystkiego od mieszkańców gospodarstwa. Mówił teraz lokalnym językiem całkiem nieźle, poznał wszystkie zwyczaje i nawyki miejscowych, o których matka Jorgena miała pojęcie. Nie miał żadnego powodu, aby tu pozostać, za to wiele argumentów za odejściem. Spędził całe miesiące w odległości zaledwie kilku kilometrów od miejsca, gdzie zostawił go białowłosy mag, a przecież ciągle miał przed sobą pół świata do przebycia.

– A dokąd zamierzasz pójść? – spytał w końcu chłopak.

– Do domu.

Jorgen wyglądał tak, jakby chciał coś powiedzieć, ale w końcu nie zdecydował się na to.

– A co my zrobimy? – zapytał wreszcie.

– To, co zawsze robiliśmy – odparła kobieta.

– Potrzebujecie konia – rzekł książę. – Niebawem letnia pszenica będzie gotowa do zbioru, a kukurydza już dojrzała. Będziecie potrzebować konia, który zaciągnie wóz na targ.

Skinęła głową.

– Będziecie musieli sprzedać bydło. Ile sztuk?

– Dwie krowy powinny wystarczyć na przyzwoitego konia.

Były władca Olasko uśmiechnął się.

– Przynajmniej na koniach się znam. – Nie wspomniał jednak, że jego znajomość ogranicza się raczej do koni bojowych, wierzchowców do polowań i smukłych stworzeń, należących do jego siostry, natomiast nic nie wie o zwierzętach pociągowych. Jednakże potrafił dostrzec takie rzeczy jak kiepski krok i zaatakowane grzybicą kopyta. Na pierwszy rzut oka widział zły temperament konia, a przynajmniej zakładał, że mu się to uda.

– Będziemy musieli iść do Mastaby.

– Gdzie to jest?

– Dwa, może trzy dni marszu za Heslagnam. Tam będziemy mogli sprzedać bydło handlarzowi. Może będzie miał konia na sprzedaż – powiedziała stanowczo.

Kaspar milczał przez resztę posiłku. Wiedział, że Jojanna boi się ponownie zostać sama. Nie okazywała mu wielkiej przyjaźni i książę czuł zadowolenie, że sprawy właśnie tak się mają. Od miesięcy nie był z kobietą, a ona była na swój sposób bardzo atrakcyjna – szczupła i spalona słońcem. Lecz ograniczenia wynikające z małej powierzchni chaty oraz ciepły stosunek do Jorgena powstrzymywały Kaspara przed nawiązaniem bliższej znajomości.

Jojanna na przemian to wbrew wszystkiemu wierzyła, że ujrzy jeszcze swego męża, to opłakiwała jego śmierć. Olaskanin wiedział, że za kilka miesięcy całkowicie zaakceptowałyby go jako następcę Bandamina. Między innymi dlatego właśnie czuł, że nadszedł czas do odejścia.

– Może uda ci się znaleźć parobka, który zechce tutaj pracować?

– Może – odrzekła niezobowiązującym tonem.

Wziął drewnianą miskę i zaniósł ją do kubła z wodą do mycia naczyń. Od tej chwili aż do czasu, kiedy każde z nich spoczęło na swej macie, panowała cisza.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wioska

Jojanna i Jorgen szli mozolnie starą drogą. Podróżowali stałym, wolnym rytmem już od dwóch dni. Książę nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo nużąca jest wyprawa na piechotę. Przez całe życie używał koni, powozów i szybkich statków, które szykowano na każde jego skinienie. W zasadzie jedyne momenty, gdy nie dosiadał wierzchowca, zdarzały się na polowaniu, kiedy podchodził zwierzynę, albo podczas przechadzek po zamkowych ogrodach. Kilkumilowy marsz tempem zdychającego konia był nie tylko męczący, ale też nudny.

Obejrzał się przez ramię, żeby zobaczyć, jak radzi sobie Jorgen. Chłopiec szedł za dwoma guzdrającymi się cielakami. Trzymał w ręku długą witkę i smagał leniwe zwierzęta, gdy usiłowały zejść z drogi, by skubnąć rosnących na poboczu chwastów. Nie znaczyło to wcale, że wzdłuż szlaku rosła bujna roślinność; wręcz przeciwnie, ale stworzenia interesowały się każdym źdźbłem i badały, czy nie nadaje się do jedzenia. Jeżeli nie poganiano ich stale, natychmiast zbaczały z obranego kierunku.

Kaspar z wielką chęcią poszedłby szybciej, gdyż był ciekaw wioski, lecz musiał się dostosować do zaistniałej sytuacji. Był pieszo, zupełnie sam, jeśli nie liczyć towarzystwa Jojanny i jej syna, więc bez ochrony, zapasów pożywienia, a także doświadczenia nie dałby sobie rady na tym terenie. Z tego, co kobieta mu opowiadała, w regionie ciągle roiło się od potomków armii Szmaragdowej Królowej. Chociaż od tamtych czasów upłynęło już wiele lat, wciąż dochodziło do okropnych wydarzeń.

Farmy i wioski bardzo szybko podźwignęły się z gruzów, choć w okolicy prawie nie było mężczyzn. Starcy i kobiety z trudem radzili sobie na niegościnniej ziemi, aż ich dzieci dorosły na tyle, żeby mogły pracować, żenić się i płodzić jeszcze więcej dzieci.

Jednakże brak ładu i administracji pozostał. Całe pokolenie dorastało bez ojców, a wiele dzieci było sierotami. Tam, gdzie kiedyś porządku w regionie pilnował szereg ufortyfikowanych miast, teraz panował chaos. Zwyczajowe prawa zostały porzucone i zastąpione zasadami ustalonymi przez bandy najemników oraz łupieżczych baronów. Ten, kto był dowódcą silniejszego oddziału, automatycznie zostawał lokalnym prawodawcą.

Rodzina Jojanny przeżyła tamte lata, gdyż pozostała we względnej izolacji. Mieszkańcy wioski znali położenie ich farmy, ale niewielu wędrowców na nią trafiało. Książę miał wiele szczęścia, że natknął się na Jorgena, który akurat wyruszył na poszukiwanie zaginionych ptaków. Dzięki temu uratował życie, a przecież równie dobrze mógł umrzeć z głodu w przeciągu kilku następnych godzin. Na pustkowiu nie znalazłby pożywienia.

Szli przed siebie. Olaskanin widział pasmo górskie na zachodzie. Teren na wschodzie znacznie

się obniżał i w pewnej odległości zmieniał kolor na brązowy – tam zaczynała się pustynia. Gdyby nie udało mu się uciec od Bentu, zostałby niewolnikiem. A gdyby źle zaplanował ucieczkę, zapewne umarłby na suchych pustkowiach, rozciągających się pomiędzy odległymi górami a pasmem wzgórz. Wśród nich biegła stara droga, którą szli.

W dali dostrzegł lekkie migotanie.

– Czy to rzeka?

– Tak, to Gadzia Rzeka – potwierdziła kobieta – Za nią leżą Gorące Ziemie.

– Czy wiesz, jak trafić do Miasta Nad Gadzią Rzeką?

– Musisz iść daleko na południe, nad Błękitne Morze.

– Zatem muszę iść w dół rzeki – Doszedł do wniosku Kaspar.

– Jeżeli tam właśnie chcesz dotrzeć, to tak.

– Chcę dotrzeć do domu – odrzekł, a w jego głosie zabrzmiała gorycz.

– Opowiedz mi o swoim domu – poprosił Jurgen.

Mężczyzna obejrzał się przez ramię i zobaczył, że chłopiec szczerzy zęby w uśmiechu, ale irytacja szybko go opuściła. Ku własnemu zdumieniu poczuł dumę z tego malca. Jako władca Olasko, wiedział, że w końcu będzie musiał się ożenić, żeby spłodzić legalnego następcę tronu, lecz nigdy nie pomyślał o tym, że właściwie może polubić swoje dzieci. Przez chwilę zastanawiał się, czy jego ojciec go lubił, ale były to jałowe rozważania.

– Olasko leży nad morzem – powiedział Kaspar – Nasza stolica, Oparum, opiera się o potężne klify. Jest tam także port, dość dobrze umocniony i bardzo ruchliwy – Wlekli się dalej w upale, a on kontynuował – Moj kraj leży na wschodnim wybrzeżu wielkiego – zdał sobie sprawę, że nie zna nazwy kontynentu w lokalnym języku – wielkiego obszaru nazywanego Tnagia. Tak więc z cytadeli – Spojrzał na nich i zobaczył, że ani Jorgen, ani Jojanna nie wykazują zainteresowania keshzańskim słowem – Z cytadeli można oglądać przepiękne wschody słońca, które zdaje się wynurzać prosto z morza Na wschodzie rozciąga się płaskowyż, a wzdłuż rzeki leżą liczne farmy, całkiem podobne do waszej.

Opowiadał im o swojej ojczyźnie jeszcze przez jakiś czas, żeby nieco urozmaicić podróż.

– A co robiłeś w swoim kraju? – zainteresował się dzieciak w pewnym momencie – To znaczy, nie byłeś przecież farmerem, prawda?

– Byłem myśliwym – odpowiedział książę Zresztą rozmawiał już o tym z chłopcem, kiedy patroszyli i rozbierali zabitego jelenia żeby powiesić mięso w letnim domu, tak przybysz nazywał małą, podziemną jaskinię z wstawionymi drzwiami, gdzie przechowywali łatwo psujące się produkty. – Byłem także żołnierzem. Podróżowałem.

– A jak to jest – pytał dalej mały.

– Co jak jest?

– Podróżować.

– Tak jak teraz – podsumował. – Mnóstwo chodzenia, albo pływania statkiem, albo jazdy konnej.

– Nie – powiedział chłopiec ze śmiechem – Pytam, jakie były te miejsca, które odwiedziłeś.

– Niektóre podobne do Gorących Ziem – odrzekł mężczyzna – Ale inne miejsca są chłodne i pada tam deszcz prawie przez cały czas – Opowiedział im o narodach zamieszkujących wybrzeże Morza Królestwa oraz mówił o ciekawych i pięknych rzeczach, jakie widział. Zabawiał ich opisami podróży, więc nawet nie zauważyli, kiedy pokonali kolejne wzgórze. Ich oczom ukazała się wioska Heslagnam.

Kaspar zdał sobie sprawę, że spodziewał się czegoś bardziej okazałego i poczuł się rozczarowany. Największym budynkiem w polu widzenia okazała się karczma. Miała dwa piętra, była zbudowana z drewna i sprawiała wrażenie nieco rozklekotanej. Przykryto ją nieprawdopodobnie żółtym dachem, a z jedyne go komina walił ciemny dym. Na tyłach budynku znajdowały się zabudowania stajni i spory dziedziniec, gdzie siodłano i zaprzęgano konie. W wiosce istniały także dwie chaty, które zdawały się pełnić funkcję sklepów, ale nie zamieszczono na nich sztyldów, informujących o sprzedawanych tam produktach. Książę nie potrafił sobie wyobrazić, czym można handlować w takiej dziurze jak Heslagnam.

Matka kazała Jorgenowi zagnać oba cielaki na dziedziniec za karczmą, zaś ona i Kaspar weszli do środka.

Kiedy przeszli przez drzwi, poczuł jeszcze większe rozczarowanie. Komin i kopcące palenisko zrobiono z niestarannie ociosanych gładów. Nie było wentylacji. W rezultacie śmierdziało wyziewami kuchennymi, męskim potem, rozlanym piwem i innymi napojami, zgniłą słomą oraz czymś ciężkim do zidentyfikowania.

Karczma świeciła pustkami, nie licząc potężnego mężczyzny, targającego wielką beczkę z piwem z zaplecza. Na ich widok odstawił ciężar.

– Jojanna! – wykrzyknął. – Nie spodziewałem się ciebie, a przynajmniej nie w najbliższym tygodniu.

– Przyszłam, żeby sprzedać dwa cielaki.

– Dwa? – zapytał mężczyzna wycierając ręce w zatłuszczony fartuch.

Nieznajomy był szeroki w barach, miał grubą szyję i wielki brzuch; chodził kołyszając się z boku na bok. Podciągnął rękawy koszuli – na odsłoniętych przedramionach bieliła się siatka blizn. Kaspar domyślił się, że człowiek musiał być żołnierzem albo najemnikiem. Zauważył, że pod warstwą tłuszczu kryją się mięśnie, co niejednemu sprawiłyby kłopot.

– Nie potrzebuję nawet jednego – zwrócił się do kobiety przypatrując się jednocześnie księciu. – Ciągłe mam w chłodni ćwiartkę tuszy. Całkiem niezłe się przechowuje. Może mógłbym kupić od ciebie jednego i potrzymać trochę w zagrodzie na tyłach, a zarznąć w przyszłym tygodniu, ale z pewnością nie wezmę dwóch.

– Sagrinie, to jest Kaspar – odezwała się. – Pracował na farmie, żeby zarobić na utrzymanie. Przejął obowiązki Bandamina.

– Z pewnością tak – odparł mężczyzna ze złośliwym uśmiechem.

Przybysz puścił obraźliwe słowa mimo uszu. Właściciel karczmy wyglądał na niezłego zabijakę, zaś księżę, choć nie bał się żadnego człowieka, nie zwykł prowokować burd i przysparzać sobie kłopotu. Widział zbyt wielu przyjaciół zabitych w kwiecie wieku w niepotrzebnych bójkach i wiedział, że konflikty nie przynoszą żadnych korzyści.

– Jeżeli nie potrzebujesz cielęciny, pójdziemy do następnej wioski... – rzekł Kaspar i popatrzył na Joannę.

– To będzie Mastaba.

– Poczekajcie chwilę – przerwał jej Sagrin. Potarł dłonią zarośnięty podbródek. – Nie mam wiele pieniędzy ani towarów nadających się na handel. Co byście chcieli za cielaki?

– Konie – odpowiedział księżę. – Dwa.

– Konie! – krzyknął karczmarz z drwiącym śmiechem. – Równie dobrze moglibyście zażądać tyle złota, ile one ważą. Kilka miesięcy temu przechodzili tędy handlarze niewolników Bentu i kupili dwa z moich wierzchowców. A w nocy wrócili potajemnie i ukradli pozostałe trzy.

– Kto jeszcze ma tutaj konie do sprzedania? – zapytał Kaspar.

Sagrin w zamyśleniu potarł brodę.

– Cóż – odezwał się wreszcie – jestem pewien, że w Mastabie także nie znajdziecie ani jednego. Może gdzieś w dole rzeki?

– Wiesz, że podróże w dół rzeki są niebezpieczne nawet dla uzbrojonych mężczyzn, Sagrinie! – syknęła Joanna. – Próbujesz nas wystraszyć, żeby ubić lepszy interes! – Zwróciła się do towarzysza. – Prawdopodobnie kłamie, że w Mastabie nie ma żadnych koni.

Odwróciła się i ruszyła do wyjścia, kiedy mężczyzna nagle wysunął ramię do przodu i złapał ją za rękę.

– Joanna, czekaj chwilę! Nikt nie będzie mnie nazywał kłamcą, nawet ty!

Kaspar nie wahał się ani chwili. Ruszył do przodu, złapał byłego najemnika za rękę i wcisnął kciuk w unerwiony punkt na jego dłoni. Chwilę później odepchnął ciężkiego człowieka. Tamten

opierał się ze wszystkich sił, więc księżę złapał go za brudną tunikę i pociągnął. Mężczyzna na chwilę stracił równowagę, a potem jego instynkt wojownika doszedł wreszcie do głosu. Nie upadł jak worek mąki, ale przetoczył się przez ramię i poderwał na nogi, gotów do bójki. Kaspar zamiast atakować, odsunął się parę kroków do tyłu.

– Wbiję ci mój miecz w gardło, zanim zdążysz zrobić chociaż jeden krok – powiedział spokojnie.

Sagrin zobaczył, że księżę stoi na pewnych nogach, a miecz ciągle wisi u jego boku. Wahał się przez chwilę, a potem opuściła go chęć walki.

– Przepraszam za złe maniery – rzekł z szyderczym uśmiechem. – Trochę mnie ubodły twoje słowa, Jojanno.

Kobieta potarła ramię w miejscu, gdzie ścisnął ją palcami.

– Może byłam zbyt nieuprzejma, Sagrinie, ale już wcześniej usiłowałam naciągnąć Bandamina i mnie.

– Taki jest handel – odparł korpulentny karczmarz, postępując krok naprzód i kierując otwarte dłonie ku klientom. – Ale tym razem mówię prawdę. Stary Balyoo miał jedną zbywającą klacz, ale staruszka okulała i nie nadawała się nawet do zażrebiania, więc zapewne dawno już się jej pozbył. O innych nic nie wiem. O konie jest tutaj trudniej niż o darmowy kufelek piwa.

– A co z mułami? – zainteresował się Olaskanin.

– Znaczy się, chcesz jechać na mule? – zapytał Sagrin.

– Nie, chcę mieć zwierzę pociągowe do wozu i pługa – odrzekł Kaspar zerkając na Jojanę.

– Kelpita ma muła i prawdopodobnie zgodzi się go sprzedać za cenę cielaka – stwierdził właściciel karczmy. Machnął ręką w kierunku baru. – Może siądziecie na chwilę i napijecie się czegoś, a ja w tym czasie pójdę go zapytać.

Towarzyszka księcia skinęła głową. W tym momencie do karczmy wszedł Jorgen. Sagrin wyszedł, burząc dłonią włosy chłopca w przelocie. Weszła za bar i nalała portera dla siebie i Kaspara, a dla chłopca przygotowała kubek wody.

Mężczyzna patrzył, jak siadają przy stole, a potem do nich dołączył.

– Czy możemy mu ufać?

– W większości przypadków – odpowiedziała. – Już wcześniej próbował nas oszukać, ale, tak jak powiedział, to po prostu handel.

– Kto to jest Kelpita?

– Kupiec. Właściciel tego dużego budynku po drugiej stronie ulicy. Handluje na terenach

położonych w dole rzeki. Ma wozy. I muły.

– Cóż, niewiele wiem o mułach, ale w armii – przerwał na chwilę – w armii, w której służyłem przez chwilę, używali tych zwierząt, zamiast koni, do ciągnięcia dużych ładunków. Wiem, że czasami potrafią być trudne w obsłudze.

– Ja go zmuszę do pracy! – zawołał Jorgen z młodzieńczym zapałem. Ile dostaniemy za cielaka?

– Co masz na myśli? – Jojanna popatrzyła na Kaspara, jakby nie rozumiała pytania.

– Nigdy wcześniej nie sprzedawałem cielaka.

Zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia o cenach większości rzeczy. Jako książę, nigdy za nic nie płacił z własnej sakiewki. Złoto, które przy sobie nosił, służyło do spłacania zakładów i opłacania kobiet. Albo dawania napiwków, jeżeli był zadowolony ze służby. Podpisywał dokumenty regulujące budżet cytadeli, ale nie wiedział, ile zarządca płaci lokalnym kupcom za sól, wołowinę, czy owoce. Nie dowiadywał się nigdy, jaki rodzaj pożywienia i w jakiej ilości przychodzi z jego farm w ramach podatku w naturze. Nie wiedział nawet, ile kosztuje koń, chyba że był to jeden z wierzchowców hodowanych specjalnie dla dam i kupował go w prezencie. Znał także cenę swojego konia bojowego. Zaczął się śmiać.

– No co? – zapytała farmerka.

– Jest tyle rzeczy, o których nie mam pojęcia – odrzekł, pozostawiając wcześniejsze pytanie bez komentarza. Popatrzyła na niego pytająco, więc zaczął wyjaśniać. – W armii była cała rzesza ludzi zajmujących się aprowizacją. Kwatermistrzowie, komisarze, aprowizanci. Jeżeli byłem głodny, dawali mi jedzenie. Jeżeli potrzebowałem wierzchowca, koń już czekał.

– To musiało być wygodne – powiedziała, ale z jej zachowania odczytał, że mu nie wierzy.

Przez chwilę zastanawiał się, co wie o cenach przedmiotów luksusowych, zanim sformułował następne pytanie.

– A więc ile tutaj kosztuje cielak, mam na myśli w srebrnych albo miedzianych monetach?

– On myśli, że my mamy monety! – roześmiał się dzieciak.

– Cicho! – zganiła go matka. – Idź na zewnątrz i znajdź sobie coś pożytecznego do roboty albo się pobaw, ale wyjdź z karczmy.

Chłopiec wyszedł mamrocząc coś pod nosem.

– Nie widzimy tutaj monet zbyt często – oznajmiła Jojanna. – Nikt ich nie robi. A po wojnie – nie musiała mówić, o jaką wojnę chodzi; wszystkie wspomnienia o konfliktach odnosiły się do kampanii Szmaragdowej Królowej – pojawiło się wiele fałszywych monet. Miedzianych, pokrytych cienką warstwą srebra, albo złotych, wypełnionych w środku ołowiem. Sagrin widział kilka; od czasu do czasu przywożą je podróżni. Ma w związku z tym wagę i odważniki, żeby odróżnić

prawdziwe od fałszywych, ale tutaj z reguły bazujemy na handlu wymiennym albo pracą spłacamy swoje długi. Kelpita najpierw zastanowi się, co by chciał dostać w zamian za cielaka, a potem rozważy, czy przedmioty te warte są muła. Możliwe, że zażąda obu cielaków.

– Bez wątpienia tak będzie – westchnął. – Ale możemy przecież negocjować, prawda?

– On ma coś, co jest nam bardzo potrzebne, podczas gdy cielak tak naprawdę nie stanowi dla niego atrakcyjnej oferty. Tak naprawdę może go tylko zjeść.

Kaspar roześmiał się głośno, a Jojanna uśmiechnęła się.

– Zatem sprzeda zwierzaka Sagrinowi, który zarżnie i wypatroszy zwierzę. Kelpita przez pewien czas będzie mógł jeść i pić w karczynie bez płacenia, co z pewnością go ucieszy, a zirytuje jego żonę. Ona nie lubi, kiedy mąż pije zbyt wiele piwa.

Przybysz czekał, nie odzywając się więcej. Ponownie dochodził do wniosku, że olaskańscy farmerzy muszą prowadzić podobne życie. W Olasko także byli kupcy, których żony nie lubiły, gdy ich mężowie pili zbyt wiele piwa. Stawało się to przyczyną zgorzknienia kobiet. Mieszkali tam także emerytowani żołnierze, prowadzący podupadłe karczmy, i mali chłopcy z farm, szukający towarzyszy zabaw. Oparł się wygodnie i pomyślał, że nie sposób poznać ich wszystkich. Ledwie poznawał połowę służby w cytadeli, a co dopiero pamiętać ich imiona. Ale nawet jeżeli nie znał ich osobiście, powinien interesować się, jacy ludzie szukają schronienia pod jego skrzydłami.

Nawiedził go niespodziewany atak smutku. Jak mało uwagi poświęcał swemu krajowi. Przez jego myśli przeszło tornado wspomnień, podobnych do snów, które tak go nękały.

– Co się stało? – zapytała kobieta.

Księżę zerknął na nią.

– Co?

– Nagle zrobiłeś się bardzo blady i zaszklily ci się oczy. Co się stało?

– Nic – odparł, a jego głos zabrzmiał niespodziewanie ochryple. Przełknął ślinę. – Po prostu nieoczekiwane wspomnienie z przeszłości – dodał.

– Z wojny?

Wzruszył ramionami i skinął głową, nic nie mówiąc.

– Bandamin także był żołnierzem.

– Naprawdę?

– Nie takim jak ty – powiedziała szybko. – Służył w lokalnych oddziałach milicji, kiedy był chłopcem. Razem ze swoim ojcem próbowali zmienić to miejsce na tyle, aby dało się tu spokojnie

żyć.

– Wygląda na to, że odwalili kawał dobrej roboty.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Ciągłe mamy bandytów i bezpańskich najemników, którymi należy się martwić. Handlarze niewolników Benru porywają wolnych ludzi i pędzą ich na poradnie. Sprzedają mężczyzn bogatym farmerom albo młynarzom, a jeżeli trafi im się żołnierz, zabierają go do Miasta Nad Gadzią Rzeką i używają do walk.

– Miasto Nad Gadzią Rzeką. Jak daleko leży?

– Tygodniami trzeba płynąć łodzią. Na piechotę jeszcze dłużej. Tak naprawdę nie wiem dokładnie. To tam zamierzasz iść?

– Tak – odrzekł Kaspar. – Muszę się dostać do domu, a żeby tego dokonać, potrzebuję statku. Jedyne statki, jakie płyną do mojej ojczyzny, są właśnie tam.

– To długa podróż.

– Dlatego będę się zbierać – oświadczył stanowczo.

Sagrin wrócił po godzinie.

– Kelpita kazał mi wam przekazać swoje wymagania – powiedział, po czym przedstawił warunki transakcji. Obejmowały kilka przedmiotów, wartościowych pod kątem handlu, partię ziarna, dostarczoną w przyszłości, i pewien interes z kupcem z sąsiedniej wioski. W końcu matka Jorgena poczuła się usatysfakcjonowana.

– Dorzuć nam jeszcze pokój na noc, wliczając kolację, a dobijemy targu.

– Zrobione! – wykrzyknął karczmarz i klasnął głośno. – Mamy dziś na kolację pieczoną kaczkę i nieco gulaszu. Chleb upieczono dziś rano, więc będzie świeży.

– Nie spodziewaj się zbyt wiele – szepnęła Jojanna do Kaspara, kiedy Sagrin poszedł do kuchni. – On nie umie gotować.

– Jedzenie to jedzenie, a ja jestem głodny – odparł.

– Ciągłe nie masz konia – powiedziała farmerka po chwili.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Coś wymyślę. Może załapię się na łódź płynącą w dół rzeki.

– To nie będzie łatwe.

– Dlaczego? – zapytał, zmierzając w kierunku beczułki, żeby nalać sobie kolejny kufelek porteru, podczas gdy właściciel lokalu hałasował w kuchni.

– Powiem ci przy kolacji. Lepiej pójdę i poszukam Jorgena.

Książę skinął głową i wypił piwo. Mężczyzna mógłby mieć znacznie gorsze życie niż poślubienie i spędzenie swoich dni z Jojanną i synem takim jak Jorgen, pomyślał. Potem rozejrzał się po przygnębiającym wnętrzu kuchni. Lecz także mógłby mieć lepsze, dodał w myślach.

* * *

Kaspar obudził się pierwszy. Jojanna i Jorgen spali na dwóch pryczach, które służyły w karczmie za łóżka, on zaś przygotował sobie pośłanie na podłodze.

Coś mu zakłóciło spoczynek. Nasłuchiwał uważnie. Konie!

Wyciągnął miecz, pospieszył wzdłuż korytarza i zbiegł na dół schodami. Znalazł Sagrina we wspólnej sali. Były najemnik czekał na dole z zaśnieżonym ze starości ostrzem. Olaskanin gestem kazał potężnemu wojakowi przesunąć się w kierunku drzwi, a sam podbiegł do okna.

Naliczył pięciu jeźdźców. Jeździli po głównej uliczce i rozmawiali beztrosko. Jeden pokazał w kierunku karczmy, a inny potrząsnął głową i wskazał na drogę. Mieli na sobie ciężkie płaszcze, ale księciu wystarczył pierwszy rzut oka na ich ubiór, żeby domyślić się, kim są. Żołnierze.

Po chwili oddziałek zbił się w ciasną grupę i ruszył na północ.

– Odjechali – powiedział Kaspar.

– Kim oni byli? – zapytał Sagrin.

– To żołnierze. Mieli na sobie kawaleryjskie buty. Na tunikach naszyto pojedynczy pasek materiału, ale nie widziałem dobrze koloru. Był biały albo może żółty. Nosili identyczne miecze, lecz nie dostrzegłem ani tarcz, ani łuków. Na głowach mieli turbany z piórami.

– Niech to – zaklął karczmarz. – Musieli zdecydować się na jazdę do Mastaby, ale z pewnością tu wrócą.

– Kim oni są?

– Na południu, w mieście Delga, o ile można tę dziurę nazwać miastem, mieszka pewien bandyta. Nazwał się Raj z Muboi. To jego ludzie. Rości sobie prawa do wszystkich ziem rozciągających się pomiędzy Delgą i brzegami Gadziego Jeziora. W miastach i wioskach pozakładał garnizony. Ten łajdak nałożył na ludność podatki.

– Czy oferuje w zamian ochronę?

– Pewnego rodzaju – odpowiedział Sagrin. – Chroni nas przed innymi renegatami i bandytami, którzy się tu kręcą, ale również on sam skubie nas niczym kurczaki.

– Rządy pochłaniają wiele pieniędzy – zauważył ksiązę.

– Ja radzę sobie doskonale bez rządów – rzucił były najemnik.

– Znajdź wystarczającą ilość ludzi uzbrojonych w miecze, co podzielają twoje poglądy, i może go przekonasz. Tych pięciu, których widziałem, prawdopodobnie jest w stanie rządzić całym miastem bez dodatkowej pomocy.

– Masz rację – rzekł Sagrin siadając ciężko na krześle. – Jestem kimś, kto uchodzi za wojownika, a przynajmniej w tej części świata. Znalazłoby się także paru krzepkich farmerów, ale żadnego z nich nie szkolono do walki. To, co wiem, pochodzi z okresu, kiedy mój ojciec tworzył milicję. Byłem wtedy chłopcem i w tamtych czasach pokonaliśmy wielu rzezimieszków. – Pokazał na blizny, pokrywające przedramiona. – Nie sądz, że nie zdobyłem ich w prawdziwej walce, Kasparze. Nie popełnij błędu. Ale teraz jestem starym człowiekiem. Z pewnością bym walczył, choć wiem, że stoję na przegranej pozycji.

– Cóż, ten Raj nie byłby pierwszym bandytą, który daje początek dynastii. Tam, skąd pochodzę – były władca przerwał nagle i zmienił temat. – Jeżeli tylko potrafi przywrócić pokój i bezpieczeństwo ludziom takim jak Jojanna i Jorgen, kobietom i dzieciom, to byłaby dobra rzecz, prawda?

– Tak mi się zdaje. Cokolwiek ma się wydarzyć, to się zdarzy. Ale rezerwuję sobie prawo do narzekania.

– Nie krępuj się – zachichotał Kaspar.

– Zamierzasz zostać z Jojanną? – zapytał karczmarz i drugi mężczyzna zrozumiał, o co mu naprawdę chodzi.

– Nie. To dobra kobieta i ciągle ma nadzieję, że jej mąż żyje.

– Marne szansę. Jeżeli nawet, z pewnością tyra w kopalni, pracuje na farmie jakiegoś bogatego rolnika na południu albo walczy na arenie w Mieście Nad Gadzią Rzeką.

– W każdym razie mam swoje plany – oświadczył były ksiązę Olasko. – I bycie farmerem do nich nie należy.

– Wcale cię za takiego nie brałem. Jesteś żołnierzem?

– Kiedyś byłem.

– Założę się, że nie tylko – powiedział Sagrin i niezgrabnie podniósł się z krzesła. – Cóż – dodał. – Właściwie mogę zacząć już teraz. Słońce wzejdzie za niecałą godzinę, a ja nie zapadam w sen tak

łatwo. A już szczególnie wtedy, kiedy muszę spać z mieczem w dłoni.

– Rozumiem – pokiwał głową szlachcic.

Wiedział teraz, jaki będzie jego następny krok. Musi ruszyć na południe. Był tam człowiek mobilizujący armię, nieważne, jak sam siebie nazywał, i miał konie.

A on potrzebował konia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Żołnierz

Kaspar czekał w milczeniu.

Leżał za jakimś niskim krzakiem i patrzył na przejeżdżający oddział kawalerii. W przeciągu zeszłego tygodnia, odkąd opuścił gospodarstwo Jojanny, natknął się na dwa inne patrole. Biorąc pod uwagę nawet tak mizerne wiadomości, jakie posiadał o ludziach zamieszkujących te tereny, postanowił unikać kontaktu z żołnierzami. Zwyczajni żołdacy wykazywali tendencję do używania broni przed zadawaniem pytań. Książę nie miał ochoty stracić życia, ani stać się więźniem, ani zostać wcielonym do armii pod groźbą miecza.

Opuszczenie gospodarstwa okazało się bardziej kłopotliwe, niż sądził. Zwłaszcza Jorgen był zaniepokojony perspektywą ponownej samotności z matką. Z drugiej strony muł pozwolił im wykonywać wszystkie cięższe prace, a syn Kelpity obiecał farmerce, że przybędzie w okresie żniw i pomoże przy zbiorach, aby nie straciła plonów.

Zastanawiał się, jak by sobie poradzili, gdyby nigdy się nie pojawił na farmie. Zapewne dalej walczyliby o utrzymanie ziemi i zawsze brakowałoby im drewna. I nie mieliby muła.

Ciągle jednak było mu trudniej pożegnać się, niż przypuszczał.

Kilka dni wcześniej obszedł nieduże miasteczko, które na pierwszy rzut oka wydawało się bazą wypadową lokalnych patroli, a potem zmitrężył cały dzień w pobliskim gospodarstwie, żeby zarobić na posiłek pracą. Jedzenie było kiepskie, a do picia zaoferowano tylko wodę, ale i tak się cieszył. Pamiętał wytworne posiłki, stanowiące ozdobę przyjęć wydawanych na jego dworze, lecz szybko odepchnął od siebie to wspomnienie. Mógłby zabić za plaster gorącego, wysmażonego befsztyka, miskę przyprawionych warzyw, specjalność jego kucharza, i kielich dobrego wina z Ravensburga.

Kiedy jeźdźcy znikli daleko za horyzontem, Kaspar wrócił na drogę i ruszył dalej. Szlak, wyglądający na starą, zniszczoną drogę, w miarę podróży na wschód stawał się coraz bardziej zadbane. W wielu miejscach, mijanych przez ostatnie dwa dni, widział ślady dość świeżych napraw.

Gdy wyszedł zza zakrętu, w pewnej odległości ujrzał duże miasto. Teren wokół zabudowań sprawiał wrażenie bardziej zielonego i liczniej zasiedlonego. Kimkolwiek był Raj z Muboi i czegokolwiek dokonał, to udało mu się spacyfikować terytorium otaczające jego stolicę na tyle, że farmerzy znów mogli uprawiać ziemię z zyskiem. Wzdłuż drogi wyrastały gęsto zabudowania gospodarcze, a na wzgórzach rozciągały się sady. Może z czasem pokój zapanuje także tam, gdzie mieszkali Jorgen i Jojanna, a ich farma także będzie tak wyglądać, dając im szansę na lepsze życie.

Zbliżył się do bram miejskich i dostrzegł pierwsze znaki twardej sprawiedliwości, panującej w grodzie. Przy drodze wisiał co najmniej tuzin ciał w różnych stadiach rozkładu, a na sześciu palach tkwiły ścięte głowy. Mężczyzn powieszono na linach, na krzyżach z drewna. Taką egzekucję określano w języku Queg mianem „ukrzyżowania”. Książę wiedział, że to nie jest lekka śmierć. Po jakimś czasie ciało zwisa na rękach i w płucach gromadzi się płyn, którego skazaniec nie może wykrztusić. W rezultacie ukrzyżowany topi się we własnej ślinie.

Przy bramie stał oddziałek żołnierzy ubranych tak samo jak konni, których widział po drodze. Różnili się tylko tym, że nie nosili płaszczy ani wymyślnych kapeluszy. Mieli na głowach metalowe hełmy z siatkami kolczymi, chroniącymi kark i szyję.

Jeden z nich wystąpił naprzód, żeby wypytać nowoprzybyłego.

– Jaki masz interes w Deldze?

– Idę na południe i tylko przechodzę przez wasze miasto.

– Masz dziwny akcent.

– Bo nie jestem stąd.

– Czym się zajmujesz?

– Teraz jestem myśliwym. Kiedyś byłem żołnierzem.

– A może jesteś bandytą?

Kaspar przyjrzał się mężczyźnie. Człowieczek był chudy i nerwowy, a kiedy mówił, zerkał w dół wzdłuż swojego nosa. Wyglądał na słabowitego i miał całkiem szare zęby. Jakakolwiek zyskał tutaj rangę, w wojsku władcy Olasko nie dochrapałby się niczego więcej niż kaprała. Książę znał ten typ człowieka: zarozumiały i nie dość inteligentny, żeby zdać sobie sprawę, że i tak zaszedł już najwyżej jak tylko da radę. Uśmiechnął się, ignorując wyraźną obrazę w słowach żołnierza.

– Gdybym był bandytą, nie należałbym do najbogatszych. Wszystko, co mam przy sobie i co zdobyłem własną pracą, to ten miecz, ubranie na grzbiecie, buty i rozum w głowie. – Żołnierz chciał coś powiedzieć, ale Kaspar przerwał mu bez skrupułów. – Jestem uczciwym człowiekiem i z radością będę pracował na swoje utrzymanie.

– Cóż, nie sądzę, żeby Raj potrzebował teraz jakichś najemników.

Były książę Olasko znów się uśmiechnął.

– Powiedziałem, że byłem żołnierzem, a nie najemnikiem.

– Gdzie służyłeś?

– W miejscu, o którym z pewnością nigdy nie słyszałeś.

– Cóż, wchodź do środka i pilnuj się, żebyś nie sprawił żadnych kłopotów. Będę miał na ciebie oko. – Strażnik machnął ręką.

Kaspar skinął głową i przeszedł przez bramę. Delga była pierwszym prawdziwym miastem, jakie widział w tej krainie, oraz miała więcej oznak cywilizacji, niż dostrzegł w jakimkolwiek siedlisku, odwiedzanym do tej pory. Karczmy, położone w pobliżu bramy, były równie zrujnowane i zapuszczone jak domostwo Sagrina, co zresztą nie dziwiło przybysza. Lepsze tawerny prawdopodobnie znajdowały się w dzielnicach kupieckich. Księżę szedł dalej, aż dotarł do placu targowego, zatłoczonego o tej porze dnia do granic możliwości. Wszystko wskazywało na to, że Delga jest dobrze prosperującym miastem, a jego mieszkańcy wydawali się zadowoleni z codziennych zajęć.

Uczył się rządzenia przez całe swoje życie, gdyż urodził się po to, żeby zostać władcą. W minionych latach widział wystarczającą ilość głupców, szaleńców i ludzi niekompetentnych, a także czytał o wielu innych. Wiedział, że podstawą silnego państwa są jego mieszkańcy, ale przyszłość narodu nie zależała tylko od nich. Swoje plotki i intrygi po części wymyślał po to, aby zminimalizować potrzebę konfliktu zbrojnego, który zawsze stanowił drogie wyjście z sytuacji i nakładał duże obciążenia na ludność.

Nie należy przez to rozumieć, że Kaspar dbał o szczęście swoich poddanych. On nawet nie wiedział o losie zwyczajnych ludzi, dopóki nie spotkał Jojanny i Jorgena, ale zależało mu na dobrobycie całego narodu w ogóle, co oznaczało, że musi dbać o zadowolenie ludności.

Mieszkańcy Delgi nie wyglądali ani na nadmiernie obciążonych, ani na nieszczęśliwych. Mieszczanie nie sprawiali wrażenia ludzi drżących przed urzędnikami państwowymi lub poborcami podatkowymi, gdyż na straganach aż mieniło się od towarów luksusowych.

Targ był mieszaniną kolorów i dźwięków; tętnił popołudniowym handlem. Księżę zewsząd słyszał brzęk monet zmieniających właściciela i grzechotanie sakiewek, doszedł więc do wniosku, że pod rządami Raja przywrócono twardą monetę.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że ci ludzie staną murem za swym władcą. Po targu przechadzali się mężczyźni w mundurach, odziani w różne barwy, i przez cały czas wypatrywali kłopotów. Odgadł, że muszą być konstablami albo strażnikami miejskimi.

Spojrzał na jednego i podchwycił jego wzrok. Był to mężczyzna o szerokich ramionach. Jego twarz i szyję pokrywały blizny. Zatrzymał się, lecz Kaspar nie odwrócił wzroku, tylko podszedł do niego. Mężczyzna odziany był w błękitną tunikę, ale zamiast wysokich kawaleryjskich butów i nogawic, wsuniętych w cholewki, nosił baloniaste, obszerne spodnie, które prawie zakrywały mu stopy. Przy boku kołysał się krótki miecz. Miał na głowie wielki filcowy kapelusz z szerokim rondem zamiast hełmu.

– Dzień dobry – powiedział Kaspar na powitanie.

– Jesteś tu obcy – odrzekł tamten szorstko.

– Zakładam, że jesteś konstabłem.

– I masz rację.

– Zastanawiałem się, gdzie mogę pójść, żeby zapytać o pracę?

– A kim jesteś z zawodu?

– Jestem dobrym myśliwym i żołnierzem – kontynuował grzecznie.

– Jeżeli upolujesz jakąś zwierzynę, możesz ją sprzedać w karczmach, ale Raj nie potrzebuje najemników.

Olaskanin poczuł się, jakby już kiedyś odbywał podobną rozmowę, więc nie tracił czasu na dyskusję nad tym punktem.

– A praca fizyczna?

– Tak, jest nam potrzeba tych, którzy są w stanie unieść ciężkie beły albo podnosić kratę karawanseraju. – Pokazał na południe. – Zarówno w mieście, jak i poza nim. Ale dzisiaj już na to za późno. Robotników najmuje się o pierwszym brzasku.

Skinął głową, dziękując za informacje, i ruszył w miasto. Od razu uderzyło go to, że ma jednocześnie poczucie obcości, a zarazem czegoś znajomego. Mieszkańcy ubierali się w odmienny sposób, a ich głosy i akcent mowy brzmiały dziwnie. Zdawało mu się, że radzi sobie z językiem całkiem dobrze, lecz teraz zdał sobie sprawę, że po prostu przyzwyczał się do mowy swoich gospodarzy. A to było całkiem spore miasto, na dobrej drodze do przekształcenia się w metropolię. Mijał domy w budowie i natykał się na ludzi pędzących gdzieś w interesach. Szybki rytm życia wydał mu się czymś znajomym, przypominającym dom.

Kiedy dotarł do zewnętrznej bramy, przekonał się, że karawanseraj jest rzeczywiście cichym miejscem. Tak jak ostrzegł go konstabl – codzienny szum już tutaj ucichł. Ciągle jednak miał możliwość zadawania pytań. Szedł od karawany do karawany i po kilku rozmowach wyrobił sobie zdanie o tym miejscu. Odkrył, że karawana przygotowująca się do podróży na południe rusza najdalej za tydzień. Jej właściciel powiedział Kasparowi, że może pojawić się przed odjazdem, gdyż zwolniła się posada strażnika. Teraz, niestety, nie mógł oferować żadnej pracy.

Kiedy słońce zmieniło kolor na czerwony i zawisło ponad horyzontem, książę poczuł, że jest zmęczony i głodny. Na to drugie nie potrafił nic poradzić, ale przynajmniej mógł znaleźć sobie jakieś ciche miejsce do spania. W powietrzu wisiał upał, mimo wczesnowiosennej pory – o ile dobrze rozpoznał porę roku w tym tak obcym kraju po drugiej stronie świata. W nocy robiło się nieco chłodniej, ale nie na tyle, aby zmarznąć.

Znalazł grupę robotników, siedzących wokół ogniska i rozmawiających cicho. Zapytał, czy może usiąść razem z nimi. Wydawali się nie mieć nic przeciwko jego towarzystwu, więc podszedł i ułożył się za dwoma mężczyznami, rozmawiającymi o sprawach, które mógł sobie tylko wyobrażać. O wioskach, których nazw nigdy nie słyszał, o rzekach płynących przez nieznaną krajobraz, i innych

rzeczach, tak znanych rozmówcom i obcych Kasparowi. Po raz pierwszy od przybycia na ten kontynent zapragnął czegoś innego niż tylko zemsty na Talwinie Hawkinsie i zdrajcach. Po prostu zatęsknił za domem.

* * *

Wozy toczyły się z hukiem po starej drodze, jazda nie należała do komfortowych, ale przynajmniej posuwali się naprzód. Kaspar był bardzo zadowolony, że nie musi iść na własnych nogach. Ostatni tydzień harował od świtu do nocy, ładując i rozładowując wozy za marne pieniądze. Musiał kupić sobie parciany pas, żeby nie opadały mu spodnie.

Uzupełniał swoją skromną dniówkę grając w kości z kilkoma robotnikami, lecz ostatniego dnia szczęście się od niego odwróciło. Teraz miał w kieszeni zaledwie kilka miedziaków, które musiały wystarczyć na podróż. W końcu jednak wyruszył, a każda, nawet najłżejsza, poprawa losu dawała mu radość. Jakoś przetrwał. Chociaż poprzedni tydzień był ciężki, niektórzy ludzie musieli cierpieć takie niewygody przez całe życie. Kaspar zauważył, że podstawową cechą ich charakterów stanowił kompletny brak nadziei na przyszłość. Dla tych robotników każdy dzień oznaczał walkę o przetrwanie, nie dbali o jutro.

Uczucia księcia składały się głównie z niecierpliwości i odróbmy rezygnacji. Chciał, aby każdego dnia karawana przebywała jak największą odległość, gdyż pragnął jak najszybciej wrócić do domu i wyrównać rachunki, ale wiedział, że podróż zajmie sporo czasu. I czas ten zależał od bardzo wielu czynników, a większość znajdowała się poza jego kontrolą.

Zmagania z okrutnymi pustkowiami, przed odkryciem farmy Jorgena i jego matki, były tylko i wyłącznie fizyczną męką, zaś tydzień spędzony wśród robotników w karawanseraju należał do najniezwyklejszych okresów w jego życiu. Doświadczył tam tak niewiarygodnej nędzy, jaka tylko może być udziałem człowieka. Jako syn władcy, wychowany na książęcym dworze, nigdy jeszcze się z czymś takim nie zetknął.

Dowiedział się, że Wojna, jak ją tutaj nazywano, miała miejsce, gdy Kaspar był zaledwie chłopcem. Królestwo Wysp pokonało armię Szmaragdowej Królowej w bitwie pod Koszmarnym Wzgórzem, kiedy książę ledwie wyrósł z pieluch. Jednakże efekty konfliktu widział nawet teraz, dziesiątki lat później.

Wielu robotników było dziećmi ludzi pozbawionych domów przez przechodzącą horde nieprzyjaciół. Wróg wcielał do armii każdego sprawnego mężczyznę, którego napotkał na swojej drodze, dając mu do wyboru jedynie walkę dla Królowej albo śmierć. Kobiety również zabierano z wojskiem. Stawały się dziwkami, kucharkami lub zwykłymi robotnicami. Nawet małych chłopców zmuszano do rozładowywania wózków z obozowym sprzętem.

Tysiące dzieci zostało sierotami i nie pozostał nikt, kto mógł się o nie zatroszczyć. Słabi umarli,

a ci, co przeżyli, wychowywali się w dziczy, bez poczucia bezpieczeństwa i rodziny. Nie znali innego uczucia poza tym, które łączyło ich z innymi członkami młodocianych gangów, a lojalność obowiązywała ich tylko w stosunku do małego przywódcy bandy.

Zaprowadzenie porządku na takim terenie stanowiłoby próbę dla wielu utalentowanych władców, pomyślał Kaspar. Wiedział, że gdyby to jemu przypadło owo zadanie, rozpocząłby je podobnie jak Raj z Muboi. Zjednoczyłby rejon centralny, a potem rozszerzał strefy wpływów, stopniowo poddając je ścisłej kontroli. Młody Raj mógł kontynuować swoje zamysły przez większość życia, zanim napotkałby silniejszy, zorganizowany opór ludzi z północy.

Księżę żył wśród tragarzy i robotników przez siedem dni. Jego towarzysze niedoli chętnie odpowiadali na pytania, zatem dowiedział się bardzo wiele o państwie, w którym się znajdował. Na wschód od miasta płynęła Gadzia Rzeka, a za nią leżały rozległe pustkowia, kontrolowane przez nomadów Jeshandi, najwyraźniej nie przejawiali żadnych pretensji do ziem po tej stronie rzeki. Zresztą na własnych terenach radzili sobie doskonale. Oparli się nawet armii Szmaragdowej Królowej, więc niewielu Jeshandi znalazło się w jej szeregach. Kiedy był chłopcem, Kaspar czytał raporty z wojny, zgromadzone w bibliotece ojca. Znał rozmiar i jakość armii Królowej, więc sądził, że gdyby nomadzi nie uniknęli zaciągu, byłiby doskonałą kawalerią.

Na zachodzie wznosiły się góry Sumanu, a za nimi leżały trawiaste równiny, schodzące łagodnie do rzeki Vedry. Na jej brzegu rozciągał się łańcuszek małych miast-państw. Naturalna bariera chroniła Raj a przed konfliktem z tamtym rejonem. Na południu roilo się od drobnych szlachetków i samozwańczych władców, kontrolujących spłachetki ziemi, ale wieści głosiły, że Raj właśnie z łatwością wygrywa wojnę z jednym z owych sąsiadów.

Daleko na południu, na wybrzeżu Błękitnego Morza, leżało Miasto Nad Gadzią Rzeką, o którym jego towarzysze mieli mało informacji. Dawno temu miasto było stolicą ziem ciągnących się daleko w górę Gadziej Rzeki. Rządy sprawowała rada złożona z przedstawicieli klanów zamieszkujących te tereny. Olaskanin nie dowiedział się niczego więcej. Tam przybijały statki z wielu odległych stron. Niektóre zapuszczały się aż na Wyspy Zachodzącego Słońca, do wschodnich keshkańskich miast, a nawet do Queg i Królestwa Wysp. A to oznaczało dla Kaspara dom. Tam musiał się dostać, nieważne czy po drodze groziła mu wojna.

Wozy jechały powoli, a księżę uważnie omiatał wzrokiem horyzont w poszukiwaniu niespodziewanych kłopotów. Rozmyślał, iż to bardzo dziwne, że im dalej na południe od Muboi, tym kraina wydawała się spokojniejsza. A przynajmniej do czasu, aż wpadną w środek wojny, o której krążyły słuchy.

Kaspar siedział w tylnej części wozu. Oprócz horyzontu mógł jeszcze widzieć zaprzęg konny pojazdu jadącego za nim i starego, małomównego woźnicę, Kafę. Miał surowy wyraz twarzy i zawsze narzekał, kiedy już zdecydował się odezwać.

Woźnicą wehikułu, na którym podróżował Olaskanin, był mężczyzna o imieniu Redanu. Księżę z reguły ignorował go. Jego słowa odbijały się od zajętego własnymi myślami Kaspara. W końcu jednak zmęczył się relatywną ciszą i osądził, że jest w stanie wytrzymać odrobinę paplaniny Ledanu, o ile uda mu się wydobyć choć okrucz użytecznej informacji z potoku słów.

– Ledanu, powiedz mi o następnym mieście.

– Ach, Kasparze, mój przyjacielu – odrzekł mały człowieczek, zawsze gotów zaimponować nowemu towarzyszowi doświadczeniem i wiedzą – Simarah to najpiękniejsze miejsce pod słońcem. Są tam karczmy, burdele, łaźnie i domy gier. Jest bardzo cywilizowane.

Kaspar usiadł wygodniej i poddał się torturze morza szczegółów, opisujących miejsca, które Ledanu uznał za najbardziej urocze w każdej z wyżej wymienionych kategorii. Były władca Olasko zdał sobie sprawę, że wszelkie przydatne informacje, takie jak ilość i zadania wojska, polityka regionu, kontakty z sąsiadującymi miastami i tym podobne, zupełnie nie interesowały jego rozmówcy. Jednakże uznał, że jakikolwiek opis miasta zawsze się przyda. W końcu miało ono stać się dla księcia tymczasowym domem, nim znajdzie sposób na kontynuowanie podróży na południe.

* * *

Kaspar opierał się o drzwi i czekał, by zobaczyć, czy tego ranka pojawi się ktoś, kto potrzebuje robotników. Zwyczajowo poszukujący pracowników na dniówkę spotykali się przed wschodem słońca na małym ryneczku w pobliżu północnej bramy Simarah. Przez pierwszy tydzień pobytu w mieście przybysz codziennie znajdował pracę, zaś zapłata okazała się dużo lepsza niż w Muboi.

Wojna nie wybuchła jeszcze oficjalnie, lecz na granicy pomiędzy Muboją a królestwem władcy zważącego siebie królem Sasbataby zaczynał się formować swoisty konflikt. Rozpoczął się zaciąg żołnierzy, a że żołd był całkiem niezły, większość robotników zdecydowała się na wstąpienie do armii. Zatem dawny książę Olasko zawsze mógł znaleźć sobie zajęcie. Odzyskał także szczęście w grach hazardowych. Miał w sakiewce wystarczającą ilość monet, żeby przeżyć co najmniej tydzień, gdyby praca nagle się skończyła. Stać go było także na pokój w lokalnym zajeździe, choć pomieszczenie to przypominało bardziej schowek na szczotki ukryty pod schodami. Jadł skromnie i prosto, nie pił alkoholu, więc każdego wieczoru miał więcej pieniędzy niż rano.

Żywił nadzieję, że przez miasto będzie przejeżdżała kolejna karawana, udająca się na południe, i znów zatrudni się przy niej jako strażnik. Niestety konflikt z królem Sasbataby sprawił, iż wszelkie transporty zapasów i towarów, jadące w tamtym kierunku, opatrywano silną wojskową eskortą. Niecierpliwiał się więc coraz bardziej, czekając na możliwość podjęcia podróży ku domowi.

Na rynku pojawiło się trzech mężczyzn i zgodnie z ich oczekiwaniami wszyscy robotnicy natychmiast podbiegli. Kaspar widział ich już wcześniej – przychodzili prawie codziennie. Dwóch zawsze wybierało dwa tuziny pracowników, ale trzeci wahał się nieco dłużej. Przyglądał się uważnie robotnikom, tak jakby szukał kogoś o specjalnych kwalifikacjach. Zawsze odchodził z rynku sam.

– Potrzebuję trzech kopaczy! – zawołał pierwszy mężczyzna – Obznajomionych z pracą w sadzie.

– Potrzebuję siłaczy – krzyknął drugi – Mam towar do załadunku. Dziesięciu ludzi.

Lecz trzeci mężczyzna po prostu przechadzał się wśród ludzi, spieszących zaprezentować swe zalety dwóm pracodawcom, i wreszcie dotarł do Olaskanina.

– Ty tam – odezwał się. Wymawiał słowa z obcym akcentem, co nadawało jego mowie interesujący odcień – Od kilku dni cię tutaj widzę – Pokazał na miecz, przypięty do pasa księcia – Wiesz, jak się tego używa?

Kaspar uśmiechnął się, a nie był to przyjazny uśmiech.

– Gdybym nie wiedział, nie stałbym tutaj, prawda?

– Potrzebuję kogoś, kto umie machać mieczem, a poza tym ma jeszcze inne talenty.

– Jakie talenty?

– Umiesz jeździć konno?

Przyjrzał się potencjalnemu pracodawcy i uznał, że ten człowiek jest niebezpieczny. Cokolwiek zamierzał mu zaproponować, prawdopodobnie było to nielegalne, a jeżeli sprawy rzeczywiście tak się miały, Kaspar zamierzał zażądać adekwatnego wynagrodzenia za tę pracę. Przez chwilę patrzył na jego oblicze i nie znalazł w nim nic pozytywnego. Obcy miał cienki nos, który sprawiał, że ciemne oczy zdawały się leżeć zbyt blisko siebie. Miał natłuszczone włosy, szesane gładko ku tyłowi głowy, a jego zęby były żółte i nierówne. Ubranie nieznanego, choć proste w kroju, uszyto z najlepszych materiałów. Zauważył, że rękojeść sztyletu mężczyzny zrobiono z kości słoniowej. Ale najbardziej rzucał się w oczy wyraz twarzy obcego – mieszanina zmęczenia i troski. Cokolwiek musiał zrobić, z pewnością było to niebezpieczne, a tym samym oznaczało solidne wynagrodzenie. Księżę przemyślał pytanie nieznanego, zanim zdecydował się na odpowiedź.

– Dobrze jak niektórzy, lepiej niż większość.

– Nie potrafię umiejscowić twojego akcentu. Skąd jesteś?

– Mieszkałem w wielu miejscach, większość leży daleko stąd, ale ostatnio spędzałem czas na północy, w Mastabie i Heslagnam.

– Nie jesteś z południa?

– Nie.

– Czy masz jakieś obiekcje odnośnie do walki?

Milczał przez chwilę, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią. Wiedział, że jeśli w ramach wynagrodzenia otrzyma konia, zgodzi się podjąć zadania, czegokolwiek by dotyczyło. Nie zamierzał wracać do Simarah. Jeżeli praca mu się nie spodoba, ukradnie konia i pojedzie na południe.

– Jeżeli mam walczyć, zaznaczam, że nie jestem najemnikiem. Ale jeśli pytasz, czy potrafię robić mieczem, gdy zajdzie taka potrzeba, odpowiedź brzmi: tak, potrafię.

– Jeżeli wszystko pójdzie tak, jak zaplanowałem, będziesz musiał tylko jeździć konno, mój przyjacielu. – Skinął na Kaspara, by poszedł za nim. – Nazywam się Flynn – dodał, kiedy wychodzili z rynku.

Księżę zatrzymał się jak wmurowany.

– Kinnoch?

Flynn odwrócił się na pięcie.

– Głęboki Wąwóz – powiedział w języku Królestwa. – A ty?

– Jestem z Olasko.

Mężczyzna rozejrzał się dookoła.

– A więc obaj znaleźliśmy się daleko od domu, Olaskaninie – powiedział, nadal w języku królewskim. – Ale może to dobry sposób, żeby zapewnić nam obu to, czego najbardziej pragniemy. O ile się nie mylę, nie przybyłeś do tego zakazanego miejsca na drugiej stronie świata z własnej woli. Chodź za mną.

Człowiek o imieniu Flynn ruszył płataniną małych uliczek przez bardziej zapuszczoną, biedniejszą część dzielnicy kupieckiej, a potem skręcił w szeroką aleję. Były władca Olasko szedł za nim z kamienną twarzą, że wszystkich sił starając się zachować spokój, chociaż jego serce tłukło się w piersi. „Flynn” było imieniem jednego z jego nauczycieli z lat dzieciństwa. Ów mężczyzna pochodził z regionu Kinnoch i należał do narodu dawno już podbitego przez Królestwo. Jednak mieszkańcy tamtego terenu twardo trzymali się własnej kultury i ciągle posługiwali się językiem przodków. Instruktor chłopca nauczył go paru zwrotów, aby zaspokoić jego ciekawość, ale nawet to mogło zostać poczytane za zdradę przez innych członków klanu. Mężczyźni z Kinnoch byli doskonałymi wojownikami, poetami, kłamcami i złodziejami. Mieli skłonności do alkoholu, nagłych wybuchów gniewu i równie niespodziewanych napadów żalu. Cóż z tego – jeżeli ów człowiek zdołał odnaleźć drogę do tej zakazanej części świata, równie dobrze mógł znać sposób na powrót do cywilizacji.

Nowy pracodawca wszedł do magazynu, zakurzonego, mrocznego i pełnego przeciągów. Kaspar dostrzegł, że w środku czeka jeszcze dwóch mężczyzn. Flynn odsunął się na bok, po czym skinął głową. Bez słowa ostrzeżenia dwaj nieznajomi wyciągnęli miecze i ruszyli do ataku.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Okazja

Kaspar uskoczył w prawo.

Zanim atakujący zdążył zareagować, książę wyciągnął miecz z pochwy i obrócił się wokół własnej osi, wyprowadzając mordercze uderzenie w plecy przeciwnika.

Flynn ledwo zahamował cios ostrzem swego miecza.

– Wystarczy! – wrzasnął. – Widziałem już dość. – Ciągłe mówił w języku Królestwa.

Kaspar cofnął się o krok, a jego dwaj przeciwnicy postąpili tak samo. Flynn szybko schował miecz do pochwy.

– Przepraszam cię, mój przyjacielu – powiedział – ale musiałem się przekonać, czy naprawdę potrafisz zrobić użytek z tej rzeczy. – Pokazał na miecz księcia.

– Mówiłem ci, że potrafię.

– A ja znam kobiety, które mówiły, że mnie kochają, a potem to okazywało się nieprawdą – zripostował tamten.

Olaskanin ciągle trzymał broń w dłoni, ale lekko ją opuścił.

– Wygląda na to, że masz problem z zaufaniem.

Mieszkaniec Kinnoch pokiwał głową i uśmiechnął się z lekką drwiną.

– Jesteś dobrym obserwatorem. A teraz, wybacz mi, lecz musiałem się upewnić, czy twoje umiejętności pozwolą ci poradzić sobie z wszelkimi kłopotami. Moi ludzie nie zamierzali cię zabijać. Kazałem im tylko nieco cię potarmosić, oczywiście jeżeli nie byłbyś w stanie skutecznie się bronić.

– Twój test prawie pozbawił życia jednego z twoich przyjaciół – zauważył, pokazując na silnego mężczyznę z jasnymi, sięgającymi ramion włosami, który najwyraźniej nie był zadowolony ze słów księcia. Nie odezwał się ani słowem, tylko jego niebieskie oczy zwięziły się w szparki. Skinął głową Flynnowi.

Trzeci mężczyzna był szeroki w ramionach, miał grubą szyję i wszędzie, z wyjątkiem łysiejącej czaszki, pokrywały go gęste, czarne włosy. Zaśmiał się krótkim, chrapliwym śmiechem,

przypominającym szczekanie psa.

– To był dobry ruch, zapewniam cię.

Dawny książę Olasko uniósł brew.

– Albo jesteś z Kinnoch, albo moje uszy nigdy nie słyszały tego akcentu – powiedział.

– Wszyscy pochodzimy z Królestwa – odezwał się blondyn.

– Ja nie – zaprzeczył. – Ale byłem tam wielokrotnie.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na Flynna pytającym wzrokiem.

– Jest z Olasko – wyjaśnił.

– A więc masz dalej do domu nawet niż my! – zauważył jasnowłosy.

– Ja nazywam się McGoin, a to jest Kenner – przedstawił się niedźwiedziowaty wojownik.

– Jestem Kaspar.

– A więc jesteśmy czterema spokrewnionymi duszyczkami. Ludźmi z północy – powiedział poważnie Kenner.

– Jak się tutaj znaleźliście? – zapytał Kaspar.

– Ty pierwszy opowiedz – nalegał Flynn.

Książę pomyślał, że lepiej będzie ukryć swoje prawdziwe pochodzenie. Ci ludzie mogli uznać go za kłamcę albo wykorzystać nabytą wiedzę dla własnych zysków i sprawić mu w przyszłości wiele kłopotów. Zresztą uznał, że jego przeszła pozycja nie ma teraz żadnego znaczenia. Znajdował się na drugiej półkuli i pozbawiono go wszystkich tytułów i ziem. Zawsze mógł powiedzieć im coś więcej później, kiedy już usłyszy ich opowieść.

– To naprawdę nic specjalnego. Znalazłem się po niewłaściwej stronie konfliktu z pewnym magiem, który miał na tyle wielką moc, że potrafił translokować irytujących go ludzi. W jednej chwili byłem w Opardum, a za moment pojawiłem się na pustkowiu w pobliżu Heslagnam z pół tuzinem Bentu na karku.

– Udało ci się uciec łowcom niewolników Bentu? – zainteresował się McGoin.

– Nie – odparł – Najpierw mnie złapali, a dopiero potem uciekłem.

Mężczyzna o ulizanych włosach roześmiał się – Albo sam jesteś magiem, albo kłamcą na tyle dobrym, że z ochotą przyjęliby cię do klanu Kinnoch.

– Niestety, ominęła mnie ta przyjemność – odrzekł Kaspar.

– Magowie wtrącił Kenner – Bez wątpienia, to przekleństwo naszego świata.

– Cóż, ten jeden w rzeczywistości do takich się zaliczał – powiedział książę – Chociaż mógł mnie przenieść na środek oceanu i tam pozwolić mi utonąć.

– Prawda – zgodził się Flynn.

– Teraz wasza historia.

– Jesteśmy kupcami z Port Wykor – zaczął Flynn. Natychmiast uznał, że mężczyzna kłamie. Bardziej prawdopodobne, że byli piratami z Wysp Zachodzącego Słońca.

– Założyliśmy konsorcjum do spółki z pewnym kupcem z Krondoru, znanym jako Milton Prevence. Kiedy dotarliśmy do Miasta Nad Gadzią Rzeką okazało się, że toczy się tam jedna z klanowych wojen. Nie mogliśmy nawet zawinąć do portu, bo klany walczyły o to, kto będzie kontrolował przyplływające i odpływające statki. A więc zawróciliśmy, żeby poszukać innego portu – pokazał na swoich towarzyszy – Kiedy zaczynaliśmy, było nas trzydziestu.

Kaspar pokiwał głową.

– Kilku kupców, a tak wielu strażników?

Opowiadający potrząsnął głową.

– Żadnego Jesteśmy kupcami, ale każdy z nas nauczył się dbać o swoje bezpieczeństwo. McGoin zaczynał jako uczeń u tkacza, a potem zajął się handlem wełną. Skusiła go perspektywa kosztownych materiałów. Jedwabie, które można tu kupić, są najpiękniejszymi, jakie widziałem, lepsze nawet niż w Keshu. Specjalnością Kennera są przyprawy, im rzadsze, tym lepiej. Ja zajmuję się handlem kamieniami szlachetnymi.

Dawny władca znów skinął głową.

– Wszystkie te towary łatwo się transportuje i nie zajmują zbyt wiele miejsca, może z wyjątkiem jedwabiu.

– Ale jest lekki – oświadczył McGoin – Możesz zapchać całą ładownię, a statek opadnie nie więcej niż jard na linii wodnej.

– A więc co się stało?

– Mieliśmy dwie możliwości do wyboru – teraz zamiast Flynna odezwał się Kenner – Mogliśmy zawrócić na zachód i popłynąć do miasta Maharta i poprobować handlu z kupcami wzdłuż rzeki Vedry. Jest tam wiele miast, kwitnie handel, można nabyć luksusowe towary, choć trzeba się mieć na baczności. Kupcy są chytry i nie zawsze umowy bywają korzystne.

– A druga alternatywa?

– Jest takie miejsce, gdzie Gadzia Rzeka zakręca na wschód i prawie ociera się o linię brzegową. Z plaży nad rzekę idzie się mniej niż tydzień, więc nie braliśmy koni. Postanowiliśmy kupić je na miejscu, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Nad wodą leży miasto nazywane Przystanek Shingazi. Kiedyś był to meduzy przyczółek karawan kupieckich, ale teraz łatwo tam znaleźć barkę, która zawiezie cię w górę rzeki.

– I tak właśnie postąpiliśmy – dodał handlarz jedwabiem – Wynajęliśmy łódź i ruszyliśmy w górę rzeki, sądząc, że natkniemy się tam na towary, których mieszkańiec Królestwa Wysp nigdy nie widział na oczy.

Flynn zaśmiał się.

– Opowiedz lepiej o przeklętej arogancji, jaka nas przepełniała Kasparze, nie jesteśmy ludźmi słabego serca, ale kiedy zaczynaliśmy było nas trzydziestu i wszyscy potrafili doskonale o siebie zadbać.

– Ale im dalej posuwaliśmy się na północ, tym bardziej szalona okazywała się ta eskapada.

– Jak długo tutaj jesteś, Kasparze? – zapytał McGoin, przerywając swemu towarzyszowi.

– Sześć, siedem miesięcy. Straciłem rachubę czasu.

– Jak daleko na północ się zapuściłeś? – zapytał nabywca szlachetnych kamieni.

– Do Mastaby.

– A więc nie zbliżyłeś się do Gadziego Jeziora – powiedział. – Tamten region to ziemia niczyja. Tam mieszkają ci nomadzi...

– Jeshandi. Tak, słyszałem o nich.

– Nie pozwalają nikomu osiedlać się wokół jeziora, lecz są tam też inni ludzie. Na południowym brzegu jeziora wznoszą się góry Sumanu i to właśnie tam...

– Zaczynaj od początku, Flynn – przerwał mu tęgi kupiec. Ów wziął głęboki oddech, jakby szykował się do opowiedzenia długiej historii.

– Wynajęliśmy rzeczną łódź w Przystanku Shingazi, solidnie zbudowaną jednostkę z szeroką rufą i płaskim dnem. Wiesz, w rodzaju tych, na których możesz rozbić namiot, a kiedy trzeba, da się ją ciągnąć wzdłuż koryta rzecznego za pomocą lin. Kapitan wyjaśnił nam, że pomiędzy Shingazi a miastem zwanym Malabra nie ma żadnych większych portów. Malabra leży daleko na północy i nie zamierzał się tam udawać, ale powiedział, że może sprzedać nam łódź. Kilku z nas miało niejakie doświadczenie w rzecznej żegludze, więc gdy dotarliśmy do Malabry, byliśmy już nieźle obznajomieni z rzeką i czuliśmy się bardzo pewnie. Zgodziliśmy się, że dowódcą całej wyprawy powinien być Prevence, a niejaki Carter został mianowany kapitanem łodzi do czasu, aż

przybędziemy na miejsce.

Podróż do Malabry zajęła nam trzy miesiące. Na początku wszystko wydawało się iść jak po maśle. Potem zmieniła się pogoda i musieliśmy wylądować na brzegu. Kilka dni później natknęliśmy się na bandytów. Ścigali nas konno przez pięć dni, podczas gdy my walczyliśmy o to, aby utrzymać łódź na środku rzeki. Zabili trzech naszych strzałami z łuku, zanim dali za wygraną.

– Powinniśmy się domyślić – wtrącił Kenner. – Nie znaleźliśmy żadnych towarów, nie zawarliśmy ani jednej umowy handlowej, a już straciliśmy trzech ludzi. Powinniśmy się domyślić...

– Ale płynęliśmy dalej naprzód – kontynuował Flynn. – Kiedy dotarliśmy do Malabry, dwóch kolejnych umarło na nieznaną gorączkę. – Przerwał na chwilę, jakby próbował sobie coś przypomnieć. – Na początku radziliśmy sobie świetnie. Założyliśmy coś w rodzaju handlowego przyczółku w składzie, bardzo podobnym do tego. Język nie był zbyt trudny. Zresztą mieliśmy wśród nas kilku Quegan, a te dwa dialekty są bardzo podobne. I właśnie wtedy wszystko zaczęło się... – Popatrzył na swoich towarzyszy, jakby prosił ich o pomoc w odnalezieniu słów.

– Miejscowi zaczęli znosić nam różne towary, które chcieli sprzedać – powiedział niedźwiedziowaty kupiec. – Mieliśmy ze sobą mnóstwo złota, całkiem sporo wedle standardów Królestwa, ale tutaj to był królewski skarb. Spodziewam się, że dostrzegłeś już niedobór monet, jaki tu panuje. Wygląda tak, jakby ciągle jeszcze płacili za tę wojnę, w której walczył mój ojciec. Ale przedmioty, które przynosili... Cóż, najpierw myśleliśmy, że to tylko... pomóż mi znaleźć słowo – zwrócił się do blondyna.

– Artefakty.

– Taa, właśnie tak – mówił dalej McGoin. – Jakiejś dawno już wymarłej cywilizacji. Te rzeczy były naprawdę dziwaczne.

– Jakie rzeczy? – zapytał Kaspar, całkowicie pochłonięty ich opowieścią.

– Niektóre z nich były maskami, takimi jakie noszą kapłani świątynni podczas świąt; ale zupełnie nie przypominały tych, co znamy. To były maski zwierzęcych pysków i innych kreatur... cóż, nie umiem powiedzieć, jakiego rodzaju zwierząt i istot. Przynosili też biżuterię. Bardzo dużo. Niektóre wyroby były zupełnie zwyczajne, lecz inne... – Wzruszył ramionami.

– Przez całe swoje życie handluję kamieniami, Kasparze – ciągnął historię Flynn. – Widziałem pospolite błyskotki i przepiękną biżuterię, pasującą nawet Królowej Wysp, ale niektóre z tych przedmiotów były nie do opisania.

– Dlaczego chcieli sprzedawać tak wartościowe przedmioty za nierówną ilość złota?

Wyobraź sobie, że farmer posiada naszyjnik, wart trudu całego życia, ale nie może go sprzedać, ani wymienić na coś innego, ani zjeść. Równie dobrze mógłby posiadać wiadro gnoju – wyjaśnił kupiec jedwabny – Lecz co innego sakiewka złota. Może kupić sobie, co tylko zechce, i wystarczy mu pieniędzy na całe lata.

– Zatem kupowaliśmy wszystko, co nam przynosili – powiedział Flynn.

Opowiedz mi o pierścieniu – nakazał Kenner. Słuchacz rozejrzał się po magazynie. Zobaczył sięgającą mu do pasa gorę pustych worków, więc podszedł do niej i wygodnie się usadowił.

– Przynosili nam też pierścienie – mówił mieszkaniec Kinnoch. – Niektóre były zrobione ze złota, jednak większość nie. W część wprawiono kamienie, a kilka miało naprawdę doskonałą jakość. Ale większość wyglądała jak zwyczajne metalowe kołka z dziwnymi znakami.

– Pozwólcie mi zgadnąć – przerwał były władca, starając się, żeby w jego głosie nie zabrzmiała pogarda – To były magiczne pierścienie?

Opowiadający spojrział na kompanów, którzy pokiwali głowami, a potem sięgnął do sakiewki przy pasku i wyjął jeden z pierścieni. Metalowe kółko jarzyło się delikatnie w mroku magazynu.

Ksiązę wstał, podszedł do kupca i wziął pierścień do ręki. Przyjrzał mu się uważnie. Zrobiono go z ciemnego metalu, w niczym nie przypominającego cyny, za wyjątkiem lekkiego lśnienia.

– Czy któryś z was próbował go zakładać?

– Zrobił to mężczyzna o imieniu Greer – odpowiedział Flynn.

– Założył pierścień i przez moment zdawało się, że nic się nie wydarzy. A potem, nagle, pewnej nocy zaatakował i zamordował Castitasa. McGoin musiał go zabić, żeby nie zmasakrował nas wszystkich. Potem ja założyłem pierścień, żeby się dowiedzieć, co przydarzyło się Greberowi. Po chwili zacząłem widzieć różne rzeczy. Od tamtej pory nikt go nie wkładał.

– Dlaczego go nie wyrzuciliście?

– Czy słyszałeś kiedyś o Stardock?

Słyszał, lecz nie przyznał się, tylko potrząsnął głową. Uznał, że lepiej udawać ignorancję. Jeżeli ma się podawać za prostego człowieka, nie może okazać, że tak wiele wie o świecie. Nie mogąc powiedzieć, że słyszał.

– To wyspa na Wielkim Jeziorze Gwiazdzistym, na granicy Keshu i Królestwa. Zamieszkuje ją społeczeństwo magów, bardzo potężnych.

– I bogatych – wtrącił McGoin.

– I bogatych – zgodził się kupiec klejnotów – Sprzedamy im ten pierścień.

Ksiązę rozejrzał się po pomieszczeniu.

Coś mi mówi, że macie tutaj dużo więcej towarów niż tylko ten pierścień. Posłuchajcie, jeżeli dobrze zrozumiałem, zaczynaliście jako wyprawa trzydziestu dobrze prosperujących kupców, co zabrali ze sobą taką ilość złota, że gdybyście teraz wy trzej zdecydowali się wrócić z pieniędzmi

pozostałych, ustawilibyście się na całe życie, mam rację?

– To mała fortuna – potwierdził Kenner.

– Zakładam więc, że nie jesteście mordercami, ale poważnymi kupcami i macie tutaj towary warte dużo więcej.

Pokiwali głowami.

– Zatem, dlaczego nie wynajmiecie oddziałku najemników, którzy będą was chronić po drodze, nie ruszycie na południe i nie znajdziecie statku, który zawiezie was do domu?

Mężczyźni popatrzyli po sobie.

– Właśnie do tego dochodzimy – odezwał się w końcu Flynn.

Pierścień to tylko błyskotka To znaczy wiem, że musi robić coś naprawdę specjalnego, ponieważ zginęło przez niego dwóch ludzi, ale magiczne kółko nie jest warte całego zachodu Jest coś jeszcze.

Pokazał ręką na daleki kąt składu i wszyscy czterej ruszyli w tamtym kierunku Stał tam wóz, prosty pojazd do przewozu towarów. Niemalże nie do odróżnienia od tych, które Kaspar widział na ulicach swego rodzinnego miasta, przedzierające się przez ciżbę. Na wozie leżał jakiś przedmiot, nakryty oliwionym płótnem. Wnioskując z wielkości pakunku, prawie natychmiast domyślił się, co też to może być. Kupiec wskoczył na pakę i odsunął na bok skraj płótna.

Na wozie spoczywało ciało, a przynajmniej Kasparowi tak się wydawało, chociaż mogła to również być pusta blaszana zbroja. Ale czymkolwiek okazałby się ów przedmiot, dawny władca Olasko nigdy jeszcze nie widział niczego podobnego.

Wdrapał się na wóz obok handlarza i odsunął więcej płótna. Jeżeli to była zbroja, nie widział nigdzie złączy ani nitów. Miała czarną barwę, a wokół szyi, ramion, nadgarstków, bioder i kostek w metal wpuszczono matowe złote oblamowania. Uklęknął i dotknął zbroi. Zrobiono ją z metalu, gładszego niż te, które widział do tej pory. Właściciel przedmiotu musiał być wysoki, wyższy niż Kaspar, który liczył sobie metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

W Opar dum nabył dla siebie najdoskonalszą zbroję, jaką znano we Wschodnich Królestwach. Wykonali ją mistrzowie płatnerze z Roldem, ale ta, którą widział przed sobą, leżała daleko poza możliwościami rzemieślników z jego kontynentu.

– Uderz ją mieczem – powiedział Flynn, wyskakując z wozu, żeby zrobić mu więcej miejsca. Książę wstał, wyjął miecz i uderzył lekko w napierśnik. Ostrze odskoczyło, jakby trafił w twardą gumę. Ponownie uklęknął obok zbroi.

– Czy w środku ktoś jest? – zapytał.

– Nikt nie wie – odparł kupiec korzenny. – Nie znaleźliśmy sposobu, żeby to otworzyć, zdjąć hełm czy odkręcić jakąś część.

– A więc ma jakieś negatywne cechy – mruknął Kaspar.

Hełm był prosty, cylindryczny. Wyglądał jak rura z odciętym i zaokrąglonym końcem. Od ramienia do czubka głowy wiodła jedna, gładka linia, bez żadnych krawędzi ani nitów. Z przodu hełm lekko się wybrzuszał, co z góry nadawało mu kształt nieco podobny do kropli wody. Po obu stronach widniały elementy trochę podobne do skrzydeł, jednak nie przypominały żadnego ptaka, na jakiego kiedykolwiek polował. Wyglądały podobnie do skrzydeł kruka, choć zakrzywiały się lekko ku tyłowi, przylegając gładko do hełmu. Miały wyraźny kościec, jak błony wielkiego nietoperza. Lecz to nie był normalny nietoperz. Pojedynczy otwór pozwalał walczącemu na patrzenie przed siebie. Olaskanin pochylił się i spróbował zajrzeć do środka.

– Nic nie można zobaczyć – powiedział McGoin. – Jerrold próbował nawet przysuwać do otworu pochodnię i prawie podpalił sobie włosy, ale i tak nie udało mu się tam zajrzeć.

– W wizjerze coś jest. Szkło albo kwarcowa płytką, albo coś innego, twardego na tyle, że zatrzymuje czubek sztyletu – wyjaśnił jasnowłosy.

– To niesamowite, przyznaję – odezwał się książę, opierając się plecami o burtę wozu. – Ale dlaczego chcieliście to wlec przez cały ocean aż do Stardock? Przecież musi być tutaj ktoś, jakiś lokalny władca, kto zapłaci wam za to niezłe pieniądze.

– Bez wątpienia jest magiczna – oznajmił Flynn. – A tutaj nie ma wielu magów, a jeśli już są, nie mają wielkiej mocy. – Popatrzył na dwóch towarzyszy. – Na początku próbowaliśmy znaleźć nabywcę – dodał. – Ale szybko się zorientowaliśmy, że ta kraina jest zbyt uboga. Mogliśmy zabrać to, co udało nam się zgromadzić, i wracać do domu. Wraz ze złotem, które nam zostało, i dobrami, jakie zakupiliśmy, mogliśmy całkiem niezłe się urządzać i żyć w luksusie przez długie lata.

– Ale przecież nie jesteśmy złodziejami – wpadł mu w słowo kupiec korzenny. – Mieliśmy wspólników, a niektórzy z nich mieli rodziny. Oczywiście mogliśmy dać każdemu z nich niewielki udział naszych zysków, ale czy to by im wynagrodziło śmierć mężów i ojców?

– Wiedzieli, że podróż na odległy kontynent wiąże się ze sporym ryzykiem – powiedział Kaspar powoli.

– Tak, ale ja mam żonę i trzech synów – odparł McGoin. – I lubię myśleć, że gdybym został pochowany w północnej ziemi, jeden z moich kompanów wróciłby do domu i wręczył wdowie po mnie wystarczającą ilość pieniędzy, żeby mogła zadbać o moich synów i ich przyszłość.

– Szlachetne zapatrywania – mruknął były książę Olasko i zeskoczył z wozu. – I co jeszcze?

Handlarz zajmujący się szlachetnymi klejnotami podał mu miecz. Był równie czarny jak zbroja. Kiedy książę położył ręką na rękojeści, poczuł lekkie wibrowanie, które wprawilo jego ramię w drgania.

– Czujesz to? – zapytał Flynn.

– Tak – potwierdził Kaspar i oddał mężczyźnie broń. Miecz był lżejszy, niż się spodziewał, ale

wibracje sprawiły, że poczuł się nieswojo.

Człowiek z Kinnoch podszedł do zbroi.

– A teraz patrz – powiedział. Ponownie wyjął pierścień z sakiewki i przysunął go blisko do metalu. Ciemny krążek, który do tej pory wydawał z siebie nikły blask, natychmiast intensywnie zaświecił. – Nie ma wątpliwości, że zbroja jest magiczna. Myślę, że to najlepszy dowód.

– Bardzo przekonujące – zgodził się książę. – A teraz powiedzcie mi, co to ma wspólnego ze mną?

– Potrzebujemy dodatkowego człowieka – wyjaśnił Flynn. – Fakt, że także jesteś z północy i podobnie jak my pragniesz wrócić do Królestwa, jest dodatkową korzyścią. Chcieliśmy wynająć zręcznego szermierza, żeby pojechał z nami do Miasta Nad Gadzią Rzeką. Mamy nadzieję, że klanowa wojna już wygasła. – Położył rękę na ramieniu Kaspara. – Ale, jak powiedziałem, możliwe, że bogowie postawili cię na naszej ścieżce nie bez powodu, gdyż człowiek, który będzie z nami podróżował z własnej woli, a nie dlatego, że mu płacimy, bardziej nam się przyda. Z chęcią uczynimy z ciebie partnera na równych prawach.

Przez chwilę byłemu władcy wydawało się, że Kenner zaprotestuje, ale w końcu nic nie powiedział, zaś niedźwiedziowaty mężczyzna tylko pokiwał głową.

– To bardzo wielkoduszne – zauważył Olaskanin.

– Nie – odparł Flynn. – Zanim się zgodzisz, musisz wysłuchać mnie do końca. Nie wszyscy nasi towarzysze zginęli, nim znaleźliśmy tę rzecz. – Pokazał na wóz. – Wieśniak, który wskazał nam miejsce, gdzie leżała zbroja, nie chciał mieć z nią nic do czynienia.

Nie chciał nawet podejść blisko tego przedmiotu, gdy już przekonał się, co to jest. Mieliśmy wtedy wystarczającą ilość towarów, żeby do śmierci żyć jak królowie, więc zaraz po załadunku wozów ruszyliśmy na południe. Kiedy dotarliśmy do miejsca, o którym wspominałeś, do Heslagnam, zostało nas tylko sześciu i mieliśmy tylko jeden wóz. Porzuciliśmy wszystkie nasze skarby na pustkowiach za nami.

Księżciu nie spodobało się to, co usłyszał.

– A więc ktoś był niezadowolony z tego, że zabraliście ze sobą ciało albo zbroję, albo cokolwiek to jest.

– Najwyraźniej tak. Nigdy nie atakowano nas w dzień ani kiedy odpoczywaliśmy w miasteczkach i wioskach. Zawsze napadali w nocy, gdy byliśmy sami na drodze.

– Jednej nocy Fowler McLintoc po prostu umarł – powiedział kupiec korzenny. – Nie znaleźliśmy na jego ciele nawet najmniejszego śladu.

– A Roy McNarry poszedł pewnego wieczora na stronę, żeby sobie ulżyć i nigdy już nie wrócił. Szukaliśmy go przez cały dzień i nie znaleźliśmy nawet śladu – dodał McGoin.

Kaspar roześmiał się; jego śmiech przypominał szczekanie psa i brzmiała w nim sympatia pomieszana z drwiącą wesołością.

– Dlaczego po prostu nie zostawiliście tej przeklętej rzeczy i nie wzięliście reszty skarbów?

– Kiedy wreszcie zorientowaliśmy się, że to właśnie o ciało im chodzi, było już za późno. Porzuciliśmy wcześniej trzy pozostałe wozy. Wybraliśmy najcenniejsze kamienie, są w torbie, o tam, i ukryliśmy większość biżuterii i innych wartościowych artefaktów. Znaleźliśmy jaskinię, zaznaczyliśmy ją i po prostu zostawiliśmy tam wszystko. Sprzedaliśmy konie za jedzenie, gdyż droga była długa i w końcu dotarliśmy tutaj. Ale mniej więcej każdego tygodnia ktoś z nas zawsze umierał.

– Ta historia nie nastraja mnie pozytywnie do podróży z wami.

– Wiem, ale pomyśl o wynagrodzeniu! – zawołał Flynn. – Magowie zapłacą nam królewską cenę za tę rzecz, i wiesz co?

– Nie mogę się doczekać, żeby usłyszeć – mruknął drwiąco były władca.

– Wydaje mi się, że posiadasz jakie takie wykształcenie stwierdził kupiec klejnotów – Mówisz językiem królewskim jak szlachcic, jednakże jesteś z Olasko.

– Uczono mnie tego i owego – przyznał książę.

– Czy znasz historię o Wojnie Światów?

– Wiem, że jakieś sto lat temu zaatakowała nas armia z innego świata, która przeszła tutaj przez magiczną szczelinę. Prawie udało im się podbić Królestwo Wysp.

– Więcej – dodał Flynn – Wielu faktów nie zapisano w oficjalnych kronikach. Słyszałem co nieco od mojego dziadka, który brał udział w bitwie pod Sethanon jako giermek. Opowiadał mi o smokach i starożytnej magu.

– Oszczędź mi obozowych gawęd twojego dziadka, Flynn i przejdź wreszcie do rzeczy.

– Czy słyszałeś kiedykolwiek o Jeźdźcach Smoków?

– Nie mogę powiedzieć, że słyszałem przyznał Kaspar.

– To była starożytna rasa wojowników, którzy zamieszkiwali ten świat przed ludźmi. Byli tutaj nawet jeszcze przed elfami. Potrafili ujeżdżać smoki i posługiwali się bardzo potężną magią. Zostali pokonani przez bogów podczas Wojen Chaosu.

To teologia, nie historia – oznajmił Olaskanin.

– Może tak, może nie – odparł rozmówca – Ale w świątyniach uczą tego jako niepodważalnego dogmatu. W kronikach nie ma słowa o Jeźdźcach Smoków, jednak ciągle pozostają legendy. Ale popatrz na tę rzecz, Kasparze. Jeżeli to nie jest Jeździec Smoków, wyciągnięty wprost

ze swojego antycznego kurhanu, nie wiem cóż to może być innego. Lecz założę się, że magowie ze Stardock chętnie się tym zajmą i wiele zapłacą, żebyśmy im to umożliwili.

– A więc potrzebujesz czwartego człowieka, żeby zanieść tę rzecz na północ – rzekł książę – Władować ją na prom w Port Wykor i zawieść na Stardock, a potem upomnieć się o nagrodę u magów, tak?

– Tak – potwierdził mężczyzna.

– Jesteś kompletnie szalony – podsumował Kaspar – Powinieneś upchnąć to w jaskini, zamiast zostawiać tam wszystkie skarby, jakie udało ci się zgromadzić.

Kenner, McGoin i Flynn popatrzyli po sobie.

– Próbowaliśmy – odezwał się w końcu Kenner – Ale po prostu nie możemy.

Co to znaczy, nie możecie?

– Próbowaliśmy zrobić tak, jak mówisz Ale kiedy zapieczętowaliśmy jaskinię i ujechaliśmy nie więcej niż pół kilometra w dół szlaku, musieliśmy się zatrzymać i zawrócić. Potem zanieśliśmy do jaskini całe złoto oraz inne towary, a wyjęliśmy tę rzecz.

– Wszyscy jesteście szaleńcami – oświadczył były władca Olasko – Mógłbym pójść z wami za cenę konia i biletu na statek do Królestwa, ale nie mogę obiecać, że po tym, co usłyszałem, zostanę z wami. Daliście mi aż za wiele całkiem niezłych powodów, żeby powiedzieć nie – Przerwał na chwilę – Właściwie to myślę, że powiem nie już teraz i po prostu odejdę, żeby oszczędzić sobie kłopotów.

Flynn wzruszył ramionami.

– Bardzo dobrze. Spróbuj odejść.

Kaspar zeskoczył z wozu, ciągle z mieczem w dłoni.

– Co masz na myśli?

– Nie zamierzamy cię zatrzymywać – odrzekł – To nie o to mi chodziło.

Książę obszedł trzech mężczyzn szerokim łukiem.

– Życzę wam szczęścia, panowie – powiedział, kiedy dotarł do drzwi magazynu – I mam nadzieję, że pewnego dnia spotkamy się przy piwie w jakiejś tawernie w Królestwie Wysp, chociaż wątpię, że tak się stanie. Wasze przedsięwzięcie nosi wszelkie znamiona porażki, a ja nie zamierzam mieć z tym nic wspólnego. Bardzo dziękuję.

Obrócił się na pięcie, pchnął drzwi i uniósł nogę, by przekroczyć próg. Ale nie mógł.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Decyzja

Nagle się zachwiał.

Chciał przejść przez drzwi, lecz coś kazało mu się zatrzymać.

– No dobrze – powiedział, odwracając się. – Zastanowię się nad tym.

Flynn skinął głową.

– Możesz nas tutaj znaleźć, ale musimy ruszyć na szlak najpóźniej pojutrze.

– Dlaczego?

– Nie wiem – odparł mieszkaniec Kinnoch. – Po prostu nie możemy zostawać w jednym miejscu za długo.

– Sam niedługo zrozumiesz – dodał Kenner.

Książę strząsnął z siebie nieoczekiwane pragnienie, żeby zostać w składzie i wyszedł na ulicę.

Przedzierał się przez poranny tłum i wreszcie znalazł tanią karczmę, gdzie porter nadawał się do picia. Rzadko pił alkohol przed południowym posiłkiem, ale dzisiaj zrobił wyjątek. Wydał więcej ze swojej ubogiej sakiewki, niż powinien, ale w głębi duszy wiedział, że dołączy do Flynn'a i jego kompanów. Nie z powodu jakiegoś nonsensownego zaklęcia, które go trzymało, lecz z własnej woli. Ci ludzie pomogą mu znaleźć się bliżej domu. W przeciągu najbliższych sześciu miesięcy pokona większy odcinek drogi, niż zdołałby samotnie w dwa lata. Nie był marynarzem i musiałby pracować miesiącami, żeby zarobić wystarczającą ilość złota na opłacenie miejsca na statku. A żaglowce pływające pomiędzy Novindusem i Triagią stanowiły i tak wielką rzadkość. Nawet podróż do Wysp Zachodzącego Słońca kosztowałaby go miejscowy odpowiednik dwóch setek złotych monet, a to był półroczny zarobek zdolnego rzemieślnika w Olasko.

Nie, jeżeli zgodzi się na propozycję kupca szlachetnych kamieni, zyska przynajmniej konia i podróż do Królestwa Wysp. A stamtąd pójdzie do domu na piechotę, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Dopił piwo i wrócił do składu, gdzie czekało na niego trzech mężczyzn.

– A więc jedziesz z nami? – zapytał Flynn.

– Do Port Vykora – odpowiedział Kaspar. – A potem się zobaczy. Chcę konia i pieniądze, które

wystarczą mi na jedzenie i kwatery w drodze do domu oraz na pokonanie trasy z Saladoru do Opardum. Resztę waszych bogactw możecie sobie zatrzymać. Zgoda?

– Dobrze – zgodził się. – A teraz powinniśmy przygotować się do odjazdu. Wyruszamy jutro o świcie. Na południe rusza karawana, wyładowana zapasami dla wojska, i chociaż nie możemy się do niej oficjalnie przyłączyć, przez chwilę będziemy podróżować w jej cieniu. To odstraszy nieco bandytów.

– Bardzo dobrze – oświadczył książę. – Ale najpierw musimy znaleźć trumnę.

– Po co? – zdziwił się kupiec korzenny.

– Ponieważ tutaj ludzie grzebią swoich zmarłych, a nie palą jak u nas, więc trumna na wozie, przykryta brezentem przyciągnie daleko mniej ciekawskich spojrzeń niż ta... ta rzecz, tam. – Wskazał na wóz. – Z pewnością możecie jechać całą drogę do Miasta Nad Gadzią Rzeką i nikt się tym nie zainteresuje, czego nie można powiedzieć o komorze celnej w Port Wykor. Powiedzmy, że wiecie swego towarzysza, który ma spocząć w rodzimej ziemi, w... gdzie grzebią zmarłych w Królestwie?

– Wydaje mi się, że gdzieś w okolicach Widoku Kwestora.

– To będzie musiało wystarczyć – orzekł Kaspar. Popatrzył na swoich nowych trzech towarzyszy. – A jeżeli uda nam się dotrzeć do Miasta Nad Gadzią Rzeką, będziemy musieli wydać część waszych łupów na nowe ubrania. Wy, panowie, musicie wyglądać na godnych szacunku kupców, a nie na obieżyświatów i rzezimieszków.

– Chyba masz rację, Kasparze – przyznał kupiec jedwabny, pocierając podbródek, na którym czernił się pięciodniowy zarost.

– Śpicie w tym magazynie?

Flynn i pozostali pokiwali głowami.

– Próbowaliśmy spać w tawernach i zajazdach, położonych przy szlaku, ale to niemożliwe. Ciągłe się budziliśmy i nie mogliśmy się oprzeć chęci, by sprawdzić, czy ta rzecz jest bezpieczna.

– Czasami nawet dwa albo trzy razy w nocy – dodał Kenner.

– Zatem teraz śpimy pod wozem – wyjaśnił McGoin.

– Cóż, wy trzej możecie tutaj spać, jeśli musicie, ale ja tęsknię za gorącą kąpielą, czystym ubraniem i nocą w wygodnym łóżku w porządnej gospodzie. Daj mi trochę pieniędzy, Flynn.

Mężczyzna sięgnął do sakiewki, wygrzebał kilka srebrniaków i podał je księciu.

– A więc widzimy się jutro o świcie.

Opuścił magazyn i po raz pierwszy odkąd utracił panowanie nad swoim krajem, postanowił nieco

pofolgować zachciankom. Znalazł krawca i kupił nową tunikę, nogawice i bieliznę, a także kurtę i zgrabny filcowy beret z metalową broszą, ozdobioną fałszywym rubinem. Potem udał się na poszukiwanie najlepszej łaźni w mieście. Niestety, nie dorównywała ona standardom wielkich łaźni w Oparum.

Po kąpeli Kaspar poczuł się odświeżony i pełen nowych sił. Wynajął pokój w karczmie przy głównym miejskim placu i odkrył tam wcale przyjemną dziewczynę, podającą do stołów, która bez większych ceregieli zgodziła się odwiedzić go w pokoju, kiedy już odejdą ostatni goście, a ona skończy pracę.

Zaledwie godzinę po tym, jak zapadł w głęboki, odświeżający sen, obudził się nagle całkiem przytomny. Rozejrzał się po pokoju i poczuł dezorientację. Powoli uświadamiał sobie, gdzie jest. Przetoczył się na drugi bok i popatrzył na swoją towarzyszkę.

Była bardzo ładna, miała nie więcej niż dziewiętnaście lat i należała do typowych przedstawicielek swego fachu. Wyglądała na biedną dziewczynę, która ma nadzieję złapać bogatego męża, a przynajmniej dostać hojny prezent za to, że podzieliła się swymi wdziękami. Tylko czas mógł dać odpowiedź, czy posługaczka skończy jako szczęśliwa małżonka, czy jako dziewczka z domu rozpusty.

Księżę znów położył głowę na poduszce, ale sen nie nadchodził. Przewrócił się na drugi bok i spróbował oczyścić umysł z galopujących obrazów, lecz choć balansował już na krawędzi snu, ciągle widział pod powiekami denerwujący wizerunek pojazdu, ukrytego w magazynie, i tego, co na nim spoczywało.

W końcu wstał i ubrał się. Zostawił młodej kobiecie mały srebrny prezent. Jeżeli Flynn mówił prawdę, dostanie niebawem wystarczającą ilość pieniędzy, by napęłnić uszczuploną sakiewkę.

Właśnie otwierał cicho drzwi, kiedy dziewczyna się obudziła.

– Idziesz już? – zapytała zaspanym głosem.

– Zaczynam wcześniej pracę – odrzekł Kaspar i zamknął za sobą drzwi.

Szedł ostrożnie przez pogrążone w mroku ulice, mając na uwadze, że o tej porze po mieście raczej nie spacerują ludzie żyjący zgodnie z prawem. W końcu dotarł do magazynu i otworzył drzwi. Kenner czuwał, a pozostali mężczyźni spali.

Kupiec korzenny podszedł do niego, stąpając cicho i ostrożnie.

– Wiedziałem, że wrócisz, zanim nastanie świt – powiedział. Mężczyzna zignorował chęć odwarknięcia czegoś nieuprzejmego.

– Dlaczego nie śpisz? – zapytał po prostu.

– Jeden z nas zawsze czuwa. Będzie nam łatwiej, gdy do nas dołączysz. Która godzina?

– Jakieś dwie godziny po północy – rzekł Kaspar.

– A więc możesz wziąć następną trzygodzinną wartę, a potem obudź McGoina. – Kenner wczółgał się pod wóz, naciągnął na siebie koc i ułożył się do snu.

Książę znalazł sobie jakąś skrzynkę, usiadł na niej i zapatrzył się przed siebie. Poprzedni wartownik zasnął szybko, więc pozostał sam na sam ze swoimi myślami. Oparł się pokusie wdrapania się na wóz i uniesienia brezentu. Cały czas odpychał od siebie myśl, że to jakiś nienaturalny przymus kazał mu tu przyjść. Ale musiał pogodzić się z faktem, że znajduje się w magazynie wbrew własnej woli.

Przeklął wszystkich magów i wszystkie magiczne przedmioty, myśląc o niedalekiej przeszłości. W całej sytuacji dostrzegał zbyt wiele zbiegów okoliczności, ale odrzucił pomysł przeznaczenia albo tego, że bogowie chcieli, aby się tutaj znalazł. Nie zamierzał stać się niczyją zabawką. Cenił sobie towarzystwo maga, ale Leso Varen pełnił funkcję także jego doradcy. I choć wiele z udzielanych mu rad było odpychających i niegodziwych, zyski znacznie przekraczały koszty. Varen był wpływowym, prawdopodobnie najbardziej wpływowym ze wszystkich doradców na dworze Kaspara, ale to książę zawsze podejmował ostateczną decyzję i wydawał rozkaz, co ma być zrobione, a co nie.

Mroczne wspomnienia zalały jego umysł, kiedy przypomniał sobie, jak Leso Varen przybył na jego dwór. Pewnego dnia mag po prostu pojawił się na audiencji, podając się za człowieka szukającego miejsca, gdzie można przez chwilę osiąść. Przedstawił się jako prosty czarnoksiężnik, parający się nieszkodliwą magią. Jednak bardzo szybko zamienił się w stały element książęcego otoczenia i w pewnym momencie Kaspar zaczął zupełnie inaczej patrzeć na świat.

Zastanawiał się, czy zawsze w jego życiu ambicja zajmowała pierwsze miejsce, czy to miodowe słówka maga sprawiły, że zachowywał się tak, a nie inaczej.

Odepchnął na bok te nieprzyjemne myśli. Kiedy przypominał sobie dom i wszystko, co utracił, ogarniała go głęboka gorycz. Zamiast więc myśleć o tamtych chwilach, zwrócił swą uwagę na to, co powiedział mu Flynn.

Książę usiłował poustawić wydarzenia w odpowiednim porządku. Chociaż kupcy z Triagii rzadko robili interesy na kontynencie Novindus, czasami się to jednak zdarzało. A jeżeli już takowi się znaleźli, całkowicie sensownym było, że poszukiwali bogactw nieznanymi w obrębie Morza Królestwa. Natomiast fakt, że i ci ludzie, i on przybyli do tego małego miasteczka akurat w tym samym czasie, a w dodatku natknęli się na siebie, po czym odkryli, iż łączy ich wspólny interes, był nieomal niemożliwy. Jednak ciągle mógł stanowić zwykły zbieg okoliczności.

Poza tym los nie miał nic wspólnego z białowłosem magiem ani z miejscem, gdzie ten go porzucił. Z pewnością prawdopodobieństwo, że Kaspar nie przeżyje pierwszych kilku minut na pustkowiu było bardzo duże. Skąd więc nieznaną siłą czy związek mógł wiedzieć, że przetrwa starcie z nomadami i uda mu się pokonać pustynię? Książę wcale nie czuł się tak, jakby ktoś nad nim czuwał. Przez długi czas walczył ciężko, żeby trafić na ów rynek, gdzie spotkał go Flynn.

Wstał i zaczął się cicho przechadzać. Cała sytuacja zaczynała działać mu na nerwy. Nie miał

ochoty przyznać się samemu sobie, że cokolwiek poza nim samym ma wpływ na jego postęпки. Podobnie jak wielu ludzi jego pozycji szanował wiarę i bogów – składał ofiary w świątyni i uczestniczył w celebracji świąt, ale jego postępowanie wynikało raczej z obowiązku niż z wewnętrznego przekonania. Z pewnością żaden Midkemianin nie zaprzeczyłby istnieniu bogów: wśród ludzi krążyło zbyt wiele historii, pochodzących z wiarygodnych źródeł, które opisywały ingerencję bóstw w szereg wydarzeń na ziemi w minionych wiekach. Jednakże Olaskanin był prawie pewien, że tak wszechwładne istoty miały zbyt wiele własnych spraw na głowie, żeby zajmować się właśnie nim i martwić się jego położeniem.

Spojrzał na wóz, a potem cicho podszedł do rzeczy, ukrytej pod brezentem. Uniósł lekko płótno i popatrzył na ciemny hełm. Przedmiot wydał mu się złowrogi; nigdy nie widział czegoś tak tajemniczego. Wyciągnął rękę i dotknął hełmu, na wpół spodziewając się, że nieruchoma skorupa da jakiś znak życia – zawibruje albo zadrży, ale jego palce pogładziły tylko zimny metal, niepodobny do niczego, co widział w swoim życiu. Przyglądał się zbroi przez dłuższą chwilę, a następnie zakrył ją płótnem.

Powrócił do skrzynek i siedział na nich przez pewien czas, zmagając się z niepokojącym uczuciem, które zrodziło się, gdy patrzył na nieruchomy przedmiot. Potem zdał sobie sprawę, co go niepokoiło. Kiedy przyglądał się zbroi, czy ciału, czy cokolwiek to było, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ta rzecz nie jest martwa. Po prostu tam leżała. I na coś czekała.

* * *

Kaspar wdał się w długą rozmowę z jemedarem, dowodzącym eskortą karawany jadącej tuż przed ich wozem. Biorąc pod uwagę wiek oficera, książę założył, że jemedar odpowiada mniej więcej stopniu porucznika w olaskańskiej armii. I z pewnością havildar, który jechał u boku młodego żołnierza, był tak czerstwy jak stary sierżant, jakiego można znaleźć w każdej armii.

Pod koniec rozmowy jemedar o imieniu Rika zgodził się na to, aby Kaspar i jego towarzysze podróżowali za karawaną, oczywiście w odpowiedniej odległości, aby zaznaczyć, że oficjalnie nie są jej częścią. Obejrzał trumnę, ale nie nalegał, by ją otworzyć. Najwyraźniej nie uważał, że czterech mężczyzn może być jakimkolwiek zagrożeniem dla oddziału liczącego trzydziestu żołnierzy.

Tak więc książę siedział w siodle na całkiem niezłym, chociaż nie wspaniałym, wierzchowcu, który był na tyle wytrzymały, żeby przetrwać długą podróż do Miasta Nad Gadzią Rzeką. Przynajmniej tak długo, dopóki zapewni mu wystarczającą ilość pożywienia, wody i odpoczynku po drodze. Kenner jechał na ciemnym gniadoszu, a McGoin i Flynn powozili zaprzęgiem. Wóz, na którym spoczywała trumna, był solidnym pojazdem do przewożenia towarów, niczym nie różniącym się od wozów karawany. Zaprojektowano go raczej do zaprzęgu mułów albo wołów, a nie koni, ale te ostatnie zapewniały przynajmniej dobre tempo.

Handlarz klejnotami pokazał mu zawartość skrzyni, również stojącej na wozie, która zmusiła

księcia do podziwiania decyzji kupców, żeby podzielić zyski pomiędzy rodziny ich martwych kompanów. Złoto oraz inne przedmioty zrobiłyby z trzech ocalałych członków wyprawy bogaczy na całe życie.

Jednakże coś w całym tym przedsięwzięciu niepokoiło Kaspara. Nieważne jak mocno usiłował przekonać samego siebie, że cała sytuacja to jedynie zbieg okoliczności, choćby nie wiadomo jak nieprawdopodobny, w końcu zgodził się w duchu, że coś tu jest nie tak.

Tego samego dziwnego uczucia doświadczał w momentach, gdy towarzyszył mu Leso Varen. Tak samo miał wrażenie, że patrzy na swoje życie z pewnej odległości. Ale tym razem był w pełni świadom, że dzieje się coś dziwnego.

Może jego trzech towarzysze mieli rację i zbroja, bo tak zaczął myśleć o tym przedmiocie, rzeczywiście zawiera jakiś rodzaj mocy oraz przejmuje panowanie nad tymi, co weszli z nią w kontakt. Może będzie musiał przebyć całą drogę do Stardock, żeby się od niej uwolnić. Lecz cokolwiek się stanie, pokona wielki odcinek trudnej i odległej trasy, a tym samym osiągnie więcej, niż śmiał marzyć jeszcze kilka tygodni temu.

W południe oni i Kenner zamienili się miejscami z Flynnem i McGoinem. Teraz księżę powoził zaprzęgiem. Przed sobą wciąż widzieli żołnierzy, więc nie musieli rozglądać się wokoło w poszukiwaniu kłopotów. Nie odrywali jednak wzroku od kraj obrazu, gdyż interesowało ich nowe otoczenie. Często też spoglądali do tyłu.

– Boicie się, że ktoś za wami jedzie? – zapytał w końcu Kaspar.

– Zawsze – potwierdził Kenner, najwyraźniej nie przejawiając chęci do dalszych wyjaśnień.

* * *

Mimo wojskowych straży, które stały na drodze zaledwie sto metrów przed nimi, czterech mężczyzn wystawili swoje własne warty wokół ogniska. Kaspar wylosował trzecią wartę, czyli dwie godziny w najgłębszych ciemnościach nocy.

Wypróbował już wszystkie sztuczki pozwalające na uniknięcie snu. Jego ojciec nauczył go większości z nich, kiedy po raz pierwszy wyruszył na kampanię wojenną z armią Olasko. Miał wtedy zaledwie jedenaście lat.

Nie patrzył w ogień, gdyż wiedział, że płomienie go zahipnotyzują, uwiężą spojrzenie i stanie się całkiem ślepy, gdy będzie musiał wypatrzeć wroga w ciemności. Zamiast tego starał się przenosić wzrok z miejsca na miejsce. Inaczej narażał się na to, że zacznie dostrzegać wyimaginowane kształty i spowoduje fałszywy alarm. Od czasu do czasu podnosił wzrok na blednący księżyc i odległe gwiazdy, żeby oczy nie męczyły się patrzeniem w pustkę.

Kiedy minęła pierwsza godzina warty, dostrzegł nieznaczny ruch w pobliżu wozu, ledwie widoczny w mroku. Podeszedł szybko do pojazdu i znów zobaczył coś na granicy blasku padającego z ogniska.

– Obudźcie się! – odezwał się, nie spuszczając oka z tamtego miejsca.

Pozostali trzej poderwali się natychmiast.

– Co? – zapytał Flynn.

– Coś tam jest, tuż obok ogniska.

Trzej mężczyźni natychmiast wyszli spod wozu i stanęli w pełnej gotowości z bronią w ręku.

– Gdzie? – zapytał Kenner.

– O tam – odrzekł Kaspar, wskazując na miejsce, gdzie widział zarys postaci.

– Kasparze, chodź ze mną – zarządził kupiec klejnotów. – A wy nie spuszczajcie nas z oka i pilnujcie naszych pleców – poinstruował pozostałą dwójkę.

Ruszyli powoli naprzód, trzymając miecze w pogotowiu. Kiedy dotarli na miejsce, które pokazywał wartownik, nie znaleźli nic prócz pustego pola.

– Mógłbym przysiąc, że coś tam widziałem – powiedział ksiązę.

– W porządku – pocieszył go handlarz. – Już się do tego przyzwyczailiśmy. Lepiej być żywym i bezpiecznym, niż nic nie zrobić.

– To się zdarzało już wcześniej?

– Bardzo często się zdarzało – potwierdził, kiedy wracali do względnego ciepła ogniska.

– Widzieliście, kto to był? – zapytał jasnowłosy kupiec.

– Tylko jakiś cień.

– To dobrze. – McGoin wpełzł z powrotem pod wóz.

– Dlaczego? – spytał Kaspar.

– Ponieważ to nic poważnego – wyjaśnił kupiec jedwabny. – Dopiero kiedy widzisz dokładnie, co to jest... wtedy robi się niebezpiecznie.

– Niebezpiecznie? – dociekał dalej, gdy pozostali ułożyli się wygodnie pod wozem.

– Chciałbym wiedzieć, co to jest – westchnął Kenner.

– To nie ma najmniejszego sensu – zdenerwował się książę.

– Nie, nie ma – zgodził się Flynn. – Miej oczy dookoła głowy i zbudź mnie za godzinę.

Reszta nocy upłynęła bez żadnych niespodzianek.

* * *

Kiedy dotarli do Nabundy, oddział eskortujący karawanę odłączył się od wozów, żeby zdać raport lokalnemu oficerowi. Gdy wjeżdżali do miasta, jemedar pomachał uprzejmie Kasparowi i jego towarzyszom na pożegnanie.

– Musimy wynająć jakiś skład, żeby schować wóz – oznajmił Flynn. – A potem zdobyć jakieś informacje o sytuacji na południu.

Zmitrężyli większość dnia na poszukiwaniu odpowiedniego miejsca na wóz, gdyż większość składów była pełna. W końcu rozbili obóz w kącie publicznej stajni i zapłacili za to cenę trzykrotnie większą od normalnej.

Nabunda pękała w szwach od uchodźców z południa, uciekających przed konfliktem. Były tam żony żołnierzy i obozowe ciury, podobnie jak ci, którzy uznali armię za doskonałe źródło zysku. Złodzieje i szarlatani, kieszonkowcy i krawcy, wszyscy pragnęli ubić jak najlepszy interes w mieście ogarniętym gorączką wojenną.

Usiedli w końcu w zatłoczonej tawernie.

– Ten konflikt przygraniczny ma wszelkie widoki na to, aby zmienić się w regularną wojnę – zauważył książę.

– Skąd możesz to wiedzieć? – zapytał kupiec szlachetnych kamieni, przysuwając sobie krzesło.

Pojawiła się jedna z kobiet obsługujących gości, niemłoda, lecz ciągle atrakcyjna, i przyjęła zamówienia.

– Wydawało mi się, że mówiłeś, że nie jesteś najemnikiem – powiedział McGoïn, kiedy kobieta odeszła.

– Bo nie jestem, ale kiedyś byłem żołnierzem – wyjaśnił Kaspar. – Jeżeli mam być szczery, większość mojego życia spędziłem w armii Olasko.

– Dlaczego odszedłeś? – zapytał Kenner.

– Bo w ostatniej wojnie byłem po złej stronie – odparł, nie chcąc wdawać się w szczegóły.

Rozejrzał się dookoła – Ale widziałem wystarczającą ilość walk i konfliktów, żeby rozpoznać co się święci dodał – Zawsze najpierw pojawiają cię ci, co chcą ubić z okazji wojny interes swojego życia – Pokazał na stolik w kącie, przy którym toczyła się ożywiona gra w karty. Nie wiem, co to za gra, ale założę się, że facet, który siedzi plecami do kąta sali zainicjował rozgrywkę. I założę się także, że grają jego osobistą talią.

Następnie pokazał na inną małą grupkę mężczyzn, ubranych w pospolite odzienie, zebraną w przeciwległym kącie.

– I tak samo założę się, że ci panowie są kupcami, ale nie taki mi jak wy. To krawiec, którego klienci, tacy jak Jemedar Rika, pragną, aby ich mundury leżały na nich doskonale, to szewc, który robi buty do konnej jazdy tak piękne, że nie powstydzą się ich nawet generał. Może jest wśród nich także druciarz, gdyż wiele kobiet gotuje dla swych mężów w wigilię bitwy, a garnki także wymagają naprawy – Popatrzył z powrotem na towarzyszy – Tak wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują na to, że szykuje się wojna, moi przyjaciele.

Flynn wyglądał na zatroskanego.

– Podróż na południe może stać się problemem.

– Zdziwiłbyś się zadrwił Kaspar – Wojna to chaos, a z chaosu wynika wiele możliwości.

Na stole pojawiło się jedzenie i rozmowa zamarła

* * *

W mieście nie było żadnych wolnych pokoi, więc czterej mężczyźni wrócili do stajni. Stajenny spał mocno na stryszku i ich przybycie go nie obudziło.

Ale z niego stróż – mruknął książę, kiedy jego trzej kompani wpełzli pod wóz i ułożyli się na spoczynek.

Zasnął szybko, ale męczyło go nieustanne poczucie zagrożenia, chociaż nie nękały go koszmary. Nagle poczuł, że ktoś stoi obok mego i otworzył oczy.

Zobaczył nad sobą czarną zbroję. Przez otwór w hełmie złowrogo patrzyły oczy, czerwone i złe. Kaspar przez chwilę leżał bez ruchu. Uzbrojona postać szybkim, kocim ruchem wyjęła czarny miecz i wzniosła ostrze do góry, żeby uderzyć w mężczyznę.

Książę usiadł, uderzając głową w dno wozu z taką siłą, że niemal stracił przytomność. Pociemniało mu przed oczami i przez chwilę nic nie widział. Krzyczał i miotał się w poszukiwaniu swego miecza.

Nagle złapała go jakaś ręka. Co się stało? – zawołał Flynn.

– Człowieku, to tylko sen – powiedział Kenner.

Kaspar zamrugał, żeby pozbyć się łez wypełniających mu oczy i ujrzał nabywcę kamieni szlachetnych, który pełnił pierwszą wartę. Mężczyzna klęczał nad nim. Kupiec korzenny ciągle leżał po drugiej stronie księcia.

Kaspar wyczołgał się spod wozu i rozejrzał się dookoła. Potem spojrział na brezent i odciągnął go.

– Przysięgnę, że to – mruknął, kładąc rękę na pokrywie trumny.

– Wiemy oznajmił kupiec klejnotów.

– Wszyscy mieliśmy ten sam sen – wyjaśnił McGoin – Tak jakby to nagle ożywało.

– Wszyscy?

Od czasu do czasu powiedział jasnowłosey – Po prostu nie możesz pozostawać w pobliżu tej rzeczy i ustrzec się koszmarów.

– Włącz z powrotem i śpij, jeśli zdołasz – poradził mu Flynn. Nie zaprotestował Olaskanin, trąc obolałe ciemię. Wezmę resztę twojej warty, a potem swoją. Obudzę McGoma dwie godziny po pomocy.

Mieszkaniec Kinnoch nie spierał się z księciem, tylko zostawił go na długiej warcie. Kaspar próbował odegnać od siebie resztki snu. Koszmar wciąż żył w jego pamięci, wyjątkowo intensywny. Niepokoiło go wrażenie, którego doznał, kiedy dotykał skrzyni. Przez ułamek sekundy drewno zawibrowało pod jego palcami, tak samo jak czarny miecz.

Nawet po tym, jak obudził kupca jedwabnego, nie mógł zasnąć.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dowódca

Strażnik gestem kazał im się zatrzymać. Flynn sprowadził konie na pobocze drogi i czekał, aż jeździec ich dogoni. Nadjeżdżający miał rangę subedara, co w olaskańskiej armii odpowiadało starszemu kapralowi albo młodszemu sierżantowi. Żołnierze, którymi dowodził, zsiadli z koni i skryli się pomiędzy kamieniami, krzakami i paroma zwalonymi drzewami w wąskim wąwozie, rozdzielającym dwa wzgórza.

– Droga przed wami jest zamknięta – powiedział, kiedy podjechał bliżej. – Natknęliśmy się na oddziałek żołnierzy Sasbataby. Zajęli wioskę.

– Zamierzacie ich zaatakować? – spytał Olaskanin.

– Dostałem rozkaz nawiązania kontaktu, cofnięcia się, zawiadomienia zwierzchników, a potem czekania na posiłki.

– Ostrożne podejście – powiedział książę, patrząc na obdartych żołnierzy pod jego komendą. – Biorąc pod uwagę fakt, że jeśli twoi żołnierze są zmęczeni tak bardzo, jak wyglądają, prawdopodobnie to najlepsze wyjście.

– Jesteśmy na froncie od miesiąca – odparł subedar, nie wykazując chęci do dalszej pogawędki. – Jeżeli chcecie jechać na południe, będziecie musieli znaleźć inną, okrężną drogę.

Kaspar podjechał do Flynna i zrelacjonował mu przebieg rozmowy.

– Z ostatniego miejsca, przez które przejeżdżaliśmy, wychodziła droga na południowy wschód – dodał jeszcze.

– Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy – rzekł kupiec i zaczął zawracać wóz.

Jechali drogą na północ zaledwie kilka minut, kiedy powoli minął ich spory oddział kawalerii. Flynn sprowadził wóz na pobocze drogi i czekał, aż żołnierze ich miną. Dopiero wtedy ruszył dalej.

Miasteczko Higara, które opuścili zaledwie dwie godziny temu, wyglądało teraz jak obóz wojskowy. Wzdłuż drogi biegali wartownicy w poszukiwaniu przydzielonych pozycji. Zupełnie zignorowali wóz, wtaczający się do wioski, ale Kaspar wiedział, że to nie potrwa długo. W Higarze zatrzymały się karawany wojskowe oraz naczelne dowództwo armii i dla wszystkich było jasne, że miejscowa karczma zamieni się wkrótce w sztab dowodzenia.

– Wygląda na to, że Raj podszedł poważnie do tego, co subedar i jego ludzie znaleźli na południu

od miasta, cokolwiek by to było – zauważył ksiązę.

Flynn i pozostali pokiwali głowami.

– Nie znam się zbytnio na armiach – powiedział Kenner. – Ale ta wydaje mi się wcale spora.

Kaspar pokazał na północ.

– Sądząc po wielkości chmury kurzu, powiedziałbym, że jest nawet bardzo duża. Zgaduję, że tamtą drogą przemieszcza się cały regiment.

Spróbowali przejechać przez miasteczko w pośpiechu, żeby nie zwrócić na siebie uwagi, ale kiedy skręcali na drogę południowo wschodnią, na ich trasie ustawił się oddział żołnierzy i zablokował przejazd.

– A dokąd to się wybieracie? – zapytał subedar, z wyglądu prawdziwy twardziel.

Były władca Olasko podjechał do niego i zsiadł z konia.

Próbujemy dostać się do Miasta Nad Gadzią Rzeką i ominąć teren działań wojennych, które właśnie zamierzacie rozpętać.

– Które zamierzamy rozpętać, tak mówisz? – zapytał żołnierz – A co pozwala ci tak twierdzić?

Zapytany rozejrzał się dookoła i zachichotał.

– Cóż, ten duży regiment piechoty, właśnie zmierzający drogą oraz trzy kompanie kawalerii, które minęły nas wcześniej dzisiejszego dnia. Wydaje mi się, że to całkiem przekonujący dowód.

– Co jest na wozie?

– Trumna – odrzekł Kaspar – Nie jesteśmy stąd. Przybyliśmy zza Zielonego Morza, a teraz wracamy do domu i zabieramy ze sobą naszego martwego towarzysza, żeby mógł spocząć w rodzinnej ziemi.

Sierżant, jak myślał o nim ksiązę, podszedł do wozu i odsunął brezent.

– Musieliście bardzo lubić waszego przyjaciela, skoro wleciecie jego ciało przez pół świata, żeby je pochować. Wokoło jest wiele odpowiedniej ziemi – Przyjrzał się trumnie z bliska – Za dzień lub dwa będziemy tu mieli zatrzesienie ciał – mruknął. Wspiął się na wóz i zobaczył skrzynię, przysuniętą do deski, na której siedzieli Kenner i Flynn – Co to jest”?

– Jesteśmy kupcami – oznajmił były ksiązę Olasko – A to nasze zyski, jakie osiągnęliśmy podczas

naszej podróży.

– Otwórz ją – rozkazał oficer.

Flynn rzucił mu spojrzenie pełne desperacji, ale Kaspar je zignorował.

– Nie mamy nic do ukrycia – powiedział.

Człowiek z Kinnoch podał księciu klucz i otworzyli skrzynię.

– To fortuna jęknął subedar. Skąd mam wiedzieć, że do szliście do takich bogactw legalną drogą?

Nie masz powodu, żeby myśleć inaczej – odparował Olaskanin – Gdybyśmy byli bandytami, nie transportowalibyśmy naszych łupów przez strefę ogarniętą wojną. Raczej uciekalibyśmy na północ, pijąc piwo i zabawiając się z dziewczkami!

– Może jest coś w twojej historii, ale to nie mój problem To mój dowódca zajmuje się takimi sprawami.

Następnie kazał im zsiąść z koni i przywołał dwóch swoich ludzi. Powiedział im, żeby zabrali wóz do stajni.

Chodźcie za mną – rozkazał, kiedy już wszyscy czterej stali na ziemi.

Zaprowadził ich do karczmy, którą armia zajęła na kwatery głównodowodzącego, po czym kazał czterem towarzyszom stanąć w kącie i nie przeszkadzać. Wykonali polecenie. Książę obserwował subedara, podczas gdy ten rozmawiał najpierw z młodszym oficerem, a potem ze starszym stopniem.

Starszy oficer ubrany był w zakurzoną, ale doskonale skrojoną tunikę, ozdobioną złotą lamówką wokół kołnierzyka i rękawów. Na głowie miał biały turban. Ze szczytu nakrycia głowy wznosił się wieheć z końskiego włosia, ufarbowanego na ciemnopurpurowy kolor i upiętego srebrną broszą. Mężczyzna miał kunsztownie przyciętą brodę – w stylu, który Kaspar faworyzował przez wiele lat. Machnął ręką w kierunku czterech przyjaciół, by podeszli.

– Moj subedar doniósł mi, że mienicie się kupcami – powiedział dowódca.

– Bo nimi jesteśmy, panie – odparł książę tonem pełnym respektu i uszanowania.

– Nie wyglądacie mi na handlarzy cieszących się dobrą opinią, bo strasznie jesteście obdarci.

Były władca Olasko popatrzył mu prosto w oczy.

Bardzo wiele przeszliśmy. Kiedy zaczęliśmy naszą podróż, było nas trzydziestu – przemilczał fakt, że on dołączył do wyprawy później – a teraz zostało nas czterech.

– Hmm, i najwyraźniej udało wam się zgromadzić całkiem pokaźną skrzyneczkę łupów.

– To nie łupy, panie, ale uczciwie zdobyte pieniądze zaprzeczył, ciągle zachowując spokój i przekonywujący ton.

Dowódca przez dłuższą chwilę patrzył na mego w milczeniu.

– Jesteście tu obcy – rzekł w końcu co zresztą działa na waszą korzyść, gdyż nie mogę uwierzyć, że nawet taki król idiota z Sasbataby, co ma błoto w głowie, jest zdolny uznać czterech kupców z obcego kraju, którzy podróżują wozem z trumną i skrzynią skarbów, za szpiegów. Zaufam wam, nie z naiwności, ale dlatego, że nie mam czasu, żeby się zastanawiać, czy jesteście uczciwymi kupcami, czy rzezimieszkami. O to niech się martwi lokalny konstabl. Ja mam swoje problemy. Muszę jakoś przeciągnąć linę przez ucho igielne.

Olaskanin rzucił okiem na stół, na którym leżała rozpostarta mapa. W swoim życiu widział wystarczającą ilość wojskowych map, żeby ocenić sytuację na pierwszy rzut oka.

– To przewężenie na drodze dwie mile za miastem jest obosiecznym mieczem.

– Masz dobre oko do map i sytuacji, nieznajomy. Byłeś kiedyś żołnierzem?

– Tak.

Mężczyzna przyjrzał się Kasparowi uważnie.

– Oficerem? – zapytał.

– Dowodziłem oddziałem – odparł książę wymijająco.

– I widziałeś ten wąwóz na drodze?

– Tak. I uważam, że to pozycja, której wolałbym bronić, a nie wyprowadzać atak.

– Ale cholerny problem w tym, że musimy się znaleźć po drugiej stronie tego przewężenia.

Kaspar nie spytał o pozwolenie, tylko po prostu podszedł do mapy. Przyglądał się jej przez chwilę.

– Równie dobrze możesz wezwać z powrotem swoją kawalerię. Nie mają tam nic do roboty, chyba że chcesz zobaczyć, jak dziesiątkują ich strzały wroga, kiedy będą wjeżdżać dwójkami w to wąskie gardło.

Dowódca gestem przywołał do siebie adiutanta.

– Poślij gońca i każ kawalerii wracać z powrotem do miasteczka – powiedział. – I zostaw na linii frontu grupę posłańców.

– Jeżeli już daję ci rady – przerwał mu książę – miej na uwadze, że ludzie na przełęczy wyglądali tak, jakby od miesięcy nie widzieli ciepłego posiłku.

– Wiem, jaka jest sytuacja.

– Jeżeli teraz ja mogę cię poprosić o radę – odezwał się znów Olaskanin, patrząc na mapę – czy południowo wschodni szlak pozwoli nam na objechanie terenu działań wojennych?

Rozmówca roześmiał się.

– Z całą pewnością. Droga zaprowadzi was w końcu do Gadziej Rzeki, skąd możecie wziąć łódź, ale w dzisiejszych czasach to niebezpieczna podróż. – Westchnął ciężko. – W czasach mojego dziadka – dodał – Miasto Nad Gadzią Rzeką pilnowało porządku na terenach ciągnących się na setki mil w górę rzeki. Lokalni władcy także pomagali utrzymać spokój i raczej nie zdarzały się konflikty, za wyjątkiem jednej czy dwóch utarczek. W tamtych latach kupcy mogli podróżować praktycznie wszędzie bez żadnej ochrony, lecz teraz radziłbym wam odłożyć nieco wyjazd do czasu, aż wynajmiecie kompanię najemników. Niestety ciężko ich znaleźć w tych rejonach.

– Bo wszyscy noszą twoje barwy? – zapytał Kaspar z uśmiechem.

– Albo Sasbataby. – Obrzucił ich wszystkich złowrogim spojrzeniem. – Gdybyście nie byli tacy starzy – rzucił – natychmiast bym was wcielił do swoich oddziałów. – Uniósł dłoń do góry. – Ale sprawy mają się inaczej, więc poproszę was o jeszcze jedną radę. Doceniam świeże spojrzenie na sytuację. Popatrzcie na mapę i powiedzcie mi, jakbyście sobie poradzili z tym wąskim gardłem.

– Nie wiemy, jakie są siły przeciwnika i jak je rozmieszczono, a także nie znamy liczebności twoich oddziałów, więc możemy tylko zgadywać.

– Zatem założcie, że w miasteczku, oddalonym od przewężenia o godzinę drogi, zgromadziły się wystarczające siły. Wróg ma prawdopodobnie kilka kompanii łuczników, usadowionych na kamieniach na zboczach wąwozu i w lesie po drugiej stronie przewężenia.

Księżę przez dłuższy czas wpatrywał się w mapę.

– Poszedłbym naokoło – orzekł w końcu.

– I zostawiłbyś ich za plecami?

– Dlaczego nie? – Pokazał palcem punkt na mapie. – O tu macie ładną, szeroką dolinę. I w dodatku tylko trzy dni jazdy stąd na zachód. – Przesunął palcem po pergaminie. – Zostawiłbym tutaj wystarczającą ilość ludzi, żeby robili hałas i zwrócili uwagę wszystkich szpiegów i zwiadowców, kręcących się w pobliżu.

Potem wysłałbym parę oddziałów piechoty wprost do wąwozu. Niech dmą w trąby i powiewają proporcami, a następnie niech się okopią. Zrób tak, żeby wyglądało na to, że szykujecie się na dłuższe oblężenie. Później, kiedy piechota zajmie uwagę wroga, wysłałbym na zachód te trzy kompanie kawalerii wraz z konnymi łucznikami, jeśli zdołasz ich skądś wytrzasnąć. Zostawiłbym część konnych za plecami ludzi Sasbataby, ukrytych w lasach i na wzgórzach, a reszta niech jedzie do tego miasteczka. I tak, zamiast dać się nabić w butelkę, będziecie mieli wioskę, a łucznicy Sasbataby znajdą się w potrzasku.

– Całkiem niezły plan. Całkiem niczego sobie. – Popatrzył na dawnego księcia Olasko. – Jak się nazywasz?

– Jestem Kaspar z Olasko. – Odwrócił się. – A to moi towarzysze, Flynn, Kenner i McGoin z Królestwa Wysp.

– A ten nieszczęśnik na wozie?

– Były przywódca naszej eskapady, Milton Prevence.

– Królestwo Wysp? Myślałem, że ta kraina istnieje tylko w legendach – zauważył stary oficer. – Ja nazywam się Alenburga i jestem generałem brygady.

Kaspar skłonił się lekko.

– Cała przyjemność po naszej stronie, generale Alenburga.

– Oczywiście, że tak – odparł generał. – Niektórzy z moich starszych oficerów po prostu by was powiesili, żeby nie robić sobie kłopotu. – Skinął na swego subedara. – Weź tych ludzi do narożnego domu i zamknij ich.

Flynn chciał coś powiedzieć, ale księżę uciszył go gestem dłoni.

– Na jak długo? – zapytał.

– Do czasu aż ocenię, czy ten wasz cholerny plan ma jakąś wartość. Dzisiaj po południu wyślę zwiadowców i jeżeli wszystko pójdzie dobrze, wy i ja, w przeciągu tygodnia, znów pojedziemy na południe.

Olaskanin pokiwał głową.

– Jeżeli to nie kłopot, chcielibyśmy sami zadbać o nasze wyżywienie – powiedział.

– To nie kłopot, ale oszczędźcie sobie starań, gdyż w mieście nie ma ani grama jedzenia. Mój kwatermistrz zażądał wszystkiego, co tylko nadaje się do wrzucenia do garnka. Lecz nie martwcie się. Zadbamy, żebyście zostali nakarmieni. Proszę, dołączcie do mnie dziś wieczór na kolacji.

Kaspar uklonił się i razem z towarzyszami ruszył za subedarem. Zaprowadzono ich do małego domku, położonego tuż przy głównym rynku. Oficer otworzył drzwi.

– Panowie, za drzwiami i pod oknami stoją strażnicy, więc sugeruję, żebyście nie robili głupstw. Przyjdę po was w porze kolacji.

Księżę wprowadził swoich kompanów do środka i rozejrzał się po prowizorycznym więzieniu. Dom był mały; składał się z tylko dwóch pomieszczeń – kuchni i sypialni. Za oknem rozpościerał się skromny ogródek, w którym stała studnia. Wszystko, co nadawało się do jedzenia, zostało zabrane

z ogrodu, a kredens także ział pustką.

– Ja dzisiaj śpię na podłodze – powiedział Kaspar, widząc, że w sypialni są tylko dwa łóżka. – Będziemy się zamieniać.

– Wydaje się, że nie mamy wyboru – westchnął Flynn.

– Nie – zgodził się książę i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Ale może będziemy mieć jakąś korzyść z tej całej sytuacji.

– Jaką niby korzyść? – zapytał Kenner.

– Jeżeli generał Alenburga nas nie powiesi, równie dobrze może nas eskortować przez pół drogi do Miasta Nad Gadzią Rzeką. Armia lepiej chroni niż banda najemników.

McGoin podszedł do łóżka i rzucił się na pościel.

– Jeżeli tak mówisz, Kasparze – zawołał przez przymknięte drzwi.

Handlarz przypraw usiadł na krześle, stojącym pomiędzy stołem i paleniskiem w głównym pomieszczeniu.

– Czy ktoś pamiętał o tym, żeby zabrać ze sobą talię kart? – zapytał zrezygnowanym głosem.

* * *

Po trzech nocach kolacja z generałem i jego sztabem stała się niezmiennym punktem programu. Sztab Alenburgi składał się z pięciu młodszych oficerów oraz starszego doradcy w randze pułkownika. Generał okazał się miłym gospodarzem. Jedzenie nie uszłoby nawet za najmarniejszą przekąskę na najuboższym bankiecie, lecz i tak było znacznie smaczniejsze niż to, co Kaspar jadał po drodze. I chociaż do kolacji nie podawano wina, pito całkiem niezły porter, a kwatermistrz generała okazał talent do wymyślania całej gamy potraw, choć dysponował ograniczoną liczbą składników.

Po posiłku dowódca poprosił dawnego księcia Olasko, żeby ten został chwilę dłużej Flynn i pozostali odeszli do kwater. Kiedy już znikli, generał odesłał swojego ordynansa i kazał strażnikom opuścić pokój. Wziął ze stołu dwa kielichy i wyjął butelkę wina z torby stojącej obok posłania.

– Nie mam wystarczającej ilości dla wszystkich oficerów, ale schowałem sobie kilka butelek na takie właśnie okazje.

– A jaka to okazja? – zapytał biorąc kielich z rąk Alenburgi.

– Właściwie takie małe święto – odrzekł – Nie zamierzam was wieszać.

Książę uniósł kielich.

– A więc wypijmy za to – Pociągnął łyk – Bardzo dobre – powiedział po chwili – Z jakich winogron się je robi?

– Nazywamy tę odmianę „sharez” – Generał także upił nieco z kielicha. Uprawia się je w kilku miejscach, niedaleko stąd.

– Będę musiał zabrać ze sobą do domu butelkę lub dwie – już chciał powiedzieć, że jego podczaszy wręczy próbki wina handlarzom w Oparum i wyszuka tę samą odmianę winogron w Królestwie Keshu, ale na szczęście w porę dotarła do niego rzeczywistość żebym mógł wspominać te miłe wieczory, sącząc wspaniały napój.

– Wspaniały wieczór w samym środku wojny to coś bardzo miłego zgodził się Alenburga – W każdym razie moi zwiadowcy donieśli, że sytuacja wygląda mniej więcej tak, jak zakładałeś. W okolicy kręcą się niewielkie patrole, które łatwo będzie zneutralizować, a wtedy można przeprowadzić atak z zachodniej flanki bez ryzyka natknięcia się na wroga wcześniej. Teraz wiem na pewno, że nie jesteście szpiegami.

– Wydawało mi się, że doszedłeś do tego wniosku już jakiś czas temu.

– Ostrożności nigdy za wiele. Wydawało mi się, że wasza opowieść jest tak nieprawdopodobna, a wygląd tak nietypowy, że możecie być jakimiś bardzo przebiegłymi szpiegami. Wątpiłem w to, ale jak powiedziałem, ostrożności nigdy za wiele. Uśmiechnął się i napił się wina. Nasi wrogowie nie podaliby na tacy łatwego zwycięstwa, żeby dać nam fałszywe złudzenie własnej siły. Poza tym, jeżeli zajmiemy dwa miasteczka na południe stąd, Sasbataba zostanie zmuszony do błagania o pokój, w przeciwnym bowiem razie zmieciemy go z powierzchni ziemi. Ten król to idiota, lecz jego generałowie nie są głupcami. Najdalej za miesiąc będziemy mieć zawieszenie broni.

– To coś, czego z niecierpliwością wypatruję – zgodził się Kaspar.

To z pewnością ułatwi wam podróż do Miasta Nad Gadzią Rzeką – zauważył generał. Nie masz pojęcia, jak nieprzyjemne mogą być te przygraniczne przepychanki i jak fatalny wpływ wywierają na handel.

– Uwierz mi, że mam westchnąć.

Dowódca zmierzył go wzrokiem.

– Jesteś szlachcicem, prawda? - zapytał po dłuższej chwili.

Kaspar nie odpowiedział, tylko skinął głową.

– A twoi towarzysze, oni o tym nie wiedzą?

Książę pociągnął łyk wina.

– Nie chcę, żeby o tym wiedzieli – powiedział w końcu. Jestem pewien, że masz ku temu wystarczające powody. Zgaduję, że jesteś daleko od domu.

– Mniej więcej po drugiej stronie świata – odrzekł – Ja byłem władcą pewnego księstwa. Byłem piętnastym księciem Olasko. Moją rodzinę łączy bliskie pokrewieństwo z tronem w Roldem. To niezbyt duże królestwo, ale z pewnością jedno z najbardziej wpływowych w regionie. Mamy wspólnych przodków. Ja – Jego oczy nagle złagodniały, kiedy przypomniał sobie rzeczy, o których nie myślał od momentu spotkania z Flynnem i pozostałymi – Ja padłem ofiarą dwóch najgorszych przywar, jakie mogą zagrozić władcy.

– Próżności i oszukiwaniu samego siebie podpowiedział Alenburga.

Kaspar roześmiał się.

– Zatem niech będzie, że trzech Zapomniałeś o ambicji.

– Władza, którą odziedziczyłeś, przestała ci wystarczać?

Były władca wzruszył ramionami.

– Myślę, że istnieją dwa rodzaje ludzi urodzonych po to, aby być władcami. No cóż, trzy, jeżeli będziesz także liczył głupców. Ale z pozostałych dwóch, co mają smykałkę do władzy, jeden będzie zadowolony z tego, co ma, a drugi będzie zawsze szukał sposobu, aby powiększyć swoje państwo. Obawiam się, że ja z natury należę do tej drugiej kategorii. Zawsze pragnąłem rządzić jak największym obszarem i przekazać w spadku moim dziedzicom prawdziwie wielkie królestwo.

– A więc ambicja i próżność na dużą skalę.

– Wygląda na to, że rozumiesz.

– Jestem spokrewniony z Rajem, ale nie mam innych ambicji aniżeli służba memu władcy i przywrócenie pokoju temu regionowi. Mój kuzyn jest młodym, inteligentnym człowiekiem. Nigdy jeszcze takiego nie spotkałem. Nie mam synów, ale nawet gdybym miał, nie potrafię sobie wyobrazić nikogo innego, kto mógłby lepiej zadbać o kraj, który pomagałem budować. On jest... niesamowity. Straszna szkoda, że go nie poznasz.

– A dlaczego go nie poznasz?

– Ponieważ spieszysz się na południe i chcesz wyruszyć w drogę najszybciej, jak się da. Jazda z powrotem do Muboi z pewnością nie leży w twoich planach.

– Cóż, wygląda na to, że masz rację. Zatem mam rozumieć, że jesteśmy wolni i możemy ruszać?

– Jeszcze nie. Jeżeli przegramy, bazując na tym twoim szalonym planie...

– Moim? – zawołał Olaskanin ze śmiechem.

– Oczywiście, że twoim, o ile przegramy. Jeżeli wygramy, to ja będę tym geniuszem odpowiedzialnym za oszałamiające zwycięstwo.

– Oczywiście – zgodził się książę, unosząc kielich gestem pozdrowienia i upijając łyk.

– Straszna szkoda, że tak bardzo pragniesz wrócić do domu. Spodziewam się, że kryjesz przede mną wspaniałą historię. Jak potężny władca całego narodu znajduje się nagle na drugim końcu świata i przedziera się przez pustkowia w towarzystwie bandy kupców. Gdybyś jednak postanowił zostać, wiem, że potrafiłbym znaleźć dla ciebie odpowiednie stanowisko. Ludzie utalentowani są u nas w wielkiej cenie.

– Mam tron, o który muszę się upomnieć.

– Cóż, możesz mi o tym opowiedzieć jutro wieczorem. Idź i powiedz swoim przyjaciołom, że jeżeli zwyciężymy w przeciągu kilku następnych dni, będziecie mogli ruszać nie później niż za tydzień. Dobranoc, wasza wysokość.

Kaspar uśmiechnął się, słysząc swój dawny tytuł.

– Dobranoc, panie generale.

Wrócił do kwatery i pożegnał eskortujących go żołnierzy, życząc im dobrej nocy. Kiedy wszedł do domku, zdziwił się przelotnie, jak wiele opowiedział generałowi o swojej przeszłości, i zdał sobie sprawę, że rozmowa z kimś, kto rozumiał istotę rządzenia, sprawiła mu wielką ulgę. Potem, po raz pierwszy, poczuł, że musi rozważyć ponownie niektóre z podjętych wcześniej decyzji. Spędził dopiero niecały rok na tym kontynencie, daleko od domu, choć czasami zdawało mu się, że upłynęło znacznie więcej czasu. I wiele sytuacji dało mu do myślenia. Dlaczego tak się upierał przy zdobyciu korony Roldem? Po kilku miesiącach pielenia warzyw w ogródku Jojanny, noszenia ciężkich ładunków za kilka nędznych miedziaków dziennie i spania na otwartym powietrzu nawet bez koca, aby się rozgrzać, ambicja wydawała mu się niemalże śmiechu warta.

Na wspomnienie Jojanny zaczął się zastanawiać, jak ona i Jorgen sobie radzą. Może istnieje jakiś sposób, żeby wysłać im wiadomość i przekazać chociaż mikroskopijną część bogactwa ze skrzyni na wozie. To, co zamierzał wydać na nowe ubrania, kiedy już dotrze do Królestwa Wysp, uczyniłoby z nich najbogatszych farmerów spośród okolicznych wiosek.

Westchnął i odsunął tę myśl na bok. Ciągle miał przed sobą bardzo długą drogę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Morderstwo

Kaspar obijał się na koźle.

Nadeszła jego kolej powożenia, a była to umiejętność, której nigdy się nie nauczył, gdyż uznał, że raczej mu się nie przyda. Jechali dość kamienistym odcinkiem starej drogi. Drewniane koła skrzypiały i trzeszczały za każdym razem, gdy wpadały w dziurę w nawierzchni, a ciągłe kołysanie i wstrząsy powoli pozbawiały go cierpliwości. Byłby wielce szczęśliwy, gdyby wreszcie mógł zsiąść z wozu i podziwiać go z daleka.

Oderwał umysł od rozważań nad fizyczną męką i zajął się obserwacją przyrody. W miarę podróży na południe temperatura spadała, a zieleń nabierała głębszego, ciemniejszego koloru. Pomyślał, że to bardzo dziwne; pustynie i strefa gorąca była na pomocy, a pora roku zupełnie nie odpowiadała tej, która jest teraz w jego ojczyźnie. Właśnie zaczynała się najgorętsza część roku i zapewne niebawem odbędzie się Letni Festiwal, czyli Banapis, podczas gdy w Olasko właśnie rozpoczynały się obchody Festiwalu Zimowego.

Olaskanin uważał, że otaczający ich krajobraz jest przepiękny. Mijali łagodne wzgórza i łąki, zielone farmy i gęste kępy drzew, odsunięte od drogi. W pewnej odległości, na południowym zachodzie, widniało pasmo górskie. Wiedział, że to Góry Nadmorskie, gdyż usłyszał tę nazwę od ludzi, których spotykali na drodze. Gadzia Rzeka znajdowała się teraz bliżej; jej wody płynęły na zachód, lecz wkrótce miała skrócić znów na południe. Tam znajdowała się przystań promu, odległa o dwa dni drogi na południe, położona w okolicy miasteczka Shamsha. Tam mogli wreszcie porzucić wóz i nając łódź do Miasta Nad Gadzią Rzeką. Od Higary dzieliło ich siedemnaście dni drogi, natomiast do Shamshy pozostało jeszcze dwa dni. Zgodnie z tym, co mówili napotkani podróżni, było to pierwsze miejsce na tym szlaku, które uznawano za miasto.

Teraz, kiedy opuścili gęsto zaludniony rejon, nie mijali już wielu bezimiennych miasteczek i wiosek, jego sny powróciły. Wiedział, że kompani także cierpią z tego samego powodu, gdyż nieraz w nocy budzili się z krzykiem.

Księżę podjechał do Flynn'a.

– Jeżeli w Shamsha jest świątynia – powiedział – może znaleźlibyśmy kapłana, który zerknie na naszego martwego przyjaciela?

– Po co? – zapytał mieszkaniec Kinnoch.

– Czy nie niepokoi cię ani trochę, że im bardziej oddalamy się od miejsca, gdzie to

wykopaliście...

– Nie wykopaliśmy go – przerwał mu Flynn. – Kupiliśmy go od ludzi, którzy to zrobili.

– No dobrze – zgodził się. – Nieważne, odkąd weszliście w jego posiadanie, wokoło ciągle umierają ludzie, a im bardziej oddalamy się od miejsca, w którym go kupiliście, sny stają się coraz bardziej żywe i niepokojące.

Kupiec potrząsnął lejcami, żeby pogonić leniwe konie. Milczał przez chwilę.

– Sugerujesz, że ta rzecz jest przeklęta? – spytał w końcu.

– Coś w tym rodzaju. – Kaspar przerwał na chwilę. – Posłuchaj – powiedział znów. – Wszyscy wiemy, że kiedy ktoś zbliży się albo dotknie tej przeklętej skorupy... cóż, jakkolwiek ona działa, po prostu nie możemy już jej zostawić. Może masz rację i magowie ze Stardock będą chcieli ją kupić, i zapłacą za nią królewskie pieniądze, ale co będzie, jeżeli nie uda im się sprawić, że to coś nas puści?

Flynn znów potrząsnął lejcami.

– Nie pomyślałem o tym.

– A więc się zastanów – zasugerował książę – Naprawdę bardzo bym chciał znów stać się panem samego siebie, gdy już dotrzemy do Port Wykor.

– Ale przecież chcesz mieć?

– Porozmawiamy o tym, kiedy już tam dojedziemy – przerwał mu Kaspar – Nie zależy mi na bogactwach. Chcę po prostu wrócić do domu.

Chwilę później zobaczyli coś na horyzoncie.

– Dym? – Spojrzał pytająco na Flyna. – Może jakaś walka?

– Nie, wygląda na to, że za dzień lub dwa dotrzemy do miasta. Prawdopodobnie dym z kominów zalega w dolinie przed nami – Rozejrzał się dookoła – Niebawem powinniśmy rozbić obóz, a jutro ruszyć z samego rana. Jeżeli utrzymamy dobre tempo, będziemy w Shamsy jutro przed zachodem słońca.

Wjechali na tereny porośnięte rzadkim lasem. W niewielkiej odległości od drogi uplasowały się nieduże farmy, połączone wygodnymi ścieżkami. Minęli kilka strumyków, a także dwie spore rzeki. Były na tyle duże, że przerzucono ponad nimi mosty, aby dało się je przekroczyć. Znaleźli nieduże pastwisko, położone niedaleko drogi, przez które płynęła rzeczka. Dawny książę Olasko uznał miejsce za doskonałe na obozowisko. Planował wziąć gorącą kąpiel w Shamsy, lecz poczuł, że bynajmniej mu nie zaszkodzi pobieżne obmycie się w zimnej wodzie.

Tak wiele razy rozbijali wspólnie obozowisko, że nie musieli dzielić między siebie pracy, czterej

mężczyźni w milczeniu zajęli się swoimi obowiązkami. Księżę napił konie i patrzył, jak pozostali trzej poddają się uspokajającemu działaniu rutyny. Kenner rozpałał ognisko i szykował się do przyrządzenia wieczornego posiłku, McGoin nosił koniom paszę, gdy już Kaspar przyprowadził je z nad rzeki, a Flynn rozkładał posłania i zdejmował z wozu pakunki z jedzeniem.

Były władca poczuł, że pomiędzy nim a tymi ludźmi wykształciła się dziwna więź. Właściwie nie nazwałby ich swoimi przyjaciółmi, ale uznawał za towarzyszy, chociaż zdawał sobie sprawę, że przez całe życie nie miał z nikim podobnym do czynienia. Jedyne jako chłopiec doświadczał tego rodzaju zależności. Kiedy spędzał czas z ojcem i obserwował kilku jego bliskich przyjaciół, czy to na kameralnej kolacji, czy na polowaniu.

W dzieciństwie Kaspar był zawsze boleśnie świadom obowiązków spoczywających na nim z racji pozycji jedyne spadkobiercy tronu Olasko. Jako dziecko miał wielu towarzyszy zabaw, ale żadnego prawdziwego przyjaciela. Kiedy stawał się starszy, coraz bardziej nurtowały go wątpliwości, czy ludzie, którzy przebywali w jego towarzystwie, rzeczywiście go lubili, czy może pragnęli uzyskać dla siebie jakieś przywileje i korzyści. Gdy miał piętnaście lat, uznał, że łatwiej założyć, że wszyscy, z wyjątkiem jego siostry, szukają osobistej korzyści. To czyniło życie o wiele prostszym.

Księżę wrócił do miejsca, gdzie czekała pozostała trójka, i przekazał konie McGoinowi, który pomógł mu spętać zwierzęta na noc. Potem podzielili paszę na porcje dla czterech kom.

– Zamierzam trochę popływać – oznajmił, kiedy już skończyli.

– Myślę, że dotrzymam ci towarzystwa – powiedział kupiec jedwabny – Mam kurz nawet w takich miejscach, o których nie miałem pojęcia, że je mam.

Kaspar zaśmiał się na te słowa. I chociaż tamten mówił to samo po raz setny, wciąż nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

Dwaj mężczyźni zdjęli ubrania i wskoczyli do strumienia. Woda była zimna, ale nie lodowata. Zapuscili się już wystarczająco daleko na południe, było lato, więc chłodny dotyk wilgoci bardzo ich orzeźwił – Co o tym myślisz? – zapytał McGoin podczas pływania – O czym?”

– O tym całym przeklętym interesie.

– Nie jestem mistrzem czarnej magii, McGoinie. Wszystko, co wiem to to, że od pierwszej chwili, gdy was spotkałem, poczułem się jak pod wpływem jakiejś klątwy.

Kupiec zawahał się przez chwilę, zamrugał, a potem wybuchnął śmiechem.

– Cóż, nie jesteś Księżniczką Festiwalu, Kasparze, ani trochę.

– Tak mi też mówią – zgodził się Kaspar.

– Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym cię o coś zapytać – mówił dalej kupiec. – O czym rozmawialiście z generałem po kolacji, kiedy zostawałeś z nim sam na sam?

– Graliśmy w szachy. I rozmawialiśmy o tym, jak to jest być żołnierzem.

– Tak sobie właśnie myślałem. Ja nigdy nie byłem w armii. Nie znaczy, że nie doświadczyłem w życiu wystarczającej ilości bójek i walk. Zaczynałem jako pomocnik kucharza przy karawanach, wożących towary do Keshu. Mój ojciec je organizował. Sam osiągnąłem to, co posiadam dzisiaj. Po drodze mieliśmy więcej niż jedną potyczkę z bandytami. – Pokazał na brzydką bliznę, która biegła przez całą długość od lewej pachy do biodra. – Dostałem to cięcie, kiedy miałem zaledwie siedemnaście lat. Prawie się wykrwawiłem na śmierć. Mój ojciec musiał mnie zszywać cholerną nicią płócienną i szpagatem. A potem prawie umarłem od przeklętej gorączki, kiedy rana się *zakaziła*. To, że przeżyłem, zawdzięczam tylko kapłanowi Dala. Znał odpowiednie leki i modły.

– Ach ci kapłani, czasem bywają jednak przydatni.

– Widziałeś tutaj jakieś świątynie?

– Nie mogę powiedzieć, że tak – odrzekł Olaskanin.

– Na ogół są w miastach, ale raz na jakiś czas widzisz jakąś w zupełniej dziczy, na środku pustkowia. Mają naprawdę dziwną gromadę bogów. Niektórych znamy, chociaż noszą inne imiona. Na przykład Guis-Wa tutaj nazywa się Yama. Jednak o wielu bogach nigdy nie słyszałem. Mają tu boga pająka o imieniu Tikir, i boga małpę, i boga tego albo owego, i jeszcze więcej demonów, i jak by to powiedzieć... cholernie dużo świątyń. W każdym razie doszedłem do wniosku, że jeżeli potrzebujemy kapłana, by rzucił okiem na zawartość naszej trumny, to musimy się zastanowić, jakiego rodzaju to powinien być kapłan.

– Dlaczego?

– Cóż, w domu modliłem się do Banatha.

Księżę roześmiał się.

– Do boga złodziei?

– Oczywiście. Któż inny nadaje się lepiej do powstrzymania złodziei przed kradzieżą mojego dobytku? Składałem także ofiary innym bogom, lecz wydaje mi się, że każdy z nich zajęty jest własnym... no nie wiem, powiedzmy, że planem.

– Programem?

– Tak, dokładnie tak! Mają swoje własne programy... Ale pomyślałem sobie, co będzie, jeżeli okaże się, że ta rzecz w trumnie jest czymś, co kapłani uznają za przydatne i godne posiadania. Może nawet tak przydatne i tak godne posiadania, że poderzną nam gardła i wrzucą nasze zwłoki do rzeki? Oczywiście przez cały czas zanosząc modły do boga, żeby nasza podróż po Kole odbywała się bez przeszkód.

– Myślę, że powinniśmy to omówić z resztą.

– Dobry pomysł.

Powrócili do pozostałych w samą porę, aby otrzymać cowieczorną porcję jedzenia z rąk Kennera. Kaspar przyzwyczał się już do monotonnej diety: suchych zbożowych podplomyków, suszonych owoców, solonego mięsa i wody. Jednak w porównaniu z tym, czego doświadczył w dwa dni po przybyciu na ten kontynent, kiedy to pożywiał się gorzkimi owocami, wieczorny posiłek zdawał mu się prawdziwym bankietem.

Omówił pomysł McGoina z Kennerem i Flynnem. Mimo pewnych obiekcji zdecydowali, że najlepiej będzie skonsultować się z kapłanem w najbliższym mieście. Po jedzeniu chwilę rozmawiali, a potem ułożyli się na spoczynek.

* * *

Kaspar obudził się nagle. W przeszłości tak wiele razy uderzył głową w spód wozu, gdy podrywał się z posłania, że teraz tylko przetoczył się na bok, łapiąc w przelocie rękojeść miecza, i wyczołgał się spod pojazdu, nim stanął na nogi. Rozejrzał się dookoła, a serce waliło mu mocno w piersi. Nikt nie stał na straży.

– McGoin! – zawołał, budząc tym Kennera i Flyna.

Obaj mężczyźni prawie natychmiast wyszli spod wozu z bronią w ręku. Olaskanin rozejrzał się, lecz nie zobaczył nigdzie ani śladu kupca.

Nagle usłyszeli krzyk, dobiegający gdzieś spoza ogniska, więc wszyscy trzej ruszyli w tamtym kierunku. Zanim zdążyli przebiec trzy kroki, w nocnej ciszy rozległ się przesywający wrzask, który zmroził im krew w żyłach. To był głos zaginionego, ale zawierał tyle pierwotnego przerażenia, że mężczyźni instynktownie zapragnęli obrócić się na pięcie i uciekać jak najdalej.

– Czekaście! – rozkazał książę.

Kompani zawahali się, a z mroku doszedł ich kolejny krzyk, tym razem gulgoczący i stłamszony; dźwięk urwał się nagle.

– Musimy się rozproszyć! – krzyknął Kaspar.

Nie zrobił nawet tuzina kroków, kiedy natknął się na McGoina, a raczej na to, co z niego zostało. W mroku, za ciałem, coś stało. Postać o kształtach z grubsza ludzkich, lecz znacznie większa. Dziwna istota miała ramiona dwa razy szersze niż największy człowiek, a stawy jej nóg zginały się w odwrotny sposób, jak nogi konia albo kozła. Twarz nieznanego kryła ciemność, gdyż noc była bezksiężycowa, pomimo to dawny książę Olasko zdołał zauważyć, że nie było w niej absolutnie nic ludzkiego. U stóp kreatury leżało ciało McGoina. Potwór oderwał jego głowę od tułowia, jak również ręce i nogi, które porozrzucał dookoła. Piers handlarza rozerwano na strzępy, tak że książę

nie potrafił rozpoznać żadnego szczegółu anatomicznego. Mężczyzna został zredukowany do krwistej papki i mięsa.

– Okrążcie to coś! – wrzasnął Kaspar, unosząc miecz wyżej.

Nie czekał, żeby sprawdzić, czy pozostali wykonali polecenie, gdyż istota ruszyła w jego stronę. Uderzył mieczem i kreatura uniosła ramię, by zablokować cios. Kiedy ostrze trafiło w przeciwnika, w powietrze wleciał snop iskier, jakby metal uderzał o metal, choć dźwięk temu przeczył. Usłyszał głuche tąpnięcie, jakby uderzył w bardzo twardą skórę. Rękę, w której trzymał miecz, niemal sparaliżowały drgania, co wprawiło go w zdumienie. Nigdy jeszcze nie uderzył w coś, co byłoby tak twarde. Nawet zbroja nie odbijała ciosów w ten sposób. Książę ledwie mógł utrzymać miecz.

Flynn zabiegł kreaturę od tyłu i uderzył mocno w miejsce, gdzie szyja łączy się z głową. Jedyńm, co udało mu się osiągnąć, była kolejna fontanna iskier.

– Uciekajcie do ogniska! – zawołał Kaspar, ponieważ nie miał innych pomysłów.

Wycofywał się ostrożnie tyłem nie spuszczając istoty z oka. Bał się odwrócić do niej plecami, gdyż mogło się okazać, że porusza się szybciej od niego. Raczej wyczuł, niż zobaczył, że kupcy przebiegają obok.

– Weźcie polana! – polecił. – Jeżeli stal nie robi mu krzywdy, może wystraszy go ogień.

Kiedy książę znalazł się tuż przy ognisku, zobaczył wreszcie twarz potwora. Istota wyglądała trochę jak obłąkana małpa; gdy podwijała wargi, z paszczy wysuwały się kły. Były czarne, podobnie jak dziąsła. Oczy stworzenia jarzyły się żółtym blaskiem i miały czarne źrenice. Uszy przypominały skrzydła nietoperza z wyraźnym kostnym szkieletem, a całe ciało wyglądało jak tors mężczyzny albo małpy postawiony na nogach kozła.

– Uciekajcie na lewo! – usłyszał głos Flynnna.

Kaspar skorzystał z rady, a handlarz przebiegł obok niego, rzucając płonący kawałek drewna w pierś potwora. Istota wzdrygnęła się, ale nie odwróciła się i nie uciekła.

– Ogień nie robi temu krzywdy! – krzyknął książę po chwili. – Wygląda na to, że tylko się zirytowało!

Nagle wpadł na kolejny pomysł.

– Zajmijcie jakoś jego uwagę!

Pobiegł do wozu i wskoczył na tył. Odsunął na bok brezent i mieczem odbił wieko trumny. Wziął do ręki czarny miecz, leżący obok zbroi, po czym zeskoczył na ziemię. Trzema susami znalazł się przy ognisku i stanął pomiędzy Flynnem i Kennerem. Uderzył mocno mieczem.

Reakcja była natychmiastowa. Czarne ostrze uderzyło w potwora – zamiast wyprodukować tylko iskry, krawędź werznięła się głęboko w jego ramię. Kreatura zawyła z bólu i odsunęła się krok do

tyłu, ale Kaspar nie zamierzał rezygnować. Atakował dalej, wykorzystując chwilową przewagę.

Zasypał stwora gradem ciosów; mierzył w nogi i ramiona, a jego przeciwnik za każdym razem cofał się o krok. Każde cięcie prowokowało wrzask i w końcu istota rzuciła się do ucieczki. Księżę skoczył za nim. Ciął mocno, mierząc w podstawę karku. Głowa stworzenia wystrzeliła w powietrze zgrabnym łukiem i spadła na ziemię. Zanim jeszcze dotknęła gruntu, zamieniła się w dym na oczach oniemiałego Olaskanina. Ciało potwora upadło do przodu i także zmieniło się w opar. Nim zdążył uklęknąć obok i zbadać zewłok, nie było po nim ani śladu. Nie pozostały także żadne ślady walki.

– Co to było? – zapytał księżę, oddychając ciężko.

– Pomyślałem, że może ty wiesz – odparł Kenner. – Tylko ty pomyślałeś o tym, żeby wziąć z wozu czarny miecz.

Zdał sobie sprawę, że ostrze wibruje w rękę; czuł się tak, jakby trzymał wantę statku, który drży cały od uderzeń fal i wiatru w żaglach.

– Nie wiem, dlaczego to zrobiłem – powiedział. – Po prostu... przyszło mi do głowy, że mogę użyć tego miecza.

Wszyscy trzej popatrzyli na miejsce, gdzie leżały szczątki McGoina.

– Musimy go pogrzebać – rzekł blondyn.

Kaspar pokiwał głową.

– Ale musimy poczekać do świtu, żeby znaleźć wszystkie... – Nie dokończył myśli. Wszyscy trzej wiedzieli, że szczątki ich towarzysza zostały rozrzucone po dość dużym terenie. Stało przed nimi niewdzięczne zadanie pozbierania ich wszystkich i złożenia do grobu w komplecie. Lepiej było zabrać się do tego przy dziennym świetle.

Zanim cokolwiek usłyszeli, poczuli czyjąś obecność. Jak jeden mąż, wszyscy trzej odwrócili się i zobaczyli, że czarna zbroja stoi tuż za nimi. Księżę wyciągnął przed siebie czarny miecz, podczas gdy Flynn i Kenner złapali płonące pochodnie i wycofali się na bezpieczną odległość.

Zbroja nie wykonywała żadnych gestów, które mogłyby uchodzić za groźbę, tylko powoli wyciągnęła ku Kasparowi otwarte dłonie i czekała. Nikt nie poruszył się przez niemal minutę. Po tym czasie Olaskanin postąpił krok ku zbroi i czekał dalej. Czarna sylwetka pozostała nieruchoma.

Powoli wsunął miecz w wyciągnięte ręce. Natychmiast postać obróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku wozu. Nieludzkim susem wskoczyła na platformę, która ugięła się pod wagą istoty, a potem weszła do trumny i położyła się na dnie.

Trzej mężczyźni nie poruszyli się.

Po dłuższej chwili kompletnej ciszy i bezruchu Kenner nieśmiało zbliżył się do wozu. Pozostali poszli zanim. Zbroja leżała w trumnie, tak samo jak wtedy, kiedy Kaspar odbijał wieko. I znów przez

dłuższy czas mężczyźni wpatrywali się w ciemny kształt. W końcu książę wyciągnął rękę i dotknął tajemniczego metalu, w każdej chwili gotów się cofnąć, jeżeli wywoła to jakąś reakcję.

Metal był w dotyku dokładnie taki sam jak przedtem.

Trzej towarzysze wymienili pytające spojrzenia, ale nikt się nie odezwał. W końcu Kaspar wdrapał się na wóz i przykrył trumnę wiekiem.

– Dajcie młotek – powiedział i czekał, aż kupiec korzenny wyjmie narzędzie ze skrzynki ukrytej pod kozłem. Bez pośpiechu, porządnie i starannie, włożył ciężkie stalowe gwoździe w dziury, które pozostały po wyszarpieniu wieka, a następnie dokładnie przybił je do drewna.

– Jutro poszukamy kapłana – oznajmił.

Pozostali mężczyźni pokiwali głowami. Przez resztę nocy żaden z nich nie zmrużył oka.

* * *

Wóz wtoczył się na ulice Shamsy na godzinę przed zachodem słońca. Jeśli chodzi o wielkość, Shamsę można było nazwać miastem. Było to jedyne tego typu miejsce, jakie były książę Olasko widział na tym kontynencie. Co prawda mury obronne zapewne uległyby jego olaskańskim inżynierom w tydzień, ale i tak utrzymałyby się o tydzień dłużej niż te, co widział do tej pory. Strażnicy byli tu nazywani prefektami, co wydało mu się dziwne, gdyż tym mianem określano starszych oficerów w armii Queg. Dawno temu musiał się tu znajdować garnizon. Starszy prefekt pobieżnie sprawdził wóz, następnie zagroził, że nie wpuści ich do miasta. W końcu książę go przekupił.

Trzej mężczyźni podróżowali tego dnia w milczeniu. Zebrali wszystkie szczątki McGoina, które udało im się odnaleźć, i pochowali je w głębokim grobie na łące. Nikt się nie odezwał, kiedy stali wokół prowizorycznego miejsca pochówku. W końcu Kenner pierwszy przełamał milczenie.

– Niech Lims-Kragma szybko da mu nowe, lepsze życie – powiedział.

Flynn i Kaspar zamruczeli coś aprobującym tonem, a potem spakowali obozowisko i odjechali. Sytuacja znacznie ich przerosła. Potwór i zbroja, która ożyła, były niewiarygodnymi wydarzeniami i książę wiedział, że pozostali, podobnie jak on, na razie nie mają ochoty o tym rozmawiać. Tak jakby rozmowa o zdarzeniach minionej nocy była jednoznaczna z przyznaniem, że to, co się stało, miało miejsce naprawdę.

Jednakże Olaskanin najbardziej martwił się tym, że ogarniające go uczucie nie jest mu obce. Tak jakby już kiedyś doświadczył podobnej rzezi i zła. Echa dawnych dni nie dawały mu spokoju, jakby próbował przypomnieć sobie piosenkę, raz zasłyszaną i zagubioną w meandrach pamięci, ale związaną z pamiętnym wydarzeniem, może z festiwalem albo świętem. Lecz tam na polu, w nocy,

spotkał się z czymś nieznanym i niemożliwym do ogarnięcia rozumem. Jak człowiek starający się przypomnieć sobie zapomnianą melodię, księżę w końcu się zmęczył i dał za wygraną. Uznał, że lepiej skoncentrować się na przyszłości, niż zastanawiać się bez końca nad tym, co już się wydarzyło. Przecież i tak nie był w stanie zmienić przeszłości.

Znaleźli gospodę z ogromnym dziedzińcem i Kaspar wprowadził wóz, a potem patrzył, jak Kenner i Flynn wnoszą ciężką skrzynię do ich pokoju. Kiedy już skończył oporządzać konie, udał się na poszukiwanie karczmarza.

Właściciel zajazdu był człowiekiem nieco posuniętym w latach. Sądząc po krzykliwej kamizeli, którą założył na białą, bufiastą koszulę i po nieskazitelnym fartuchu, dobrze mu się powodziło. Nosił zrobioną na drutach czapkę w czerwono-białe paski, której długi ogon spływał mu na lewe ramię. Zauważył, że nowoprzybyły przygląda się ze zdumieniem jego dziwacznemu nakryciu głowy.

– To żeby włosy nie wpadały do zupy – wyjaśnił. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Jeżeli podróżni chcą się widzieć z kapłanem, bo mają problem dotyczący mrocznych spraw, którą świątynię im polecasz?

– Cóż, to zależy – zauważył karczmarz, a jego pulchna twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Wodniste, niebieskie oczy zmierzyły Kaspara od stóp do głów.

– Od czego?

– Od tego, czy chcesz dokonać jakiegoś mrocznego czynu, czy zapobiec temu, aby się wydarzył.

Księżę skinął głową.

– To ostatnie.

– Kiedy wyjdiesz frontowymi drzwiami, skręć w lewo – powiedział właściciel z szerokim uśmiechem na twarzy. – Idź ulicą, aż dotrzesz do placu. Po drugiej stronie fontanny jest świątynia Gshen-Amata. Tamtejsi kapłani ci pomogą.

– Dziękuję ci – odrzekł. Pospieszył do pokoju i powiedział swoim towarzyszom, czego dowiedział się od karczmarza.

– Idź tam razem z Kennerem – powiedział Flynn. – Ja tu zostanę i popilnuję dobytku.

– Wydaje mi się, że to rodzaj karczmy, gdzie nasze złoto będzie bezpieczne – zauważył Kaspar.

Mieszkaniec Kinnoch zaśmiał się.

– Skrzynia to najmniejsze z moich zmartwień. – Kiwnął głową w kierunku okna, z którego widać było dziedzińiec. – Boję się tej rzeczy, która z nami jedzie. I czuję się pewniej, jeżeli chociaż jeden z nas przebywa w jej pobliżu.

– A więc otwórz skrzynię – poprosił ksiązę. – Nie znam zbyt wielu świątyni, które pomagają ci w kłopotach tylko dlatego, że ładnie poprosisz.

Kupiec wyjął klucz z sakiewki i otworzył zamek.

– Daj mi swoją sakiewkę – powiedział ksiązę do jasnowłosego handlarza. Gdy spełnił polecenie, Kaspar wyjął kilka monet o nietypowym kształcie, parę miedziaków i pół tuzina złotych, a potem włożył do sakiewki sporą ilość srebra.

– Jeszcze kilka więcej i powiem, że to rozbój w biały dzień – zauważył.

Ksiązę i Kenner pożegnali się z Flynnem i ruszyli po schodach w kierunku wyjścia.

* * *

Mimo zapadającego zmroku na ulicach Shamsy ciągle kłębił się tłum. Z tawern dobiegał śmiech i muzyka, a wielu kupców usiłowało sprzedać towary po obniżonych cenach, nim zamkną sklepy na noc. Ulice ozdobiono proporcami i girlandami, gdyż mieszkańcy szykowali się do Letniego Festiwalu. Zostało do niego mniej niż tydzień. Uliczne latarnie zostały owinięte kolorowym papierem i rzucały na ziemię miękki blask. Całe miasto skąpane było w radosnych kolorach, co pozostawało w rażącej sprzeczności z nastrojem Kaspara i Kennera. Kiedy mężczyźni dotarli do placu miejskiego, zobaczyli, że kupcy ładują swoje towary na wozy. Stragany powoli zamykano na noc.

Po drugiej stronie placu ujrzeli świątynię Geshen-Amata. Był to duży budynek z szerokimi schodami, prowadzącymi do ozdobnej marmurowej fasady, na której wyrzeźbiono bogów i anioły, demony i ludzi.

U podstawy schodów po obu stronach stały posągi. Jeden z nich przedstawiał mężczyznę z głową słonia, a drugi – z głową lwa. Kaspar zatrzymał się na chwilę, aby im się przyjrzeć. W tym momencie na schody wyszedł mnich. Miał krótkie włosy, nosił tylko prosty brązowy habit i sandały.

– Szukacie wejścia do świątyni? – zapytał grzecznie.

– Szukamy pomocy – odparł ksiązę.

– Co mogą dla was zrobić słudzy Geshen-Amata?

– Musimy porozmawiać z przełożonym waszej świątyni.

Mnich uśmiechnął się i Kaspar odniósł nagle wrażenie, że już kiedyś widział tego mężczyznę. Był niski, łysiejący i miał niezwykłą fizjonomię, podobną do tych, jakie widuje się u pewnej ilości Keshan: wysokie kości policzkowe, ciemne oczy i włosy, a skórę niemalże złocistej barwy.

– Mistrz naszego obrządku zawsze z radością rozmawia z tymi, którzy są w potrzebie. Proszę, chodźcie za mną.

Dwaj mężczyźni poszli za mnichem, prowadzącym ich ku wielkiemu wejściu do świątyni. Po obu stronach przedsionka widniało jeszcze więcej płaskorzeźb, wyciętych w kamieniu. Co kilkadziesiąt centymetrów wisały palące się lampki oliwne, rzucając migoczący blask na rzeźby; oddane w kamieniu postacie zdawały się żyć własnym życiem.

W ścianach widniały małe kapliczki, gdzie stały posągi przeróżnych bogów i półbogów; przed częścią z nich modlili się wierni. Olaskanin zdał sobie sprawę, że obserwuje rytuały wiary, o której nie ma bladego pojęcia. Kult Geshen-Amata nie miał nic wspólnego ze świątyniami i wiarą w jego ojczyźnie. Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy to miejsce jest naprawdę zamieszkane przez boga, a jeżeli tak, czy jego moc i wpływy ograniczają się tylko do tego kraju.

Dotarli do wielkiego holu, od którego odchodziło tuzin kaplic. Naprzeciwko wejścia znajdowała się wielka statua mężczyzny, siedzącego na tronie. Twarz figury była stylizowana; oczy, nos i wargi oddano w sposób, który książe mógł nazwać tylko symbolicznym. W jego ojczyźnie, podobnie jak w innych królestwach północy, wizerunki bogów i bogiń wykonywano zgodnie z proporcjami ludzkimi. Wyjątkiem były małe figurki, stawiane w przydrożnych kapliczkach albo na domowych ołtarzykach. Ale ten posąg liczył sobie co najmniej dziesięć metrów od podstawy po czubek głowy. Postać ubrana była w prosty habit; jedno ramię miała obnażone. Wyciągała przed siebie otwarte dłonie, jakby udzielała błogosławieństwa. Po lewej i prawej stronie boga, siedziały dwie osoby, oddane w proporcjach zbliżonych do ludzkich, które Kaspar i Kenner widzieli przed wejściem do świątyni; mężczyźni z głowami lwa i słonia.

Przed posągiem boga siedział mnich o włosach pobielających ze starości.

– Zaczekajcie tutaj, proszę – powiedział młodszy, który był ich przewodnikiem. Sam podszedł kilka kroków do przodu i szepnął coś szybko na ucho starszemu mężczyźnie, a potem wrócił do przybyszów.

– Mistrz Anshu za chwilę z wami porozmawia.

– Dziękujemy ci – powiedział Kenner.

– Muszę się przyznać, bracie, że nie wiem nic o twojej wierze – wyznał Kaspar. – Pochodzę z odległego kraju. Czy możesz mnie oświecić?

Mnich nieoczekiwanie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Gdybyż to oświecenie można było tak szybko osiągnąć, mój przyjacielu – westchnął. – Wtedy nie mielibyśmy nic do roboty w tym kraju.

Książe także uśmiechnął się, słysząc tak żartobliwe słowa.

– Proszę, opowiedz mi o Geshen-Amacie – poprosił.

– To bóg najwyższy, prawdziwa boskość, której odbiciem są pozostałe bóstwa. On jeden jest ponad nimi wszystkimi.

– Ishap? – zapytał Kaspar cicho.

– Ach, naprawdę jesteś z dalekich krain. Utrzymujący Równowagę jest niczym innym, jak tylko aspektem Geshen-Amata. Ci, którzy siedzą u jego stóp, czyli Gerani – pokazał na figurę mężczyzny z głową słonia – i Sutapa – przesunął rękę w kierunku figury o głowie lwa – są jego awatarami, posłanymi przez Geshen-Amata po to, aby nauczyć ludzi Jedynej Słusznej Drogi. To nie jest łatwa droga, ale w końcu każdego doprowadzi do oświecenia.

– Ale co w takim razie z innymi świątyniami? – zainteresował się jasnowłosy kupiec.

– Geshen-Amat daje nam wiele sposobów na podróżowanie Jediną Słuszną Drogą. Każda kobieta i każdy mężczyzna mogą mieć swojego awatara, który im to ułatwi.

– Amaral! – zrozumiał wreszcie Olaskanin.

Mnich skinął głową.

– Tak, to określenie w antycznym języku.

– W moim kraju uważano to za okropną herezję i z powodu tej doktryny toczono krwawą walki.

– Jesteś wykształconym człowiekiem – zauważył. – Mistrz Anshu już do was idzie.

Starszy mnich podszedł do nich i uklonił się obcokrajowcom. Mężczyzna był szczupły i miał karnację tak brunatną, jak spalona słońcem skóra, lecz jego brązowe oczy błyszczały jasno. Starzec nosił taką samą brązową szatę jak młodszy mnich, a jego głowa była zupełnie łysa. Mężczyźni oddali pozdrowienie.

– Mój uczeń mówi, że jesteście w potrzebie, bracia – rzekł stary mnich. – Co mogę dla was zrobić?

– Weszliśmy w posiadanie artefaktu, prawdopodobnie relikwii, i sądzimy, że może być obłożony klątwą.

Mistrz Anshu zwrócił się do swojego ucznia.

– Przynieś herbatę do moich kwater – poprosił. – Proszę, chodźcie za mną – powiedział do Kennera i Kaspara.

Poprowadził ich przez boczne drzwi i długi korytarz, gdzie panowała cisza.

– Tutaj prawie nie słychać odgłosów miasta.

– Kluczem do dobrej medytacji jest cisza – oznajmił starzec. Poprowadził ich do drzwi, po czym

otworzył je. – Wejdźcie do środka, proszę.

Pokazał, że powinni zdjąć buty. Mężczyźni usłuchali sugestii. Pokój był duży, ale skąpo umeblowany. Na większej części podłogi leżała czerwona mata. Mnich usiadł na niej. Po jednej stronie pomieszczenia stał mały, niski stolik. Starzec sięgnął po mebel, by ustawić go pomiędzy nimi. Chwilę później pojawił się młody mnich i przyniósł filiżanki oraz czajniczek z herbatą. Nalał pachnącej cieczy najpierw przybyszom, a dopiero potem mistrzowi Anshu.

– A teraz powiedzcie mi o tej przeklętej relikwii – poprosił stary mnich, kiedy jego uczeń wyszedł z pomieszczenia.

Kupiec korzenny zaczął powoli opowiadać historię całej grupy. Mówił o tym, jak robili interesy z miejscowymi farmerami i kupowali od nich artefakty, najwyraźniej wyszabrowane z jakichś opuszczonych grobowców. Kiedy opisał potworną śmierć McGoina, do której doszło zaledwie noc wcześniej, mnich pokiwał głową.

– Może być, że ta rzecz jest przeklęta. Żyjemy na świecie, który oglądał wcześniej także inne, starsze rasy, a miejsca pochówku tych istot są często chronione potężnymi zaklęciami czarnej magii. Powinienem zobaczyć ten przedmiot.

– Teraz?

Mistrz Anshu uśmiechnął się.

– Jeżeli nie teraz, to kiedy? – Wstał i gestem kazał im włożyć buty. Wyszli do ogrodu. Mnich opuścił pokój ostatni. Na zewnątrz czekał jego uczeń.

– Będziemy towarzyszyć tym panom – powiedział do niego starzec.

Młody mnich uklonił się i ruszył za swoim mistrzem. Szybko zeszli po schodach świątyni, przeszli przez rynek i zagłębili się w uliczkę prowadzącą do karczmy.

– Pójdę po Flynna – powiedział Kenner i wszedł do głównego budynku zajazdu, podczas gdy Kaspar poprowadził mnichów przez bramę na dziedziniec. Podeszli do wozu i stary mistrz nagle się zawahał. Odwrócił się gwałtownie do ucznia.

– Natychmiast wracaj do świątyni! – rozkazał mu. – Przyrowadź mistrza Odę i mistrza Yongu. Pospiesz się!

Młodzieniec pobiegł z powrotem, a mistrz Anshu zwrócił się do Olaskanina.

– Już z tej odległości wyczuwam, że macie na wozie coś, co jest... nie w porządku.

– Nie w porządku? – zapytał ksiązę. – Co masz na myśli?

– Nie potrafię powiedzieć, skąd to wiem, ale cokolwiek leży na waszym wozie, nie jest tylko przeklętym artefaktem albo relikwią. To coś więcej.

– Co?

– Nie dowiem się, dopóki tego nie zobaczę.

Kenner i Flynn wyszli z karczmy. Kupiec został przedstawiony staremu mnichowi.

– Wygląda na to, że mamy coś, czego nikt się nie spodziewał – oświadczył Kaspar. – Czekamy na innych mnichów ze świątyni.

– Dlaczego? – zapytał Flynn. – Czego nikt się nie spodziewał?

– Nie dowiem się, dopóki tego nie zobaczę – powtórzył mnich, powoli zbliżając się do wozu.

Książę wskoczył na platformę, wyjął skrzynkę z narzędziami spod siedziska woźnicy i odsunął brezent na bok. Za pomocą łomu uniósł wieko trumny.

Starzec podszedł do burty wozu, ale ze swojego miejsca nie mógł widzieć zawartości skrzyni. Kaspar wyciągnął rękę i stary mistrz złapał ją z zadziwiającą w jego wieku siłą. Młodszy mężczyzna pomógł mu wejść na wóz.

Mnich obrócił się i spojrzał w dół na czarną zbroję. Otworzył usta, ale nie wyszły z nich żadne słowa. Wziął głęboki oddech, przypominający westchnienie ulgi, a potem oczy uciekły mu pod powieki. Zemdlał. Kaspar złapał go w ostatniej chwili, a potem podał nieprzytomnego starca kompanom, stojącym na ziemi.

Kenner ukląkł przy mistrzu Anshu.

– Żyje.

Książę obrócił się i spojrzał do wnętrza trumny. Przez chwilę zdawało mu się, że dostrzegł w wizjerze poruszającą się źrenicę, ale potem zbroja znów ściemniała.

– Spróbujcie go ocucić – powiedział, zeskakując z platformy.

Kilka minut później na dziedziniec weszło trzech mnichów.

Zatrzymali się na kilka kroków przed Kennerem, Flynnem i Kasparem, którzy pochylali się nad nieprzytomnym mnichem.

Przywódcą przybyłej trójki był mężczyzna o stanowczym spojrzeniu, na pierwszy rzut oka w średnim wieku. W jego sięgających ramion, czarnych włosach lśniło nieco szokujące pasmo bieli. Miał na sobie habit takiego samego kroju jak pozostali, lecz czarnego, a nie brązowego koloru.

– Odsuńcie się od mistrza Anshu, proszę – zwrócił się do obcokrajowców.

Kaspar i pozostali wykonali polecenie i czarno odziany mnich podszedł do nieprzytomnego. Zaczął inkantacje, kreśląc dłonią w powietrzu skomplikowany wzorzec. Pozostali dwaj pochylili

głowy, jakby zagłębiali się w modlitwie.

Książę nie widział ani nie słyszał niczego niezwykłego, ale nagle poczuł, jak włoski na jego ramionach i karku stają dęba.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na wóz i zobaczył, że otacza go łuna pulsującego światła. Konie w stajniach zaczęły rzeć i kopać w deski boksów. Kaspar i reszta cofnęli się o kolejny krok od pojazdu.

A potem światło znikło i dwaj brązowo odziani mnisi podbiegli do mistrza Anshu, by pomóc mu wstać. Mnich w czerni przeszedł obok zaaferowanej grupki i wskoczył na platformę wozu. Popatrzył uważnie na leżącą w trumnie postać, a następnie założył pokrywę na miejsce. Wziął młotek ze skrzyni z narzędziami i kilkoma silnymi uderzeniami szybko przybił wieko.

Stary mnich powoli dochodził do siebie. Czarnowłosa zeskoczył z wozu i stanął przed Kasparem i jego towarzyszami.

– Ta rzecz musi do jutra stąd zniknąć – oznajmił bez żadnego wstępu.

Odwrócił się i zamierzał odejść, lecz powstrzymał go głos księcia.

– Poczekaj chwilę, proszę!

Mnich zatrzymał się.

– Mistrz Anshu powiedział, że ze zbroją jest coś nie tak – odezwał się Kaspar. – Czy jest przeklęta?

– Nasz mistrz ma rację. Ta rzecz w trumnie nie jest obłożona klątwą, ale jej istnienie przeczy porządkowi świata. Musicie ją stąd zabrać, i to szybko.

– Czy możesz nam pomóc?

– Nie – odparł. – Nazywam się Yongu i w mojej gestii leży bezpieczeństwo świątyni. Ta rzecz musi być stąd zabrana. Im dłużej tutaj przebywa, tym więcej szkody może nam uczynić.

– Dokąd mamy iść? – zapytał Flynn.

– Nie wiem – odrzekł Yongu. – Ale jeżeli będziecie zwlekać, mogą ucierpieć niewinni ludzie.

– Skąd ten pośpiech? – nalegał były władca.

– Ponieważ istota w trumnie niecierpliwi się coraz bardziej. Ona chce dokądś dotrzeć.

Książę popatrzył na swoich towarzyszy.

– Ale dokąd? – zapytał.

– Sama wam powie, dokąd macie iść – powiedział mistrz Anshu słabym głosem.

– Jak? – jęknął handlarz szlachetnymi kamieniami.

– Jeżeli pójdziecie złą drogą, umrzecie. Tak długo, jak żyjecie, oznacza to, że poruszacie się we właściwym kierunku. A teraz, wybaczcie nam, ale nie możemy wam więcej pomóc. – Starzec podniósł się na nogi, postąpił dwa kroki naprzód i znów się zatrzymał. – Ale jedno mogę wam powiedzieć – dodał. – Zwróćcie swe kroki na zachód.

– Na zachód? – jęknął Kaspar, kiedy mnisi już odeszli.

Kenner potrząsnął głową.

– Ale przecież my musimy iść na południe, a potem płynąć na północny wschód.

Olaskanin również potrząsnął głową.

– Najwyraźniej nie. – Ruszył w kierunku karczmy. – Ruszamy jutro o świcie, moi przyjaciele.

Książę kładł właśnie rękę na klamce drzwi prowadzących do karczmy, lecz zawrócił.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał zdziwiony Flynn. – Zobaczę, czy uda nam się zdobyć jakąś mapę – odpowiedział. – Muszę się dowiedzieć, co jest na zachód stąd.

Bez dalszych słów kupcy weszli do zajazdu, a Kaspar ruszył w miasto na poszukiwanie mapy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Na zachód.

Książę zmarszczył brwi. On, Kenner i Flynn siedzieli przy stole we wspólnej sali w gospodzie Cztery Błogosławieństwa i koncentrowali się na trzech mapach, które Kaspar zdobył na mieście po tym, jak mnisi opuścili dziedziniec.

Podczas gdy dawny książę Olasko przemierzał miasto w poszukiwaniu handlarzy map, reszta powróciła do świątyni, aby spróbować wycisnąć z mnichów jakiegokolwiek dodatkowe informacje na temat właściwości zbroi, niestety wrócili z niczym. Mężczyźni nie chcieli z nimi rozmawiać. Flynn był przekonany, że gdyby nie ruszyli jutro o świcie, tamci przyszliby do karczmy i zmusili ich do odjazdu.

– Zastanawiam się, jak bardzo można polegać na tych mapach – westchnął książę.

Do ich stolika podszedł pulchny karczmarz z trzema nowymi kuflami porteru.

– Planujecie dalszy etap podróży? – spytał.

– O ile możemy na tym polegać – odparł Kaspar.

Mężczyzna spojrział im przez ramię, a potem wyciągnął rękę i zabrał mapę leżącą na górze.

– Tę możecie od razu spalić. Poznaję ją. To kopia kopii bardzo starej, dawno już nieaktualnej mapy.

– Skąd to wiesz? – zapytał Olaskanin.

– Kiedyś byłem kupcem, tak jak wy, i sporo podróżowałem, zanim się tu osiedliłem. Osiągnąłem wiek, w którym poczułem się zmęczony utarczkami z bandytami i unikaniem nomadów. Pozwólcie, że pójdę i zobaczę, co mam zamknięte w moim kuferku. Mogę wam pokazać kilka rzeczy.

Powrócił po kilku minutach ze starą mapą, wyrysowaną na zwiniętym kawałku skóry.

– Kupiłem to od kupca w Ralapinti, kiedy po raz pierwszy ruszyłem na szlak. Miałem jeden wóz, muła, miecz, który wygrałem podczas gry w karty, i kupę gratów do sprzedania.

Rozwinął mapę. W przeciwieństwie do tych, które kupił książę, rozrysowano na niej cały kontynent Novindus. Obok oryginalnych zapisów widniały na niej także dodatkowe notatki i informacje; Kaspar założył, że zrobił je sam właściciel Czterech Błogosławieństw.

– Patrzcie tutaj. – Karczmarz palcem wskazał ich lokalizację, miasto Shamsha. – Odtąd dotąd – powiedział, kreśląc prostą linię – wszystkie trzy mapy są dokładne i poprawne, ale potem...

– Musimy jechać na zachód – powiedział książe.

– Cóż, są dwie drogi, które tam prowadzą. Możecie zawrócić na północ i po kilku dniach podróży odnajdziecie drogę, która prowadzi na zachód. To nie jest zły sposób podróżowania, oczywiście jeśli się wam nie spieszy. Musielibyście iść u podnóża Gór Nadmorskich – jest tam wiele przełęczy i aż roi się od zwierzyny łownej, jeżeli lubicie polować. – Przerwał, postukując palcem w brodę. – Myślę, że kiedy jechałem tamtędy ostatni raz, droga zajęła mi około miesiąca. Oczywiście to było trzydzieści lat temu. Większość ludzi jednak pojechałaby na południe, do Miasta Nad Gadzią Rzeką, i stamtąd złapała statek do Maharty.

– Dlaczego do Maharty?

Karczmarz usiadł przy ich stole nie czekając na zaproszenie. Pokazał na mapę.

– Jeżeli ruszycie na zachód prosto stąd, prawdopodobnie zakończycie swoją podróż na placu miejskim, przy którym stoi Wielka Świątynia. – Potarł podbródek. – Jeżeli ruszycie na zachód stąd, napotkacie na swojej drodze rzeczy, z którymi raczej nie chcielibyście mieć do czynienia. Zakładam, że nie jesteście miejscowi. Mówicie dobrze moim językiem, ale nigdy jeszcze nie słyszałem takiego akcentu. Skąd jesteście?

– Z kraju leżącego za Zielonym Morzem – odpowiedział Kaspar.

– Ha! – Mężczyzna uderzył dłonią w stół. – Słyszałem opowieści o kupcach zza morza, którzy pokazują się u nas od czasu do czasu. Coś wam powiem, kiedy już zjem kolację i zadbam o komfort moich gości, może siądziemy i porozmawiamy. Jeżeli zamierzacie udać się na zachód, są pewne rzeczy, o których powinniście wiedzieć, jeśli chcecie pozostać przy życiu. A poza tym jestem ciekaw waszej ojczyzny. – Wstał. – Nie tęsknię za niebezpieczeństwami, ale czasem brak mi odrobiny ekscytacji.

Były kupiec odszedł i zostawił trzech mężczyzn pochylonych nad nowymi mapami.

* * *

Właściciel zajazdu wrócił do nich bardzo późno.

– Nazywam się Bek. To zdrobnienie od Bekamostana.

– Już rozumiem, dlaczego wołaj cię Bek – powiedział Flynn. Przedstawił karczmarzowi siebie i swoich towarzyszy.

– A teraz powiedzcie mi, czego chcecie się dowiedzieć.

– Powiedziano nam, że musimy udać się na zachód – zaczął Kaspar. – Zgaduję więc, że to oznacza Mahartę.

– Królowa Nadrzecznych Miast – oznajmił Bek. – Tak je nazywają. Kiedyś było to prosperujące, piękne i wspaniałe miasto... cóż, tak przynajmniej mówiliśmy o nim na świecie, ale to było, zanim przekonaliśmy się, że za morzem także znajdują się niesamowite miejsca. W każdym razie stary Raj w czasach mojego dziada bardzo ładnie się tam urządził. Może nie jest to największe miasto nad Gadzią Rzeką, ale z pewnością najbogatsze. A przynajmniej kiedyś takie było.

– Co się z nim stało?

– Przydarzyło mu się spotkanie ze Szmaragdową Królową – odrzekł karczmarz. – Nikt o tym wiele nie mówi, ponieważ wszyscy wiedzą, co się stało. Nasi rodzice nas o tym uczyli. – Potarł podbródek. – Królowa wyszła nie wiadomo skąd gdzieś na północ od Ziemi Zachodnich.

– Zachodnie Ziemie? – zapytał księżę patrząc na mapę.

Bek położył palce mniej więcej w jednej trzeciej wysokości kontynentu Novindus.

– Zachodnie Ziemie są tutaj. – Przesunął palcem na wschód. – A w środku leżą Ziemie Nadrzeczne, a dalej na wschód...

– ...są Ziemie Wschodnie – dokończył Flynn.

– Widzę, że złapałeś – powiedział Bek, szczerząc zęby w uśmiechu. – Kiedyś mogłeś podróżować swobodnie korytem Gadziej Rzeki albo rzeki Vedry prawie bez żadnych przeszkód i kłopotów. Och, zdarzało się, że w okolicy pokazywali się bandyci, a przynajmniej tak mówił mój dziadek, lecz w tamtych czasach Miasto Nad Gadzią Rzeką kontrolowało większość ziem nadrzecznych, praktycznie aż do Ziemi Gorących. Wzdłuż rzeki Vedry leżą miasta-państwa; każde ma swoje terytorium, ale w tamtych rejonach panuje raczej spokój, za wyjątkiem utarczek przygranicznych. Dopiero kiedy oddalicie się od rzeki, podróż przestaje być tak przyjemna. – Wskazał tereny położone na zachód od Maharty. – To Równina Djams, tereny trawiaste i nizinne. Nie zapuszczajcie się tam.

– Dlaczego?

– Z dwóch powodów. Nie ma tam nic wartego handlu i mieszkają tam prawdziwie mordercze małe skurwysyny; mają coś około metra dwudziestu wzrostu. Nikt nie potrafi mówić ich językiem, a oni zabijają wszystkich podróżnych. Zazwyczaj trzymają się z daleka od rzeki, więc na zachodnim brzegu trafiają się farmy, ale jeżeli oddalicie się od koryta o dzień drogi, prawdopodobnie skończycie z zatrutą strzałą w plecach. Nikt nie jest w stanie dostrzec, gdy się zbliżają. Nikt tak naprawdę nie wie, jak wyglądają. Za równiną leżą Filary Niebios.

– Co to jest? – zapytał Kenner.

Palec karczmarza dźgnął linię gór.

– Góry Ratn’gary. Największe góry na kontynencie. Znajdują się około trzech dni jazdy od Zatoki Ratn’gary. Legendy mówią, że można tam zobaczyć dwie rzeczy: Nekropolis, czyli Miasto Martwych Bogów, gdzie spoczywają bogowie, którzy zginęli podczas Wojen Chaosu. Nad nimi wznoszą się Filary Niebios, a pośród nich dwie najwyższe góry, tak wysokie, że żaden człowiek nie widział ich wierzchołków. Na szczycie tych gór znajduje się Pawilon Bogów, gdzie rezydują bogowie, którzy władają światem. Oczywiście to tylko legendy. Żaden żyjący człowiek nie próbował się tam zapuszczać.

Trzej mężczyźni wymienili spojrzenia i zapadła chwilowa cisza.

– A więc, powiedzcie mi coś o waszej wyprawie – powiedział Bek po paru minutach.

– Powiedziano nam, że mamy iść na zachód – rzekł kupiec klejnotów. – To wszystko.

– Kto wam powiedział?

– Mnisi, do których wysłałeś mnie zeszłej nocy – wyjaśnił Kaspar.

Właściciel zajazdu znów potarł brodę.

– Cóż, wyglądacie na takich, którzy nie ignorują tego rodzaju sugestii. To znaczy, potrzebowaliście rady i ją dostaliście. Ale sądziliście, że mnisi powiedzą wam coś bardziej konkretnego niż tylko „idźcie na zachód”, prawda?

Olaskanin zmagał się z pokusą, aby powiedzieć Bekowi o ładunku, jaki mają na wozie, ale po namyśle doszedł do wniosku, że stary karczmarz i tak nie może im pomóc w tej materii. Księżę wstał.

– No dobrze, ruszamy jutro o świcie. Zamierzamy wylądować nasz towar i wynająć łódź, która zabierze nas do Miasta Nad Gadzią Rzeką. Wydaje nam się to lepszym rozwiązaniem niż jazda ciężkim wozem po górach.

– Ale zajmie wam tyle samo czasu, biorąc po uwagę załadunek i rozładunek – zauważył były kupiec – a także zabezpieczanie łodzi i tym podobne, ale w ogólnym rozrachunku droga wodna daje wam więcej szans na dotarcie cało do celu.

– Czy możemy bezpiecznie założyć, że klanowa wojna już się skończyła? – zapytał jasnowłosy handlarz.

– Nigdy nie jest bezpiecznie zakładać się o cokolwiek, co ma związek z miejscowymi klanami. Teraz większość konfliktów uległa rozwiązaniu, a przynajmniej tak słyszałem. Po prostu upewnijcie się, że dajecie pieniądze komu trzeba, kiedy będziecie się przemieszczać z terytorium jednego klanu do drugiego. Mam dla was jedną radę: jak tylko zejdziecie z łodzi, idźcie prosto na pierwszy z dużych bulwarów. Nie pamiętam jego nazwy, ale z pewnością go nie przeoczycie. Minięcie mniej więcej pół tuzina mniejszych alejek, a potem napotkacie dużą aleję, biegnącą z północy na południe. Z pewnością tam traficie, bo wszyscy będą tamtędy szli. Aleją traficie na wielki północny rynek miejski, przy którym stoją wszystkie dobre karczmy. Ale jeżeli skręcicie w prawo, pozostaniecie w dzielnicy kontrolowanej przez Klan Orła. Oni trzymają wszystkie tereny wzdłuż rzeki aż do

doków. Jeżeli przekupicie strażnika albo dwóch, nie będziecie mieć kłopotów. Znajdźcie karcznię w dokach i czekajcie na statek do Maharty. Nie powinniście czekać dłużej niż dzień lub dwa, gdyż większość handlowych statków, wyruszających w dół wybrzeża do Chatisthanu i Isparu, najpierw zawija do Maharty.

– Dzięki – odrzekł Kaspar. – Bardzo nam pomogłeś. – Oddał mapy karczmarzowi.

– Nie, zatrzymajcie je – powiedział Bek. – Teraz nie mam z nich żadnego pożytku. Moja córka wyszła za młynarza z wioski Rolonda, to dobry chłopak, chociaż nie utrzymuję praktycznie żadnych kontaktów z jego rodziną, a mój syn jest w armii Raja, więc nie wydaje mi się, żeby którekolwiek z nich potrzebowało tych map w niedalekiej przyszłości.

– Bardzo ci dziękujemy – powtórzył ksiązę.

Flynn i Kenner ruszyli w kierunku schodów, prowadzących do ich pokoju, ale Kaspar jeszcze zwlekał.

– Mam do ciebie ostatnie pytanie – powiedział do karczmarza. – Powiedziałeś, że jeżeli ruszymy na zachód prosto stąd, skończymy w...

– Wielkiej Świątyni na głównym placu – dokończył Bek. – To prawda.

– Czy to miejsce ma aż takie znaczenie?

Właściciel zajazdu milczał przez chwilę, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Może – powiedział w końcu z wahaniem. – Sto lat temu Maharta była handlowym centrum całego kontynentu. Wszystkie towary, transportowane w górę bądź w dół rzeki, ze wszystkich miast na wybrzeżu, z miast wzdłuż Gadziej Rzeki aż do odległego Sulth, przechodziły przez to miasto. A więc przodkowie starego Raja wybudowali wielki plac, żeby kupcy i podróżni mogli tam stawiać swoje świątynie. Musi być tam ich co najmniej sto. Jeżeli mnisi powiedzieli wam, żebyście jechali na zachód, może plac jest dobrym miejscem, aby stamtąd zacząć poszukiwania. Słyszałem o sektach tak małych, że mają tylko dwie świątynie na świecie, jedną w domu, a drugą w Maharcie! – Zaśmiał się. – Nawet jeżeli miasto nie jest już tym, czym było dawniej, i tak warto rzucić na nie okiem.

– Dzięki – rzekł obcokrajowiec wstając. Zrolował mapę. – I dziękujemy za to.

– Nie ma o czym mówić. Zobaczymy się rano.

Ksiązę powoli wdrapywał się po schodach. Z natury był człowiekiem, który szybko podejmował decyzje i nienawidził wahań. Teraz jednak znalazł się w nietypowej sytuacji. Wiedział, że musi doprowadzić sprawę Kennera i Flyna do końca, zanim będzie mógł pomyśleć o powrocie do domu. Ale nienawidził tego, że nie wie, co ma robić. Do diabła, pomyślał, gdyż nie był nawet pewien, dokąd musi się udać.

Dotarł do szczytu schodów i wszedł do swojego pokoju.

Trumna została umieszczona w sieci do przemieszczania ładunków, a potem powoli opuszczono ją do ładowni statku. Towarzysze Kaspara wnieśli na pokład skrzynię, podczas gdy on sam dobijał targu z kupcem, zainteresowanym końmi i wozem. Nie potrzebowali dodatkowego złota, gdyż w skrzyni mieli wystarczającą ilość bogactw, żeby zapewnić sobie dostatnie życie do końca swoich dni, ale książe z determinacją postanowił do końca odgrywać rolę kupca, żeby nie ściągnąć na nich podejrzeń.

Posłuchali rady Beka. Zawrócili na południe na rogu ulicy, którą karczmarz im opisał, i dwukrotnie zostali zatrzymani przez wojowników, ubranych w tabardy z wyszytym symbolem klanu Orła.

Wręczyli strażnikom łapówki; żołnierze klanowi nawet nie kryli się z przyjmowaniem pieniędzy, uznając najwyraźniej, że chodzi w tym przypadku o zwykły interes. Drugi strażnik dał im nawet glejt – drewniany krążek z wyrzeźbionym orłem. Kazał im pokazywać przedmiot każdemu kolejnemu strażnikowi, który zechce ich przesłuchać. Kaspar ośmielił się narzekać, że pierwszy strażnik nie dał im niczego podobnego, i w efekcie usłyszał śmiech oraz posądzenie o wręczenie łapówki, która najwyraźniej nie zadowoliła jego poprzednika.

Przeszedł po trapie na statek i udał się za kompanami do małej kabiny, gdzie mieli zamieszkać. Pomieszczenie było tak niewielkie, że z trudem mieściły się tam cztery koje, ustawione parami jedna nad drugą. Złożyli skrzynię na niższym poślaniu, a Olaskanin umościł sobie miejsce na sąsiednim.

– Tak się zastanawiałem – mruknął.

– Nad czym? – zapytał Flynn.

– O tym, co powiedział stary mnich. Że jeżeli dokonamy złego wyboru, umrzemy.

Kenner wdrapał się na wyższą koję i się ułożył.

– Mnie też się to wydaje dość okrutnym sposobem sygnalizowania błędu. Trzy niewłaściwe ruchy i ta rzecz w ładowni utknie gdzieś na pustkowiu i nie będzie nikogo, kto ją zabierze dalej.

– Myślę, że to coś w jakiś sposób znajdzie kolejną ofiarę, która o to zadba – zauważył Flynn.

– W każdym razie – kontynuował Kaspar – myślałem także o tym, co powiedział Bek. Że jest droga lądowa do Maharty, która zaczyna się o kilka dni na północ od miasta. Musieliśmy przecież ją mijać. Może McGoin umarł dlatego, że nie zdecydowaliśmy się nią podróżować.

Blondyn położył się na boku i oparł głowę na łokciu.

– Nie wiem. Czasami wydaje mi się, że gdybyśmy nie utknęli w samym środku tej afery, byłibyśmy znacznie bardziej przestraszeni.

Kupiec klejnotów podciągnął się na swoją koję.

– To nic dziwnego. Kasparze, ty byłeś żołnierzem, prawda?

Milczał przez chwilę.

– Tak – potwierdził w końcu. – To stało się dla nas takie powszednie.

– Tak, właśnie – kontynuował Flynn. – Po prostu przyzwyczailiśmy się do tego szaleństwa.

Księżę położył się na swojej koi, zamierzając czekać tak na wezwanie na południowy posiłek. Pomyślał o tym, co kupiec właśnie powiedział, i doszedł do wniosku, że mężczyzna ma rację. W końcu przyzwyczajasz się do szaleństwa, jeżeli żyjesz w nim wystarczająco długo.

Potem nagle wpadła mu do głowy niepokojąca myśl. Przecież on sam żył pośród szaleństwa na długo przedtem, nim przybył na ten kontynent i spotkał tych ludzi.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Maharta.

Na pokładzie rozległ się okrzyk.

Kaspar skinął na towarzyszy, żeby opuścili koje.

– Niebawem cumujemy. Zanim wydobędziemy nasz ładunek na pokład, marynarze z pewnością wysuną już trap, więc pójdę wynająć nam jakiś wóz.

– Kup jakiś, jeżeli będziesz musiał – powiedział kupiec szlachetnych kamieni. Zdążył już wyjąć złoto ze skrzyni i podał księciu pełną sakiewkę, którą ów przymocował sobie pod tuniką.

Flynn i Kenner pierwsi wyszli z kabiny i wynieśli ciężką skrzynię na pokład. Były władca rozejrzał się po raz ostatni po małym pomieszczeniu, by sprawdzić, czy niczego nie zostawili. Zamknął drzwi i wdrapał się po drabince za swoimi kompanami.

Na pokładzie prawie natychmiast spostrzegł dwie rzeczy. Towarzyszący im przez całą podróż szum wody, rozcinanej kilem, teraz zniknął. W swoim życiu zawijał do portów setki razy, więc wiedział, czego powinien się spodziewać. Ściszone głosy, rozbrzmiewające w martwej ciszy, nie były niczym normalnym. A po drugie marynarze nie zajmowali się swoimi zwyczajnymi sprawami, związanymi z przybijaniem do portu, lecz w pośpiechu wydobywali trumnę z ładowni.

Rozejrzał się dookoła. Ogarnięcie całej sytuacji zajęło mu minutę. Kenner i Flynn postawili skrzynię na pokładzie i teraz jeden z nich pokazywał coś ponad relingiem. Popatrzył w tamtą stronę i ujrzał co najmniej dwie setki uzbrojonych strażników, oczyszczających nabrzeże z cywilów. W miejscu, gdzie wysunięto trap, stała gromadka ludzi, których można było nazwać delegacją świątynną, chociaż nie rozpoznawał do jakiego obrządku należą kapłani. Za nimi stali oficerowie lokalnego garnizonu Raja, a z tyłu właśnie podjechał wóz, zaprzężony w dwa potężne konie. Był pusty i Kaspar stwierdził, że szybko doprowadzono go w miejsce, gdzie miała wylądować trumna po zdjęciu z pokładu. Po prawej stronie czekała bogato zdobiona karoca.

– Nie sądzę, abys musiał się martwić znalezieniem wozu – orzekł Flynn. – Najwyraźniej spodziewali się nas tutaj.

W chwili gdy trap uderzył w nabrzeże, uzbrojeni strażnicy wpadli na pokład. Mieli na sobie jasnoblękitne mundury, ozdobione białą i złotą lamówką, a ich hełmy wypolerowano do oślepiająco srebrzystego blasku. Kiedy marynarze wyciągnęli trumnę z ładowni, strażnik dowodzący oddziałem stanął przed Olaskaninem i jego towarzyszami.

– Czy to wy jesteście tymi obcymi kupcami, którzy wiozą ze sobą tę rzecz! – zapytał pokazując palcem na kołyszącą się trumnę.

– Tak – potwierdził ksiązę.

– Chodźcie z nami. – Żołnierz odwrócił się, nie czekając, aby sprawdzić, czy usłuchali jego polecenia. Dwaj strażnicy złapali skrzynię, stojącą u stóp Flynna, podczas gdy dwaj inni gestem kazali trzem mężczyznom się pospieszyć.

Kaspar poczuł niejaką ulgę, że nie został rozbrojony. Nie to, żeby miał jakiegokolwiek złudzenie, że sam jeden zdoła pokonać w walce dwie setki doborowych żołnierzy Raja z Maharty, ale przynajmniej mogło to oznaczać, że nie jest więźniem... jeszcze nie jest. Wiedział, że pomiędzy uzbrojonym strażnikiem a eskortą istnieje tylko niewielka różnica, ale czasami ta różnica oddzielała gości honorowych od potępionych.

Kiedy dotarł do końca trapu, podszedł do niego starszy mężczyzna, ubrany w iście królewski strój. Miał na sobie szkarłatne szaty, lamowane gronostajami i złotą nicią. Jego głowę zdobił stożkowy czerwony kapelusz, wyszywany w złote runy. Skinął dłonią i do wozu, na który właśnie kładziono trumnę, podeszło pół tuzina innych kleryków.

– Jestem Ojciec Elekt Vagasha, ze świątyni Kalkina. Proszę, dołączcie do mnie, gdyż musimy porozmawiać.

– Doceniam złudzenie, że mamy w tej materii jakiś wybór – odparł ksiązę.

Stary kleryk uśmiechnął się.

– Oczywiście, że nie macie, ale to ładnie, gdy wszyscy zachowują się w cywilizowany sposób, nieprawdaż?

Poprowadził ich do karety, czekającej na skraju tłumu, po czym dwaj lokaje otworzyli mu drzwi. Kiedy już wszyscy siedzieli wygodnie w środku, powóz ruszył.

Olaskanin wyjrzał przez okno.

– To powitanie, ojcze, najwyraźniej doprowadziło do zamieszania w codziennym handlu. Niczego takiego nie oczekiwaliśmy – Spojrzał na starego przeora. – Zakładam, że to brat Anshu posłał ci słówko o naszym przybyciu?

– W rzeczy samej. Skomunikował się z przełożonymi swojego obrządku, którzy z kolei zwrócili się do mnie. Bracia Geshen-Amata należą do zakonu kontemplacyjnego, pogrążonego w mistycznych i ezoterycznych dociekaniach. Są bardzo cenieni w sprawach dotyczących ducha, istnieją jednak sytuacje, gdy przewodnictwo lepiej powierzyć innym zakonom. O ile dobrze zrozumiałem, jesteście tutaj obcy?

– Tak – odparł Flynn. – Pochodzimy z kraju leżącego za morzem.

– Z Królestwa Wysp – dopowiedział Ojciec Elekt Vagasha. – Wiemy o tym. Wiedzieliśmy o tym, zanim przybyła Szmaragdowa Królowa. Podobnie jak wiemy o Keshu i innych, którzy żyją w wielu zakątkach świata. Kontakty handlowe pomiędzy naszymi półkulami są raczej rzadkie, ale się zdarzają. Nasza religia nie jest praktykowana w waszej części świata. Nazwalibyście nas obrządkiem wojskowym, gdyż wielu naszych braci i ojców było żołnierzami, zanim poświęcili się sprawom wiary. Inni z kolei od chwili, kiedy przestąpili progi naszego klasztoru, zaciągnęli się do armii, aby spełniać święte rozkazy. Co więcej jesteśmy także bractwem naukowców i historyków. Poszukujemy wiedzy, która jest jedną ze ścieżek wiodących do oświecenia, więc logicznym wyborem było przekazanie nam właśnie tej...

– Relikwii? – zasugerował książę.

– To równie dobre słowo, jak każde inne. W każdym razie, dlaczego nie opowiecie mi wszystkiego, co o tym wiecie, w czasie jazdy do świątyni? Od samego początku.

Kaspar popatrzył na Flynna, który spojrzał na Kennera. Kenner gestem wskazał Flynna jako tego, który ma opowiadać.

– Ponad dwa lata temu – zaczął mieszkaniec Kinnoch – zebraliśmy się w Krondorze. Było nas trzydziestu kupców i zawiązaliśmy coś w rodzaju handlowego konsorcjum...

Dawny książę Olasko usiadł wygodnie. Słyszał już tę historię w najdrobniejszych szczegółach, pozwolił więc, żeby głos Flynna rozpuścił się w dźwiękach miasta, a tymczasem on sam spoglądał przez okno na mijane ulice Maharty.

Owo miasto, znacznie bardziej niż inne miejsca, które odwiedził na tym kontynencie, przypominało mu dom. Tak daleko na południe klimat był bardziej umiarkowany, a letnia pogoda łagodniejsza niż to, czego doświadczył do tej pory. Stojące na nabrzeżu budynki zbudowano z cegły i zaprawy; były znacznie solidniejsze od przewiewnych i lekkich konstrukcji, jakie widział na pomocy. Ulice pokrywał bruk, a nadmorska bryza sprawiała, że w powietrzu nie wisiał zaduch tysięcy ludzi, który tak mu przeszkadzał w Mieście Nad Gadzią Rzeką i innych większych siedliskach.

Wjechali na kipiący życiem plac targowy. Najwyraźniej interesy szły tutaj doskonale; wszędzie widział dobrze odżywionych, zadowolonych ludzi. Za karocą pędziła banda wyrostków, a przy straganach roiło się od robiących zakupy żon i matek. Równie dobrze mogłyby zostać w jakiś czarodziejski sposób przeniesione do Opardum i nie wzbudziłyby swoim wyglądem żadnej sensacji. Książę poczuł zalewającą go falę tęsknoty, której nie czuł z takim nasileniem, odkąd znalazł się jako wyrzutek na tym kontynencie. Wtoczyli się na kolejny szeroki bulwar.

– ...i tak właśnie znaleźliśmy Kaspara – powiedział kupiec.

– A więc nie byłeś częścią wyprawy od samego początku? – zapytał Ojciec Elekt.

– Nie – potwierdził Kaspar. – Przybyłem do tego kraju na kilka miesięcy przed spotkaniem Flynna i innych. Przypadkowi zawdzięczam, że stałem na rynku akurat wtedy, kiedy szukali czwartego, który

dobrze włada mieczem, żeby pomógł im w dalszej drodze. Musieli zawieść tą... relikwię w dół rzeki do Miasta Nad Gadzią Rzeką.

– A zatem wcześniej ta rzecz zupełnie cię nie interesowała?

– Chciałem po prostu przyspieszyć podróż do domu i ich propozycja wydała mi się korzystna. Nie znalazłem się tutaj z własnego wyboru.

– Och? – Stary przeor pochylił się do przodu. – Jak niby ktoś ma podróżować na drugi koniec świata nie z własnego wyboru? Czy przywieziono cię tutaj jako więźnia?

– Nie w tradycyjnym znaczeniu tego słowa, ojcze. Nie zakuto mnie w łańcuchy i nie wrzucono do ładowni statku, jeżeli o to pytasz. – Odchylił się na oparcie i westchnął. – Zostałem wygnany przez bardzo potężnego maga, którego niestety udało mi się nieźle zdenerwować. I tak był dla mnie łaskawy, bo gdybyśmy w jakiś sposób zamienili się rolami, ja z pewnością bym go zabił.

– Przynajmniej doceniasz łagodność swojego wroga.

– Mój ojciec zwykł mawiać, że dzień spędzony na oddychaniu to dzień wspaniały.

– To, jak zdenerwowałeś maga, z pewnością stanowi fascynującą historią – zauważył stary kapłan. – Jednakże musimy to odłożyć na później; o ile okoliczności nam pozwolą, opowiesz tę historię kiedy indziej. Teraz opowiedzcie mi, co stało się po tym, jak Kaspar dołączył do trzech ocalałych z przeklętej przez los ekspedycji.

Teraz on zaczął opowiadać, skupiając się na najważniejszych wydarzeniach podróży. Jego towarzysze od czasu do czasu dodawali szczegóły tu czy tam. Kiedy doszedł do opisu potwora, odpowiedzialnego za śmierć McGoina, kapłan zadał kilka dodatkowych, dość specyficznych pytań, a gdy odpowiedzi już go zadowolily, gestem kazał opowiadać dalej.

– Właściwie nie ma wiele więcej do opowiadania. – Kaspar wzruszył ramionami. – Dwa dni później dojechalismy do Shamsy i weszliśmy na statek płynący do Miasta Nad Gadzią Rzeką. Jedyne, co nam się tam przydarzyło, to spotkanie z bratem Anshu, a jestem pewien, że dostałeś na ten temat pełen raport z jego świątyni. W Mieście Nad Gadzią Rzeką spędziliśmy trzy dni, a potem wsiedliśmy na żaglowiec, który przywiózł nas tutaj.

– I tutaj jesteście – podsumował Ojciec Elekt. Karoca zwolniła. – Jesteśmy na miejscu – dodał.

Olaskanin wyjrzał przez okno i zobaczył, że wjechali na ogromny plac, otoczony świątyniami ze wszystkich stron. Ta, przed którą się zatrzymali, nie była tak krzykliwa jak większość, ale też nie należała do najskromniejszych.

– Mamy dla was przygotowane kwatery, panowie – oznajmił przeor, kiedy wysiedli z karocy. – Zgodnie z rozkazem Raja, i na naszą prośbę, będziecie u nas gośćmi, aż podejmiemy decyzję, co zrobić z wami i ładunkiem, który wieziecie.

– A jak długo to zajmie? – zapytał książe.

– Cóż, tak długo ile będzie trzeba – odparł starzec.

Kaspar popatrzył na Flynna i Kennera; obaj mężczyźni wzruszyli ramionami. Ksiązę nie odezwał się więcej, tylko wszedł na schody prowadzące do świątyni.

* * *

Świątynia Kalkina w niczym nie przypominała innych miejsc kultu, jakie Kaspar odwiedził w swoim życiu. Zamiast ciszy, mamrotania pacierzy przez wiernych albo śpiewu hymnów, w głównej sali świątynnej aż huczało od rozmów. Młodzi mężczyźni stali w małych grupkach, często wraz z przewodzącym im starszym kapłanem, a czasami bez. Niekiedy słuchali starszego z uwagą, innym razem dyskutowali z nim zawzięcie na jakiś temat. Inni bracia obrządku biegali pospiesznie tu i tam, ale przybysz nigdzie nie widział cichej modlitwy, tak powszechnej i zwyczajnej dla wielu świątyni.

– Czasami straszny tu gwar. Chodźmy do moich pokoi, a tymczasem każę przygotować wasze lokum – powiedział Ojciec Elekt.

Poprowadził trzech mężczyzn w dół korytarza, otworzył drzwi i gestem okazał, że mają wejść do środka. Kiedy już weszli, pojawił się służący i wziął od gospodarza stożkowy kapelusz oraz ciężki płaszcz. Pod wierzchnim odzieniem ojciec Vagasha nosił zwyczajną szatę z szarego samodziału, taką samą jak inni bracia, których Kaspar widział wcześniej.

Pokój był prosto urządzone, ale znajdowało się w nim mnóstwo ksiąg, tomiszczy, zwojów i pergaminów, poustawianych na półkach wzdłuż ścian. Poza biblioteczkami w pomieszczeniu stał tylko prosty stół do pisania i pięć krzeseł. Kapłan skinął na gości, żeby usiedli. Poinstruował sługę, żeby przyniósł coś do jedzenia, a następnie również usiadł.

– Twoja świątynia jest niepodobna do żadnej, jaką kiedykolwiek odwiedziłem, ojcie – powiedział ksiązę. – Bardziej przypomina mi szkołę.

– Ponieważ to jest szkoła, na swój sposób – odparł Vagasha. – Nazywamy ją uniwersytetem, co oznacza...

– Cały – dopowiedział Kaspar. – *Universitas Apprehenderel*.

– *Videre* – skorygował stary kapłan. – Pełne zrozumienie jest domeną bogów jedynie. My jedynie staramy się zrozumieć to, co pozwolono nam pojąć.

Kenner i Flynn wyglądali tak, jakby nic nie rozumieli z toczącej się rozmowy.

– Wasz przyjaciel mówi bardzo starym językiem – powiedział ojciec Vagasha tonem wyjaśnienia.

– To antyczny quegański i mówię nim tylko trochę. Moi nauczyciele wykładali podstawy kilku

klasycznych języków paru narodów.

– Nauczyciele? – zapytał jasnowłosy kupiec. – Zdawało mi się, iż mówiłeś, że byłeś żołnierzem i myśliwym.

– Byłem, obok paru innych.

Powrócił służący i przyniósł ze sobą tacę przekąsek, trochę ciastek i herbatę.

– Wybaczcie mi, że nie mogę zaoferować wam nic mocniejszego, ale moja reguła narzuca abstynencję. Jednakże herbata jest bardzo dobra.

Sługa nalał płyn do czterech filiżanek i odszedł.

– A teraz – rzekł kleryk – co mam z wami zrobić?

– Pozwól nam odejść – zasugerował Flynn. – Jesteśmy przekonani, że jeżeli nie zrobimy tego, czego chce od nas ta istota, zginiemy z jej ręki.

– Sądząc po okolicznościach śmierci waszego towarzysza, wydawało mi się, że to coś ocaliło wam życie.

Olaskanin pokiwał głową.

– Zaledwie zgadujemy.

– Jedna rzecz mnie zadziwia – powiedział kapłan. – Podchodzicie do całej sprawy z takim spokojem. Gdybym to ja został uwikłany w ciemne moce, o których nic bym nie wiedział, odchodziłbym od zmysłów ze strachu.

Kupcy wymienili się spojrzeniami.

– Po pewnym czasie... – odezwał się Kenner – po prostu się do tego przyzwyczailiśmy. To znaczy, na początku, kiedy zaczęły dziać się złe rzeczy, bardzo dużo rozmawialiśmy o tym, co powinniśmy zrobić. Niektórzy z nas chcieli zostawić tę rzecz w jaskini i zabrać ze sobą resztę złota, ale po prostu... nie mogliśmy tego zrobić. To nam nie pozwalało.

– Zatem, jak widzisz, nie mieliśmy żadnego wyboru – dokończył drugi handlarz.

– Dlatego właśnie postanowiliśmy poszukać kogoś takiego jak brat Anshu – wyjaśnił ksiązę. – Wiedziałem, że coś jest nie tak i że gdy już dowiem się co, to mi się nie spodoba. Nie jestem człowiekiem, który przywykł do wykonywania cudzych poleceń. A więc można powiedzieć, że zaniepokoiłem się, bo nie czułem niepokoju.

– Musiało ci być ciężko, kiedy służyłeś w armii – zażartował Flynn, żeby nieco poprawić nastrój.

– Czasami – uśmiechnął się władca.

– Cięży na was coś w rodzaju... uroku – powiedział Ojciec Elekt.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem – odezwał się kupiec szlachetnych kamieni.

– Ja też nie – przyznał Kaspar.

– To magiczny przymus. Czar, który zmusza was do wykonania pewnego zadania, a kiedy już tego dokonacie, będziecie wolni – objaśnił ojciec Vagasha. – To jedna z przyczyn, dla której wasz towarzysz zginął w tak okropny sposób, a wy nawet nie poczuliście żalu.

Kenner poruszył się na krześle.

– Myślałem, że po prostu... że ja jestem...

– Bezduszny? – podpowiedział ksiązę.

– Tak – przyznał handlarz. – Nawet wtedy, gdy zginął pierwszy członek naszej wyprawy, nie czułem... nic.

– I nie mogłeś, gdyż wtedy nie wykonałbyś narzuconego zadania – powiedział stary kapłan. – Moi bracia badają waszą relikwię i kiedy skończą, zobaczymy, co się da zrobić, żeby uwolnić was od tego czaru.

– A więc to jest złe? – zapytał Flynn, jakby ciągle nic był pewien.

– Czasami zdarza się, że dobro i zło nie są łatwe do odróżnienia – zauważył kleryk. – Będę mógł powiedzieć wam więcej, kiedy skończymy badać relikwię. Zatem może teraz pójdziecie do swoich pokoi i odpoczniecie. Dzisiaj wieczorem zjecie kolację z braćmi. Nasze jedzenie nie jest bardzo wyszukane, ale z pewnością was zadowoli. Może jutro będziemy mieli więcej tematów do omówienia.

Wstał i mężczyźni także podnieśli się z krzeseł. Jakby odgadując potrzeby Ojca Elekta, pojawił się sługa, który miał odprowadzić ich do kwater.

– Przyślę po was późnym popołudniem – powiedział kapłan do trójki towarzyszy, gdy ruszyli za służącym.

– Może to i dobrze, że się tutaj znaleźliśmy – stwierdził kupiec klejnotów.

Kaspar pokiwał głową.

– O ile ta rzecz nie zabije nas wszystkich.

Po tych słowach nikt się nie odezwał.

Tego wieczora jedli kolację z ojcem Vagashą, ale kolejne spotkanie i rozmowa odbyły się dopiero tydzień później, a nie nazajutrz, jak przewidywał kapłan. Cały ten czas spędzili samotnie, nie niepokojeni przez nikogo. Kenner i Flynn trzymali się raczej swoich kwater; spali, grali w karty albo jedli.

Olaskanin natomiast spędzał całe dni w wielkiej sali. Siedział cicho i przysłuchiwał się rozmowom uczniów i nauczycieli. Większość z tego, co słyszał, była albo oczywistościami łatwymi do przewidzenia, albo teoriami młodych ludzi, którym wydaje się, że zjedli wszystkie rozumy. Poznał wyidealizowane spojrzenia na życie i opinie, w jaki sposób powinien działać świat, ale nawet ci, których idee nie należały do najmądrzejszych, wysławiali się bardzo poprawnie.

Drugiego dnia, spędzonego w sali, ksiązę był świadkiem wyjątkowo skomplikowanej dyskusji, podczas której kapłan, nauczyciel grupki młodzieży, postawił szereg pytań i nie udzielił na nie odpowiedzi. Pozwolił studentom dyskutować nad każdym z zagadnień i dojść do własnych wniosków.

Przysłuchując się dyskusji, wyczuł, że za chwilę usłyszy coś wartościowego; jakąś myśl oryginalną, ocierającą się o sens życia, która od czasu do czasu nawiedza niedojrzałe umysły. Zdał sobie sprawę, że pewna część tych młodych ludzi stanie się oryginalnymi myślicielami i nawet najgłupszi w przyszłości odniosą korzyść z tego, że za młodu uczyli się w takim miejscu.

Przez chwilę Kaspar poczuł, jak ogarnia go gniew. Tylko to jest coś warte, pomyślał. To na to ludzkość powinna trwonić swe siły – na zrozumienie zasad, które rządzą światem, a nie na podbijanie go siłą. Przerwał nagle, zaskoczony intensywnością swoich uczuć i zastanowił się, skąd się ona bierze. Takie myślenie było dlań nietypowe. Skąd wziął się w nim taki gniew? Czuł się tak, jakby całe swoje życie spędził w ciemnościach i nagle pokazano mu, że istnieje także światło. Całe piękno oraz doskonałość stworzenia zawsze były o krok od niego, tylko że on o tym nie wiedział. Kto trzymał go w mroku? Nigdy nie należał do ludzi, co zastanawiają się nad przeszłością, zatem te myśli głęboko go zaniepokoiły.

Ksiązę powstrzymał się od dalszych rozważań na ów temat i zmusił umysł, aby nie zadawał sobie podobnych pytań. Zwrócił się znów ku problemom chwili obecnej. Rozzłościł się, że w jego umyśle rysuje się tak poważny konflikt, więc wstał i wyszedł z sali. Wrócił do swojego pokoju.

Tej nocy tylko rygorystyczne przepisy zabraniające spożywania alkoholu na terenie klasztoru sprawiły, że pozostał trzeźwy.

Przez resztę tygodnia Kaspar nadal przysłuchiwał się z zainteresowaniem debatom młodych ludzi, ale instynktownie trzymał się z daleka od pytań, które wprawiały jego umysł w tak wielkie pomieszanie.

Tydzień później wezwano ich do komnat Ojca Elekta.

Kiedy weszli, stary kleryk gestem kazał im podejść do ustawionych krzeseł.

– Siadajcie, proszę. Wiem, że nie możecie się już doczekać na nasz werdykt. Teraz mamy pewne pomysły, co należy zrobić w waszej sytuacji.

Nikt się nie odezwał. Patrzyli, jak do pokoju wchodzi trzech innych kapłanów. Stary przeor przedstawił ich.

– To jest ojciec Jaliel, ojciec Gashan i ojciec Ramal.

Trzej mężczyźni mieli na sobie habity identyczne z tymi, jakie nosili wszyscy członkowie zakonu, ale przy kołnierzykach szat błyszcząły małe szpilki, które książę widział także u nauczycieli w wielkiej sali. Pierwszy z nich był starszy, a dwaj pozostali w wielu zbliżonym do Kaspara, czyli w okolicach lat czterdziestu.

– Ojciec Jaliel jest naszym miejscowym ekspertem do spraw artefaktów i relikwii – zaczął przedstawiać Vagasha. – Ojciec Gashan to teolog i na nim spoczywa odpowiedzialność za interpretację naszych odkryć na tle doktryn i wierzeń A ojciec Ramal jest naszym historykiem Gestem nakazał trzem klerykom podejść bliżej – Ojczy Gashanie, zechcesz zacząć? Proszę, wyłóż naszym przyjaciołom, jakich dokonaliśmy odkryć i jakie stąd płyną wnioski.

– Jeżeli zabrnę zbyt głęboko w ezoterykę – powiedział ojciec Gashan – proszę, każcie mi wszystko dokładnie tłumaczyć.

– Spojrzał po kolei na dwóch kupców i Kaspara, po czym zaczął – Wierzmy, że wiedza to niedoskonałe zrozumienie. Nowe informacje zawsze zmuszają nas do zweryfikowania starych i zmian światopoglądu oraz spojrzenia na wszechświat. Uporządkowaliśmy wiedzę w trzy kategorie wiedzę doskonałą, wiedzę pewną i wiedzę niekompletną albo niedoskonałą. Wiedza doskonała jest domeną bogów i nawet ich percepcja podlega pewnym ograniczeniom. Tylko Prawdziwy Najwyższy, ten który jest wielbiony pod imieniem Geshen-Amat w pewnych częściach naszego globu, pojmuje wszechświat w sposób doskonały. Inni bogowie są tylko aspektami i awatarami Najwyższego, więc ich wiedza ogranicza się do sfery, jaką się parają. Nasz pan, Kalkin, jest nauczycielem, ale nawet on posiada wiedzę doskonałą tylko w zakresie nauczania, a nie tego, czego naucza. Wiedza pewna to coś, w co wierzymy, że jest akuratnym odbiciem życia, natury i wszechświata. Taka wiedza może być zarówno poprawna, jak i błędna. Kiedy odkrywamy nowy fakt dotyczący istnienia, nie odrzucamy go, jeżeli nie pozostaje w zgodzie z obecnie obowiązującą doktryną, ale raczej zmieniamy doktrynę i obserwujemy, jak na nią wpływa dodatkowy fakt. Wiedza niedoskonała to taka, o której wiemy, że jest niekompletna, że brakuje jej ważnej części, bez której nie może się przekształcić w wiedzę pewną. Jak możecie sobie wyobrazić, większość tego, co wiemy, zalicza się do ostatniej kategorii – czyli do wiedzy niekompletnej. Nawet nasza wiedza pewna to tylko podejrzenia i domysły.

– A więc z tego, co mówisz, wynika – powiedział dawny książę Olasko – że nie możemy być nigdy pewni tego, co wiemy, ponieważ nie jesteśmy bogami.

Kapłan uśmiechnął się.

– Zasadniczo tak. Twoje podsumowanie jest uproszczeniem, ale na razie nam wystarczy – Przerwał na chwilę, a potem dodał. – Wiedza może mieć także inne aspekty, wiążące się z dobrem i złem.

Książę starał się ukryć zniecierpliwienie. Początek, zrobiony przez kapłanów, przypominał mu kazania, jakich musiał wysłuchiwać za młodu.

– Wiedza w większości nie jest dobra ani zła. Wiedza o tym, jak rozpalić ogień, nie determinuje tego, co z nią zrobisz. Możesz rozpalić ognisko, żeby ugotować jedzenie dla głodnych albo spalić dom człowieka, żeby go zabić. Ale pewna wiedza, leżąca daleko poza granicami pojmowania ludzkości, może wyrażać się jako dobro albo zło. Ojciec Gashan odwrócił się i spojrzał na dwóch innych kapłanów, którzy pokiwali głowami – Nie będę się zbyt długo rozwodził nad tym zagadnieniem, ale uwierzcie mi, kiedy wam powiem, że na tym świecie istnieje wiedza, która może was zmienić, może zapewnić wam wieczne życie w chwale albo zepchnąć w niekończące się potępienie oraz męczarnie, tylko dlatego, że weszliście w jej posiadanie.

Teraz Kaspar i jego dwaj towarzysze nadstawili uszu, gdyż ostatnie słowa najwyraźniej odnosiły się do ich sytuacji.

– Chcesz powiedzieć, że posiadanie wiedzy o tej rzeczy, co wpadła w nasze ręce, jest powodem, z którego spotkały nas takie, a nie inne konsekwencje? – zapytał książę.

– Może – odparł ojciec Gashan. Odwrócił się do ojca Ramala, zaś ten skinął głową.

– Nasza historia uczy nas, że zanim człowiek przybył na Midkemię, na świecie żyły inne rasy zaczął Ramal – Elfy są jedną z ras, o której wiemy na pewno, że żyła przed czasem ludzi. Niektóre z długo wiecznych ras nadal mieszkają na północy, chociaż ich cywilizacja chyli się ku upadkowi. Jednakże będą jeszcze trwać przez wieki, zanim ulegną swej śmiertelności. Przed naszą rasą na Midkemii żyły także smoki oraz ich panowie.

– Jeźdźcy Smoków – powiedział Flynn i popatrzył na pozostałych znacząco – Przecież wam mówiłem.

– Tak, a przynajmniej tak mówią stare teksty – kontynuował Ramal – Ale o tych istotach wiemy bardzo niewiele Elfy nic o nich nie mówią i uważa się, że niewielu przetrwało Wojny Chaosu. Może gdzieś żyją ci, co posiadają bogatszą wiedzę w tej materii, ale my ich nie znamy.

– Zabieramy tę rzecz do Stardock – wtrącił kupiec szlachetnych kamieni – Do Akademii Magów. Może oni.

Ojciec Vagasha podniósł dłoń.

– Mamy pewną wiedzę na temat tej organizacji. Nasze świątynie zawsze uważały magów za cokolwiek podejrzanych. Zajmują się mieszaniem wiedzy z mocą bez najmniejszego zważania na okoliczności i właściwego poczucia kontekstu. Magowie od wieków próbują wykorzystać wiedzę, która jest z założenia zła, nekromancję i komunikację z mrocznymi duchami. A wszystko po to, aby osiągnąć osobistą korzyść. Nawet grupa która w swej dumie mieni się sługami wiedzy, czyli Akademia Stardock, wielokrotnie okazywała się zbyt niebezpieczna, aby okazać jej zaufanie i przekazać rzecz taką, jaka jest w waszym posiadaniu – Popatrzył na ojca Jahela, który wystąpił krok do przodu.

– Ta zbroja, wasz artefakt, nie daje się uplasować w naszym świecie. Musi pochodzić z innego miejsca.

Kaspar opadł na oparcie. Tego się nie spodziewał.

– A więc to nie jest relikwia pozostała po Jeźdźcach Smoków?

– Nie. To nawet nie pochodzi z Midkemii.

– A więc należy do Tsuranich – zapytał Flynn.

– Nie – zaprzeczył Jahel – Żaden z Tsuranich nie wylądował na naszym kontynencie podczas Wojny Światów. Dowiedzieliśmy się o tej wojnie w wiele lat później.

– A więc co to jest? – ponownie zainteresował się kupiec.

– Nie wiemy do końca – odrzekł Jahel – Rozważyliśmy wiele możliwości, których było doprawdy sporo, ale obawiam się, że wyczerpaliśmy limit naszej wiedzy i mądrości.

– A zatem, mimo braku zaufania, podejrzewam, że musimy udać się do Stardock i skonsultować ten przedmiot z magami stwierdził książe.

– Jest jeszcze inny sposób. Czujemy, że nasz dobry brat Anshu wskazał wam drogę. Podczas gdy my należymy do obrządku pielęgnującego wiedzę i mądrość, inni kapłani, na przykład wyznawcy Geshen-Amata, miewają okazjonalne przebłyski intuicji albo doświadczają niezrozumiałych oświeceń, których nie potrafimy powtórzyć. Prawdopodobnie na zachodzie rzeczywiście leży odpowiedź na wasze pytanie.

Kaspar oparł łokcie na kolanach i przypomniał sobie, co mówił im Bek, kiedy razem oglądali mapy.

– W Pawilonie Bogów?

Czterej klerycy popatrzyli po sobie.

– Wiesz o Pawilonie Bogów? – spytał w końcu Ojciec Elekt Vagasha.

– Karczmarz z Shamshy dał nam mapę. Jest w naszych komnatach. Zaznaczono na niej miejsce

w górach na zachodzie. Poza tym nic o nim nie wiem.

Vagasha popatrzył na Ramalę.

– Mówią, że w górach Rata'gary istnieje wiele dziwnych miejsc. Niestety większość z nich nie jest dostępna dla ludzkich oczu. U stop dwóch największych szczytów, Filarów Niebios, leży Miasto Martwych Bogów. Ci, którzy zbudowali świątynie, już nie istnieją, ale ich dzieło przetrwało. Mówią, że na szczycie gór mieszkają żywi bogowie i ich awatary, ale tylko najodważniejsi śmiertelnicy mogą się tam dostać i ujrzeć chociaż skrawek boskości. Poniżej tego miejsca, ale powyżej Nekropolis, wznosi się bastion. Zamieszkują go Strażnicy.

– Strażnicy Bramy – rzekł Vagasha – Ludzie należący do sekty nie mającej prawie żadnego kontaktu z ludzkością. Nawet poprzez nasze świątynie nie jesteśmy w stanie się z nimi porozumieć. To oni, wedle podań, są strażnikami drogi, która prowadzi do bogów. Mówi się także, że człowiek w potrzebie, całym sobą oddany swemu celowi, znajdzie drogę do Strażników. Jeżeli on oceni, że naprawdę potrzebuje pomocy, będzie mógł przedstawić swoją petycję bogom.

– Czy to prawda? – zapytał Kenner.

Ojciec Vagasha uśmiechnął się przepraszająco.

– Niestety nie posiadamy pewnej wiedzy w tej materii.

Księżę zachichotał, słysząc grę słów.

– Ale i tak uważacie, że powinniśmy się tam udać?

– Tak, tam musicie się udać, w przeciwnym bowiem razie ryzykujecie śmiercią, podobnie jak dwudziestu ośmiu waszych towarzyszy. Możemy tylko zgadywać, co tam zastaniecie. – Skinął na sługę. – Czeka na was statek. Damy wam eskortę, która pomoże wam dotrzeć do podnóża gór tuż pod Nekropolis. Więcej nie możemy zrobić. Kiedy już wejdziecie na szlak prowadzący w góry, musicie iść sami. Teraz możecie wrócić do swoich kwater i tam zaczekajcie na wieczorny posiłek.

Odprawieni mężczyźni wrócili do pokoi.

– Nie podoba mi się to, co usłyszałem – powiedział jasnowłosy, kiedy zamknęły się za nimi drzwi. – Myślę, że powinniśmy jechać do Stardock.

– Ciągłe martwisz się złotem – zniecierpliwiał się Flynn. – Ja chcę tylko, żeby zdjęto ze mnie ten czar, klątwę, czy cokolwiek to jest! Chcę, żeby moje życie należało do mnie.

Kenner skinął głową, najwyraźniej poruszony; nie był w stanie mówić.

Były władca Olasko westchnął.

– Wasze życia przestały do was należeć z chwilą, kiedy znaleźliście tę przeklętą rzecz. Podobnie jak moje, od kiedy was spotkałem. Jesteśmy przeklęci i musimy do końca wykonać to... zadanie, o ile

to dobre określenie sytuacji, w taki czy inny sposób.

Żaden z nich nie chciał powiedzieć na głos, jaka jest alternatywa. Będą musieli wypełnić tajemniczą misję, czego by nie dotyczyła; w przeciwnym razie zginą.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ratn'gary.

Statek uderzał dziobem w fale przyboju. Kaspar, Kenner i Flynn stali przy relingu i obserwowali, jak żaglowiec opływa Przylądek Mataba i idzie pod wiatr w kierunku Zatoki Ratn'gary, która dawała mu względne schronienie. Mężczyźni ciasno owijali się płaszczami. Mimo tego, że było lato, zapuścili się już tak daleko na południe, iż podczas burzy robiło się całkiem zimno. Prosto na północ, wysoko w górze, na klifach wznosiły się drzewa Wielkiego Południowego Lasu – ciemne i groźne.

Trzy i pół tygodnia temu opuścili Mahartę, na statku oddanym im do dyspozycji przez świątynię Kalkina, i teraz zbliżali się do celu morskiej podróży – zatoki Ratn'gary na południowym krańcu gór Ratn'gary.

Od kiedy wypłynęli z Maharty, trzech mężczyzn byli ponurzy. Każdy z nich czuł, że ogarnia go bezsilność po tym, jak odkryli, że są całkowicie zależni, a ich życie kontroluje tajemniczy czar. Kenner zamknął się w sobie i prawie się nie odzywał. Flynn bez przerwy szukał innego wyjścia z sytuacji, łudząc się, że może ktoś takowe przeoczyć. Jeżeli już rozmawiał ze swoimi towarzyszami, zawsze wynajdował nowe fakty, o których myślał, że pewnie zostały przegapione. Za każdym razem, gdy okazywało się, że jest inaczej, na całe godziny popadał w posępne milczenie. A księżę był po prostu zły.

Przez całe swoje życie Kaspar, dziedzic tronu Olasko, a potem władca Olasko, nigdy nie prosił nikogo o pozwolenie za wyjątkiem swego ojca. Zawsze robił to, co chciał, kiedy chciał i tylko raz jeden został skutecznie powstrzymany, ale aby tego dokonać, potrzeba było zdrady i trzech armii. A przecież i tak przeżył! Sam pomyśl, że jakaś obca siła za pomocą czaru narzuciła mu posłuszeństwo, popychał go na krawędź wściekłości.

Od kiedy przybył na ten kontynent, księżę zastanawiał się nad wieloma sprawami. Rzeczy, które w młodości zapewne postawiłyby jego światopogląd na głowie, teraz tylko go ciekawiły. Pamiętał, jak drobiazgowy był w domu. Zawsze pilnował, żeby każdy najdrobniejszy szczegół garderoby był wyczyszczony i dobrany do pozostałych, zanim zaczął ubierać się na poranne audiencje albo wieczorną galę. Tylko wtedy, gdy jechał na polowanie z ojcem, nie dbał o swój wygląd i ubiór.

Co pomyślałby jego ojciec, gdyby zobaczył go na farmie Jojanny, rąbiącego drewno albo przerzucającego bydłęcy gnój? Do tej pory nikt spośród rozmawiających z nim na tej ziemi, poza dowódcą Alenburgą, nie domyślił się, że Kaspar jest szlachcicem z urodzenia. A Alenburga spędził z księciem kilka dobrych nocy na długiej rozmowie, zanim wyciągnął odpowiednie wnioski. W końcu zdecydował, że uszanuje pragnienie anonimowości Kaspara. Księżę wiedział, że Kenner i Flynn podejrzewają, iż kiedyś mógł być oficerem i szlachcicem, co tłumaczyłoby jego wykształcenie oraz dobre maniery, ale żaden z nich nie domagał się wyjaśnień. Nie wiedział, czy wynika to z ich natury,

czy może jest efektem czaru.

Kaspar z Olasko zmagał się z jednym z faktów, który przyprawiał go o większe pomieszenie niż cokolwiek innego w życiu. Jego życie nie było już jego własnością; nie należało do niego na długo przed przybyciem na ten kontynent.

Teraz był pewny, że jego tak zwany doradca, Leso Varen, manipulował nim za pomocą czarnoksiężskich sztuczek. Wykorzystał jego naturalne ambicje i popchnął je daleko poza granice, jakich książę nigdy by nie przekroczył. Kaspar siedział spokojnie za biurkiem w swoich prywatnych komnatach i wydawał rozkazy mające na celu zniszczenie całych ras i narodów. Miało to być częścią chybionego i niezręcznego planu pogrążenia Królestwa Wysp. Zginęły tysiące ludzi, żeby on jeden mógł odwrócić uwagę Królestwa Wysp od prawdziwego celu jego działań – od tronu Roldem.

Wtedy wydawało mu się to takie proste i oczywiste. Siedem przypadkowych zgonów, dziwnym trafem bardzo dlań korzystnych, po czym cała populacja Roldem zwróci oczy na północ i z radością powita Kaspara, księcia Olasko, jako ich prawowitego władcę. Co on sobie myślał! Nagle dotarło do niego, że wcale nie używał wtedy rozumu. Myślał tylko o tym, o czym Leso Varen pozwalał mu myśleć.

Nie wiedział, co bardziej go złości. To, że tak łatwo dał się podejść magowi i wpuścił go do swojego domu, czy to, że stracił możliwość oceny swego szaleństwa, wywołanego przez czarnoksiężnika. Dzisiaj w odległym kraju, stojąc na zmywanym falami pokładzie obcego statku, Kaspar z łatwością potrafił wymienić co najmniej tuzin powodów, z jakich każdy plan Varena należało uznać za szalony. Jedynym rezultatem jego próby sięgnięcia po władzę byłaby wojna i całkowity chaos. Zdał sobie sprawę, że plan działania od samego początku musiał być tylko i wyłącznie dziełem maga. Z powodów, których prawdopodobnie nigdy nie zrozumie, Leso Varen chciał, żeby Wschodnie Królestwa, Królestwo Wysp i może nawet Wielki Kesh pogrążyły się w krwawej wojnie.

Książę nie potrafił sobie wyobrazić, jakie i komu to mogło przynieść korzyści. Czasami zdarzało się, że niektóre państwa korzystały na tym, że ich sąsiedzi pozostają ze sobą w zbrojnym konflikcie. On sam przez kilka lat wywołał parę takich starć, ale były to tylko przygraniczne zamieszki, polityczne intrygi albo dyplomatyczne zdrady, a nie totalna wojna, angażująca trzy najpotężniejsze narody północnej półkuli. Destabilizacja regionu była bardzo niebezpieczna. Gdyby pomiędzy Królestwem Wysp i Keshem wybuchła wojna, również Wschodnie Królestwa zostałyby w nią wciągnięte, wcześniej czy później.

A był przecież świadkiem działania tych trzech narodów. Na szczęście jednak nie doszło do destabilizacji regionu, jego nieudolne intrygi sprawiły, że trzech gigantów połączyło swoje siły, co było początkiem klęski władcy Olasko. Jego stolica została zdobyta w jeden dzień. Nawet jeżeli Talwin Hawkins nie odkryłby sekretnego wejścia do cytadeli, połączone siły Roldem i Keshu zredukowałyby twierdzę do kupy gruzów w przeciągu miesiąca. Książę wielokrotnie przeklinał swoich przodków, którzy uznali, że cytadela jest nie do zdobycia. Co więcej, gdyby pogłoski o nadejściu armii Królestwa Wysp okazały się prawdziwe, oblężenie Opardum skróciłoby się zaledwie do kilku dni.

Nie, cała sytuacja nie miała sensu. Nie więcej niż ten przeklęty czar, pod wpływem którego pozostawał. Kaspar modlił się o to, żeby wyjść cało z opresji. Wtedy może ktoś wyjaśniłby mu wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi.

– Rzucimy kotwicę o zachodzie słońca – powiedział żołnierz z ich eskorty – Moj kapitan mówi, że powinniśmy spędzić noc na pokładzie i dobrze wypocząć, żeby nabrać sił na rano.

Trzej mężczyźni wrócili do kabiny w milczeniu, każdy pogrążony we własnych myślach. Leżeli na kojach, aż majtek zawołał ich na skromną kolację z kapitanem.

* * *

Następnego ranka prawie godzinę spędzili na wyciąganiu trumny z ładowni i transportowaniu jej na plażę. Akurat był przyływ i fale przyboju wznosiły się wysoko, lecz w końcu książę i jego towarzysze stanęli na brzegu wraz z eskortą trzydziestu żołnierzy z Maharty i ich dowódcą.

Młody porucznik, Shegana, obejrzał trumnę i specjalne nosidło, które zostało tak skonstruowane, że czterech ludzi mogło nieść spory ciężar bez specjalnego wysiłku. Najwyraźniej nie zamierzał przejmować się zbytnio swoimi obowiązkami i nie krył tego faktu przed obcokrajowcem od chwili, gdy weszli na statek. Nawet jeszcze nie zdążyli wyjść z portu, kiedy podszedł do księcia.

– Moje instrukcje – rzekł – mówią, że mam was odprowadzić do określonego miejsca, zaznaczonego na mapie, którą dostałem od Ojca Elekta ze świątyni Kalkina. Poinstruowano mnie także, że mam was traktować z szacunkiem i zadbać o to, aby moi ludzie także zachowywali się wobec was poprawnie. Z tego, co mi zasugerowano, ty możesz być człowiekiem szlachetnie urodzonym, może nawet arystokratą, ale nikt mi tego nie powiedział wprost. Zatem, panie, zamierzam przeprowadzić tę misję wkładając w nią wszystkie moje siły i zdolności, ale muszę postawić sprawę jasno jeżeli stanę przed wyborem, czy ocalić życie moich ludzi, czy was trzech, moi żołnierze przeżyją, a wy będziecie musieli radzić sobie sami. Czy to jasne?

Kaspar milczał przez dłuższą chwilę.

– Jeżeli przeżyjemy tę wyprawę, poruczniku – odezwał się wreszcie – założę się, że staniesz się oficerem, za którym żołnierze pójdą w ogień. Ale musisz się nauczyć przyjmować ze spokojem rozkazy, które nie są ci w smak.

Szczery młody oficer dał znak i jego ludzie podnieśli trumnę. Ruszyli w kierunku szlaku prowadzącego z plaży w górę urwiska. Były władca popatrzył na Kennera i Flynnę, skinął głową i poszedł za nimi.

* * *

Przez pierwsze trzy dni z mozołem przedzierali się przez niegościnnie kraj, ale obyło się bez wypadków. Szlak, prowadzący od plaży, wiódł przez nadbrzeżne klify, a potem schodził na równinę, poraną wąwozami, zmuszającymi ich do wspinaczki.

Kaspar widział sporo tropów zwierzyny łownej, a także kilku dużych drapieżników niedźwiedzi, wilków i górskich kotów. Kiedy wspięli się wyżej, zrobiło się chłodniej. W nocy były przymrozki, chociaż lato dopiero się kończyło. Niebawem weszli na porośnięte lasem wzgórze, przecięte gęstą siecią strumieni, przez które musieli się przeprawiać.

Wieczór zastał ich na względnie otwartej przestrzeni. Był to płaski, kamienisty wierzchołek wzgórza, gdzie rozpalili ognisko. Porucznik Shegana wystawił dookoła strażę.

– Poruczniku, możesz zmniejszyć ilość straży o połowę. Pozwolisz swoim ludziom lepiej się wypaść – zasugerował książę. – Jestem doświadczonym tropicielem i od czasu gdy wylądowaliśmy na plaży, nie widziałem nawet śladu ludzkiej bytności. Jedyne, czego możemy się obawiać, to drapieżne zwierzęta, ale one raczej boją się ognia.

Porucznik zaledwie skinął głową, ale Kaspar zauważył, że w nocy wokół obozowiska kręciło się już tylko dwóch strażników, zamiast zwyczajowej czwórki.

Następne dwa dni upłynęły spokojnie, ale rankiem trzeciego dnia powrócił jeden ze zwiadowców i doniósł, że zidentyfikował szlak prowadzący w wysokie góry. Godzinę później cały oddział dotarł do równiny, na której droga rozwidła się. Jedna odnoga prowadziła na północ do podnóża gór, podczas gdy druga, idąca na zachód, wspięła się stromo na górskie zbocza.

– Cóż, panowie – powiedział Shegana. – Jeżeli instrukcje dobrego ojczulka są dokładne, mamy się stąd wspinać, aż dotrzemy do podnóża Filarów Niebios, na których szczycie wznosi się Pawilon Bogów. – Skinął głową i zwiadowca ponownie ruszył przed siebie szybkim krokiem. Czterej mężczyźni, wybrani do niesienia trumny, złapali za uchwyty i oddziałek ruszył dalej.

* * *

Szli przez cały następny dzień i o zachodzie słońca dotarli do głębokiej przełęczy.

– Tutaj mamy na was czekać – oznajmił porucznik. – Ojciec Elekt powiedział, że stąd musicie iść dalej sami.

Książę skinął głową.

– Ruszamy o świcie.

Góry zdawały się nie mieć żadnego kształtu. Wyglądały jak ściana mroku i cienia. Każda odrobina światła, jaką dawało zachodzące słońce, była pochłaniana przez ciężkie chmury, przetaczające się po niebie.

– To złe miejsce, panie – powiedział młody oficer. – Moje rozkazy są jasne. Mam tu na was czekać przez dwa tygodnie i jeżeli nie wrócicie do tego czasu, muszę wrócić na statek bez was.

– Rozumiem – odrzekł Kaspar.

Kenner popatrzył na Flynna.

– Sugerujesz, że mamy wnieść tę trumnę sami na te góry? – zapytał.

– Najwyraźniej tak – stwierdził dawny władca.

– Nie zazdroszczę wam – westchnął Shegana. – A niesienie tego ciężaru i tak wydaje mi się najłżejszą częścią całej wyprawy.

Żołnierze rozpalili ogień. Kiedy jedli, prawie nikt się nie odzywał.

* * *

Kaspar poderwał się nagle ze snu i wyciągnął miecz, zanim dotarło do niego, że hałas, który go obudził, to krzyk Flynna. Księżę rozejrzał się wokoło i zrozumiał, dlaczego jego towarzysz tak panicznie krzyczy. Wokół popiołów ogniska leżał porucznik Shegana i jego ludzie; na ich twarzach malowało się przerażenie. Wszyscy byli martwi i patrzyli w niebo szeroko otwartymi oczyma.

Kenner także już nie spał; rozglądał się dookoła i wyglądał, jakby zamierzał uciec jak najdalej.

– Co to? – wrzasnął, jakby odpowiedź mogła sprawić, że sytuacja nagle wróci do normy. – Co to znaczy? – Przenosił wzrok z twarzy na twarz. – Kto to zrobił?

Księżę odłożył miecz.

– Ktoś albo coś doszło do wniosku, że ci żołnierze zbliżyli się zbyt blisko do Pawilonu Bogów.

– Wszyscy umrzemy! – wrzasnął niemal histerycznie jasnowłosy kupiec.

Kaspar złapał go za ramię i wbił kciuk w skórę, tak żeby ból odwrócił uwagę mężczyzny od strachu.

– Każdy kiedyś umrze. Po prostu dla nas nie nadszedł jeszcze ten dzień. Jeżeli to coś, co zabiło tych żołnierzy, chciałoby, żebyśmy umarli, już byśmy nie żyli.

Kenner odepchnął go, lecz teraz jego oczy znów odzyskały przytomny wyraz, a twarz przestała przypominać maskę wykrzywioną strachem.

– Dlaczego? – wyszeptał.

– Nie mam pojęcia – odparł książę – Może to ostrzeżenie?

– Tak jakbyśmy potrzebowali więcej ostrzeżeń – krzyknął Flynn, kiedy nad strachem zapanował gniew – Tak jakbyśmy potrzebowali więcej śmierci, żeby przyspieszyć naszą podróż!

– Weź się w garść, człowieku – rozkazał były władca Olasko – Myślałem, że do tej pory przywykliście już do śmierci.

Człowiek z Kinnoch nic nie powiedział na te słowa.

– Jak niby mamy wnieść na górę zapasy i tę rzecz? – zapytał kupiec korzenny.

Olaskanin rozejrzał się wokoło. Poranne niebo powoli jaśniało.

– Być może będziemy musieli podróżować etapami. Przez pół dnia poniesiemy relikwię i część zapasów, a potem jeden z nas z tym zostanie, podczas gdy pozostali dwaj wrócą po resztę jedzenia. Będziemy przemieszczać się powoli, ale mamy dwa tygodnie na to, żeby dojść tam, gdzie trzeba i wrócić. Zakładam, że statek będzie czekał nawet kilka dni dłużej.

– A więc miejmy to już z głowy – oświadczył blondyn. Żaden z nich nie zgłosił obiekcji. Mężczyźni zaczęli się szykować do wspinaczki na Filary Niebios.

* * *

Kaspar niósł zbroję za nogi. Wyjęli ją z trumny, co pozwoliło na znaczną redukcję ciężaru. Sznurowa uprząż, którą sporządzono do niesienia skrzyni, teraz przydała się do oplatania czarnej postaci. Mężczyzna męczył się z dwoma linami, zawiązanymi wokoło stóp zbroi, zrobił pętle i zarzucił je sobie na ramiona. Stopy były najmniej wdzięczną częścią ładunku. Kiedy się wspinali, zbroja często zsuwała się i jeżeli się zagapił, i nie trzymał liny napiętej, uderzała go w brzuch albo w biodra. Kompani zamieniali się miejscami mniej więcej co godzinę, tak że pod koniec dnia żaden nie był wolny od siniaków.

Książę niósł na plecach czarny miecz tajemniczej postaci, schowany do prowizorycznej pochwy, którą zrobił z kilku pasów, zabranych martwym żołnierzom. Cały dzień zajęło im wykopanie płytkiego grobu i pochowanie w nim trzydziestu jeden mężczyzn. Kaspar poczuł ukłucie żalu, kiedy sypał ziemię na twarz porucznika Shegany. Młody człowiek doskonale się zapowiadał. Książę z radością witał w swojej armii ludzi tego pokroju Kaspar spojrzał na niebo i zawołał, żeby się zatrzymali.

– Myślę, że już czas na powrót po resztę zapasów. Poszukajmy lepiej miejsca na obozowisko.

– Wydaje mi się, że nad nami jest kawałek płaskiego terenu – powiedział Flynn kiwając głową.

Wspinali się przez kolejnych kilka minut i wreszcie dotarli do małego płaskowyzu.

– Nazbieram drewna na ognisko – oznajmił ksiązę, gdyż ciągle trzymali się blisko linii drzew. I zostanę z tą rzeczą. Wy dwaj wracajcie do ostatniego obozu i spędźcie tam noc. Rano weźcie tyle zapasów, ile zdołacie unieść i wracajcie.

– To znacznie nas opóźni – rzekł kupiec klejnotów. Kaspar spojrział na górskie szczyty, wznoszące się ponad nimi.

– Kto wie, ile czasu zajmie nam szukanie tych Strażników? Możemy spędzić tutaj wiele dni. A jeżeli zrobi się chłodno, a wszystko na to wskazuje, będziemy potrzebowali jedzenia, żeby nie opaść z sił.

Kenner wyglądał na zdenerwowanego, w jego oczach czał się strach.

– A co, jeżeli ta to coś, co nami manipuluje, pomyśli, że Flynn i ja chcemy po prostu uciec?

Dawny ksiązę Olasko powoli tracił cierpliwość.

– Jeżeli chcesz zostać tutaj sam na noc z tą rzeczą, ja pójdę z Flynnem.

Jasnowłosa potrząsnął głową.

– Nie, pójdę z nim.

– Cóż – westchnął kupiec szlachetnych kamieni. Im wcześniej ruszymy, tym prędzej dojdziemy. Chodźmy wreszcie.

Książę szedł z nimi kawałek, a następnie skręcił do lasu i zaczął zbierać chrust. Znalazł wystarczająco dużo zwalonych drzew i nie musiał ścinać żywych. Zebrał tyle drewna, żeby wystarczyło go na dwie noce, a potem wreszcie usiadł. W gasnącym świetle dnia, wyjęta z trumny, obca zbroja wyglądała bardziej złowrogo niż zwykle.

Kiedy już rozpałił ogień, Kaspar wyjął zapasy i zjadł kolację. Napił się wody z bukłaka i rozłożył posłanie. Ucieszył się, że ma okrycie z gęsiego puchu. Zapowiadała się zimna noc.

Podsycił ogień, żeby zniechęcić polujących drapieżników, i wczołgał się do śpiwora. Gdy już zasypiał, usłyszał w pewnej odległości wycie wilka. Otworzył oczy i rozejrzał się wokoło. Zwierzę musiało być dość blisko.

Leżał nieruchomo przez kilka minut i nasłuchiwał, czy w odpowiedzi nie odezwie się inny drapieżnik. Nic nie wiedział o wilkach zamieszkujących te góry. W Olasko występowały trzy podgatunki wilka, a także dzikie psy. Zwierzęta z nizin były wielkości psa i polowały w stadach.

Stanowiły istny postrach farmerów kiedy zima przeredzała stada jeleni, antylop i łośi. Wilki zjadłyby wszystko, nawet myszy, a gdy zwierzyna stawała się rzadkością, napadały na farmy i zabijały kurczaki, kaczki, gęsi, oswojone psy, koty ze stodół. Wszystko, co tylko wpadło im w paszczę. Krążyły pogłoski, że jeśli głód zajrzał im w ślepią, potrafiły nawet napadać na ludzi, chociaż jak długo był księciem, Kaspar nie słyszał o takowym wypadku.

Wilki z wyżyn zbijały się w mniejsze stada, miały znacznie większą głowę i krótsze nogi. Raczej omijały ludzi i ich siedziby o ile to tylko było możliwe. Tylko nieznacznie różniły się wzrostem od swoich nizinnych kuzynów.

Wilki bagienne, zamieszkujące południowo-wschodnie mokradła Olasko, były po prostu gatunkiem nizinnym, który zaadaptował się do życia na terenach podmokłych. Jedyną różnicą, jaką książę dostrzegł pomiędzy nimi a pozostałymi, było ciemniejsze futro, stanowiące lepszy kamuflaż na ciemniejszym podłożu.

Kaspar nie usłyszał odpowiedzi na wycie, więc spokojnie zapadł w sen.

W ciągu nocy o nieokreślonej porze książę obudził się, słysząc zawodzenie wilka. Nasłuchiwał z dłonią na rękojeści miecza. Jednak nie docierał doń żaden dźwięk – z wyjątkiem poszeptu liści poruszanych wiatrem w lesie poniżej. Zerknął na zbroję – ciemną martwą postać, leżącą po przeciwległej stronie dogasającego ogniska. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w migotanie płomieni, odbijających się od ciemnej, gładkiej powierzchni, aż w końcu odłożył miecz i zapadł w sen.

* * *

Flynn i Kenner pojawili się na szlaku w południe. Nieśli ze sobą wielkie worki z zapasami. Usiedli ciężko przy ognisku.

– Jakież kłopoty? – zapytał Flynn.

– Jakiś wilk kręcił się w pobliżu, ale nic więcej.

– Wilk? – zapytał Kenner – Pojedynczy?

– Najwyraźniej tak – odrzekł książę i dorzucił do ognia więcej drewna. Zobaczmy, co tam macie. – Przejrzał zapasy – Powiem wam zaraz, co powinniśmy zrobić, jeżeli dobrze kalkuluję. Jutro rano wy dwaj weźmiecie zapasy.

Wyłożył im plan, wedle którego mieli przemieszczać się szlakiem przez kilka najbliższych dni, przeskakując jeden drugiego, aż zjedzą większość zapasów i będą w stanie nieść je ze sobą. Pozostałą część popołudnia spędzili odpoczywając, upewniwszy się wcześniej, czy mają wystarczającą ilość drewna. Kaspar nie przejmował się zbytnio wilkiem, ale wiedział, że

niedźwiedzie stają się nad podziw odważne, kiedy poczują jedzenie, a o tej porze roku, czyli późnym latem, rozpoczynają właśnie gody. Samce staną się więc agresywne, a samice głodne, gdyż bez przerwy szukają jedzenia, żeby obłożyć się tłuszczem na zimowy sen.

– Powinniśmy wystawić warty powiedział Olaskanin, gdy zaczął zapadać zmierzch – W razie gdyby coś wyczuło nasze jedzenie i postanowiło sobie podjeść – Mając przed oczami własne spotkanie z szarym niedźwiedziem, z którego uszedł z życiem tylko dzięki temu, że Talwin Hawkins wiedział, jak zabić taką bestię, uznał, że lepiej nie wspominać dokładnie, co ma na myśli.

Książę zgodził się wziąć wartę środkową, żeby jego towarzysze mogli wyspać się bez przerw. To oni mieli jutro dalej się wspinać, podczas gdy on będzie miał czas na odpoczynek. Spędził nocne godziny zastanawiając się nad swoim życiem i przeszłością.

Kiedy wspominał przybycie Leso Varena do Oparum, zalały go czarne myśli. Mag pojawił się pewnego dnia na audiencji i podał za wędrowca, który poszukuje miejsca, gdzie będzie mógł przez jakiś czas odpocząć. Twierdził, że jest znawcą nieszkodliwej magii. Ale szybko zamienił się w główną postać na dworze władcy i ów w pewnym momencie zaczął patrzeć na życie w zupełnie inny sposób.

Czy to ambicja popychała Kaspara, czy ociekające miodem słówka czarnoksiężnika? Książę zdał sobie sprawę, że dopuszczał się czynów, które teraz napawały go odrazą. Im więcej czasu upływało od tamtych dni, tym okropniejsze mu się zdawały. Wspominał swój ostatni dzień w cytadeli Oparum. Był przekonany, że jeżeli pozwoli się złapać żywcem, zostanie poddany egzekucji, więc z determinacją postanowił walczyć aż do śmierci. Nie miał pojęcia, kto stoi za tym atakiem ze strony Keshu i Roldem do czasu, aż do ostatniego pokoju, gdzie bronił się książę i najbardziej zaufani strażnicy, nie wpadł Talwin Hawkins. I wtedy wszystko straciło sens.

To, że był z nim Quentin Havrevulen, nadało wszystkiemu pozory czarnej komedii. Kiedy Talwin wyznał wreszcie, że jest ostatnim z Orosinich, Kaspar przynajmniej zrozumiał jego motyw i był bliski podziwiania jego przebiegłości. Hawkins tak doskonale ukrył się pod przebraniem kawalera z Królestwa, że udało mu się umknąć nawet badawczej magii Leso Varena. Porażka władcy Olasko była całkowita i natychmiastowa.

Ale książę najbardziej zdziwił się, kiedy usłyszał wyrok, jaki na niego wydano. Wygnali go na drugi koniec świata, żeby po stokroć przeżywał swoje uczynki. I przeklął za to Talwina Hawkinsa, gdyż kawaler rzeczywiście osiągnął to, co zamierzał. Po raz pierwszy w życiu Kaspar doświadczał wyrzutów sumienia.

Zastanawiał się, jak wiele kobiet podobnych do Jojanny i chłopców takich jak Jorgen zginęło przez niego. Zanim wygnano go na Novindus, nie widział w nich ludzi, ale pionki na szachownicy, a rezultatem wygranej partii miała być korona Roldem. Jego marzenia o wielkości, o zasiadaniu na tronie Roldem, które być może nie było najpotężniejszym królestwem na świecie, lecz z pewnością najbardziej wpływowym, kulturalnym i cywilizowanym, wynikały z próżności. Morderczej próżności, co doprowadziła go do rury Nawet gdyby mu się udało, co dalej? Podbiłby świat? W jakiś bliżej nie określony sposób wzięłby Kesh i Królestwo Wysp pod but? Zmieniłby Wschodnie Królestwa w prowincję swego państwa? Popłynąłby przez morze i zaprowadził porządek na innych

kontynentach? A potem co? Może podbiłby tajemniczy kontynent, leżący na północy, którego nazwy nawet nie umiał sobie przypomnieć? A może najazd na świat Tsuranich? Czy to by mu wystarczyło?

A kiedy by to wszystko osiągnął, co by mu pozostało? Z kim dzieliłby radość posiadania? Był samotnym człowiekiem i kochał tylko jedną jedyną osobę na świecie, swoją siostrę. Nie było nikogo, z kim mógłby dzielić swoje mrzonki.

Księżę usiadł i popatrzył na swoich śpiących towarzyszy Flynn miał żonę Kenner dziewczynę, która jak miał nadzieję, nadal na niego czekała. Obaj marzyli o rzeczach leżących w ich możliwościach, więc kiedyś mogły się spełnić, zamiast pogrążyć się w fantastycznych mrzonkach o potędze i władzy. Władza jest iluzją, tak mówił mu jego ojciec. Teraz zaczynał to rozumieć. Zazdrościł tym dwóm mężczyznom, którzy przecież nie byli jego przyjaciółmi, ale w końcu im zaufał. Nie było w nich ani grama chorej ambicji i skąpstwa. Po prostu zmagali się z tajemniczą klątwą, kierującą ich postępkami, i ze wszystkich sił pragnęli wrócić do normalnego życia.

Zastanawiał się, jakie będzie jego normalne życie, gdy już uwolni się od czaru. Czy kiedykolwiek zadowoli się znalezieniem sobie żony i ustatkowaniem się jako ojciec rodziny? Tak naprawdę nigdy nie chciał mieć dzieci, chociaż czas spędzony z Jorgenem dał mu próbkę tego, jak mogłyby wyglądać chwile spędzone z własnym synem. W jego przypadku dzieci zawsze jawiły się jako nieuniknione następstwa małżeństwa z racji stanu. Były kiepską gwarancją dobrego zachowania ościennych państw. Idea kochania własnych potomków zawsze była dla niego trochę dziwna, a nawet zupełnie niezrozumiała.

Obudził Kennera, a ten kiwnął mu głową Zamienili się miejscami bez słowa, żeby nie niepokoić Flyna Kaspar owinał się w śpiwór i leżał cicho, czekając na sen.

Ale nie mógł zasnąć, gdyż w głębi siebie czuł tępy, pulsujący ból. Ból, który był dla niego czymś nowym i sprawił, że zaniepokoił się o swoje zdrowie.

Po chwili domyślił się jednak, czym musi być to uczucie, i kiedy już wiedział, zachciało mu się płakać, ale niestety nie wiedział, jak to się robi.

* * *

Wilk pojawił się godzinę przed świtem. Olaskanin wyczuł coś na chwilę przed tym, jak Kenner krzyknął ostrzegawczo. Księżę i Flynn poderwali się z bronią w rękę w samą porę, żeby zobaczyć, jak zwierzę rzuca się kompanowi do gardła.

– Złap polano! – wrzasnął Kaspar.

Największym wilkiem, jakiego dawny władca widział w swoim życiu, był potężny drapieznik, na którego polował w górach Olasko. Mierzył co najmniej dwa metry od nosa do ogona i ważył ponad pięćdziesiąt kilo. To zwierzę było prawie o połowę większe. Długości niemal dwa i pół metra.

Musiałoby ważyć co najmniej tyle, ile dorosły człowiek. Kenner nie miał nawet cienia szansy, żeby umknąć przed potworem. Kaspar złapał za miecz i pożałował, że nie ma przy sobie włóczni. Nie chciał wchodzić w bezpośrednie starcie z wilkiem, jednakże nie dysponował inną bronią, która byłaby skuteczna w walce z tak potężnym zwierzęciem. Nie odważył się także rzucić mieczem, gdyż trafienie nieomal graniczyłoby z cudem.

Wilki przestąpił ponad bezwładnym ciałem kupca i warknął ostrzegawczo. Flynn wyciągnął z ogniska płonąca gałąź i trzymał ją w lewej ręce, podczas gdy w prawej dzierżył miecz.

– Co robimy? – zapytał księcia.

– Nie możemy pozwolić mu uciec. To ludojad, a do tego sprytny na tyle, że zdoła zakraść się do obozu ponownie. Musimy go zabić albo zranić, ale mocno, żeby wczłgał się w jakąś dziurę i zdechł. – Rozejrzał się dookoła. – Zajdź go z prawej i trzymaj przed sobą pochodnię. Jeżeli zaatakuje, rzuć mu gałąź prosto w pysk i postaraj się go trafić mieczem, kiedy będzie szarżował. Jeżeli ci się nie uda, spróbuj go zagnać do mnie, dookoła ogniska.

Ku zdumieniu Kaspara handlarz wykazał się wielką odwagą, gdyż nawet doświadczony myśliwy w obliczu takiego potwora z pewnością by się zawahał. Bestia pochylała głowę i księżę zorientował się, że za chwilę zaatakuje.

– Przygotuj się! Zaraz skoczy!

Kupiec przejął inicjatywę i krótkim zamachem rzucił pochodnię prosto w pysk wilka. Bestia cofnęła się o krok. Ogień przypalił jej wąsy, a z prawej strony czuła ciepło ogniska, więc skoczyła w tył i na lewo, lądując niemal na boku.

Gdybym tylko miał włócznię! – pomyślał Kaspar, przeklinając pod nosem. Przebiegł wokół ogniska i zwierzę odwróciło się w jego stronę. Wilk nagle nabrał animuszu, gdyż nie czuł już płomieni na swojej skórze, a zbliżająca się postać nie niosła ze sobą pochodni. Potwór skoczył na mężczyznę bez ostrzeżenia.

Lata doświadczenia ocaliły księciu życie, gdyż rozpoznał zamiar skoku, kiedy tylko zwierzę zaczęło się do niego spinać. Zamiast uskoczyć na prawo, dalej od bestii, jak nakazywał mu instynkt, Kaspar obrócił się w lewo niczym dama w tańcu, przesuwając mieczem poziomo tuż nad ziemią.

Tak jak miał nadzieję, ostrze uderzyło stwora w klatkę piersiową. Siła zderzenia niemalże sparaliżowała mu ramię, a wilk wydał z siebie głośny skowyt. Księżę kontynuował obrót i stanął przodem do zwierzęcia, na wypadek gdyby chciało ponownie atak.

Zamiast tego jednak, potwór zwałił się na ziemię. Teraz próbował podnieść się na przednie nogi, z których jedna została ucięta mieczem Kaspara. Zdezorientowany i oszalały z bólu wilk miotał się po ziemi, tym samym sprawiając sobie jeszcze większe cierpienie. Księżę odciął wilkowi całą przednią łapę.

Flynn nadbiegł w momencie, kiedy zwierzę wreszcie stanęło na trzech nogach.

– Czekaj! – krzyknął Kaspar. – Wykrwawi sięna śmierć. Jeżeli podejdziesz zbyt blisko, ciągle może cię dopaść i rozszarpać gardło.

Bestia próbowała ich zaatakować, lecz padła pyskiem na ziemię. Zawyla, ponownie stanęła na nogach i spróbowała się odwrócić, jednakże znów upadła.

– Przynieś pochodnię – polecił Olaskanin.

– Po co?

– Ponieważ musimy się upewnić, że wilk rzeczywiście zdechnie.

Poszli za zwierzęciem, które próbowało z trudem zejść ze wzgórza i schować się w lesie wśród drzew. Jednak po pięćdziesięciu metrach wilk upadł po raz kolejny i tym razem już nie wstał. Dwaj mężczyźni podeszli na tyle blisko, żeby widzieć go w świetle pochodni, lecz na tyle daleko, żeby ustrzec się przed ostrymi kłami i pazurami.

W końcu zwierzę przewróciło oczami; Kaspar podszedł szybko do leżącego cielska i zatopił sztych miecza w gardle potwora. Wilk rzucił się na trawie, a potem zmarł.

– Nigdy nie słyszałem o takich wielkich – powiedział Flynn, kiedy już było po wszystkim.

– Ja także – odparł książę. – Ten gatunek nie występuje w Olasko ani nigdzie indziej, a przynajmniej o takim nie słyszałem.

– Co teraz zrobimy? – zapytał handlarz.

Były władca położył rękę na ramieniu towarzysza.

– Zostawimy wilka tutaj. Niech go zjedzą padlinożercy. Potem pogrzebiemy Kennera.

Dwaj mężczyźni odwrócili się od truchła i w milczeniu ruszyli z powrotem do obozowiska.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Filary Niebios.

Kaspar sapał z wysiłku.

On i Flynn tak okręcili zbroję sznurami, żeby móc ją nieść niczym w hamaku; książę trzymał głowę, a kupiec nogi czarnej postaci. Każdy z nich dźwigał ponadto załadowany zapasami plecak, więc teraz z trudem pokonywali wąską szczelinę.

Skalne ściany wznosiły się po obu stronach. Mężczyźni niemal namacalnie wyczuwali zagrożenie. Czuli się tak, jakby jakaś tajemnicza moc miała ich zgnieść między kamiennymi ścianami, podobnymi do palców skalnego giganta. Nawet wczesnym rankiem światło słońca docierało do wąwozu mocno rozproszone, a nad sobą widzieli jedynie wąski pasek błękitu.

– Jak ci idzie? – zapytał Kaspar. – Jak się czujesz? – Martwił się o Flynna. Kiedy zginął Kenner, kompan stracił nagle wszystkie siły. Wyglądał na człowieka zrezygnowanego, co w każdej chwili spodziewa się śmierci i już się z tym pogodził. Dawny władca widział podobne odczucia w oczach więźniów, których prowadzono do lochów w jego cytadeli, gdzie mieli być torturowani albo zabici dla dobra racji stanu. Albo z innych powodów.

– Wszystko w porządku – odpowiedział kupiec, ale w jego głosie nie było przekonania.

– Wydaje mi się, że coś widzę przed nami.

– Co?

– Wąwóz się kończy – odrzekł Kaspar.

Kiedy obeszli zakręt szczeliny, zavalony luźnymi kamieniami, mógł zobaczyć dalszy koniec wąwozu. Teren przed nimi najwyraźniej się otwierał. Wyszli wreszcie z półmroku i stanęli na dużym płaskowyżu. Ścieżka prowadziła przez sam środek równiny.

– Odpocznijmy.

Towarzysz nie zgłaszał obiekcji, więc położyli zbroję na ziemi. Potem obaj zrzucili plecaki z ramion i rzucili je na trawę.

– Czy widzisz jakieś kształty, tam na tamtych skałach? – zapytał książę.

Flynn mrużył oczy przed blaskiem słońca. Był to jeden z tych letnich dni, gdy niebo jest błękitne, a powietrze niemal faluje od gorąca. Po godzinach spędzonych w mroku wąwozu, słońce niemalże

ich oślepiło.

– Tak mi się wydaje.

Odoczywali przez kilka minut, a potem znów założyli plecaki i podnieśli zbroję. Kiedy szli przez płaskowyż, dziwne kształty nagle okazały się znajome. Małe miasteczko tkwiło przytulone do skał przed nimi, a płaskowyż płynnie przechodził w główny plac.

Niektóre budynki wycięto w skale, podczas gdy inne stały na placu. Ich kształty przyprawiały umysł o pomieszenie, linie i załamania miały oczy, sprawiając, że człowiek nie wierzył własnym zmysłom. Sześciokąty, piramidy, pięciokąty, nawet romboidy. Pomiędzy budynkami wznosiły się ku niebu potężne obeliski. One także miały dziwne kształty. Jeden był zaokrąglony, inny płaski albo trójkątny na przekroju niczym dziwacznie wyglądająca wieża, stojąca tuż obok spiralnego obelisku.

– Odłóżmy zbroję – powiedział Kaspar.

Ponownie złożyli czarną postać na ziemi i znów zdjęli plecaki. Księżę podszedł do jednego z obelisków.

– Jest cały pokryty runami – zauważył.

– Czy potrafisz je odczytać? – spytał kompan.

– Nie – odparł Kaspar. – I wątpię, czy ktokolwiek z żyjących to potrafi.

Kupiec klejnotów rozejrzał się dookoła.

– To musi być Miasto Martwych Bogów, prawda?

– Musi być. – Rozejrzał się wokoło i zatoczył łuk ręką. – Popatrz na architekturę. Ludzki umysł nie mógł tego zaprojektować.

Flynn popatrzył na miasto.

– Jak myślisz, kto to zbudował?

Księżę wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie sami bogowie. Ci, którzy ciągle żyją. – Przypatrzył się uważniej. – Czy widzisz cokolwiek innego niż grobowce?

Jego towarzysz powoli obrócił się wokół własnej osi.

– Dla mnie one wszystkie wyglądają jak grobowce.

Kaspar podszedł do jednej z budowli i dostrzegł, że nad drzwiami wyryto pojedyncze słowo.

– Czy potrafisz to odczytać? – zapytał kupiec. – To nie przypomina niczego, co widziałem w całym moim życiu.

– Ja już to widziałem, ale nie potrafię go odczytać. – Były władca Olasko widział podobne runy na pergaminach w gabinecie Leso Varena. – To jakiś rodzaj pisma magów.

– Dokąd teraz idziemy? – zapytał Flynn.

– Ojciec Elekt powiedział, że pomiędzy Nekropolis i Pawilonem Bogów mieszkają tylko Strażnicy. Podejrzewam, że musimy znaleźć jakąś drogę w górę.

Weszli w głąb Miasta Martwych Bogów.

* * *

Plac kończył się potężną fasadą, wykutą w skale. Na odrzwiach wyryto cztery słowa.

– Co to za miejsce? – zdziwił się handlarz.

– Bogowie jedni wiedzą, ale ja nie – odparł Kaspar. – Wejście wygląda, jakby prowadziło do wnętrza góry.

Kupiec rozejrzał się dookoła.

– Kasparze, czy widzisz jakąkolwiek drogę, prowadzącą w górę?

– Nie. I nie pamiętam, żeby szlak się rozwidlał albo szedł do góry.

– Kasparze, jestem zmęczony.

– Odpocznijmy. – Postawił na ziemi swój koniec zbroi i Flynn uczynił podobnie.

– Nie, nie mam na myśli tego rodzaju zmęczenia. – Mężczyzna był blady i wymizerowany. – To znaczy... nie wiem, jak długo jeszcze dam radę to ciągnąć.

– Będziemy to ciągnąć tak długo, jak okaże się konieczne – powiedział książę. – Nie mamy wyboru.

– Zawsze jest jakiś wybór – zaprzeczył kompan. – Mogę po prostu położyć się na ziemi i czekać na śmierć.

Kaspar znał takie spojrzenie. Flynn nie miał już nawet tego wyrazu twarzy co wcześniej, kiedy zginął Kenner. Wyrazu widywanego na twarzach więźniów skazanych na śmierć. Teraz wyglądał jak

zagonione zwierzę, które nie ma już siły uciekać, więc kładzie się na ziemi, a jego oczy wyglądają jak dwie szklane kulki, i czeka na śmierć.

Książę postąpił krok do przodu i z całą siłą, jaką udało mu się zebrać, uderzył go w twarz. Niższy mężczyzna zatoczył się w tył, a potem upadł, lądując na tyłku.

Zaskoczony Flynn popatrzył na stojącego nad nim Kaspara. Z szeroko otwartych oczu płynęły łzy bólu, wywołane policzkiem.

– Nie umrzesz, dopóki nie powiem ci, że nadszedł czas, żeby umierać – powiedział były książę Olasko, celując weń wyprostowanym palcem. – Rozumiesz mnie?

Siedział ogłuszony, a potem nagle się zaśmiał. Śmiał się tak długo, aż Kaspar zorientował się, że jego towarzysz balansuje na granicy hysterii. Książę pochylił się, podał handlarzowi rękę i podciągnął go na nogi.

– Weź się w garść – rozkazał i śmiech kupca wreszcie zamarł.

Flynn potrząsnął głową.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje.

– Ja wiem. To desperacja. Z tego powodu zmarło więcej ludzi niż we wszystkich wojnach razem wziętych na całym świecie.

– Zgaduję, że nie ma sposobu obejścia tego czegoś – powiedział mieszkaniec Kinnoch. – Jeżeli chcemy znaleźć tych Strażników, musimy wejść do środka.

Podnieśli z ziemi swój ciężar i ruszyli w kierunku wykutego w skale portalu. Wdrapali się po niskich, szerokich stopniach do wysokiego, sklepionego przedsionka i weszli do środka.

* * *

Zatrzymali się na środku wielkiego holu. Wnętrze wypełniało szare światło, jakby słoneczny blask docierał tutaj przefiltrowany przez tony skał, wiszące nad ich głowami. Podłoga, ściany i sklepienie zdawały się lśnić miękkim, bursztynowym światłem. Sala była pusta; stały w niej tylko cztery potężne kamienne trony, po dwa z każdej strony pomieszczenia. Kaspar popatrzył na najbliższy.

– Na podstawie tronu jest coś napisane – powiedział. – W wielu językach. Mogę przeczytać jedno. „Drusala”.

– Co to znaczy?

– Nie wiem. Może to imię istoty, która ma zasiadać na tym tronie. A może nazwa miejsca, którego władca właśnie tutaj powinien siedzieć.

Na przeciwległej ścianie sali czernił się otwór, prowadzący do następnej jaskini. Za portalem była ciemność.

– Podejrzewam, że to właśnie tam powinniśmy pójść – odezwał się książę.

– Nie radziłabym. – Usłyszeli nagle głos, dobiegający zza ich pleców. – Chyba, że wiecie dokładnie po co i dokąd idziecie.

Obaj próbowali się obrócić, ale zaplątali się w sznury, którymi oplatali swój ciężar. Zanim Kaspar rzucił na ziemię swój koniec zbroi i spojrzał za siebie, obcy stał za nim tak blisko, że niemal byłby w stanie go dotknąć.

Była to kobieta w średnim wieku. Jej głowę zakrywał welon, spod którego wymykały się kosmyki czarnych włosów, przetykanych nitkami srebra. Miała ciemne oczy i jasną skórę, lecz książę podejrzewał, że gdyby spędziła trochę czasu na słońcu, jej cera nabrałaby ciemniejszego odcienia.

Wydawała się pochodzić nie z tego świata, ale Kaspar nie potrafił powiedzieć, na czym polegała jej niesamowitość. Może czuł tak, ponieważ sprawiła to atmosfera miejsca i fakt, że kobieta podeszła do nich zupełnie niepostrzeżenie.

– Powstrzymaj swoją dłoń, Kasparze z Olasko. Nie zamierzam cię zaatakować ani skrzywdzić.

– Kim jesteś? – Flynn najwyraźniej znów znalazł się na granicy hysterii.

Kobieta wydawała się nieco rozbawiona tym pytaniem.

– Kim jestem? – Przerwała na chwilę. – Ja jestem... Nazywajcie mnie Hildy – powiedziała w końcu.

Książę podszedł do niej ostrożnie, nie opuszczając całkowicie miecza.

– Wybacz mi tę ostrożność, pani, ale musisz zrozumieć, że ja i mój przyjaciel doświadczyliśmy ostatnio więcej dziwnych zdarzeń i niebezpiecznych sytuacji, niż z reguły oczekuje się od nawet najbardziej doświadczonych – przez los ludzi. Jesteśmy oddaleni o setki kilometrów od miejsc, które uważa się za cywilizowane. A do tej sali prowadzi tylko jedno wejście, więc przestraszyliśmy się, widząc, że jest tutaj ktoś jeszcze. Nieważne jak nieszkodliwie wygląda i jak uprzejme są jego słowa. Zatem, proszę, nie gniewaj się, że tym razem okażę ci mniej zaufania.

– Rozumiem.

– Skąd wiesz, jak się nazywam?

– Wiem bardzo wiele, Kasparze, synu Konstantyna i Merianny, dziedziczny książę Olasko, bracie Talii. Potrafię ze szczegółami opowiedzieć twoje życie od momentu twych narodzin aż do chwili

obecnej, ale nie mamy na to czasu.

– Jesteś wiedźmą! – wrzasnął kupiec, czyniąc rękami znak, mający ochronić go przed złym.

– A ty jesteś głupcem, Jeremi Flynnie, ale po tym, co przeszliście, zaskakuje mnie fakt, że pozostajecie przy zdrowych zmysłach. – Zignorowała miecz Kaspara, przeszła obok niego i stanęła tuż przy Flynnie. Dotknęła go lekko. – Wasze cierpienie niebawem się zakończy, obiecuję.

Jeremi wyglądał, jak człowiek zupełnie odrodzony. W jednej chwili zdawało się, że balansuje na granicy całkowitego załamania, w drugiej zmienił się w kogoś odnowionego, pełnego radości i ulgi. Nie był w stanie powstrzymać wypływającego mu na twarz uśmiechu.

– Jak to zrobiłaś? – zapytał.

– Jeden z moich znajomych określił to mianem „sztuczek”. Znam ich więcej niż tylko kilka. – Odwróciła się i popatrzyła na Olaskanina. – A co do tego „kim jestem” i tak byście nie zrozumieli. Powiedzmy, że jestem tylko cieniem istoty, którą byłam wieki temu, ale wbrew przekonaniu niektórych, jeszcze nie umarłam do końca. Jestem tutaj, żeby wam pomóc, Kasparze. Tobie i Jeremiemu.

Księżę popatrzył na swojego towarzysza.

– Wiesz, nie wiedziałem, że masz na imię Jeremi. Przez te całe miesiące nazywałem cię po prostu Flynn. Nigdy mi nie powiedziałaś, jak masz na imię.

– Bo nigdy nie zapytałeś – odparował Flynn. – I nigdy mi nie mówiłeś, że jesteś księciem Olasko!
– Zaśmiał się. – Nie wiem dlaczego, ale nagle poczułem się wspaniale.

– Magia – powiedział były władca i skinął głową w kierunku Hildy.

– Ale tylko odrobinę. Niestety nie pozostało mi jej wiele.

– Skąd wiedziałaś, że tutaj jesteśmy? – zapytał Kaspar.

– Och, tak naprawdę to śledzę was już od pewnego czasu – odparła Hildy wpatrując się w niego ciemnymi oczami. – Tak właściwie, to stało się przez przypadek. Wpadłeś mi w oko, kiedy miałeś do czynienia z moim starym wrogiem. Mieszkał w twojej cytadeli i sprawił ci całą masę kłopotów.

– Leso Varen.

Skinęła potakująco głową.

– To jedno z jego wielu imion, jakie przybierał w ciągu wielu lat. – Odwróciła się i popatrzyła na handlarza. – Jeśli pozwolisz – powiedziała.

Kupiec w milczeniu osunął się na podłogę, położył się na boku i usnął.

– Nie mam wiele czasu. Nawet utrzymywanie tej... postaci jest trudne przez dłuższy czas. Wiem, że masz mnóstwo pytań, ale na większość odpowiedzi musisz jeszcze poczekać. Powiem ci tylko to, co musisz wiedzieć, Kasparze. Okoliczności zawiodły cię na rozstajne drogi, gdzie ważą się losy narodów i światów, i nawet najbardziej niewinny wybór może stać się źródłem konsekwencji, których nie jesteś w stanie sobie wyobrazić. Pod każdym względem, Kasparze, byłeś złym człowiekiem o zimnym sercu, morderczym, ambitnym i nie wybaczącym nikomu potworem.

Milczał. Nikt w całym jego życiu nie mówił doń w ten sposób, a teraz musiał przyznać, że każde słowo niosło ze sobą prawdę.

– Lecz masz szansę, jaką dostaje zaledwie kilku ludzi raz na całe życie. Szansę na to, aby się zmienić, aby dokonać czegoś heroicznego zupełnie bezinteresownie. I nie po to, by potem wszyscy się o tym dowiedzieli i podziwiali cię za ten czyn, ale dlatego, że przywróci to światu chociaż cześć porządku. Temu światu, który ty ze wszystkich sił starałeś się zepsuć. To może oznaczać, że kiedy staniesz przed Lims-Kragmą i będziesz sądzony za swoje uczynki, dostaniesz lepsze życie na Kole Losu. Spędziłeś kilka tygodni jako wieśniak i możesz sobie wyobrazić jakie to życie, gdybyś musiał przeżyć je całe od początku do końca. Odkup swoje winy, a może unikniesz tego losu. – Uśmiechnęła się lekko. – Chociaż wątpię, żebyś znów zyskał życie jako potężny władca, cieszący się przywilejami, choćbyś nie wiem, jak zachował się teraz – dodała. – Za kilka minut Flynn odzyska przytomność, a potem musicie wejść do jaskini. W środku jest ścieżka, która biegnie brzegiem rzeki. Trudno ją znaleźć, ale jeżeli będziecie szukać po lewej stronie, znajdziecie ją. Nie możecie przekroczyć tej rzeki, gdyż na drugim jej brzegu jest ziemia umarłych. Trzymajcie się ścieżki a znajdziecie drogę do bastionu na górze. Tam spotkacie Strażników. Nie będą chcieli z wami rozmawiać. Kiedy będą próbowali zawrócić was z drogi, daj im to. – Wyciągnęła rękę. Kaspar wziął od niej jakiś przedmiot. Przyjrzał mu się uważnie. Był to zwyczajny miedziany dysk z runami po jednej stronie i twarzą kobiety po drugiej.

– Wygląda zupełnie jak ty.

– Nieprawdaż? – Machnęła ręką, ucinając w zarodku kolejne pytania. – Mamy coraz mniej czasu. Spotkanie ze Strażnikami nie da ci wiele satysfakcji, jednak musisz do nich iść i nauczyć się tego, co będą mieli ci do przekazania. Zrozum jedno: powiedzą ci prawdę, ale to tylko prawda, którą oni znają. Ich perspektywa także jest ograniczona. Kiedy już z nimi skończysz, zrozumiesz, dokąd macie iść. Lecz ponad tym wszystkim jest jedna rzecz, w którą musisz uwierzyć. Los tego świata wisi na włosku. Stan ten trwa od tysięcy lat, rozpoczął się na wiek, zanim na Midkemii pojawili się ludzie, w czasach Wojen Chaosu. Spuszczono ze smyczy siły, które są nieustępliwe. Gorzej nawet, są tajne i praktycznie niemożliwe do wykrycia. Ty byłeś nieświadomym pionkiem tych sił.

– Leso Varen – szepnął książę, wcale nie zdziwiony. – On mnie wykorzystał.

– Tak jak wykorzystał wielu innych i jeszcze w przyszłości wykorzysta.

– Ale on nie żyje – powiedział Kaspar. – Talwin Hawkins złamał mu kark.

– On już kiedyś był martwy – odparła Hildy. – Jeżeli kiedykolwiek jeszcze skrzyżują się wasze ścieżki, przekonasz się, że on jest jak karaluch. Po prostu ci się wydaje, że go rozdeptałeś.

– Jeżeli kiedyś jeszcze go spotkam, z radością przetestuję twoją teorię za pomocą ostrza mego miecza.

– Możesz go nie rozpoznać. On potrafi zmieniać swój wygląd. Mnie jedynie irytuje, ale dla ciebie stanowi poważne zagrożenie. Jeżeli kiedykolwiek staniesz z nim twarzą w twarz, będziesz potrzebował potężnych sprzymierzeńców.

– A gdzie ich znajdę?

– Znajdziesz ich, kiedy już się tego pozbędziesz – odrzekła wskazując na zbroję. – A co to jest?

– Coś, co pozostało z czasów, kiedy na Midkemii nie było jeszcze ludzi. Dowiesz się części prawdy, gdy spotkasz Strażników. Teraz muszę już odejść. Obudź Flynna i zabierz go do rzeki, a później idźcie ścieżką. I pamiętaj, wybrałam ciebie, nie Flynna. Na koniec pozostaniesz sam.

Ruszyła w ciemność.

– Poczekaj! – krzyknął. – Co masz na myśli, mówiąc, że zostanę sam?

Ale już odeszła.

Książę przez chwilę stał bez ruchu; odczucia zadowolenia i przyjemności, które pojawiły się w obecności tajemniczej kobiety, powoli zanikały. Kiedy się odwrócił, zobaczył że kupiec się budzi.

– Gdzie ona jest? – zapytał Jeremi, podnosząc się z ziemi.

– Odeszła – odpowiedział Kaspar.

Zobaczył, że zdrowe kolory znów odpływają z twarzy mężczyzny. Każde dobro, uczynione przez tę kobietę, teraz odeszło wraz z nią.

– Chodź – powiedział książę. – Mamy przed sobą zadanie do wykonania. Ale przynajmniej wiem, dokąd mamy iść. – Przyjrzał się twarzy swojego towarzysza i zrozumiał, że znów miota się w szponach desperacji. – To całkiem niedaleko – oznajmił, próbując w jakiś sposób zmusić Flynna do wzięcia się w garść. Kłamał, ale miał w pamięci ostrzeżenie Hildy. – I będziemy mogli odłożyć tę piekielną rzecz chociaż na chwilę i zjeść coś ciepłego!

Flynn nie odezwał się, tylko znów złapał za sznurkową uprząż i założył ją sobie na ramię. Potem wziął plecak. Kaspar postąpił tak samo i kiedy zbroja kolejny raz zakołysała się między nimi, mężczyźni ruszyli przed siebie.

Wejście do jaskini wydawało się być całkiem niedaleko, lecz dotarcie do niego zajęło im kilka dobrych minut. Duża sala skąpana była w delikatnym, bursztynowym poblasku, ale w jaskini panowała całkowita ciemność. W pewnej odległości dostrzegli jednak słabe światło, więc książę zrezygnował z poszukiwania materiału na pochodnie. Zresztą wątpił, czy zdołałby znaleźć coś odpowiedniego w pobliżu. Zatrzymali się na chwilę w progu, a potem weszli do środka.

Wydawało się, że słabe światło, widziane w oddali, odsuwa się coraz dalej w miarę, jak wchodzili w mrok jaskini.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał w pewnym momencie kupiec.

– Nie spytałem – odrzekł Olaskanin. Uznał, że nie powinien mówić towarzyszowi, że zbliżają się do brzegów Rzeki Śmierci.

Robiło się coraz jaśniej i w końcu dotarli do jeszcze większej jaskini. Skalne ściany wznosiły się wysoko do góry i ludzkie oko nie było w stanie dostrzec sklepienia; ich powierzchnia wyglądała nieco dziwnie, jakby była śliska. Książę podszedł do kamienia i dotknął go. Poczuł, jakby palcem pocierał mydło. Wkrótce drogę zagroziła im szeroka rzeka. W sporej odległości majaczyła jakaś postać. Zbliżała się do nich. Kimkolwiek była, Kaspar wyczuł, że pochodzi z drugiego brzegu rzeki. Kiedy podeszła bliżej, okazało się, że jest to mężczyzna w ciężkim płaszczu, pchający płaskodenną łódź.

– Kasparze – powiedział Flynn – przepływamy na drugi brzeg? – Rzucił ciężar na ziemię i szybko wyplątał się ze sznurkowej uprząży. – Wydaje mi się, że powinniśmy przepłynąć na drugi brzeg.

Kiedy zdał sobie wreszcie sprawę, gdzie tak naprawdę są, książę poczuł, że włoski na jego ramionach i karku stają dęba.

– Flynn, wracaj! – zawołał, gdy jego towarzysz ruszył w kierunku promu. – Jesteśmy w Królestwie Umarłych! Jeżeli przekroczysz rzekę, wejdiesz do królestwa Lims-Kragmy! Musimy zostać po tej stronie i poszukać ścieżki.

Pobiegł za kompanem i złapał go za ramię. Flynn odwrócił się i Kaspar zobaczył, że na jego twarzy maluje się wyraz całkowitej ulgi.

– Nie, dla mnie to już koniec. Teraz to zrozumiałem. Idę na drugą stronę.

Były władca puścił ramię kupca, kiedy dno łodzi zazgrzytało o przybrzeżny piasek. Przewoźnik wyciągnął rękę, jakby ich przywoływał.

– On czeka – oznajmił Flynn. – Muszę już iść. – Odpiął sakiewkę od pasa i podał ją Kasparowi. – Pierścień i parę innych rzadkich przedmiotów. – Wziął sakiewkę i stał, ściskając w dłoni skórzany worek, patrząc, jak towarzysz schodzi na brzeg rzeki i wdrapuje się na pokład promu. Zanim Olaskanin zdążył zareagować, łódź odbiła od brzegu. Jeremi Flynn obejrzał się przez ramię.

– Jeżeli uda ci się wyjść z tego cało, znajdź moją rodzinę w Krondorze, dobrze? Sprawdzisz, czy wszystko z nimi w porządku?

Nie był w stanie wydusić z siebie ani jednego słowa. Patrzył, jak jego kompan znika we mgle, unoszącej się ponad powierzchnią rzeki.

Potem został sam.

* * *

Po raz pierwszy od rozpoczęcia tej dziwacznej wyprawy Kaspar poczuł się całkowicie bezradny. Popatrzył w dół na obcą zbroję i prawie poddał się desperacji. Przez pełnych pięć minut stał bez ruchu, a jego umysł zastanawiał się nad nieprawdopodobieństwem zdarzeń, których uczestnikiem stał się od chwili, gdy pozbawiono go tronu, a później zaczął się śmiać.

Nie mógł się powstrzymać. Jeżeli nawet kiedykolwiek los spletał śmiertelnikowi większego figla niż jemu, nie potrafił sobie wyobrazić, co by to mogło być. Śmiał się, aż rozboleł go brzuch i zdał sobie sprawę, że podobnie jak Flynn, balansuje na granicy szaleństwa.

Odrzucił głowę do tyłu i ryknął pierwotne wyzwanie, dając głos swemu buntowi.

– Czy to tutaj ma się wszystko zakończyć? – wrzasnął. A potem sam sobie odpowiedział, równie gromko. – Nie! – W końcu udało mu się odzyskać kontrolę nad sobą. – Nie! – dodał cicho.

Wziął się w garść i znów popatrzył na zbroję. Po tym, jak przetransportował tę rzecz przez pół kontynentu, nie czuł radości na myśl, że pozostałą część trasy musi przenieść ją na własnym grzbiecie.

Zebrał sznury i sporządził coś w rodzaju upręży, którą oplótł wokół, a także pod pachami czarnej sylwetki, a potem podciągnął ją do pionu i postawił na nogach. Stał za artefaktem, przełożył ręce przez pętle sznura i pochylił się do przodu, zarzucając sobie ciężar na plecy.

Chociaż był w doskonałej formie, wiedział, że kiedy doniesie tę rzecz na miejsce jej przeznaczenia, gdziekolwiek by ono nie było, zupełnie opadnie z sił. Ale, jak zwykł mawiać jego ojciec, im szybciej zaczniesz, tym szybciej skończysz.

Odepchnął od siebie obraz Flynn'a znikającego we mgle i skręcił w lewo. Odszedł od rzeki i ruszył przed siebie na przełaj, aż wreszcie znalazł ścieżkę.

* * *

Nie potrafił powiedzieć, jak długo szedł. Bolały go plecy i nogi, ale nie przerywał marszu.

W pewnym momencie poczuł, że grunt się nieco wznosi, a potem zobaczył przed sobą światło.

Wchodził z mozołem pod górę i niebawem znalazł się w kolejnej jaskini. Ta wydawała się mniej niesamowita niż poprzednia. Pomyślał, że musiał przekroczyć jakiś rodzaj granicy i teraz wrócił do miejsca, o którym zaczął myśleć jako o normalnym świecie.

Na dalekim końcu jaskini zobaczył światełko i pospieszył w tamtym kierunku. Nie czuł upływu czasu. Równie dobrze mógł spędzić w jaskini nad Rzeką Śmierci nawet kilka dni, ale niczego nie był pewny. Zastanawiał się, czy ludzie, którzy tam trafiają, odczuwają głód i zmęczenie.

Wyszedł z pieczary i znalazł się na zboczu góry. Stał na wąskiej ścieżce, która prowadziła w lewo do góry albo w prawo i na dół. Popatrzył w dół, mając nadzieję, że może tam właśnie znajduje się bastion Strażników, gdyż w tej chwili wizja marszu z góry wydawała mu się bardzo kusząca. Sądząc po wysokości słońca, właśnie zbliżało się południe, więc musiał być w środku góry przez co najmniej jeden pełny dzień.

Zaczął wdrapywać się stromym zboczem.

* * *

Kaspar nie potrafił ocenić wysokości wzniesienia, co mocno go irytowało. Jako myśliwy był dumny z faktu, że zawsze wie, gdzie się znajduje w danej chwili. Zdawał sobie jednak sprawę, że teraz to bez znaczenia. Kiedy zapadła noc, położył się spać na szlaku, ciągle przywiązany do zbroi, i dopiero następnego dnia w południe zobaczył odległy bastion. Wydawało się, że budowla pączkuje ze zbocza góry; była zwrócona na wschód, w stronę słońca. Z obliczeń księcia wynikało, że podeszli do Miasta Martwych Bogów od wschodu, więc musiał obejść górę całkowicie dookoła, żeby się tu dostać.

Piął się mozolnie pod górę i doszedł do końca szlaku. Ścieżka zaprowadziła go przed wielkie dębowe drzwi. Duże na tyle, że zmieściłaby się w nich karetka wraz z zaprzęgiem. Nie widział klamki, kołatki ani innej dźwigni, więc zacisnął dłoń w pięść i uderzył weń.

Przez kilka minut nic się nie działo, następnie wrota się otworzyły. Stanął w nich starszy mężczyzna, siwowłosy i siwobrody, ubrany w prostą brązową szatę z samodziału.

– Tak?

– Szukam Strażników.

– Nikogo nie przyjmują – odparł tamten i zaczął zamykać drzwi.

– Kaspar, książę Olasko to nie jest żaden „nikt” – odparował Kaspar i podparł drzwi nogą. – Masz, pokaż to komukolwiek musisz. – Podał mu miedziany krążek.

Mężczyzna spojrział na dysk i skinął głową. – Czekał tutaj.

Kilka minut później odzwierny wrócił z innym, nawet jeszcze starszym od siebie człowiekiem.

– Kto ci to dał? – zapytał nowoprzybyły.

– Kobieta, której podobizna jest wyryta po jednej stronie krążka. Nazywała siebie Hildy, chociaż podejrzewam, że to nie jest jej prawdziwe imię.

– W rzeczy samej – zgodził się starzec. – Możesz wejść.

Wszedł do środka i znalazł się na małym dziedzińcu, prawie całkowicie zajęтым przez ogród warzywny. Kiedy brama zamknęła się za nim, książę zrzucił zbroję z pleców.

Dwaj mężczyźni popatrzyli na czarny przedmiot.

– Co to jest? – zapytał starszy.

– Miałem nadzieję, że wy możecie mi powiedzieć – odrzekł Kaspar. – Ojciec Elekt ze świątyni Kalkina kazał mi to do was przynieść.

– A co niby mamy z tym zrobić? – zapytał tym razem młodszy.

– Nie mam pojęcia – powiedział książę. – Ale żeby to tutaj dotarło, zginęło prawie pięćdziesięciu ludzi.

– A niech mnie – westchnął młodszy mężczyzna. – To było niepotrzebne. To znaczy, to bardzo ładnie z twojej strony, że się fatygowałeś, ale jak widzisz, my tu niezbyt potrzebujemy elementów uzbrojenia.

– Wydaje mi się, że mnie nie zrozumiałeś – warknął Olaskanin. – Jestem tutaj, żeby się zobaczyć ze Strażnikami. Gdzie mogę ich znaleźć?

Mężczyźni popatrzyli po sobie.

– Cóż – odezwał się starszy – my jesteśmy Strażnikami. Znalazłeś nas. Ja nazywam się Jelemi, a to jest Samas. – Pokazał na zbroję. – Zostaw to tutaj. Nikt tego nie ukradnie.

Samas zachichotał na ten dowcip.

– Tylko my tu jesteśmy.

– Chodź do środka – zaprosił go Jelemi. – Ten dysk, który ze sobą przyniosłeś, zapewni ci obiad, ciepłe łóżko i krótką rozmowę, zanim jutro odejdziesz.

– Jutro?

– Tak-potwierdził Samas, gestem wskazując Kasparowi drogę do bastionu. – Nie możemy się tobą zajmować cały czas. Mamy tu pracę do wykonania. Musimy być czujni i gotowi. Goście tylko nas rozpraszają.

– A co takiego robicie, że was rozpraszają?

– No przecież strzeżemy bogów, oczywiście.

Księżę zachwiał się i z trudem odzyskał równowagę. Zdecydował więc, że najlepiej będzie, jeżeli najpierw odpocznie i coś zje, zanim weźmie się do rozplątywania tej dziwacznej tajemnicy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Strażnicy.

Kaspar jadł powoli. Dopóki nie postawiono przed nim jedzenia, nie zdawał sobie sprawy, że jest aż tak wygłodzony. Wiedział także, że jeżeli będzie jadł szybko, z pewnością dostanie bolesnych skurczów żołądka. Posiłek był prosty; składał się z gotowanych warzyw, chleba, pieczonego kilka dni temu, ale ciągle jadalnego, plasterka bardzo ostrego, lecz smacznego sera i kubka wody. Jednakże jedzenie bardzo mu smakowało.

Jelemi i Samas jedli w milczeniu. Tylko czasami wydawali z siebie chrząknięcie albo dawali znak ręką, jak ludzie, którzy żyją razem od bardzo dawna i nie czują już potrzeby, aby porozumiewać się słowami. Książę wykorzystał czas posiłku, żeby zebrać myśli i zastanawiał się nad tym, co usłyszał w Królestwie Umarłych.

Kiedy skończyli jeść, Samas zaczął zbierać talerze i kubki, a Jelemi popatrzył na Kaspara. Stary człowiek miał niebieskie, przenikliwe oczy. Dawny władca był pewien, że mimo wątego wyglądu i nieco zająkliwej mowy, umysł starca wcale nie należał do chwiejnych i rozbitych. Przyjął taką pozę, żeby wprowadzić swoich przeciwników w błąd.

– Obiecałem ci małą rozmowę, zanim jutro odejdziesz. Zatem, o czym chciałbyś z nami porozmawiać?

– Myślę, że obu nam będzie łatwiej, jeżeli na początek opowiem pewną historię – rozpoczął. Streścił im swoje losy od momentu wygnania; nie upiększał swoich uczynków ani nie próbował ukryć przewin, po prostu opowiedział dwóm mężczyznom, jak to się stało, że wpadł w takie tarapaty. Potem przeszedł do wydarzeń związanych z Flynnem, Kennerem, McGoinem oraz ich podróżą.

Kiedy mówił, świeca zdążyła się dopalić. Gdy zakończył opowieść, Jelemi zadał mu kilka pytań i wyciągnął kilka szczegółów, o których książę zapomniał lub uznał, że są niegodne wspomnienia.

Kiedy skończyli, wiedział, że jest już dobrze po północy, ale mimo to nie czuł się senny. Nie mógł się doczekać chwili, gdy dwaj starcy rzucą nieco światła na tajemnicze szaleństwo, w które został uwikłany.

– Czy możecie mi powiedzieć, czym jest ta zbroja? – zapytał po dłuższej chwili milczenia.

– Nie – odparł Jelemi. – Mogę ci tylko powiedzieć, że jest bardzo stara, i zła, i przeklęta.

– Czy możesz coś zrobić z tą klątwą?

– Nie. To wymagałoby mocy, jaką tylko bogowie dysponują.

– No dobrze więc – westchnął mężczyzna. – Czy możesz wstawić się za mną u bogów?

– Musisz iść do świątyni, żeby tam prosić o wstawiennictwo – powiedział Samas.

Kaspar w końcu nie wytrzymał.

– To właśnie świątynia mnie tutaj przysłała!

Jelemi wstał.

– Już późna godzina, a ty jesteś zmęczony. Porozmawiamy więcej jutro przy śniadaniu.

– Zaprowadzę cię do twojego pokoju – oświadczył Samas.

Księżę przeszedł za niskim mnichem przez główny hal, który zdawał się być całkowicie pozbawiony mebli. Weszli na fantazyjne, kamienne schodki, wznoszące się w tyle pomieszczenia.

– Kiedyś – zaczął Samas – w bastionie mieszkało więcej niż tysiąc Strażników. Teraz zostało nas tylko trzech.

– Trzech? Widziałem tylko dwóch.

– Strażnik Andani zszedł z gór i jest w Isparze, nad morzem. Poszedł kupić parę rzeczy, które są nam potrzebne.

– To jest... ile? Cztery, pięć setek kilometrów stąd?

Młodszy Strażnik skinął potakująco głową.

– Wybieramy się tam mniej więcej co pięć lat, niezależnie od tego, czy naprawdę czegoś potrzebujemy. Większość tego, co jest nam niezbędne, hodujemy na miejscu. Chodzimy na dół po kolei. Jeżeli raz na jakiś czas nie opuszczamy bastionu, otoczenie staje się nużące. Następnym razem moja kolej.

– Jak długo już tu jesteś?

Mężczyzna zatrzymał się przed drzwiami.

– Możesz tutaj spać – powiedział i przerwał na chwilę, jakby coś obliczał w myślach. – Następnego lata w dzień Przesilenia Letniego minie czterysta trzydzieści dwa lata, odkąd jestem tutaj.

– Nie wyglądasz na swoje lata – zauważył Kaspar, kompletnie zaskoczony.

Mnich roześmiał się.

– Służba u bogów ma swoje zalety. – Nagle sposepniał. – Ale myślę, że będziemy musieli

zatrudnić nowych członków. Zapytaliśmy już bogów o pozwolenie i czekamy na odpowiedź.

– Jak długo już czekacie?

– Nie za bardzo – odrzekł. – Tylko siedemdziesiąt siedem lat.

Były książę Olasko życzył mu dobrej nocy i wszedł do pokoju, a raczej do mnisiej celi. Na umeblowanie składała się mata do spania, lampka oliwna, krzesiwo i hubka do zapalania knota, szorstki koc oraz misa i dzban ze świeżą wodą. W misie stał metalowy kubek.

Nie wiedział, czy uda mu się zasnąć, tak bardzo był ciekaw odpowiedzi, jakie miał usłyszeć jutro, zanim będzie musiał stąd odejść. Jednak kiedy tylko jego głowa dotknęła maty, zapadł w ciemną otchłań.

* * *

Kaspar obudził się o świcie. Na końcu korytarza odnalazł łazienkę i wannę napełnioną wystarczającą ilością wody, żeby się mógł wykąpać. Przez chwilę marzyło mu się, że mógłby uprać ubranie, ale w końcu zdecydował inaczej. Wolał chodzić w brudnym, niż wdrapywać się na skały odziany w mokre łachy ze zbroją zarzuconą na plecy.

Dwaj Strażnicy czekali już na niego w kuchni. Jelemi gestem zaprosił go, żeby usiadł. Na stole przed nim stała duża miska z hojną porcją owsianki, a do tego świeży chleb, miód, ser i herbata. Książę zabrał się za jedzenie kiwając głową z aprobatą.

– Rozmyślaliśmy nad twoją historią – zaczął Jelemi, gdy Kaspar jadł. – I nie mamy pojęcia, dlaczego Ojciec Elekt ze świątyni Kalkina przysłał cię akurat do nas. Nasza wiedza nie jest zbyt duża i śmiem twierdzić, że również całkowicie dostępna dla niego.

– Być może przyczyna jest prostsza, niż się wydaje – mruknął przybysz. – Może chciał, żeby jego problem stał się zmartwieniem kogoś innego.

Jelemi i Samas wymienili zdumione spojrzenia, a potem zaczęli się śmiać.

– No wiesz co – powiedział Samas. – Nigdy tak o tym nie myśleliśmy. Myślę, że to zbyt oczywiste.

Książę pokiwał głową.

– Ludzie bardzo często lekceważą rzeczy zbyt oczywiste, jak wynika z moich obserwacji.

– Cóż, jednakowoż nie możemy pogodzić się z myślą, że odsyłamy cię z niczym – oznajmił Jelemi.
– Może zostaniesz jeszcze dzień dłużej i pomyślimy razem, czy aby nie przeoczyliśmy czegoś

ważnego.

– To dobra wiadomość. Bardzo wam dziękuję – odrzekł. – Dzisiaj rano marzyłem o tym, żeby móc uprać swoje ubranie.

– Możemy ci to ułatwić – poinformował go Samas. – Kiedy skończysz jeść, poszukaj mnie w ogrodzie, a wtedy pokażę ci, gdzie możesz zrobić pranie.

Dwaj Strażnicy podnieśli się od stołu i zostawili Kaspara samego. Księżę dołożył sobie owsianki oraz sera i siedział w milczeniu, zadowolony, że podarowano mu jeszcze jeden dzień odpoczynku po tak długim czasie męczarni i znoju.

* * *

Kaspar pojawił się przy stole w kuchni w porze kolacji. Czuł się zupełnie odrodzony. Uprał swoje ubrania, chociaż czuł się nieco skrępowany, kiedy musiał czekać nago, aż odzież wyschnie przy ogniu. Potem zjadł popołudniowy posiłek i nieco się zdrzemnął. Wiedział, że dzisiejszy wieczór będzie ostatnią szansą na wydobycie ze Strażników jakiegokolwiek informacji, więc spędził popołudnie na konstruowaniu jak najbardziej szczegółowych pytań.

– Opowiedzcie mi może, jak powstał wasz zakon? – spytał, uderzając w zwyczajny konwersacyjny ton.

– On jest bardziej historykiem niż ja – powiedział Jelemi wskazując Samasa.

– O tym, co działo się przed Wojnami Chaosu, niewiele wiadomo – zaczął młodszy mnich. – Mówi się, że człowiek przeszedł na Midkemię z innego świata przez wielkie rozdarcie w niebie. Jedno, co jest pewne, to fakt, że przed nami mieszkała tu inna, starożytna rasa.

– Jeźdźcy Smoków? – zapytał księżę.

– Tak nazwali ich ludzie. Inne rasy nazywają ich po prostu Starożytnymi.

– Myśleliśmy, że może zbroja ma coś z nimi wspólnego.

– Ma, ale nie w sposób, jaki masz na myśli – odparł Samas.

Jelemi rzucił Samasowi dziwne spojrzenie i Kaspar pomyślał, że może mnich poruszył temat, który woleli przed nim zataić.

– Jeżeli to nie pochodzi od Jeźdźców Smoków, to jakiego rodzaju jest to... trofeum, czy może łup?

Starszy Strażnik z westchnieniem oparł się wygodniej.

– Założyłbym się, że to ma być raczej czymś w rodzaju upomnienia.

– Czy odkryliście coś więcej od czasu, kiedy rozmawialiśmy ostatni raz?

Młodszy skinął potakująco głową.

– Przeszukaliśmy archiwa i muszę ci wyznać, że cała sprawa mocno mnie zaintrygowała. To nie pochodzi z naszego świata, a twierdzenie mnichów, że z tym jest coś nie w porządku, zbudziło we mnie niewyraźne wspomnienie. Zagłębiłem się więc w lekturze i myślę, że wiem teraz, co kapłan miał na myśli.

Starszy ponownie posłał mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Dlaczego po prostu mu nie powiemy? – zniecierpliwił się Samas. – On i tak najprawdopodobniej zginie, zanim będzie miał okazję powiedzieć o tym komukolwiek, kto może sprawić nam kłopoty.

– Bardzo dobrze – powiedział Jelemi burkliwie i wstał. – Ale jeżeli potem będziesz szukał kogoś, kto wyjaśni bogom, dlaczego zdradzamy ich sekrety, nie licz na mnie! – Skinął Kasparowi głową. – Życzę wam miłej pogawędki. Ja idę do kurnika, zadbać o drób.

– O czym Jelemi nie pozwalał ci mówić? – Zainteresował się Olaskanin.

– Powiedziałeś, że byłeś szlachcicem, więc jak bardzo jesteś uczony w teologii?

Książę wzruszył ramionami...

– Podejrzewam, że nie bardziej niż każdy laik. W świątyniach odbębniałem tylko moje obowiązki.

– Ale przecież wierzysz w bogów?

– Widziałem, słyszałem i czytałem zbyt wiele, żeby nie wierzyć w bogów, Samasie. Ale czasami trudno jest uwierzyć, że oni przez cały czas czuwają nad moim życiem i zainteresowani są wyborami, jakie podejmuję.

– W zasadzie masz słuszność. Interesuje ich tylko to, jak przeżyjesz swoje życie, a to jest sprawa pomiędzy tobą i Lims-Kragmą. Ona cię oceni i zdecyduje, jakie miejsce zajmiesz na Kole, kiedy znów się odrodzisz. – Zachichotał. – Ona jest jedynym bogiem, którego w końcu spotka każdy człowiek. – Wstał. – Pomóż mi posprzątać te naczynia.

Kaspar wziął talerze, a Samas sztuce i kubki. Podeszli do drewnianego zlewu, gdzie stało wiadro wody z mydlinami.

– Zdrap resztki, proszę – powiedział Strażnik – i wrzuc je do wiadra, które stoi obok twojej stopy. Karmimy nimi kurczaki i świnie.

– Macie świnie?

– Och, po drugiej stronie ogrodu mamy całkiem porządną, małą farmę – oświadczył Samas i zaczął myć kubki. Najpierw czyścił je mydlinami, a potem zanurzał w wiadrze z czystą wodą. – Leży na ładnym płaskowyzu, spory kawałek stąd. Trzeba trochę zejść z góry. Gdyby zaszła taka potrzeba, byłibyśmy w stanie wykarmić znacznie większą liczbę Strażników. W każdym razie, powinieneś wiedzieć jedno. To, czego uczą zwykłych ludzi w świątyniach, to tylko mała częśćka prawdy o bogach. Z kolei to, co wiedzą kapłani w świątyniach, także jest tylko częścią tej wiedzy, chociaż nieco większą od tej, którą przekazują masom. A my, Strażnicy, wiemy jeszcze więcej niż świątynie, chociaż kapłani bardzo by się zirytowali, gdyby o tym usłyszeli. Ale znów, nasza wiedza także jest tylko małą częścią całości. Niektórzy teolodzy spierają się, że nawet wiedza bogów jest ograniczona i istnieje tylko jedna istota, która wie wszystko, czyli Ogromny Umysł albo bóg bogów, istota tak rozległa i wszechwiedząca, że nawet próby zrozumienia jej są tylko śmiesznymi i patetycznymi wysiłkami pojęcia całkowitej abstrakcji. Mówią także, że to ludzie stworzyli bogów. Że bogowie spełniają ich oczekiwania i dlatego właśnie potrzebujemy ich tak wielu. Bardzo trudno jest wyobrazić sobie pojedynczą istotę, co bierze odpowiedzialność za wszystkie działania na naszym świecie, a także na innych, o których wiemy. A więc człowiek stworzył sobie bogów, którzy pełnią funkcje częściowe. Nie wiem, czy to prawda, ale nie mogę zaprzeczyć, że każdy bóg odgrywa swoją rolę. A ponad mniejszymi bóstwami jest siedmiu głównych bogów.

– Wydawało mi się, że jest ich tylko pięciu – przerwał gość Strażników.

– Teraz tak. Ale zanim nastąpiły Wojny Chaosu, było ich siedmiu. Arch-Indar, Bogini Dobra, zginęła podczas Wojen Chaosu. Na skutek jej śmierci doszło do olbrzymiego zachwiania równowagi, gdyż nie było nikogo, kto równoważyłby Boga Zła. Jego imienia nigdy się nie wspomina, żeby przypadkiem nie zwrócić na siebie uwagi. Wtedy mógłby uczynić cię swoim sługusem.

– Sądzę, że to mógłby być problem – powiedział Kaspar tonem, który sugerował, że nie do końca wierzy w to, co słyszy. Wojny Chaosu dla większości były tylko legendą, zwykłą opowieścią, która tłumaczyła, dlaczego świat jest taki, jaki jest.

Samas uśmiechnął się.

– Widzę, że mi nie wierzysz, lecz to nie ma znaczenia. Nie zamierzam powiedzieć ci jego imienia. – Mrugnął figlarnie. – Ponieważ go nie znam. Większość teologów nazywa go Bezimienny.

Książę wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– W moim życiu był czas, kiedy śmiałybym się z tego otwarcie, ale kilka ostatnich lat sprawiło, że mam trochę inne podejście do tych spraw. – Potrząsnął głową. – Spróbuję być trochę bardziej otwarty na wiedzę.

– Żeby zrozumieć ogrom katastrofy, stanowiącej efekt Wojen Chaosu, musisz zrozumieć podstawową zasadę, wedle której działa świat. Nic nie ginie bez śladu. Czy możesz to pojąć?

– Ale przecież widziałem, jak ginie wiele rzeczy – zaprzeczył Kaspar.

– Widziałeś tylko, jak się zmieniają. – Mnich pokazał na drewniany kubeł. – Jeżeli wezmę

kawałek drewna i włożę do ognia, co się stanie?

– Drewno się spali.

– Czy możesz zatem powiedzieć, że zginęło?

– Tak – potwierdził ksiązę.

– Zrozum jednak, że tak nie jest. Zamieniło się tylko: w ciepło i blask, i dym, i popiół. Kiedy umiera człowiek, ciało gnije i podobnie jak wszystko w naturze staje się częścią cyklu. Grzebiemy ciała albo je palimy, ale to nieważne, czy zjedzą nas robaki, czy rozwiejemy się na wietrze, zmieniamy się, lecz nie ginimy trwale. Jednak umysł i dusza żyją dalej. Dusza, którą znamy, zostanie zważona i jeżeli okaże się tego warta, otrzyma lepsze miejsce na Kole Życia. Jeżeli okaże się mniej wartościowa, zajmie gorsze miejsce. Ale co się dzieje z umysłem?

Były władca przyznał w duchu, że teraz poczuł się naprawdę zaintrygowany.

– Co się dzieje z umysłem?

– Widzisz, umysł idzie do bogów. Wszystko, czego doświadczyłeś, czego się nauczyłeś, co jest częścią całkowitego zrozumienia wszechświata, to wszystko, przytomność każdej żywej istoty, wraca do bogów. A oni dzięki temu ewoluują.

– Myślę, że rozumiem.

– Dobrze. W dawnych czasach zaszło coś okropnie złego, związanego z wszechświatem i Wojnami Chaosu. Bezimienny jest najbardziej prawdopodobnym sprawcą zła, ale nie wiemy tego na pewno. Nawet żyjący bogowie tego nie wiedzą. Lecz w krytycznej chwili, kiedy wszechświat się zmieniał, w niebiosach wybuchła wojna. Pomniejsi bogowie powstali przeciwko większym bóstwom, a wraz z nimi oręż podnieśli Jeźdźcy Smoków, którzy wyzwali zarówno pomniejszych, jak i większych bogów. Jeźdźcy Smoków zostali wygnani z tego wszechświata i tułali się po obcych wymiarach aż do Wojny Światów.

– Naprawdę?

– O to wszystko w tym chodziło. Chyba nie myślałeś, że Tsurani po prostu zapragnęli podbić świat bogaty w metale, prawda?

– Myślałem, że wojna jest efektem polityki Tsuranich na Kelewanie.

Samas uśmiechnął się i wytarł ręce. Gestem kazał Kasparowi wrócić do kuchennego stołu.

– Jesteś wykształconym człowiekiem, jak widzę. Nie, cokolwiek sobie myśleli najeźdźcy, to Bezimienny stał za ich atakiem. Widzisz, zło czerpie profity z całkowitego chaosu albo ekstremalnego porządku. Dobro zyskuje, kiedy pomiędzy tymi dwiema skrajnościami panuje równowaga. Kiedy mamy do czynienia z totalnym porządkiem, nie zachodzi rozwój. Kiedy mamy całkowity chaos, wszystko i wszyscy żyją pod presją nieustającego ryzyka. W końcu przekonasz się, że zło ze swej

natury jest szaleństwem.

– Nie jestem pewien, czy cię dobrze zrozumiałem.

Strażnik popatrzył na księcia jak nauczyciel, który nie radzi sobie z zadziornym dzieckiem.

– Czy jesteś pewien, że muszę ci to wyjaśniać?

– Naprawdę nie jestem pewny – powtórzył Kaspar.

– Czy kiedykolwiek skrzywdziłeś człowieka... po prostu zrobiłeś mu krzywdę? Albo czy zawsze miałeś ku temu powód?

– Zawsze był jakiś powód – odparł szybko mężczyzna.

– A więc masz – powiedział Samas i usiadł przy stole. Skinął na Kaspara, żeby ten podał mu kubek wody. – Nigdy nie będziesz myślał o sobie jako o kimś złym, nieważne, co myślą o twoich uczynkach inni ludzie. To część twojej natury. I także to wielki sekret zła. Nigdy nie jest postrzegane jako zło przez tych, którzy je czynią.

Podał mu kubek z wodą i usiadł.

– Cóż, w przeszłości dopuszczałem się czynów, które teraz mógłbym zakwestionować.

– A więc z wiekiem stałeś się mądrzejszy. Jednak wtedy, kiedy podejmowałeś złe wybory, wydawały ci się słuszne. – Uniósł rękę, żeby zatrzymać dalszą dyskusję na ten temat. – Nawet jeżeli wtedy zastanawiałeś się nad ich słusznością, jestem pewien, że oceniłeś je jako niezbędne. Cel uświęca środki. Czy nie mam racji?

Dawny władca pokiwał głową ze smutkiem.

– Jeżeli każdy nasz wybór byłby oceniany tylko i wyłącznie pod kątem moralności, a nie innych czynników, które uznajemy za krok do sprawiedliwości, czyli pod kątem prawa, zemsty czy koniecznego okrucieństwa, mniej zła działałoby się na świecie. Każda wiara we wszystkich świątyniach świata ma jeden wspólny dogmat, występujący jedynie w różnych odmianach: nie rób drugiemu, co tobie niemiłe.

Kaspar opadł na oparcie i skrzyżował ramiona na piersi.

– Myślę, że teraz rozumiem.

– Dobrze, bo jeżeli wreszcie rozumiałeś, możesz zobaczyć, że jedynym, jakie ma ludzkość, wytłumaczeniem zła poza czynieniem sprawiedliwości jest szaleństwo. Szaleństwo jest destrukcyjne i nie prowadzi do niczego użytecznego. W dużym skrócie: zło to obłąd.

– Mów dalej.

– Będziesz potrzebował dokładniejszego zrozumienia tego problemu, zanim powiem ci resztę, którą musisz poznać przed odejściem z naszego bastionu. – Samas odchrząknął, żeby oczyścić gardło, i upił kolejny łyk wody. – Zło prowadzi do zmarowania. Zło pochłania, ale nigdy nic nie tworzy.

– Zatem Bezimienny ze swej natury musi być szalony?

– Tak! – wykrzyknął mnich, uderzając pięścią w stół. – Rozumiesz, o co mi chodzi. Bezimienny nie jest bardziej zdrowy na umyśle niż kurczak grający na trąbce. – Kaspar wydawał się nieco rozbawiony tym przykładem i Samas pokazał na swoje usta. – Nie mają warg. Możesz uczyć kurczaka, czego tylko zechcesz, ale grać nigdy się nie nauczy.

Księżę znów się uśmiechnął.

– Bardzo dobrze więc. Będę trzymał się stwierdzenia, że zło jest szaleństwem.

– Dobrze, wtedy zrozumiesz to, co mam ci do powiedzenia dalej. Kiedy umarła Arch-Indar, inni Więksi Bogowie, którzy bali się, że Bezimienny z braku przeciwnika popchnie świat w kierunku chaosu, uczynili coś, co wydarzyło się tylko raz w historii wszechświata: zaczęli ze sobą współpracować. Pozostali Więksi Bogowie, nawet Asceta, wykorzystali połączone moce i wygnali Bezimiennego do innego świata.

– A więc dlatego zostało tylko pięciu Większych Bogów?

– Tak, chociaż równie dobrze mogłoby ich być czterech. Helbinor, Samotnik... cóż, on właściwie niczego nie robi. Trzyma się z boku. – Strażnik wzruszył ramionami. – To jedna z tych rzeczy, która potrafi wpędzić teologa w alkoholizm.

– Jeżeli już zjednoczyli swoje siły, dlaczego po prostu nie zniszczyli Bezimiennego?

Samas wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ponieważ nic nie może być zniszczone, nie pamiętasz?

Kaspar zamrugał.

– Jak drewno do ogniska. Tak, mogli tylko go... zmienić.

– Właściwie nawet i to nie. Nie mogli zmienić jego natury, ale pomyśleli, że może uda im się chociaż z lokalizacją. Zatem znaleźli inny wszechświat, wymiar leżący daleko stąd, a w tym wymiarze odszukali świat, tak wielki, że nasz byłby jak mały kamyk na jego plaży. I tam go zesłali, i zakopali głęboko w samym sercu największej góry na planecie. I tam spoczywa do dzisiaj.

– Jeżeli jest w innym świecie, dlaczego stanowi taki problem?

– Oszczędzę ci teologicznego wywodu, ale pamiętaj, jeżeli wymówisz jego imię, będzie mógł cię kontrolować.

Książę skinął głową.

– To dlatego jest tak potężny. Myśl o Większych Bogach jako o... kontrolerach, o siłach natury, o ile ci to odpowiada. Mam tu raczej na myśli siły natury nie tak oczywiste jak wiatr i deszcz, ale esencję naszego świata i tego, na jakiej zasadzie działa: dobro, zło, równowaga, budowniczy, działający od środka, spełniający życzenia, samotnik. Świat fizyczny i mistyczny. To wszystko jest rządzone przez kontrolerów.

– No dobrze – przerwał Kaspar. – A teraz powiedz mi, jak to się ma do relikwii, którą tu przyniosłem na własnym grzbiecie.

– Nie wiemy. Podejrzewamy jedynie, że to pochodzi z innego wymiaru i innego świata.

– Znów nic nie rozumiem – powiedział były władca, zupełnie zdezorientowany.

– Bez wątplenia słyszałeś kiedyś przekleństwo „niech go diabli porwą do siedmiu piekieł!”

Kiwnął potakująco głową.

– Cóż, tak naprawdę nie ma siedmiu kręgów piekieł ani siedmiu kręgów niebios. A raczej, one są jednym i tym samym. Bogowie zamieszkują pierwszy krąg, my drugi. Niektórzy utrzymują, że to jest ten sam poziom, tylko podzielony na podpoziomy.

– Zaczekaj chwilę – przerwał mu. – Zupełnie się pogubiłem.

– Czy obierałeś kiedyś cebulę? – zapytał młodszy z mnichów.

– Nie, ale sporo ich zjadłem – odparł książę.

– Zatem wiesz, że cebula składa się z wielu warstw. Rozważ wszechświat jako ogromną cebulę, ale zrobioną tylko z siedmiu warstw. To może trochę przypadkowa liczba, ale większość się z nią zgadza. W każdym razie załóż, że my żyjemy na najwyższym poziomie, za wyjątkiem bogów. Na najniższym przebywają istoty tak obce, że nawet nie potrafimy sobie ich wyobrazić. A pomiędzy nimi i nami plasuje się cała gama żywych stworzeń, poczynając od całkowicie nam obcych, kończąc na całkiem podobnych. Demony pochodzą z czwartego i piątego kręgu, więc tylko wysiłkiem potężnej magii mogą się materializować w naszym świecie. Są w stanie wyżywić się ze źródeł energii życiowej i przeżyć, a nawet całkiem dobrze się rozwijać. Demon, który stał się motorem wojen z węzowym ludem albo wojen Szmaragdowej Królowej, bo pod taką nazwą je znasz, pochodził z piątego kręgu.

– Demon? – zapytał Kaspar, szeroko otwierając oczy. – Jaki demon?

– Opowiem ci tę historię innym razem. W każdym razie, jeżeli słyszałeś o istotach nazywanych Strachami, żyją w szóstym kręgu. Wysysają energię życiową ze wszystkiego, czego tylko dotkną w naszym wymiarze. Mogą tutaj istnieć, ale gdyby tak się stało, nawet trawa, po której by stąpali, więdnęłyby pod ich dotknięciem. Istoty z siódmego kręgu nie są w stanie u nas żyć – tak szybko pobierają energię z otoczenia, z powietrza i światła, że same by się zniszczyły, wraz z całkiem

sporym kawałkiem terenu wokoło. Ta zbroja, jak nam się wydaje, pochodzi z drugiego kręgu, z wymiaru sąsiadującego z naszym. Ale tylko zgadujemy i nie radzilibyśmy ci podejmować żadnych decyzji, które bazowałyby na tym podejrzeniu.

– Nie chciałbym cię urazić, Samasie – odezwał się książę. – Ale jaki jest więc cel twojego wykładu?

– Chcę, żebyś się przekonał, na jak rozległym terenie przyszło ci działać. Pamiętasz kobietę, która dała ci miedziany dysk?

– Tak, tę wiedźmę.

– Ona nie jest wiedźmą. Na krążku widnieje podobizna Arch-Indar.

– Ale powiedziałaś, że ona nie żyje.

– Bo nie żyje. Spotkałeś tylko jej wspomnienie.

Kaspar wyprostował się na krześle i otworzył usta ze zdumienia.

– Ale przecież z nią rozmawiałem! Machnęła ręką i Flynn nagle zasnął! Podała mi ten dysk, a on przecież jest wystarczająco realny.

– Och, ona też jest realna. Lecz to tylko wspomnienie bogini. Jeżeli przez setki lat uda jej się zebrać wystarczającą liczbę wyznawców, może wróci. Ale na razie musisz zdać sobie sprawę, jak potężni są Więksi Bogowie. Są tak silni, że pamięć o nich żyje jako świadoma, przytomna istota, która rządzi się swoimi prawami.

Były książę Olasko opadł na oparcie.

– Ach, przecież nic nie ginie.

– Tak! – Samas klasnął w dłonie z zadowolenia. – Wreszcie rozumiesz! To tak, jakbyś umarł, ale jeden włos z twojej głowy upadłby na ziemię i miał w sobie wszystkie twoje wspomnienia oraz wolną wolę. To kiepskie porównanie, ale zarazem najlepsze, jakie jestem w stanie wymyślić, kiedy muszę się wysilać na trzeźwo.

– Założyłem, że jesteście zakonem abstynentów – powiedział Olaskanin ze śmiechem.

– Trzy lata temu skończyło nam się wino i porter. To jedna z przyczyn, dla których Strażnik Andani poszedł do Isparu. W przeciwnym razie piłbym coś więcej niż tylko wodę. Ten mag, o którym nam mówiłeś, Leso Varen...

– Tak?

– Myślę, że on nie jest śmiertelnikiem.

– Myślisz, że jest wspomnieniem Bezimiennego?

– Nie. Wydaje mi się, że jest snem.

Miał właśnie zaprotestować, a potem przypomniał sobie znów wrażenie, jakie zrobiła na nim Hildy.

– Bezimienny miał wiele relikwii pochodzących z czasów, zanim go wygnano – kontynuował młodszy Strażnik. – Przez setki lat ludzie je znajdowali. Wszyscy, co zatrzymywali te przedmioty, popadali w szaleństwo. Niektórzy wcześniej niż inni, niektórzy później. Ale ci, co wytrwali i zatrzymali relikwie na długi czas, zyskali wielką moc od swego pana. Stali się także częścią jego jestestwa i na długo po tym, jak ich ciało rozsypało się w proch, żyją jako sny w umyśle boga. Wspominam o tym, żeby ci uświadomić, że na świecie żyją ludzie, którzy pragną, aby Bezimienny tutaj powrócił.

– Dlaczego mieliby tego chcieć?

– Ponieważ są szaleńcami – odparł Samas.

Kaspar opadł na oparcie.

– Przekonałeś mnie, że biorę udział w grze, która jest tak skomplikowana, że nie jestem w stanie jej ogarnąć umysłem. Zatem powiedzmy, że stawka jest wysoka. Jednak ciągle nie wiem, co mam robić i jakie jest moje zadanie.

– Ja wiem – rzekł mnich. – Daliśmy ci całą wiedzę, jaką tylko mieliśmy. Jest jeszcze jedna rzecz, którą możemy dla ciebie zrobić.

– Co to takiego?

– Cóż, możemy ci pozwolić na rozmowę z bogami, oczywiście.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Kalkin.

Dawny władca siedział bez ruchu. Samas wstał.

– No to chodźmy. Równie dobrze możemy się z nimi spotkać już teraz.

– Z bogami? – zapytał po dłuższej chwili.

– No tak, oczywiście.

– Zdawało mi się, że twoja praca polega na ochronie bogów.

Strażnik gestem kazał mu wstać.

– Ty raczej nie stanowisz dla nich żadnego zagrożenia – odparł. – Nie, my dbamy o to, aby bogowie nie irytowali się ani nie rozpraszali z powodu wiecznie nękających ich śmiertelników. Modlitwa została specjalnie wymyślona dla ludzi po to, żeby bogowie wiedzieli, co ich trapi. Świątynie mają nieco skuteczniejsze formy kontaktu, ale także jest on ograniczony. Kleryk jednego wyznania raczej nie jest w stanie porozumieć się z bogiem innego. Ale istnieje także sposób, żeby stanąć z bogami twarzą w twarz. I to właśnie my strzeżemy prywatności bogów. Chodź ze mną. – Wyprowadził Kaspara z kuchni; przeszli przez wielki pusty hal i weszli do małego pokoiku. Tam młodszy Strażnik wyjął pochodnię z dużego metalowego pojemnika, w którym było tuzin albo i więcej smolnych szczap. Otworzył sakiewkę zawieszoną u paska i wytrząsnął ze środka krzesiwo i hubkę. Potem podał pochodnię księciu, skrzesał ogień, aż łuczywo się zajęło. Schował krzesiwo i hubkę do sakiewki, wziął pochodnię od swego gościa i poprowadził go płataniną korytarzy i tuneli, wiodących prosto do serca góry.

– Jak mam rozmawiać z bogami? – zapytał Kaspar po kilku minutach marszu.

– Podejrzewam, że tak jak ze wszystkimi innymi.

– Nigdy z nimi nie rozmawiałeś?

– Nie. Nie było takiej potrzeby. Jeżeli się nad tym zastanowisz, dojdiesz do wniosku, że my, Strażnicy, naprawdę nie mamy potrzeby rozmawiać z bogami. Nasze zadanie jest proste i jasno określone: mamy chronić bogów przed... cóż, sam się niebawem przekonasz.

Tunel był długi i ciemny. Nagle w oddali księżę zauważył światło.

– Już prawie jesteśmy na miejscu – powiedział Samas.

Dotarli do jaskini wypełnionej światłem. W środku wielkiego pomieszczenia tkwiło źródło blasku. Była to platforma, zrobiona z czysto białej substancji, co na pierwszy rzut oka wydawała się marmurem, lecz kiedy Olaskanin podszedł bliżej, odkrył, że jest to jeden duży kawałek jakiegoś przezroczystego materiału. Na szczyt platformy prowadziły dwa schodki, także zrobione z tej samej przejrzystej materii. Miękki blask, który się z niej uwalniał, był na tyle jasny, że oświetlał całą przestrzeń, chociaż, co zadziwiające, nie oślepiał. Książę nie czuł żadnego dyskomfortu, gdy patrzył wprost na źródło światła.

– Co mam robić? – zapytał cicho.

Mnich roześmiał się.

– Wszyscy, którzy tu przychodzą, szepczą najpierw te same słowa.

Powtórzył pytanie normalnym głosem.

– Po prostu wejdź na platformę.

– I to wszystko?

– To wszystko.

Wszedł na schodki.

– Myślę, że powinienem cię pożegnać – powiedział Samas.

– Dlaczego? Czy ja już tu nie wrócę?

Strażnik wzruszył ramionami.

– Może. Niektórzy ludzie dostają taką możliwość. Innym natomiast udaje się dotrzeć do Pawilonu Bogów na własną rękę. – Przez chwilę wyglądał tak, jakby usiłował coś sobie przypomnieć. – Jakieś trzydzieści czy czterdzieści lat temu udało się to parze magów. Nie wiem, co się z nimi stało. A sto lat temu... Opowiadano mi o tym, ale nie wiem, ile jest prawdy w tej historii, że dwie istoty, ludzie albo ktoś inny, weszli do Królestwa Umarłych, przekroczyli Rzekę Śmierci i wstąpili do królestwa Lims-Kragmy.

– Flynn też tak zrobił.

– Ale ci dwaj wrócili! – Młodszy mnich postąpił krok do przodu i wyciągnął rękę. – W każdym razie miło spędziłem czas w twoim towarzystwie, Kasparze z Olasko, i jeżeli nie wrócisz tą drogą, zapamiętam chwile spędzone razem.

– Cóż, jeżeli wszystko dokładnie rozważyć, myślę, że się jeszcze spotkamy, Samasie. I mam na to nadzieję.

Strażnik uśmiechnął się.

– Po prostu stań na środku.

Kaspar zrobił, jak mu kazano. Znalazł złoty krąg, wyrysowany na środku platformy. Wszedł do środka.

Natychmiast coś poczuł. Nie była to wibracja ani buczenie, ale ciało doświadczyło czegoś w rodzaju mrowienia, jakby przez najdrobniejsze jego włókno przepłynęła porcja energii. Nagle z platformy podniosły się dwie bliźniacze złote spirale, jedna z lewej, druga z prawej. Każda z nich wyglądała, jakby zrobiono ją z cieniutkich złotych nici. Oczy księcia nie mogły nadążyć za ruchem. Spirali nie wykonano z metalu ani światła, ani niczego, co by rozpoznawał, ale były piękne i poczuł, jak na ich widok przyspiesza mu puls.

Spirale wydłużyły się, jakby wyrastały z platformy, po czym skrzyżowały się przed twarzą mężczyzny. Idąc zgodnie z obrysem koła, sformowały helisę i urosły jeszcze bardziej. Zobaczył, że z platformy podnoszą się kolejne spirale i niebawem poczuł się uwięziony w złotym cylindrze światła.

A potem wszystko znikło. Poczuł, jak przepływa przez niego zimno, którego żaden człowiek nie byłby w stanie znieść; z trudem łapał oddech.

Nagle zapadł w ciemność.

* * *

Kaspar czuł się tak, jakby unosił się na wodzie. Otworzył oczy. Na jego twarz padały promienie słońca; czuł przyjemny chłód. Kiedy wrażenie pływania osłabło, zdał sobie sprawę, że leży na twardej, stabilnej powierzchni.

Usiadł.

Siedział na marmurowej podłodze. Wyciągnął rękę i dotknął kamienia. Potem rozejrzał się dookoła. Podłoga rozciągała się we wszystkich kierunkach i księżę na chwilę zupełnie stracił orientację.

Wstał. Z podłogi w regularnych odstępach wznosiły się kolumny; rzeźbiona powierzchnia marmuru sprawiała, że wyróżniały się na tle bieli. Podeszedł i dotknął jednej z nich. Była gładka i przypominała nieco kość słoniową.

Pomiędzy kolumnami wisały jedwabne zasłony; były białe, lekko przejrzyste i kołysały się nieznacznie na wietrze. Popatrzył do góry i ujrzał, że ponad nim wznosi się szklane sklepienie, przez które prześwieca słońce.

W dziwnym miejscu nie było nic ponad wymienione przedmioty. Dawny księżę Olasko

postanowił po chwili, że pójdzie w kierunku źródła wiatru.

Kiedy przeszedł obok pół tuzina zasłon, natrafił na miejsce, gdzie pomiędzy kolumnami nie wisiał jedwab. To, co pomiędzy nimi zobaczył, sprawiło, że się zatrzymał. Stał na szczycie górskiego masywu; widział przed sobą góry okryte śniegiem i chmury odbijające popołudniowy słoneczny blask. Ostrożnie podszedł do krawędzi i spojrzał w dół.

Nie miał pojęcia, w jaki sposób to miejsce wisiało ponad chmurami, lecz Kaspar mógł dostrzec z krawędzi, że nie łączy go żadna fizyczna konstrukcja z górami. Powietrze powinno być lodowato zimne i na tyle rozrzedzone, żeby bardzo utrudnić oddychanie, ale mężczyzna oddychał z łatwością i czuł jedynie przyjemny chłód.

– Wspaniały widok, nieprawdaż?

Książę odwrócił się.

Tam, gdzie wcześniej była tylko pusta podłoga, stał niewysoki piedestał, zrobiony z tego samego białego kamienia. Siedział na nim mężczyzna.

Miał jasną skórę, kręcone jasnobrązowe włosy i brązowe oczy oraz silnie zarysowaną szczękę. Książę Kaspar nie potrafił ocenić jego wieku, tak jakby nieznajomy ciągle się zmieniał. Raz wyglądał jak człowiek w jego wieku, żeby już za chwilę zmienić się w chłopca. Ubrany był w prostą, błękitną tunikę i białe nogawice. Nie miał butów.

– Tak – odparł Kaspar powoli. – Wspaniały widok. Mężczyzna zeskoczył z podwyższenia, a kiedy tylko jego stopy dotknęły podłogi, podium znikło.

– Niewielu ma okazję to zobaczyć. To jest, w dosłownym tego słowa znaczeniu, Dach Świata. – Podszedł do byłego władcy i stanął obok niego. – Podobnie jak na wiele innych rzeczy rzadko zwracam na niego uwagę, dopóki nie zobaczę kogoś innego, kto akurat go podziwia. Wtedy ja także się zatrzymuję i przypominam sobie, jak jest wspaniały. To są dwa najwyższe szczyty na świecie, wiedziałeś o tym?

– Nie – odparł. – Nie wiedziałem.

– Szczyt południowy nazywany jest Słoniem i mierzy tylko o pół metra mniej niż jego pomocny sąsiad, który nosi nazwę Smoka. Wyobrażasz to sobie? Oba mają ponad dziewięć tysięcy metrów wysokości, a różnią się zaledwie połową metra.

– Dziewięć tysięcy metrów? – zdziwił się. – Powiniennem właśnie zamarać na śmierć. U siebie polowałem na wielkie barany w górach, na wysokich przełęczach, które liczą sobie ponad trzy tysiące metrów, i część moich ludzi chorowała nawet na tamtej wysokości. W lecie prawie zamarzałyśmy. Jak to jest możliwe?

– To proste – uśmiechnął się nieznajomy. – Tak naprawdę wcale cię tutaj nie ma.

– A więc gdzie jestem?

– Gdzieś indziej. Teraz, zanim zupełnie się zagubisz w domysłach, nie mamy wiele czasu, więc przejdźmy do rzeczy. Zaczniemy od tego, po co tu jesteś.

– To długa historia.

– Znam tę historię. Nie musisz jej powtarzać, Kasparze.

– Wiesz, kim jestem?

– Wiem wszystko o tobie, Kasparze, były księżę Olasko, od chwili kiedy przypadkowo nastąpiłeś na ogon kotka Talii i twoja siostra nie rozmawiała z tobą przez tydzień...

– Miałem dwanaście lat!

– ...do momentu, kiedy jadłeś śniadanie z Samasem.

– Kim jesteś?

– Jestem Kalkinem.

Były władca milczał przez chwilę.

– Bogiem? – zapytał w końcu.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Etykiety, tytuły, kategorie, wszystkie są tak... limitujące. Powiedzmy po prostu, że jestem istotą i idźmy dalej.

– Ale...

Uniósł dłoń i jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Nie mamy czasu na dyskusje. Teraz, masz do mnie kilka pytań, ale oszczędzimy czas, jeżeli ja pierwszy co nieco ci opowiem, a dopiero później zadasz swoje pytania. Potem będziesz mógł wrócić do bastionu.

Mógł tylko skinąć głową.

Kalkin poruszył się, jakby chciał usiąść i natychmiast w miejscu, gdzie była goła podłoga, pojawił się duży, blado niebieski dywan.

– Usiądź proszę.

Księżę rozejrzał się dookoła i zobaczył za sobą drugi dywan. Usiadł na nim.

– Zaoferowałbym ci coś do picia i jedzenia, ale wiem, że nie jesteś głodny ani spragniony. Wiem, że niektórzy ludzie uspokajają się, kiedy ich częstuję.

Nie jestem pewien, czy to w ogóle możliwe w takim miejscu. – powiedział cicho Kaspar.

– Zatem, od czego by tu zacząć? – zastanawiał się bóg. – Może od tej rzeczy, którą targasz ze sobą przez pół świata?

– Tak – potwierdził śmiertelnik. – Myślę, że to będzie doskonały początek.

– To nie jest zbroja. To konstrukcja. Coś, co mógłbyś uznać za ożywioną maszynę. Wyobraź sobie, że masz wytwórcę zabawek, który zbuduje ci dużą drewnianą lalkę. Taką, która potrafi chodzić oraz w ograniczonym zakresie rozumieć pewne komendy i wykonywać je na twoje żądanie. To tak, jakbyś porównywał procę z trebuszem. Ta rzecz nazywa się Talnoy.

– Talnoy?

– W języku jej twórców to w wolnym tłumaczeniu oznacza „bardzo trudnego do zabicia”.

– Do zabicia? Zdawało mi się, że powiedziałaś, że to jest coś w rodzaju maszyny.

– To znacznie więcej niż maszyna. To ma... duszę albo coś w tym rodzaju. Niełatwo mi to wytłumaczyć. Dokładnie tak jak mówił brat Anshu, ta rzecz jest bardzo nie w porządku. Dusza, którą w nią włożono, nie dostała się do środka z własnej woli.

Kaspar potrząsnął głową.

– To wielkie zło.

– Bardzo wielkie – zgodził się Kalkin. – Wierzę, że pamiętasz ciągle to, co powiedział ci na ten temat Strażnik Samas?

– Tak.

– To dobrze, bo teraz powiem ci parę rzeczy, nad którymi także będziesz musiał porozmyśleć. Kiedy przemieszczasz się z wyższych kręgów do niższych, z kręgu, który nazywamy tutaj Pierwszym Poziomem. – Zatoczył w powietrzu ręką. – Czyli miejsca, gdzie jesteśmy teraz, do Ostatniego Poziomu, zmieniają się prawa, które rządzą wszechświatem. Przez wiele stuleci spierano się o to i ustalono w końcu, że każdy krąg ma swoje pojęcie dobra i zła, rzeczy właściwych i niewłaściwych. Wszystko jest względne. Istnieje także pewna grupa, która uważa, że dobro mieszka na jednym ze skrajnych planów, a zło na drugim. Dla uproszczenia zaakceptuj jeden fakt: to nieważne, co myślisz o powyższych sprawach i jak odnosisz się do teologicznych dyskusji, cokolwiek istnieje na planie piątym, powinno tam pozostać! Książę nic nie powiedział.

– Ta rzecz, Talnoy, powinna zostać na Drugim Poziomie stworzenia. Nigdy nie powinna znaleźć się na Midkemii!

– Ale jak tutaj trafił?

– To bardzo długa historia i nie ma czasu, żebyś mógł ją usłyszeć.

– Dlaczego nie, jeżeli mogę spytać?

– Cóż, ja mam czas, ale ty raczej nie. Właśnie umierasz.

Były władca Olasko poderwał się z dywanu.

– Co?

– Tak naprawdę cię tutaj nie ma. Jesteś gdzieś indziej, w pół drogi pomiędzy życiem i śmiercią, i im dłużej będziesz zwlekał, tym bardziej zbliżasz się do niebytu, a kiedy przekroczysz rzekę... – Wzruszył ramionami. – Nie mogę zrobić wiele więcej.

– Ale przecież jesteś bogiem.

Kalkin machnął lekceważąco ręką.

– Nie mogę wściubiać nosa w sprawy Lims-Kragmy. Kiedy trafisz do jej królestwa, tylko ona będzie mogła odesłać cię z powrotem. A ona nie ma raczej takich zwyczajów. A więc, teraz już wiesz, że nasz czas jest na wagę złota, zatem przejdźmy do rzeczy. Tak jak powiedziałem. – Uniósł palec. – Ta rzecz, którą przynosisz ze sobą, nigdy nie powinna znaleźć się na tym świecie. – Książę znów chciał mu przerwać i uśmiech zniknął z twarzy Kalkina. – Nie przerywaj mi. No dobrze, jeden z Jeźdźców Smoków, jak ich nazywacie, przywiózł to ze sobą jako łup. Z trudem zdobyty i... cóż, nie powinni nawet próbować podbijać tamtego królestwa. W każdym razie, to było przed moimi czasami i my, czyli ci, których nazywasz bogami, odkryliśmy, że to jest tutaj już po fackie.

– Zatem dlaczego nie odesłaliście tego z powrotem?

Bóg roześmiał się chrapliwie, a potem potrząsnął głową.

– Śmiertelnicy! – Pochylił się do przodu. – Nie sądzisz, że zrobilibyśmy to, gdybyśmy tylko potrafili? Jesteśmy ograniczeni tylko do tego świata! Jesteśmy jego częścią.

– Ale powiedziano mi, że Bezimienny został przeniesiony do innego świata.

Kalkin wstał, jakby stracił cierpliwość.

– To się zawsze tak kończy, kiedy próbujesz coś wyjaśnić. – Stał naprzeciwko człowieka. – Ty nie masz czasu. A więc niech ci wystarczy, kiedy powiem, że bogowie, których znasz pod nazwą Większych Bogów, których Samas nazywał Kontrolerami, kiedy złączą, się w wysiłkach, mogą osiągnąć to, co zrobili Bezimiennemu. Ale to się stało tylko raz! – Wyciągnął palec i dźgnął powietrze. – Tylko raz. Rozumiesz?

– Dość jasno to ująłeś.

– Dobrze, bo teraz mam zamiar wreszcie przejść do rzeczy. Machnął ręką i pawilon zniknął. Przez chwilę unosili się w jednostajnej szarości, a potem nagle znaleźli się w innym miejscu.

Unosili się w powietrzu. Była noc, a pod nimi rozciągało się miasto, ale nie przypominało niczego, co Kaspar mógłby sobie wyobrazić. Było ogromne i nie miało w sobie nawet pierwiastka czegoś naturalnego. Wszędzie, gdzie spojrzał, widział tylko budowle, ulice, mosty i ludzi. Jeżeli ktokolwiek mógłby nazwać ich ludźmi.

Z grubsza wyglądali jak ludzkie istoty, ale mieli złe proporcje, jak gdyby normalny człowiek został rozciągnięty. Ręce i nogi wydawały się zbyt długie na ich krótkie torsy. Twarze istot także były wydłużone, lecz różniły się od siebie na tyle, że książę uznał ich za tak samo różnorodnych jak ludzie w każdym mieście na Midkemii. Kilku mogłoby nawet przejść się po placu targowym w Olasko i wzbudzić jedynie kilka zaciekawionych spojrzeń. Obcy mieli szarą skórę, ale o bardzo jasnym odcieniu. Nosili ubrania w różnych kolorach, choć barwy były stonowane i ciemne. Dominowały szarości, zielenie, nawet czerwień i pomarańcz nie posiadały ostrości ani wyrazistości. Kobiety miały na sobie długie suknie i paradne kapelusze w dość dziwnym stylu, ale mężczyźni ubrani byli w niemal identyczne tuniki i spodnie, co sprawiało wrażenie, że wszyscy są w mundurach.

Miasto w całości zbudowano z ciemnego kamienia, którego odcienie wahały się od szarości do absolutnej czerni. Kaspar nie widział żadnych dekoracji ani kolorów. Książę wraz z Kalkinem opuścili się „na ziemię przed główną, bramą. Konstrukcja była wprost niewiarygodna. Mury miejskie miały taką szerokość, że urządzono na nich ulicę, zatłoczoną pieszymi, wozami i karocami, ciągniętymi przez zwierzęta, przypominające nieco wydłużone konie albo muły, ale mające jakby gadzie kształty. Brama poniżej otwierała się na długi tunel. Biegł pod bulwarem i kończył się gigantyczną strażnicą, zajmującą miejsce pomiędzy murami, a pierwszym.. budynkiem? Kaspar zdał sobie sprawę, że w zasięgu wzroku nie ma żadnych pojedynczych sklepików ani domów. Wszystko było ze sobą połączone, tak jakby miasto było jednym wielkim budynkiem, poprzecinany ulicami i kanałami, z tysiącami, a może nawet tysiącami tysięcy wejść. Nawet domy, które na pierwszy rzut oka wydawały się stać osobno, przy bliższych oględzinach okazywały się połączone z resztą za pomocą tuneli, galerijek i korytarzy. Oko mężczyzny nie było w stanie uchwycić szczegółów, gdyż każda z budowli zdawała się egzystować na trzech, czterech albo i więcej poziomach. Całe miasto było oświetlone tysiącami pochodni, więc światło nieustannie migotało.

– Imponujące, nieprawdaż? – spytał Kalkin i człowiek odwrócił się, żeby popatrzeć na drogę. Trawa, jeżeli to była trawa, nie miała żadnego koloru w ciemnościach nocy, podobnie jak odległe drzewa.

– Zdawało mi się, że powiedziałaś, że nie możesz tutaj przychodzić – zauważył Kaspar.

– My nie jesteśmy tutaj. Zaledwie patrzymy. To zupełnie coś innego. Patrz.

Książę popatrzył i ujrzał, jak bramy miejskie są zamykane na noc. Wszyscy, co znajdowali się poza miastem, pospieszyli, żeby wejść do środka, lecz zamykający nic sobie nie robili z ich

pośpiechu. Strażnicy przy bramie nosili czarne zbroje, bardzo podobne do Talnoya, z tym że ich hełmy były otwarte, a na czarnym metalu brakowało złotej lamówki.

– Dlaczego brama jest otwarta do tak późnej godziny?

– Nie jest późno – powiedział Kalkin. – Dopiero zachód słońca.

– Ale niebo jest czarne.

– Tak – odparł bóg. – W tym świecie słońce daje głównie ciepło, ale bardzo mało światła. Pamiętaj, o czym mówiłem ci wcześniej, prawa i zasady są różne dla różnych światów. Gdybyśmy byli tutaj w fizycznej postaci, twoje życie nie potrwałoby długo. Samo powietrze powoli zatruloby twoje płuca. Skóra pokryłaby się pęcherzami od słonecznego żaru i nawet w nocy czułbyś nieprzyjemny upał. Woda smakowałaby jak gorzka siarka i paliłaby twoje wargi jak kwas.

Bramy zamknęły się z głuchym, dudniącym dźwiękiem, jakby dwa ogromne kamienie uderzyły w ziemię. Kaspar zdał sobie sprawę, że skrzydła bramy stały się w jakiś sposób częścią murów. Sprytnie wyważone kamienie i najprawdopodobniej system przeciwwag działały tak doskonale, że nawet dwóch mężczyzn, albo raczej istot, z łatwością mogło nimi poruszać.

– Patrz uważnie – powiedział Kalkin, pokazując na drogę.

Ku bramie pędził pojedynczy wóz, ciągnięty przez gadopodobne stworzenie, przypominające muła. Książe zobaczył, że na koźle siedzi jedna z istot i powozi gwałtownie.

– Jak się nazywają ci... ludzie?

– Nazywają samych siebie Dasati, co w ich języku oznacza ludzi. Są tak samo podobni do ludzi, jak smoki. Właściwie smoki są bardziej podobne do ludzi niż te istoty. To jeden z ich światów, Kosridi. A miasto jest stolicą regionu.

– Jeden z ich światów?

– Podobnie jak Tsurani i niektóre inne rasy, potrafią przemieszczać się z jednego świata do drugiego. Są bardziej agresywni niż jakakolwiek nacja w historii.

– Co się teraz dzieje?

– Coś w rodzaju godziny policyjnej. Nikt nie może wyjść z miasta, kiedy bramy już się zamkną.

– Dlaczego? Czy w pobliżu czają się wrogowie?

– Dasati nie mają wrogów... a przynajmniej nie na tym świecie. Ale czai się tu wiele zagrożeń.

Wóz zatrzymał się przed bramą i woźnica zawołał coś nerwowo do strażników, stojących na murach. Dasati, który przechadzał się tuż nad bramą, zatrzymał się i spojrzał w dół.

Wybuchła krótka, gwałtowna rozmowa i zaraz zbiegli się inni strażnicy, żeby popatrzeć na przybysza na wozie. A potem z ciemności dobiegło wycie.

Na ten dźwięk Kasparowi zastygła krew w żyłach.

– Co to było?

– Coś analogicznego do naszych wilków.

Z ciemności wybiegły jakieś istoty; poruszały się przez mroczny krajobraz z taką prędkością, że śmiertelnik nie był w stanie określić dokładniej ich kształtu. Kiedy zbliżyły się do murów, blask pochodni oświetlił je dokładniej i mężczyzna otworzył usta ze zdumienia.

Jeżeli zwierzęta ciągnące wozy były krzyżówką muła z gadem, to musiało być potomstwo wilka i konia.

– Co to za stwory?

– Nazywają się zarkis – odrzekł Kalkin.

Zwierzęta miały wielkość sporego kuca. Ich sierść była ciemnoszara, na nogach czarna, a wokół pyska i wąsów przybierała odcień ochry. „Wilki” miały szerokie, płaskie łby oraz szeroko rozstawione, żółte oczy, płonące jak pochodnie. Kły potworów były tak długie jak sztylet Kaspara. Poruszały się z zaskakującą szybkością. Trzy stworzenia, biegnące na przedzie, dopadły gadopodobnego muła w mgnieniu oka.

Pozostałe dwa skoczyły ponad wozem i jeden zerwał głowę z ramion woźnicy. Chwilę później, zanim ciało zdążyło osunąć się z kozła, drugi wilk przegryzł tors na dwie części.

– Życie na tym świecie – zauważył bóg – jego rytmy i krok, o ile mogę to tak nazwać, są dużo bardziej ekstremalne niż na Midkemii. Zamieszkujące to miejsce drapieżniki są trudne do opisania. Nawet zwierzyzna łowna, gdybyś zechciał na nią zapolować, zaskoczyłaby cię zacieklą walką. Wyobraź sobie królika z zębami jak brzytwa i charakterem zbliżonym do tego, jakim szczyci się rosomak. Ludzie także są twardzi i niebezpieczni.

– Dlaczego nikt mu nie pomógł? – zapytał Olaskanin.

– Ci ludzie udzielają pomocy tylko wtedy, kiedy jest im to wygodne. Członek jego rodziny próbowałby może rzucić linę, gdyby starczyło czasu, bliski przyjaciel być może obiecałby przekazać słowa pożegnania jego kobiecie, znajomy prawdopodobnie wstrzymałby śmiech na widok rzezi do chwili, aż główny zainteresowany by skończył.

Nagle książę zdał sobie sprawę, że wszyscy zebrani na murach pokładają się ze śmiechu, jakby byli właśnie świadkami doskonałego wystąpienia zamkowego błazna.

– Oni myślą, że to jest śmieszne?

– Inne zasady, Kasparze. – Mężczyzna spojrział na Kalkina i zobaczył, że znajomy uśmiech zniknął.
– Te istoty uważają ból za coś zabawnego. Bawi ich, gdy widzą ból i cierpienie.

– Kiedy byłem w Keshu, oglądałem igrzyska – powiedział Kaspar. – Widziałem ludzi walczących na śmierć i życie, ale czerpali radość ze zmagania, a nie śmiali jeden z drugiego. To były zawody.

– Tutaj cierpienie jest rozrywką. Słabi muszą zostać usunięci ze zdrowej tkanki rasy i do tego właśnie służy cierpienie. Słabość czyni z ciebie ofiarę, a siła wręcz odwrotnie, wyzyskiwać.

Wszystko funkcjonuje jako negocjacje pomiędzy istotami o złożonej sile, ponieważ jeżeli jesteś silniejszy niż inny, bierzesz sobie, co chcesz, a jeśli jesteś słabszy, szukasz możnego patrona żeby cię chronił w zamian za usługi. Morderstwo uchodzi za rozrywkę, a dobroczynność jest nieznaną i nie do pojęcia. Jedynie w gronie rodzinnym objawiają się uczucia nieco zbliżone do dobroci; jeżeli napotkasz dziecko bez opieki, zabijasz je, gdyż któregoś dnia może zagrozić twoim własnym potomkom. Wychowujesz swoje dziecko, kultywujesz w nim poczucie lojalności i posłuszeństwa, żeby zapobiec sytuacji, w której zwróci się przeciwko tobie, kiedy będziesz już zbyt stary, aby być użyteczny.

Czerpiesz siłę ze swojej rodziny, z tężyzny fizycznej, ze zdolności magicznych albo patronujących ci bogów. A oni nie wybaczą tak samo, jak ci, co oddają im cześć.

W tej chwili mężczyzna uświadomił sobie, że nigdzie nie widział dzieci. Musiały być pochowane i strzeżone przez matki, aż do chwili gdy dorosną i będą w stanie same się obronić.

– To szaleństwo, co tu się... – wyszeptał.

– Inne zasady – przypomniał mu bóg.

W mgnieniu oka przenieśli się w inne miejsce.

– O zachodzie słońca władca tego miejsca, Karana, zarządził przegląd wojsk.

Popatrzył w dół i zobaczył pałac albo coś, co mu przypominało tego typu budowlą, usytuowaną na najwyższym wzniesieniu w mieście. Kiedy zbliżyli się do głównego dziedzińca, zdumiał się, widząc skalny budynek. Sam pałac był tak wielki jak cytadela w Oparum, a główny dziedziniec miał co najmniej czterysta metrów długości oraz szerokości.

Kalkin wskazał mu balkon, wyróżniający się wielkim czerwonym sztandarem, zwisającym z balustrady. Na materiale wyszyto czarny glif, otoczony kręgiem małych mieczy. Na balkonie stała istota, z grubsza przypominająca wszystkie pozostałe, lecz emanował z niej oczywisty autorytet. Za królem stało kilka istot płci żeńskiej. Książę doszedł do wniosku, że na standardy tej rasy, muszą one pełnić funkcję kobiet do towarzystwa. Ich stroje były dość skąpe w porównaniu z tym, co widział na ulicach i znacznie bardziej kolorowe. Władca nosił czerwony płaszcz, obszyty przy kołnierzu czymś wyglądającym jak białe futro. Pod płaszczem widać było czarną zbroję, lamowaną złotem, przypominającą Talnoya.

Przez dziedziniec maszerowały tysiące zakutych w pancerze postaci. W tle dudniły bębny i wyły rogi, czyniąc ogłuszający hałas.

– Czy to są Talnoye? – zapytał Kaspar.

– Tak – odrzekł Kalkin. Są niewolnikami Karany i zabijają na jego skinienie. Podbiły już setki narodów i światów, a każdy z nich zawiera duszę zamordowanego Dasati.

– Widziałem tylko chaos. Jak te istoty są w stanie utrzymać porządek?

– Tak samo, jak to się udaje kolonii mrówek albo rojowi pszczół. Instynktownie wiedzą, kto za co odpowiada, i nie przejmują się losem jednostki. Gdyby znalazł się ktoś sprytny albo silny na tyle, by zabić Karane, następnego dnia sam stałby się Karaną. I ci, których pana zabił, oddaliby mu cześć, gdyż okazałby się silniejszy, a tym samym bardziej efektywny w ochronie swoich wasali i poddanych.

Znów przenieśli się w inne miejsce. Książę poczuł, że powietrze jest znacznie cieplejsze.

– Jesteśmy na innym kontynencie – wyjaśnił bóg wiedzy – Tutaj jest dopiero popołudnie. Popatrz w dół, a zobaczysz coś, co nazywasz igrzyskami.

Spojrzał na stadion, co najmniej trzy razy większy niż ten w Keshu. Oceniał, że na trybunach zasiada co najmniej dwieście tysięcy obcych istot.

Na piasku areny wydzielono kilka obszarów. W każdym z nich rozgrywały się sceny mrozące krew w żyłach.

Stwór, wyglądający niczym słoń ze skórą krokodyla i bez trąby, o pysku przypominającym leniwca, powoli maszerował wokoło i miażdżył ludzi przykutych do ziemi.

W innym miejscu podpalano jakichś nieszczęśników. Biegali w kółko, płonąc jak pochodnie, a potem upadali i pozostawały po nich tylko zwęglone zwłoki.

Wszędzie, gdzie spojrzał, Kaspar widział cierpienie i ból, a ludzie, siedzący na trybunach, co raz wybuchali śmiechem i krzyczeli z zadowolenia. Na wielu ławkach dostrzegł spółkujące pary, tak podniecone widokiem krwi, że nie zważały na otaczające je istoty.

Przy barierze stał Dasati płci męskiej i wyglądał na arenę. Na piasku szalało stado stworzeń, podobnych do psów, i rozszarpywało ludzi członek po członek. Sąsiad widza wstał nagle, przyłożył stopę do jego pleców i wepchnął go na arenę. Kiedy tylko zaskoczony mężczyzna wpadł prosto w kłębówisko morderczych zwierząt, czekających na dalsze ofiary, najbliżsi sąsiedzi Dasatiego oraz jego morderca zaczęli zwijać się ze śmiechu.

– Samas ma rację – rzekł były władca Olasko – Zło jest szaleństwem.

Nagle znaleźli się w powrotem w Pawilonie Bogów. Pojawiły się dwa bladoniebieskie dywany i Kaspar opadł ciężko na jeden z nich.

Po co mi to wszystko pokazałeś?

– Ponieważ teraz zaczynasz wreszcie rozumieć, dlaczego musisz się pozbyć tej rzeczy, którą wleciesz ze sobą od tygodni.

– Cóż, jeżeli nie możecie jej odesłać, czy uda wam się ją zniszczyć?

Kalkin spojrzał nań z wyrzutem.

– Wiem, gdybyście mogli, już byście to zrobili. – Kaspar usiadł wygodniej. – Zatem, co mam robić?

– My, bogowie, nie możemy zabierać rzeczy z tego świata, ale wy, śmiertelnicy, możecie.

– Ale jak?

– Musisz odnaleźć tych, którzy cię tu zesłali. Trudno określić cię jako przypadkowego, niewinnego uczestnika minionych zdarzeń, Kasparze, ale nie stanowiłeś głównego obiektu zainteresowania tamtych ludzi. Był nim twój doradca, Leso Varen. Samas powiedział ci, komu służył ten mag, a może także zdradził parę szczegółów dotyczących jego natury, lecz nie wiesz jednej rzeczy. Twój wróg, Talwin Hawkins, także działał w imieniu innych, w imieniu Konklawe Cieni.

– Nigdy nie słyszałem o takiej organizacji – powiedział Olaskanin.

– Oczywiście, że nie. Gdybyś słyszał, nie byłaby to tajna organizacja. Leso Varen także o nich nie wiedział. Zdawał sobie sprawę, że ktoś działa przeciwko niemu, ale nie wiedział kto.

– Gdzie ich znajdę?

Bóg wiedzy uśmiechnął się.

– Z tym będzie mały problem.

– Nie wiesz? Myślałem, że jesteś bogiem wiedzy.

Bóg roześmiał się.

– Ja? Raczej nie. Istota, o której myślisz, była znana przed Wojnami Chaosu jako Wodan-Hospur. To jeden z czterech zaginionych bogów. Nie wiemy, czy umarł, czy po prostu... gdzieś zniknął. Ja tylko dbam o wiedzę do czasu, aż on wróci. W twoim kraju nazywają mnie Banath! – dodał z szerokim uśmiechem.

– Bóg złodziei!

Kalkin uklonił się.

– A także Oszust, Kuglarz i Nocny Wędrowiec, między innymi. Któż lepiej będzie chronił wiedzę od złodzieja? – Wstał. – Chodź, musisz już wracać. Twój czas tutaj dobiega końca.

– Ale jak znajdę Konklawe Cieni?

– Gdybym ci powiedział i wpadłbyś w ręce wroga, zanim byś ich znalazł, narobiłbyś wiele szkody. W chwili obecnej o istnieniu Talnoya wie już kilka osób i z pewnością go szukają. Co oznacza, że jednocześnie szukają ciebie.

– Jak mam ukryć coś takiego?

– Nie będziesz go ukrywał – odparł bóg. – Pamiętaj, jak zabiłeś wergona mieczem Talnoya?

– Co zabiłem?

– Tę istotę, przypominającą demona, która rozszarpała McGoina.

– A tak, pamiętam.

– I Talnoy wyszedł z trumny, żeby odzyskać swój miecz?

– Tak.

– A więc zabierz jego miecz, a on po prostu pójdzie za tobą.

– To znaczy, że wcale nie musiałem wnosić go na górę na własnych plecach?

Kalkin z trudem powstrzymywał śmiech, ale do końca mu się nie udało.

– Nie – wystękał trzymając się za boki. – Nie musiałeś.

– No dobrze – powiedział Kaspar, zły, że stał się obiektem żartów – ale co mam z nim zrobić, ubrać w tunikę i nazywać swoim bratem?

Bóg złodziei znów się roześmiał, lecz po chwili spoważniał.

– Nie, ale weź pierścień, który masz w sakiewce, i włóż na palec. Potem połóż dłoń na ramieniu Talnoya i pomyśl o mnichu, a wtedy ten konstrukt będzie wyglądał jak mnich, dla każdego z wyjątkiem potężnych magów albo kapłanów.

– Ten pierścień go kontroluje?

– W pewnym sensie. Władca nie może być wszędzie i czasami ktoś inny musi dowodzić tymi istotami na polu walki. Pierścień pozwala podkomendnym Karany wydawać rozkazy Talnoyom. Tylko uważaj, nie rozkazuj mu, żeby zaatakował Karane, bo możesz nagle stanąć w płomieniach.

Och, i pamiętaj o jednym. Ten pierścień przyprawi cię o szaleństwo, jeżeli będziesz go nosił dłużej niż godzinę czy dwie za jednym razem. Jednak kiedy tylko będziesz potrzebował wydać rozkaz, załóż go, powiedz, co chcesz, a potem natychmiast zdejmij. Upewnij się, że to zrobiłeś tak szybko, jak tylko się da. A to znaczy, że musisz ograniczyć się do prostych komend.

– Jak znajdę Konklawe?

– To najtrudniejsza część. Mogę wysłać cię w odpowiednim kierunku. Ale problem z magią wysokich energii jest taki, że im większa jej moc, tym łatwiej zdradzić się przed... pewnymi ludźmi. Mogę cię wysłać do miasta Sulth, a raczej w jego pobliże, wraz ze skrzynią skarbów i Talnoyem, a stamtąd będziesz musiał wziąć statek. Jeżeli będziesz płynął na północny zachód przez dwadzieścia pięć dni, a potem skreślisz prosto na zachód, za dwa tygodnie wpłyniesz na znajome wody. Wracaj do domu i odszukaj Talwina Hawkinsa. Jeżeli uda ci się z nim porozmawiać, zanim zdąży cię zabić albo nim nowy książę Olasko każe cię stracić, Hawkins może doprowadzić cię do Konklawe. Powiedz im, co widziałeś i co wiesz, a następnie poproś, żeby uwolnili nasz świat od Talnoya. I naciskaj ich, bo sprawa jest pilna.

– Dlaczego?

Bóg wykrzywił się i stracił resztkę humoru, która się jeszcze w nim kołatała.

– Nie wspomniałem ci o tym, prawda? Teraz, kiedy Talnoy został wyjęty z krypty, gdzie tkwił w ukryciu, i zdjęto otaczające go czary ochronne, jest jak latarnia morska dla Dasatich. Zaczynają się tworzyć magiczne bramy oraz szczeliny. Na razie są małe i trudno je znaleźć; stoją otworem tylko przez kilka minut, jednak potwór, który zabił McGoina, zdołał się jakoś przedostać z Kosridi. A ta istota w porównaniu z pełnosprawnym Talnoyem to dziecinna zabawka. Pamiętasz, jak trudno było zabić wergona konwencjonalną stalą.

– To było prawie niemożliwe.

– Wszystko na Kosridi jest takie, a Talnoye należą do najniebezpieczniejszych istot na tamtym świecie. – Jego twarz przybrała jeszcze poważniejszy wyraz. – Niebawem szczeliny zaczną otwierać się na dłużej i staną się większe, aż w końcu magowie albo kapłani Dasatich je zauważą. Nie muszę chyba ci mówić, co stanie się później. Jeżeli ich świat wydał ci się niebezpieczny i nieprzyjemny, Midkemia będzie dla nich prawdziwym rajem, gdyż istoty z niższych poziomów mogą z łatwością przenosić się na wyższe. Pamiętaj, co powiedział ci Samas o prawdziwej naturze Szmaragdowej Królowej: demon, który w nią wstąpił, chciał rządzić naszym światem i działał wbrew regułom obowiązującym zarówno śmiertelników, jak i bogów. Dasati Karany z radością dodaliby ten świat do swego imperium i latami czerpaliby radość z zabijania ludzi. Zrobiliby z tego rozrywkę dla tych, co pozostali w domu. Wyobraź sobie, że stawiasz czoła armii Talnoyów w polu.

– Potrzebujemy magii.

– Tak, bardzo. Jedź do Oparum. Znajdź Talwina Hawkinsa i spraw, żeby zaprowadził cię do władz Konklawe Cieni. Pokaż im Talnoya i pozbądźcie się go z tego świata! – Przerwał na chwilę. – Ponieważ, jeżeli tego nie zrobicie – dodał – będziemy mieć do czynienia z konfliktem, przy którym

Wojna Światów wyda się trywialna.

– Ale po co ten czar? Dlaczego po prostu... no nie wiem. Po prostu mogłeś kazać kapłanom z twojej świątyni przynieść tę rzecz tutaj.

Potrząsnął głową.

– To nie jest mój czar ani żadnego z bogów. I nie został założony po to, aby sprowadzić tę rzecz tutaj. Zdejmę go jednak, żebyś mógł zabrać stąd Talnoya.

– A więc kto rzucił ten czar na tę rzecz i gdzie miał mnie on zaprowadzić? – zapytał Kaspar.

– To nie ma znaczenia – odparł Kalkin i machnął lekceważąco ręką.

Księżę poczuł nagły wstrząs; jego ciało zadygotało i błyskawicznie znalazł się w nieprzeniknionej szarości. Poczuł, jak powietrze eksploduje mu w płucach, a potem przez chwilę trwał zawieszony w nicości. Po paru minutach ocknął się na trawie w niedużym zagajniku; obok niego stała skrzynia ze skarbami i Talnoy.

Kaspar odetchnął głęboko i poczuł zimno.

Zapadał zmrok. Z miejsca, gdzie siedział, widział drogę i poruszające się po niej chłopskie wozy. Wyjął pierścień z sakiewki i wsunął go na palec.

– Przybierz wygląd brzydkiego służącego – rozkazał Talnoyowi. Istota została nagle zastąpiona przez paskudnie wyglądającego człowieczka.

– Nie tak brzydkiego – powiedział Olaskanin i twarz potwora zmieniła się tak, iż teraz wyglądał jak zwyczajny, ubrany w prosty strój sługa wędrującego najemnika.

– Powiedz coś – zażądał mężczyzna.

– Coś.

– Cóż, przynajmniej umiesz mówić. Nazywaj mnie swoim panem.

– Panie.

– Jeżeli wydam ci rozkaz, odpowiedz: „tak, panie”. I wykonaj go.

– Tak, panie.

– Na początek wystarczy. Teraz weź skrzynię i chodź za mną.

– Tak, panie.

Księżę wyszedł spośród drzew na drogę. Brzydki służący ruszył za nim, z łatwością niosąc na

ramieniu małą skrzynkę.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Sulth.

Kaspar pił samotnie. Talnoy siedział bez ruchu w pokoju na piętrze; mały stryszek nad skromną tawerną nie był zazwyczaj wynajmowany. Książę unikał karczem i zajazdów do chwili, aż znalazł statek, gdyż miał na uwadze przestrożę Kalkina, że nie tylko on jest zainteresowany czarną istotą.

Bo tak teraz myślał o tej rzeczy – istota. Podczas minionych czterech dni spędził trochę czasu eksperymentując ze swoim nowym służącym – oceniał zdolność istoty do niezależnych akcji. W końcu przekonał się o dwóch rzeczach: po pierwsze kreatura posiadała na tyle rozwiniętą inteligencję, że potrafiła myśleć samodzielnie i podejmować decyzje, więc z trudem przekonywał sam siebie, że jest martwa, a po drugie armia takich potworów byłaby praktycznie niemożliwa do pokonania.

Zmierzył także czas, w jakim mógł nosić pierścień bez konsekwencji dla zdrowia i umysłu. Zidentyfikował sygnał ostrzegawczy, stanowiący dlań zupełną nowość, czyli ślepy strach.

Dotarł do tej tawerny w godzinę po tym, gdy po raz pierwszy założył pierścień i rozkazał Talnoyowi wyglądać jak służący. Do czasu, aż dogadał się z karczmarzem co do ceny i wszedł do swojego pokoju, Kaspar poczuł się bardzo nieswojo. Zastanawiał się, dlaczego i postanowił nie zdejmować pierścienia, aby trochę poeksperymentować. Siedział na prostym sienniku i czekał, a Talnoy stał w kącie. Prawie pół godziny po tym, jak wszedł do pokoju, poczuł jak ogarnia go ślepa panika, aż w końcu zyskał pewność, że za drzwiami pokoju czai się coś złowrogiego. Z trudem oparł się pokusie, żeby wyciągnąć miecz i zaatakować kogokolwiek, kto mógł za nimi stać, i zerwał pierścień z palca. Uczucia przerażenia i zagrożenia znikły bez śladu prawie natychmiast.

Wyciągnął wnioski z doświadczeń. Teraz wiedział, że nie może nosić pierścienia dłużej niż półtorej godziny, a także musi odczekać podobną ilość czasu, aż będzie mógł założyć go ponownie. Jeżeli wkładał pierścień, zanim minął minimalny czas, szaleństwo powracało szybciej. Doszedł do wniosku, że zakładanie pierścienia raz, dwa razy dziennie jest w miarę bezpieczne, natomiast częstsze jego używanie stanowi już spore ryzyko.

Podsumował to, co wiedział już o Talnoyu. Rzecz była bardzo stara, jednakże wydawała się... jak to określił książę z braku lepszych słów, całkiem sprawna w porównaniu z tymi, co widział na Kosridi. Nie nosiła na sobie żadnych znaków czasu ani nie straciła efektywności. Była, pod każdym względem, całkiem nowa.

Kaspar nie mógł pozbyć się wrażenia, że wpadł w coś, co zupełnie go przerasta. Czuł się tak zresztą już wcześniej, zanim uwikłał się w zakłęcie, które doprowadziło go wraz z czarną zbroją do Kalkina. Miał także całą listę pytań i chciałby dostać odpowiedzi. Po pierwsze dlaczego na istotę

rzucano taki czar? Jeżeli zaklęcie nie zostało skonstruowane z myślą o tym, żeby wpoić znalazcy przymus dostarczenia przedmiotu bogom w celu, który właśnie realizował, to po co skonstruowano ten czar? Kalkin powiedział, że to nieistotne, ale Kaspar mu nie wierzył. I dlaczego bóg złodziei był tak zaniepokojony perspektywą inwazji owych obcych na Midkemię? Nawet jeżeli nie był w stanie opuścić tego świata, czy jako bóg nie mógł wspomóc ludzi podczas inwazji Dasatich? Czy bogowie boją się Dasatich?

Sączył powoli piwo i czekał na Karbarę, człowieka uchodzącego za armatora w tym pozał się boże mieście. Karbara miał się niebawem pojawić i przekazać mu wiadomości na temat statku do domu. Kaspar przeklinał los, który pchnął go w to przeklęte przedsięwzięcie, gdyż czuł, że stał na spalonej pozycji, jeszcze zanim cała rzecz się rozpoczęła. Ale potem zdał sobie sprawę, że zadanie stwarza mu możliwość powrotu do domu bez ryzyka utraty życia. Jednakże znalezienie statku okazało się sporym problemem.

Sulth było największym miastem na zachodnim wybrzeżu Novindusu, lecz to raczej nic nie znaczyło. Drugim miastem o podobnej wielkości był Krypi Cypel, znajdujący się w części południowej wybrzeża. Większość statków zawijała tylko do tych dwóch miejsc. Zaledwie raz na trzy czy cztery miesiące wyruszał jakiś z miasta do południowych portów. Spore jednostki, przystosowane do długich oceanicznych podróży, tak popularne w Olasko i Wschodnich Królestwach, tutaj były rzadkością. I żaden z dużych statków, cumujących w porcie, nie wybierał się na północ. Księżę doszedł do wniosku, że musi kupić sobie żaglowiec.

Odwrócił się, słysząc skrzyp otwieranych drzwi; wszedł Karbara. Był to nieduży, wiecznie zaniepokojony człowieczek. Rozglądał się wokół nerwowo, jakby się bał, że ktoś go śledzi. Podszedł do stolika Olaskanina.

– Znalazłem statek – oświadczył.

– Co to za statek?

– Dwumasztowy żaglowiec przybrzeżny z rejowym fokiem oraz kliwrem, z ożaglowaniem łacińskim na grotmaszcie, ale jak na tak nieduży statek ma spore zanurzenie i jest dość nowy. Właściciel dał sobie spokój z morzem i chce wreszcie pobyć trochę w domu z żoną i dziećmi. To najlepsze, co mogłem znaleźć, lecz to i tak okazja.

– Ile?

– Trzy setki złotych monet albo coś w zamian o podobnej wartości.

Kaspar zaczął się zastanawiać. Jak na standardy olaskańskie statek był bardzo tani, ale wszystko tutaj było tanie. Trzy setki złotych monet stanowiło roczny zarobek mistrza stolarskiego na rodzimym kontynencie księcia, co przekładało się na dwa lata pracy tutaj, więc emerytowany kapitan mógł sobie za to kupić całkiem niezłą małą gospodę lub rozkręcić jakiś inny interes.

– Kiedy mogę go obejrzeć?

– Jutro. Przed północą skończą wyładowywać towar, a potem statek zostanie zacumowany na nabrzeżu. Kapitan bardzo chce go sprzedać, więc może trochę zejdzie z ceny.

– Będę tam o świcie – powiedział, dopijając piwo.

– A więc spotkamy się na miejscu – zgodził się pośrednik i wstał – I pamiętaj o mojej prowizji.

– Tak, dziesięć procent od ceny statku.

– Dobrze – powiedział chudy człowieczek, po czym wyszedł.

Dawny książę Olasko opadł na oparcie krzesła. Z Karbarą było coś nie tak. Nazbyt denerwował się przyszłą transakcją. Tak prowizja stanowiła równowartość miesięcznych dochodów pośrednika, a może nawet więcej, ale Kaspar podejrzewał, że ma on też inne źródła przychodu. Były władca znał się na zdradach. Wiedział, że jutro z samego rana, zanim słońce zdąży rozjaśnić mroczne uliczki, pomiędzy karczmą a dokami wszystko może się zdarzyć. A lokalny oddział straży miejskiej przypadkowo zajmie się patrolowaniem innych dzielnic miasta.

Postanowił położyć się wcześniej do łóżka i zastanowić się nad tym, jak postąpić rano. Dokończył piwo, skinął na dobranoc właścicielowi zajazdu, po czym poszedł na górę.

Talnoy stał nieruchomo w rogu pokoju. Żeby uniknąć zbędnych pytań i podejrzeń, Kaspar wyjął drugą matę do spania i położył ją na podłodze. Ten środek ostrożności był prawdopodobnie zbędny, gdyż właściciel karczmy wydawał się nie zainteresowany niczym poza ściąganiem czynszu.

Pierwszej nocy czuł się zaniepokojony czarnym kształtem, stojącym w kącie. Budził się kilkakrotnie i sprawdzał, czy konstrukt się nie poruszył. Wydawało mu się to dziwne, gdyż podczas długiej podróży w towarzystwie zbroi, często spał tuż obok niej, co nie sprawiało mu żadnego dyskomfortu. Teraz jednak, kiedy wiedział, że Talony jest zdolny do świadomego i niezależnego działania, nawet jeżeli tylko on mógł mu wydawać komendy, czuł niepokój, przebywając w pobliżu tej rzeczy. Jednakże był zmęczony i w końcu zapadł w niespokojny sen.

Przez większość nocy kręcił się i rzucał na posłaniu, nękany koszmarami, w których główną rolę odgrywały okrutne, bezlitosne stworzenia, zamieszkujące mroczne królestwo.

* * *

Olaskanin szedł powoli w szarych ciemnościach przedświt. Niespotykana o tej porze roku mgła nadeszła od Zatoki Sulth i zwyczajne miejskie dźwięki zdawały się dochodzić znikąd. Miasto już się obudziło i zaczynał się ruch na ulicach. Sprzedawcy popychali wózki z towarami, właściciele sklepów otwierali kramy, szykując się na przyjęcie porannych klientów, a żony obywateli spieszyły na warzywny targ.

Książę nie miał pojęcia, gdzie może zostać zaatakowany, ale miał na tyle rozsądku, że nie poszedł do doków prostą drogą. Jeżeli ktokolwiek zastawił na niego pułapkę, musiałby czytać mu w myślach, żeby utrafić w wybraną trasę. Zanim wyszedł z karczmy, założył pierścień i rozkazał Talnoyowi zabić każdego, kto będzie usiłował ukraść skrzynię. Zapamiętał godzinę i przyrzekł sobie, że wróci do karczmy w bezpiecznym czasie.

Zatrzymał się na chwilę na dole, by powiedzieć karczmarzowi, że ma nie wchodzić do jego pokoju, i dał mu do zrozumienia, że rozkazał słudze zabić każdego, kto tego spróbuje. Właściciel zajazdu zdawał się być tym nieco rozbawiony, skinął głową i oznajmił, że może posła tam swojego szwagra, żeby posprzątał.

Nikogo nie spotkał na okrężnej drodze, lecz wiedział, że jeżeli Karbara jest tak sprytny, na jakiego wygląda, zastawi pułapkę raczej bliżej doków. Ludzie w tamtej dzielnicy starali się nie zauważać niepokojów, a jeśli już je spostrzegli, raczej nie badali przyczyny. Dotarł do doków od zachodniej strony, daleko od wyznaczonego miejsca spotkania. Szedł powoli w szarości poranka, niebo zaczynało już różowieć. Wiedział, że nie zrobi się całkiem jasno, dopóki poranne słońce nie rozproszy mgły czyli nie wcześniej jak za dwie godziny.

Kaspar dotarł do miejsca, skąd mógł widzieć zarys statku zacumowanego przy nabrzeżu, oświetlonego latarniami, zamocowanymi na dziobie i rufie. Z tego, co widział, żaglowiec powinien się nadać.

Zwlekał jeszcze kilka chwil, świadom pierścienia na palcu, chociaż nie czuł żadnych oznak paniki, która wyznaczała bezpieczną granicę używania magicznego przedmiotu Niebo pojaśniało i mężczyzna dostrzegł sylwetkę Karbary, drepczącego nerwowo obok statku. Schował się w bramie, gdyż chciał zobaczyć, co się wydarzy, gdy nastanie świt.

Przez następne pół godziny niebo jaśniało coraz bardziej, a pośrednik ciągle dreptał w kółko. Na statku pojawili się robotnicy portowi. Zawołali na marynarzy i zaczęli wyładowywać resztkę towarów, jeszcze z zeszłego dnia, kiedy zaczynali wyładunek. Rozpoczął się kolejny dzień pracy i w dokach zaroilo się od wozów, tragarzy, obnośnych handlarzy i złodziei.

W końcu były władca doszedł do wniosku, że jeżeli nawet Karbara planował zasadzkę, dawno już musiał z niej zrezygnować, gdyż w obecności ludzi nie mógł ryzykować otwartej napaści. Poza tym książę nie pozostawił sobie zbyt wiele czasu na rozmowę z kapitanem, gdyż musiał szybko wracać do karczmy.

– Dzień dobry – powiedział Kaspar podchodząc do pośrednika.

Ów odwrócił się i uśmiechnął.

– Myślałem, że nadejdiesz z tamtej strony – stwierdził pokazując głową w odwrotnym kierunku – Nieważne – potrząsnął głową – Dzień dobry. Chodźmy na pokład. Gestem wskazał trap.

Książę machnął ręką, przepuszczając Karbarę przodem. Chudy, nerwowy człowieczek zawahał się, a potem wzruszył ramionami i wskoczył na trap. Kaspar zastanawiał się, czy może zasadzka

czeka go na pokładzie statku. Założył więc ręce za pas w pobliżu rękojęści noża.

Weszli na główny pokład i zobaczyli pulchnego mężczyznę w średnim wieku, kierującego rozładunkiem towaru. Spojrzał na pośrednika, a potem na nabywcę.

– To ty jesteś kupcem? – spytał bez wstępów.

Może odparł Olaskanin – Opowiedz mi o swoim statku, kapitanie?

– Berganda przedstawił się szorstko – Nie ma więcej niż dziesięć lat Wymieniłem na niego dwa starsze statki, ponieważ jest szybszy i mieści w ładowniach prawie tyle samo towaru co tamte dwa razem wzięte – Rozejrzał się dookoła – Ma osiemnaście metrów długości, ten typ nazywamy bilanderem. Jak widzisz na grotmaszcie ma spory ukośny żagiel – Pokazał na ogromny bom, który sięgał prawie do rufy. Kiedy dobrze wieje, możesz postawić całe mnóstwo żagli i chociaż idąc pod wiatr jest trochę ociężały, gdy masz bryzę od rufy możesz zrefować żagle ukośne i pędzić do przodu z całkiem niezłą prędkością. W każdym razie nie potrzebujesz mizzena. No dobrze, moja żona chce, żebym wreszcie pobyl trochę w domu i mam brata, który pracuje w transporcie lądowym, i chociaż nic nie wiem o powożeniu, znam się na towarach. Statek jest w doskonałej formie i jeżeli tylko znasz się choć trochę na żaglowcach, musisz wiedzieć, że trzy setki złotych monet to naprawdę okazja – Pokazał na Karbarę – Ale musisz mu zapłacić prowizję.

– I zapłacę – rzekł książę I dam ci pięć setek, jeśli zgodzisz się popłynąć nim ostatni raz.

– Dokąd?

– Przez Błękitne Morze, na północny kontynent.

– Niech mnie, to długa podróż. Nie wiem nawet, jak tam dotrzeć. Jednego jestem pewien, trzeba podążać na północny wschód z Miasta Nad Gadzią Rzeką. Sądzę, że moglibyśmy popłynąć wzdłuż północnego wybrzeża i ruszyć na szerokie wody w miejscu, gdzie kontynent zakręca na południe ale to co najmniej roczna podróż.

– Nie – zaprzeczył Kaspar – Kiedy dotrzemy do Przylądka Końskiego Łba, musimy płynąć na północny zachód przez czterdzieści pięć dni, a potem skręcimy za zachód i po dwóch tygodniach będziemy na miejscu.

– Popłyniemy w drugą stronę? – zdziwił się kapitan – Bardzo dobrze. Zawsze chciałem odwiedzić tamtą część świata Wezmę teraz trzy setki monet, a dwie – kiedy wrócimy. Jak wielu pasażerów zabieram?

– Dwóch. Mnie i mojego służącego.

– Kiedy chcesz ruszać?

– Najszybciej jak się da.

– Bardzo dobrze, panie – orzekł Berganda. – Zatem kupiłeś sobie statek. Ja nazwałem go

„Zachodnia Księżniczka”. Czy chcesz zmienić jego nazwę?

Olaskanin uśmiechnął się.

– Nie, „Zachodnia Księżniczka” jest w porządku. Jak wiele czasu zajmie ci załadunek zapasów i zebranie załogi?

– Załoga to nie problem. Moi chłopcy i tak nie byli zadowoleni, że rzucam tę pracę. Z radością wejdą na pokład i popłyną w kolejny długi rejs. Zapasy? Daj mi dwa dni. Powiedziałeś, pięćdziesiąt dziewięć dni albo coś koło tego? Założmy, że droga zajmie nam trzy miesiące, na wypadek niezbyt pomyślnych wiatrów. Powinniśmy być gotowi ruszać z porannym przypiływem za trzy dni.

Książę sięgnął w fałdy tuniki i wyjął małą sakiewkę.

– Tu masz setkę złotych monet jako zaliczkę. Pozostałe dwie setki dam ci dzisiaj po południu, a dwie ostatnie, kiedy dotrzemy do Oparдум.

– Powiedziałeś Oparдум? – Kapitan wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Czy to nazwa kraju, do którego zmierzamy?

– Miasta. Kraj nazywa się Olasko.

– Brzmi bardzo egzotycznie i nie mogę się doczekać, żeby je zobaczyć. – Wziął złoto, a potem wyciągnął rękę i potrząsnął dłonią Kaspara, żeby przypieczętować transakcję.

– Dla ciebie mam złoto w zajeździe – powiedział książę do pośrednika. – Chodź ze mną.

Karbara zawahał się.

– Panie, mam niebawem kolejne spotkanie, nie mogę się spóźnić. Przyjdę po zapłatę później.

Kaspar położył rękę na wątłym ramieniu mężczyzny.

– Chodź teraz – nalegał. – To zajmie tylko parę minut i jestem pewien, że nie możesz się już doczekać swego złota.

Mały człowieczek próbował wyslizgnąć się z uścisku, ale mu się nie udało.

– O co ci chodzi? – zapytał książę. – Zachowujesz się tak, jakbyś nie chciał wracać ze mną do zajazdu. Czy coś się stało?

– Nie, panie – odparł Karbara, a w jego oczach błysnęła panika. – Naprawdę, nic. Po prostu mam spotkanie z innym człowiekiem. I jest bardzo pilne.

– Ależ nalegam – upierał się, wbijając kciuk w ramię pośrednika. Szczupły mężczyzna wyglądał tak, jakby miał zaraz zemdleć, lecz w końcu skinął głową i poszedł z księciem. – Chyba się nie boisz, że gdy dojdziemy do zajazdu, okaże się, że ktoś się włamał do mojego pokoju i ukradł moją skrzynkę

ze skarbami, co? – Kaspar poczuł, jak w głębi jego umysłu rodzi się uczucie niepokoju i wiedział, że niebawem będzie musiał zdjąć pierścień.

Na te słowa Karbara szarpnął się, jakby chciał uciekać, ale mężczyzna przytrzymał go mocno.

– Kiedy wrócimy do zajazdu i okaże się, że zginęło coś, co należy do mnie, osobiście przekażę cię w ręce miejscowej straży, czy mnie rozumiesz?

Człowieczek zaczął pociągać nosem, Kaspar jednak zignorował jego łzy i na wpół poprowadził, na wpół powlókł go do zajazdu. Gdy dotarli do karczmy, znaleźli właściciela, stojącego na środku pokoju. Miał pobladłą twarz i szeroko otwarte oczy.

– Ty! – zawołał do Olaskanina, kiedy weszli. – Lepiej będzie, jak szybko polecisz na górę!

– Dlaczego?

– Przyszło do mnie dwóch mężczyzn, bezczelnych i zuchwałych, po czym bez wahania weszli po schodach na górę, niedługo po tym, jak wyszedłeś. Usłyszałem hałas i wszedłem na schody, żeby zobaczyć, co się dzieje, kiedy dobiegły mnie krzyki... – Gwałtownie potrząsnął głową. – Cóż, podróżowałem sporo, pływałem po morzach, walczyłem... ale człowieku, nigdy nie słyszałem czegoś podobnego, chociaż mam już czterdzieści lat. Nie mam pojęcia, co się stało twojemu słudze, ale to musiało być coś okropnego i najlepiej będzie, jak sam tam pójdziesz. Posłałem już chłopca po konstabla.

Książę poczuł, jak ogarnia go strach, i zrozumiał, że ma już tylko kilka minut. Jeżeli nie zdejmie pierścienia, popadnie w szaleństwo. Wciągnął Karbarę na górę i wszedł do swojego pokoju. Talnoy stał w kącie, tam gdzie go zostawił, a skrzynia dalej spoczywała u jego stop. Cały pokój wyglądał jak rzeźnia. Na podłodze i ścianach czerwieniły się smugi krwi, koce na łóżku całkowicie nią przesiąkły. Dwaj mężczyźni, a raczej to, co z nich zostało, leżeli na podłodze. Z trudem można było dopatrzeć się w nich ludzkich cech. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że zostali metodycznie rozerwani na kawałki, członek po członku. Dwie głowy leżały w pobliżu, patrząc tępo w sufit.

Pośrednik wydał z siebie krótkie sapnięcie i zemdlał.

Kaspar potrząsnął głową. Zdjął pierścień i poczuł, jak oddala się szaleństwo. Wziął głęboki oddech. Powinien teraz odczekać tak długo, jak tylko się da, zanim z powrotem wsunie magiczny krążek na palec. Miał nadzieję, że strażnicy w tym mieście reagowali na wezwanie równie powoli jak w innych miejscach. Potrzebował co najmniej godziny, zanim będzie mógł ponownie założyć pierścień.

Minęła godzina i Karbara się poruszył. Książę rozejrzał się dookoła i zdecydował, że lepiej będzie, jeżeli niedoszły złodziej jeszcze przez jakiś czas nie odzyska świadomości. Uklęknął obok i uderzył go pięścią tuż za uchem. Drobnym mężczyzną ponownie zwiotczał i legł na podłodze.

Kaspar usłyszał głosy, dochodzące z dołu. Wiedział, że nawet jeśli konstablom niezbyt się śpieszy, to i tak wieści o kłopotach na górze niebawem rozejdą się po wspólnej sali tawerny, po

czym staną się tematem numer jeden na sąsiednich ulicach, a wkrótce w całym mieście.

Wziął głęboki oddech i z powrotem włożył pierścień na palec. Natychmiast poczuł niewielki dyskomfort. Wiedział, że musi iść prosto na statek, by zabrać Talnoya sprzed oczu mieszkańców miasta. Podszedł do istoty i położył rękę na jej ramieniu.

Sługo! – Talnoy natychmiast zmienił swój wygląd – Weź skrzynię i chodź za mną. Nic do nikogo nie mów, chyba że ci na to pozwolę.

Istota pochyliła się i bez wysiłku zarzuciła sobie skrzynię na ramię. Nie miała na sobie nawet śladu krwi. Po raz kolejny zdał sobie sprawę, że przebranie sługi było tylko iluzją, a nie kostiumem, który może zostać poplamiony czy podarty. Chyba, że taki będzie jego rozkaz.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju. U podstawy schodów zebrało się kilku mieszkańców z sąsiedztwa. Kiedy mężczyzna i Talnoy schodzili na dół, w gromadce rozległy się szepty. Księżę wyjął dziesięć złotych monet i podał je właścicielowi zajazdu.

– Moj przyjaciel stracił przytomność. Weź głęboki oddech, zanim tam wejdiesz. To za kłopot, jaki może ci sprawić sprzątanina, i za to, że powiesz konstablom, oczywiście jeżeli będą pytać, że opuściłem miasto południową bramą, a nie zachodnią. Przepraszam za kłopot, ale to byli złodzieje.

Właściciel wziął monety bez słowa.

Kaspar zaprowadził Talnoya do doków i razem weszli na pokład „Zachodniej Księżniczki”

– Myślałem, że nie zobaczę cię wcześniej niż za kilka dni – powiedział kapitan Berganda.

– Zmieniłem plany. Zostaniemy na pokładzie, a jeżeli ktoś będzie pytał, nigdy nas nie widziałeś.

Rozumiem – rzekł niedźwiedziowaty mężczyzna – Ty jesteś właścicielem.

– Gdzie jest nasza kabina?

– Cóż, nie wyprowadziłem się jeszcze z pomieszczeń kapitańskich.

– Zostań tam. Czy jest jakaś inna wolna?

– Mała, blisko mojej. Każę chłopcu cię tam zaprowadzić. Wrzasnął na majtka. Kiedy chłopak się pojawił, poinstruował go, że ma poprowadzić nowego właściciela i jego służącego do kabiny.

Księżę powiedział chłopcu, że dzisiaj wieczorem będzie jadł kolację u siebie, a gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, zsunął pierścień. Obawiał się, że może zostać zatrzymany, zanim dotrze do doków, chociaż nie wiedział, czy strach nie został podyktowany obecnością magicznego krążka na palcu. Jeśli tylko konstable w tym mieście byli równie rygorystyczni jak ci, których poznał w innych miejscach, to prawdopodobnie określona trasa pchnie ich na fałszywy trop. Powinni go szukać za południową lub zachodnią bramą.

Usiadł na niższej koi. Nad nią była jeszcze druga, ale kazał konstruktowi stanąć w kacie, w pobliżu skrzynki. Potem ułożył się na koi i przygotował się na dwa długie i nudne dni, dzielące go od wypłynięcia z Sulth.

* * *

Przed wypłynięciem do uszu Kaspara nie dotarły żadne, nawet najbardziej ogólnikowe, informacje o masakrze w tawernie. Nawet jeżeli kapitan i załoga mieli jakieś podejrzenia, dlaczego ukrywa się w kabinie, zatrzymali je dla siebie. W końcu, na trzeci dzień od kupna statku, wreszcie ruszyli w drogę.

Dawny książę Olasko zaczekał, aż wypłynął z portu, a potem wyszedł na pokład.

– Ty jesteś właścicielem, lecz odkąd podnieśliśmy kotwicę, to ja jestem tu kapitanem – powiedział Berganda.

– Rozumiem – odrzekł kiwając głową.

– Jeżeli twój kurs nie zawiedzie nas na kraniec świata i nie spadniemy prosto do paszczy jakiegoś potwora, zobaczymy twój dom w przeciągu trzech miesięcy, a może nawet szybciej.

– Jeżeli tylko bogowie nam pozwolą – dodał książę lekko drwiącym tonem.

– Zawsze składam ofiarę przed wypłynięciem w morze – zauważył kapitan Berganda – nie wiem, czy to, że kapłani pomodlą się o bezpieczną podróż, coś pomaga, ale na pewno nie zaszkodzi.

– Nie – zgodził się Kaspar. – Modlitwa nigdy nie zaszkodzi. Kto wie, może nawet nas słuchają od czasu do czasu, prawda?

– Och, słuchają przez cały czas – orzekł marynarz. – I odpowiadają na modlitwy. Po prostu najczęściej ta odpowiedź brzmi „nie”.

Skinął głową, gdyż nie potrafił znaleźć argumentów, które przeczyłyby temu stwierdzeniu.

Popatrzył na oddalające się wybrzeże. Dziób statku skierował się na południe – południowy zachód w dół zatoki Sulth. To miała być długa i miał nadzieję, że niczym nie zakłócona, podróż.

Kaspar obserwował morze. Krótkie fale pryskały pianą i rozpylały w powietrzu krople, które lśniły w blasku popołudniowego słońca. Od Novindusu dzieliły ich już czterdzieści cztery dni. Nigdy nie czuł do morza specjalnego pociągu, ale jako władca Olasko sporo czasu spędzał na pokładzie statku, podróżując od miasta do miasta.

„Zachodnia Księżniczka” była szybkim, małym statkiem, a załoga doskonale wypełniała swoje

obowiązki. Na żaglowcu nie wyczuwało się ani śladu wojskowej dyscypliny; raczej czuło się tu atmosferę domową. Marynarze pływali ze swoim kapitanem od wielu lat, niektórzy spędzili na statku całe swoje dorosłe życie.

Książę szybko popadł w rutynę, z nudów obmyślając stały program dnia. Codziennie rano ćwiczył na pokładzie. Brał ze sobą miecz i z wigorem fechtował powietrze. Z początku załoga uznawała to za bardzo zabawne, później, kiedy wreszcie dostrzegli jego umiejętności, podziwiali go w skrytości ducha. Rozbierał się do nogawic i machał mieczem prawie godzinę, całkowicie ignorując pogodę, chyba że wiatr był tak silny, że nie mógł ustać na nogach. Potem omywał się wiadrami morskiej wody, co miało być namiastką kąpieli, branej na lądzie.

Teraz mieli właśnie skierować się na zachód. Kaspar stał cicho, zamyślony, i pozwalał odpocząć oczom, wpatrując się w ciągłe kołysanie morskich fal. Zastanawiał się nad następnym ruchem, gdyż Kalkin miał całkowitą rację co do Talwina Hawkinsa. Chociaż od bitwy o Oparдум minął prawie rok, Tal z pewnością szybko wyciągnie miecz i pokroi dawnego władcę na plasterki, zanim ów zdoła wykrztusić choć trzy słowa. Książę miał już plan działania, ale nie dopracował jeszcze szczegółów.

– Kapitanie! – nagle rozległ się okrzyk z bocianiego gniazda.

– Co się stało? – odkrzyknął kapitan.

– Nie wiem sam... coś... na sterburcie.

Kaspar stał na lewej burcie, więc przeszedł przez pokład. Nieco dalej, w powietrzu, wisiał ogromny błyszczący krąg.

– Co to jest, na bogów? – mruknął marynarz, podczas gdy inni wykonywali ochronne gesty.

Książę poczuł, jak podnoszą mu się włoski na szyi. Od razu zorientował się, co to jest. Być może sprawiło to kilka minut spędzonych na Konsoli, stałe przebywanie z Talnoyem albo może przebłysk intuicji, ale nie miał wątpliwości, że otworzyło się przed nim jedno z przejść, szczelina, jak nazywał je Kalkin.

Nagle z kręgu do morza zaczęła wylewać się woda, słonawa i ciemna Wiatr, wiejący z tamtej strony, przyniósł ze sobą smród siarki.

– Zwrot przez sztag – krzyknął Berganda. Nie mam pojęcia, co to jest, ale zamierzam pokazać temu rufę!

Marynarze skoczyli do swoich zadań, a Kaspar patrzył z niemą fascynacją, jak do Błękitnego Morza Midkemii wlewa się woda z mrocznego świata. Tam, gdzie mieszała się z morzem, kłębiła się i kipiła, wyrzucając w górę dym i parę. Iskry energii tańczyły na pienistych krawędziach fal. A potem nagle w kręgu pojawiła się głowa, głowa potwora z morskich głębin, niepodobna do żadnego mitycznego ani istniejącego stwora na Midkemii. Istota była czarna, a jej łeb wyglądał jakby zakuto go w zbroję, słońce odbijało się od skory. Na pierwszy rzut oka stworzenie przypominało Olaskaninowi potwornie wielkiego węgorza z bursztynowymi oczami, błyszczącymi w świetle

zachodzącego słońca. Na głowie stwora tkwił grzebień z ostrych kolców, jakby musiał bronić się przed pożarciem przez jeszcze większych drapieżników, co wydawało się nieprawdopodobne. Mężczyzna nie mógł uwierzyć, że coś żywego może być tak wielkie. Ze szczeliny wydostało się już co najmniej dziesięć metrów potwora, a jeszcze wcale nie widział jego końca. Obwód poczwary stale się zwiększał, więc zapewne przez krąg nie przeszła nawet połowa. Gigantyczny węgorz byłby w stanie połknąć ich statek w trzech czy czterech kęsach.

– Bogowie, miejcie nas w opiece! – krzyknął obserwator w gnieździe.

Pojawiły się płetwy potwora. Księżę ocenił, że istota musi mieć co najmniej trzydzieści metrów długości. Marynarze zaczęli wzywać swoich bogów. Wołali ich po imieniu i błagali o litość, gdyż kreatura najwyraźniej ich zauważyła – zaczęła szybciej wyłamać się ze szczeliny.

A potem, zupełnie nagle, przejście się zamknęło. Towarzyszył temu nagły podmuch powietrza i grzmot, który przetoczył się ponad falami. Przecięta na pół, koszmarna istota zawisała na chwilę w powietrzu, jej oczy płonęły. Potem wpadła do morza i skryła się całkowicie pod pianą.

Morze nagle się uspokoiło. Wszyscy poczuli się tak, jakby całe zajście było tylko wytworem wyobraźni. Potwór zniknął pod falami, a puste niebo nie nosiło nawet śladu szczeliny.

Kaspar rozejrzał się dookoła. Marynarze o pobladłych twarzach szeptali modlitwy i zaciskali dłonie na linach i wantach, aż okrzyk kapitana przywołał ich do porządku.

Księżę zerknął na kapitana Bergandę. Ich oczy spotkały się. Przez moment we wzroku starszego marynarza czaiło się oskarżenie, jakby wyczuwał, że okropna scena sprzed paru minut jest w jakiś sposób powiązana z obecnością Kaspara na pokładzie statku. Potem kapitan zwrócił całą uwagę na statek i chwila przeminęła.

Kaspar popatrzył wokoło i doszedł do wniosku, że gdy dotrą do Olasko, załoga będzie się spierać, czy to, co widzieli, zdarzyło się naprawdę i co to takiego było. W końcu zajście dołączy do całej gamy barwnych żeglarskich legend.

Ale dawny władca wiedział, że to, co ujrzeli, nie było tylko wizją. I doskonale zdawał sobie sprawę ze znaczenia tego, co zobaczył. Słyszał głos w swoim umyśle. Nie wiedział, czy źródło tych słów, odnośnie do sceny sprzed kilku minut, jest w nim samym, czy to głos Kalkina szepcze mu do ucha ostatnie ostrzeżenie. Jednak słowa przez cały czas dudniły w jego głowie „Nie masz wiele czasu”.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Dom.

Marynarz w bocianim gnieździe wyciągnął rękę.

– Hej, hej, ziemia! – krzyknął do Kaspara i kapitana Bergandy, stojących na tylnym pokładzie.

– Właśnie tam, gdzie mówiłeś, że będzie, a także dokładnie tego samego dnia – zauważył kapitan.

– Dostałem instrukcje z bardzo wysoka – oznajmił ksiązę, który próbował szukać humoru, gdzie tylko się dało. Od chwili, gdy zobaczył obcego morskiego potwora, wiedział, że ostrzeżenia Kalkina były prawdą. Talnoy stanowił magnes, przyciągający szczeliny, a istoty zamieszkujące jego świat mogły w mgnieniu oka podbić Midkemię. Nieważne, co się zdarzy, musiał za wszelką cenę ostrzec zdolnych zapobiec katastrofie. Musiał znaleźć Konklawe Cieni, nawet jeśli oznaczało to jego śmierć.

Z natury nie należał do samolubnych ludzi, ale i bez tego zdawał sobie sprawę, że jeżeli Dasati napadną na Midkemię, nikt tego nie przetrwa. Nieważne, jak wysoko jest urodzony, gdzie się skryje lub jak dobrze potrafi władać mieczem. W końcu wszyscy pójdą pod nóż, zginą albo w wojnie, albo jako zabawki tych bezlitosnych stworzeń. Zatem kwestia jego przeżycia podczas spotkania z Konklawe zeszała na drugi plan, gdyż bardziej zależało mu, żeby ocaleli ci, których kocha, chociaż była ich tylko garstka. Zdało mu się dziwne, że jest ich tak niewielu: jego siostra, Natalia, i Jojanna oraz jej syn, Jorgen, a także w jakiś niewyjaśniony sposób rodziny kupców, zmarłych podczas przeklętej przez los ekspedycji, od której wszystko się zaczęło. Lecz nawet gdyby ich nie było, nie mógł przecież choćby myśleć o tym, że będzie stał z boku i patrzył, jak jego świat obraca się w ruinę.

– Co widzisz? – krzyknął Kaspar do marynarza na oku.

– Wyspy! Wygląda na to, że są ich setki.

– Kapitanie, zwróć statek na północ, północny zachód. To kurs na dom – polecił.

Płynęli cały dzień, a następnego o świcie zobaczyli statki przybrzeżne. Nie oddalały się od lądu na zbyt dużą odległość. Ksiązę dopracował już swój plan zejścia na ląd i odnalezienia Talwina Hawkinsa. Nie miał żadnych znajomości w przestępczym półświatku Opardum, lecz powiesił wystarczającą ilość złoczyńców, wysłuchał setek zeznań torturowanych oraz przeczytał metry raportów straży miejskiej, by mieć parę pomysłów, jak skontaktować się z człowiekiem, który, jak zakładał, jest nowym panem Olasko.

W południe zobaczyli miasto Opardum, przytulone do klifów. Górowała nad nim potężna cytadela.

– Imponujące – oświadczył kapitan Berganda. – Powiedz mi, Kasparze, jak wiele statków pływa stąd do mojego miasta?

– Żaden – odparł z szerokim uśmiechem.

Berganda spojrzał nań zmrużonymi oczami.

– Zanim powiem chłopakom, że jesteśmy w tarapatach i oni wyrzucą cię za burtę, nie bacząc na to, że jesteś właścicielem tej łajby, zakładam, że masz plan, jak mamy wrócić do domu?

– Tak – odpowiedział nie odrywając wzroku od zbliżającego się szybko miasta. – Zatrzymaj sobie statek. Popłynij na nim z powrotem do Sulth. Musiałem jakoś dostać się do domu, a to było warte każdej ceny.

– Dobrze więc – powiedział kapitan ze śmiechem – jesteś najporządniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem i jestem dumny, że mogłem dla ciebie pracować – Potrząsnął ręką Kaspara – Myślę, że wykorzystam otrzymane od ciebie złoto na zakup rzadkich towarów, które sprzedam w domu Kto wie? Jeżeli zarobię na tym interesie wystarczająco dużo, może namówię szwagra, żeby się pozbył tej swojej karawany i zaczął pracować ze mną.

Księżę roześmiał się.

– Dam ci małą radę. Znajdź kogoś, kto mówi językiem quegańskim, gdyż jest to mowa najbardziej zbliżona do twojej, którą nikt się tutaj nie posługuje, i niech nauczy cię choć trochę lokalnego języka. W przeciwnym razie kupcy z mojego kraju odeślą cię do domu w samych gaciach.

– Przyjąłem do wiadomości – rzekł kapitan Berganda.

Kaspar oparł się o reling i patrzył niecierpliwie, jak zbliżają się do wejścia do portu. Nie mógł uwierzyć, że tak emocjonalnie podchodzi do powrotu, gdyż aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo brakuje mu domu i ojczyzny, którą kocha.

Ciągle jednak pamiętał o tym, że wraca tu jako wygnaniec wyjęty spod prawa. Gdyby jakimś sposobem go rozpoznano, z pewnością nie uniknąłby natychmiastowej egzekucji.

Opowiedział kapitanowi wszystko, co wiedział o procedurach portowych i przestrzegł go, że teraz mogą panować inne porządki niż przed jego podróżą na Novindus. Nie powiedział Bergandzie, jaki był powód jego nieobecności w domu ani nie tłumaczył się z faktu, że tak mało wie o procedurach portowych. Kiedy jeszcze był księciem Olasko i jego statek zawijał do portu, wszyscy padali mu do nóg i nikt go o nic nie pytał.

Gdy weszli do portu, słońce właśnie zachodziło. Pilot w małej łodzi, należącej do komory celnej, gestami podprowadził „Zachodnią Księżniczkę” do boi cumowniczej, kazał im dobić do brzegu i rzucić kotwicę.

– Czy ktoś na pokładzie mówi po olaskańsku? – zawołał młody chłopak z łodzi.

Były władca obawiał się rozpoznania, ale musiał podjąć ryzyko, gdyż kapitan z pewnością chciałby wiedzieć, dlaczego wzdraga się przed tłumaczeniem.

– Ja mówię – odkrzyknął – więc zostańcie tutaj do rana. Oficer celny wejdzie na pokład o pierwszym brzasku. Jeżeli ktokolwiek z was zejdzie na ląd wcześniej, powiesimy wszystkich jako przemytników.

– Rozumiemy – wrzasnął Kaspar w odpowiedzi i przetłumaczył słowa chłopca Bergandzie.

Marynarz roześmiał się.

– Czy on mówił poważnie?

– To obowiązkowy młody oficer w służbie księcia, więc oczywiście, że mówił poważnie. Ale groźba raczej nie jest realna. Przemysł odbywa się głównie na małych wysepkach, które mijaliśmy na południu. Ktokolwiek, kto jest na tyle zuchwały, żeby szmuglować w głównym porcie tuż pod nosem strażników, prawdopodobnie zasługuje na stryczek. Nie, chcę się po prostu upewnić, że nie zejdziemy na ląd, nie upijemy się i nie zaczniemy jakiejś bojki. Wtedy moglibyśmy skończyć w areszcie, zanim sprzedamy towar i zapłacimy cło.

– Skoro tak mówisz, Kasparze – powiedział Berganda – Jednakże, myślę, że kiedy ty zejdziesz na ląd, ja jednak powstrzymam moich chłopców do jutra rana.

– A co zrobisz, gdy ktoś cię zapyta, gdzie się podział marynarz mówiący po olaskańsku?

Kapitan znów się roześmiał.

– Nic. Jakoś znajdziemy sposób, żeby się porozumieć, a jeżeli ktokolwiek mówi tu językiem Queg, który według ciebie jest podobny do naszego, powinno nam się udać. Ten gorliwy młody oficer celny najwyraźniej musiał pomylić statki, dobijające tej nocy do nabrzeża. Na którymś zapewne ktoś mówił twoim językiem. Do tego portu każdego dnia musi dopływać mnóstwo statków.

Kaspar zachichotał.

– Udawaj głupka, a z pewnością to kupią. A teraz, jak tylko zrobi się ciemno, spuść łódź, a ja powiem twoim chłopcom, dokąd mają mnie zawieźć. – Sięgnął w fałdy tuniki. – Tutaj masz pozostałe dwie setki złota i dodatkowe sto monet. Żeby się upewnić, że kiedy ty i twój szwagier postanowicie zostać marynarzami na dłużej, zyskacie tyle złota, że wasze żony nie wpadną w furję.

– Dziękuję ci za to – rzekł marynarz. Wydał swoim ludziom rozkaz przygotowania łodzi, którą spuszcza na wodę, kiedy zapadnie zmrok.

Książę wrócił do kabiny i czekał.

Karczma, cicha i spokojna, leżała na uboczu. Kiedy jeszcze był władcą, nigdy nie zaglądał do tego typu miejsc. Do tawerny przychodzili głównie pracownicy portowi: dokerzy, tragarze, ładowacze i inni twardzi mężczyźni. Było to miejsce, gdzie ludzie z reguły odwracali wzrok.

Kaspar i Talnoy przybyli do gospody dwa dni wcześniej i wynajęli pokój na tyłach, na pierwszym piętrze.

Książę na razie się nie wychylał, trochę tylko węszył po mieście i próbował nawiązać kontakt z kimś z półświatka Oparum. Miał pomysł, jak dostarczyć wiadomość do pałacu, do swojej siostry, ale ciągle nie mógł dojść do ładu z informacjami, jakie zdobył wcześniej tego dnia. Właśnie kończył obiad, kiedy do tawerny weszło dwóch konstabli.

Rozglądając się na boki, przeszli przez pokój i wyszli po paru chwilach. Kaspara uderzyła jedna rzecz, więc skinął na dziewczynę usługującą gościom.

– Tak, panie?

– Nie było mnie w Oparum przez dłuższy czas. Co to za herb, wyszyty na kaftanach tych konstabli? Nie rozpoznałem go.

– To nowe tabardy, panie. Mamy nowego księcia.

Udawał ignoranta, ale w głębi duszy poczuł nagły chłód.

– Och, naprawdę? Byłem w morskiej podróży. Co się stało?

Zaśmiała się.

– Musiałeś być po drugiej stronie świata.

– Może i tak było – odparł.

– Cóż, mieliśmy wojnę i stary książę Kaspar został wygnany. Słyszałam, że zesłali go do jakiegoś przeklętego miejsca, ale wiesz, jakie są plotki. Prawdopodobnie gnije na dnie swoich własnych lochów. Teraz władcą jest książę Varen.

– Książę Varen? – Dawny władca poczuł nagle, że żołądek zaciska mu się w supeł. Czy Leso Varen w jakiś sposób zdołał umknąć sprawiedliwości i zmanipulował tak, że sprawy ułożyły się z korzyścią dla niego?

– Taa, całkiem miły gość, przybył z Roldem. Ożenił się z siostrą starego księcia, która właśnie spodziewa się dziecka.

– Książę Varian Rodoski?

– Taa, to właśnie on. Jak na szlachcica jest całkiem przyzwoity.

Kiedy odeszła, Kaspar prawie roześmiał się na głos. Ulżyło mu, bo chociaż próbował w przeszłości zabić Rodoskiego, znał go dobrze i wiedział, że jest porządnym człowiekiem. Zanim umarła jego żona, był kochającym mężem i oddanym ojcem. Na ile księżę znał się na polityce, małżeństwo Variana z jego siostrą było doskonałym posunięciem. Z pewnością przywróciło stabilność w regionie i skutecznie obroniło bezbronne Olasko, chwilowo pozbawione silnego władcy, przed pazernymi sąsiadami.

Jednakże w kilka godzin później wciąż nie mógł się pogodzić z faktem, że stracił swoje dziedzictwo. To już nie było jego księstwo. Prawda, Olasko to ciągle dom, lecz już więcej nie będzie tutaj rządził ani nie zgłosi pretensji do tronu. To, co rozpoczęło się jako szalony plan zemsty, już dawno temu przerodziło się w desperacki wyścig z nieprzejednanym wrogiem, który mógł zniszczyć jego miasto i naród, zabić jego siostrę i jej nienarodzone dziecko. Nie, Kaspar dawno pożegnał stare emocje. Zemsta nie zdawała mu się już realna... ani nawet pożądana. Musiał przyznać, że gdyby w jakiś sposób zamienił się miejscami z Talem Hawkinsem, nigdy by mu nie wybaczył. Zabiłby go z zemsty.

Wstał, zamierzając właśnie udać się do swojego pokoju, kiedy zobaczył, że człowiek siedzący w kącie badawczo mu się przygląda. Zauważył szczupłego mężczyznę już wcześniej, gdy wszedł do sali po południu i od razu wydał mu się on znajomy. Niestety rysy mężczyzny kryły się pod dużym kapeluszem, a ponadto w rogu panował półmrok. Księżę kilka razy rzucił w tamtym kierunku krótkie spojrzenia i za każdym razem widział mężczyznę pogrążonego we własnych myślach i wpatzonego w kufel z piwem. Jednakże tym razem oczy nieznanego na moment spotkały się z oczami byłego władcy, później człowiek odwrócił wzrok i znów spojrzał w dół, pochylając się nad stołem.

Kaspar ruszył w kierunku pokoju, lecz w ostatniej chwili odwrócił się i dwoma susami przemierzył odległość dzielącą go od stolika tajemniczego mężczyzny. Był szybki, a on wiedział, że taki będzie. Bardzo szybki, gdyż mało kto zdołałby w tak krótkim czasie poderwać się z ławy i wyciągnąć broń.

Księżę ledwie sparował cios sztyletu swą własną bronią, a potem wykorzystał przewagę masy, żeby wytrącić go z równowagi. Przeciwnik zatoczył się na ławę, która przechyliła się do tyłu, i wyrznął głową w ścianę.

Goście zaczęli odsuwać się na bok, gdyż bójkę były w tej karczmie na porządku dziennym i nikt nie zamierzał im przerywać. Stali bywalcy musieli najpierw zobaczyć, kto z kim się przepycha, szczególnie wtedy, gdy przeciwnicy walczyli na ostrą broń.

Kiedy wreszcie nadbiegł właściciel karczmy, ściskając w mięsistej dłoni wielki tasak, Kaspar przyciskał mężczyznę do ściany. Księżę przydepnął broń przeciwnika, trzymając własny sztylet na gardle pokonanego.

– Cześć, Amafi – powiedział Kaspar. – Ja ci się udało tak wszystko zaaranżować, że ani ja ani Talwin Hawkins nie poderżnęliśmy ci gardła, co?

Były quegański zabójca, który ponad rok był osobistym służącym Talwina Hawkinsa, a potem zdradził go i stał się ściganym, kulił się w uścisku księcia.

– Wasza wielmożność! – jęknął. – Ledwie cię rozpoznałem.

– Ale mnie rozpoznałeś – szepnął Kaspar, tak żeby nikt go nie usłyszał, i wyszczerzył radośnie zęby. – I co zamierzałeś zrobić? Wymienić moją głowę na ułaskawienie?

– Nie, mój panie, nigdy bym czegoś takiego nie zrobił – odszepnął Amafi w odpowiedzi. – Ja także, podobnie jak ty, popadłem w tarapaty. Przez prawie rok żyłem na skraju śmierci głodowej. Musiałem pracować fizycznie, żeby przeżyć. Bałem się, że mnie rozpoznasz. Czekałem, aż sobie pójdziesz, żebym mógł wymknąć się niepostrzeżenie.

Były władca podniósł się i właściciel wyczuł, że bójka już się skończyła, więc odwrócił się i wrócił do kuchni. Kaspar wyciągnął rękę i pomógł starszemu mężczyźnie wstać.

– Jesteś kłamcą i zdrajcą. Nie wierzę ci ani trochę. Kiedy tylko wyszedłbym do pokoju, popędziłbyś do cytadeli, żeby przehandlować moje życie za wolność. Jednakże tak się zdarzyło, że mam dla ciebie ofertę. Jeżeli ją przyjmiesz, może się okazać, że obaj zachowamy nasze głowy. Chodźmy, to nie jest miejsce na opowiadanie sobie takich historii.

– Zgoda.

Książę podszedł do szynkwasu i kupił butelkę wina. Wziął także dwa kubki. Skinął na mordercę, żeby szedł przed nim.

– Wybacz, ale to zajmie parę chwil, zanim przekonam się, że mogę odwrócić się do ciebie plecami.

– Jesteś mądrym człowiekiem, wasza miłość.

Kiedy dotarli do pokoju, Kaspar dał znak ręką i Amafi otworzył drzwi. Gdy tylko przestąpił przez próg, zamarł.

– Wszystko w porządku – uspokoił go mieszkaniec kwatery. – To tylko mój... służący.

Zabójca wszedł do pokoju.

– On... się nie rusza.

– Jest bardzo dobry w staniu bez ruchu – oznajmił książę. – Usiądź na łóżku. – Sam podszedł do okna i usiadł na parapecie. W pokoju oprócz łóżka stał tylko mały stolik, brudna miska do mycia i dzban z chłodną wodą. Kaspar nalał kubek wina i podał naczynie swemu gościowi, a następnie przygotował drugie dla siebie. – Mam ci do opowiedzenia długą historię, Amafi, ale chciałbym, żebyś ty najpierw co nieco mi powiedział.

– Nie ma tu wiele do opowiadania. Kiedy byłem na służbie u Talwina Hawkinsa, zadbałem o to,

żeby przygotować sobie drogę ucieczki, gdziekolwiek znajdę się w momencie zagrożenia. To stare przyzwyczajenie. Chociaż nie znałem szczegółów, szybko zorientowałem się, że mój pan zaangażowany jest w jakieś tajemnicze sprawy, co w końcu zawsze oznacza kłopoty. Gdy mój pan poznawał cytadelę pod kątem niespodziewanego ataku, żeby cię pokonać, kiedy go zdradzisz... – I zrobiłem to, nieprawdaż?

– Panie. Ale potem pomyślałem, że on się tego spodziewał. Zawsze wydawał mi się człowiekiem niezdolnym do złamania przysięgi, więc kiedy przyjął u ciebie służbę, liczył na to, że zdradzisz go pierwszy.

Były książę Olasko zaśmiał się chrapliwie.

– Zatem twierdzisz, że gdybym nie wystawił go jako potencjalnego mordercy księcia Rodoskiego, mógłby dalek pełnić u mnie służbę, a ja ciągle byłbym księciem Olasko?

– To wielce prawdopodobne, wasza miłość. Kimże jestem, by wiedzieć takie rzeczy? W każdym razie, kiedy zorientowałem się, że cytadela musi upaść, nie czekałem dłużej, tylko rozebrałem martwego Keshanina z uniformu. Opuściłem cytadelę wraz ze zwycięskimi oddziałami. Mówię doskonale po keshanśku, więc nikt się nie zorientował. Byłem po prostu jeszcze jednym żołnierzem w uwalanej krwi tunice. Po drodze do portu było wiele pijaństwa i brania łupów, zatem bez trudu zniknąłem w pustym budynku, przyczałem się na kilka dni, a potem zniknąłem. Próbowałem opuścić Opardum od chwili, gdy cię wygnano, ale nie miałem wystarczających środków.

– Taki sprytny chłopak jak ty? Pomyślałbym, że z łatwością załatwiłbyś sobie lewe papiery, by przejść przez granicę.

Amafi westchnął.

– Wasza miłość, mam już przeszło pięćdziesiąt lat i z zawodu jestem zabójcą. W czasach mojej młodości nigdy nie udałoby ci się podejść do stolika i przyprzeć mnie do ściany, gdyż zginąłbyś od mojego sztyletu pierwszy. Ale teraz popadłem w tarapaty i jedyny zawód, jaki umiem jako tako wykonywać, to służący u szlachetnie urodzonych panów. A jak mogę dostać zatrudnienie w tym fachu, kiedy jedyna osoba, która może wystawić mi referencje, z przyjemnością pozbawiłaby mnie życia?

Książę zaśmiał się.

– Cóż, mam dla ciebie propozycję. Tak jak powiedziałem we wspólnej sali, może uda mi się powstrzymać Hawkinsa przed poderżnięciem naszych gardeł. Powiem więcej, może nawet uda ci się odejść stąd bezpiecznie i będziesz mógł znaleźć sobie miejsce, gdzie spędzisz resztę swoich dni w spokoju.

– Odłożyłem trochę pieniędzy w Saladorze. Gdybym tylko mógł tam dotrzeć... – Wzruszył ramionami.

– Pomóż mi dotrzeć do Talwina Hawkinsa, a ja pomogę ci wyjechać do Saladoru. I możesz się spodziewać czegoś więcej niż tylko marnych oszczędności, jakie tam masz. Ustawię cię na całe

życie.

Starszy mężczyzna obrzucił młodszego cynicznym spojrzeniem.

– To nie będzie znaczna suma, jeżeli moje życie zostanie policzone w dniach.

Kaspar zachichotał.

– Jesteś opryskiem, Amafi, i powinienem poderżnąć ci gardło dla zasady, ale choć za grosz nie mam do ciebie zaufania i nie sądzę, abyś był lojalny z ideologicznych pobudek, wiem, że dla pieniędzy zrobisz wszystko.

– Książę, nie chowaj urazy za to, że opuściłem cię w godzinie próby... w końcu jesteś mądrym i wyrozumiałym człowiekiem...

Znów się roześmiał.

– Nigdy, w moim czterdziestoletnim życiu, nikt mnie takim nie nazywał.

Amafi wzruszył ramionami.

– W każdym razie, ty może wybaczysz mi małą niedyskrecję, ale mój były pan z pewnością nie. W końcu to ja go zdradziłem i wystawiłem tobie.

– A ja zmiotłem z powierzchni ziemi jego naród, a on mi to wybaczył. Myślę, że raczej z radością wygna cię z miasta, niż powiesi, gdy już nas ze sobą skontaktujesz. Będzie miał znacznie poważniejsze sprawy na głowie.

– No dobrze, a więc znów jestem twoim człowiekiem, wasza miłość. To był ciężki rok, a kiedy patrzę na ciebie, widzę, że i tobie nie było lekko. Ledwie cię rozpoznałem, zajęło mi to prawie dziesięć minut.

– Naprawdę?

– Nie wiesz, jak bardzo się zmieniłeś? Musisz przejrzeć się w lustrze, wasza miłość. Z trudem sam siebie rozpoznasz.

– Przydałaby mi się kąpiel i nowe ubrania – mruknął Kaspar.

– A więc powiedz mi, co mam robić, a kiedy będę wykonywał twoje polecenia, idź jutro do łaźni, a potem do krawca. Jeżeli uda mi się znaleźć mojego byłego pana, powinieneś wyglądać lepiej niż teraz, gdy się spotkacie.

– Co masz na myśli, mówiąc, że musisz go poszukać? Myślałem, że on jest tutaj, w mieście, i tym wszystkim rządzi.

– Wcale nie. Zostawił twojego byłego kapitana Quentina Havrevulena wraz z baronami Stolinko

i Visnija. We trzech utworzyli coś w rodzaju triumwiratu i rządzili w imieniu twojej siostry, aż wszystko zostało uporządkowane. Co stało się, gdy król Roldem nadał księciu Rodoskiemu tytuł księcia Olasko i ożenił go z twoją siostrą.

– Król Roldem? Kesh i Wyspy się na to zgodziły?

– Musieli. Hawkins utworzył z Olasko prowincję Aranoru i złożył hołd lenny Roldem.

Księżę oparł się o framugę.

– A więc teraz jesteśmy częścią Roldem?

– Tak, i jak na razie to się sprawdza. A przynajmniej nie podnieśli podatków i żadna obca armia nie maszeruje po ulicach, więc mieszkańcy są zadowoleni.

– Najwyraźniej nie doceniłem Hawkinsa na więcej niż tylko jednym froncie. Ale gdzie on się podziewa?

– Plotka głosi, że znalazł dziewczynę ze swojego ludu i razem wrócili w góry. Będę potrzebował nieco złota, żeby zdobyć więcej informacji.

– Dam ci je. A kiedy będę poprawiał swój wygląd, spodziewam się, że wydasz je mądrze. Dowiedz się, dokąd odszedł mój dawny wróg. Muszę go znaleźć za wszelką cenę.

– Tak, wasza wielmożność, chociaż wydaje mi się dziwne, że tak bardzo chcesz odnaleźć swojego byłego wasala, a nie pałasz żądzą zabicia go.

– Och, z przyjemnością bym go zabił – warknął Kaspar. – Aż tak się nie zmieniłem, ale teraz mam na głowie ważniejsze sprawy niż zemsta.

– Zatem zrobię, co będę mógł.

– O nic więcej cię nie proszę – odrzekł. – No dobrze, ty będziesz spał na podłodze, tylko nie próbuj żadnych sztuczek. Mój nieruchomy służący, ten z kąta, ma wystarczająco dużo siły, żeby wyrwać ci ręce i nogi, jeśli spróbujesz mnie zabić podczas snu.

Queganin zerknął na Talnoya i skinął głową.

– Ta rzecz budzi we mnie grozę. I nawet gdyby to była tylko pusta zbroja, ustawiona w kącie dla celów, których nie potrafię sobie wyobrazić, i tak nigdy bym cię nie próbował zabić, wasza miłość. A przynajmniej nie wtedy, kiedy to nie dałoby mi żadnej korzyści.

Parsknął śmiechem, a następnie położył się na łóżku.

– Zdmuchnij świecę i spróbuj się nieco przespać. Jutro masz dużo pracy.

Amafi miał rację. Mało kto by go rozpoznał. Książę przyjrzał się sobie w lustrze, przepięknej tafli z polerowanego szkła, pokrytego srebrem. Sam miał równie wspaniałe lustro w cytadeli. Nie widział się w dobrym zwierciadle od... Roześmiał się.

– Panie? – spytał krawiec.

– Nic, nic, po prostu myślałem sobie, co powiedzieliby moi starzy przyjaciele, gdyby mnie teraz zobaczyli.

– Powiedzieliby, że jesteś mężczyzną o doskonale wyrobionym smaku i podejmującym właściwe decyzje, panie.

Poszedł do łaźni i po raz pierwszy od roku wreszcie poczuł się czysty. Potem zażyczył sobie balwierza, który przyszedł i przyciął jego włosy do odpowiedniej długości. Teraz były nawet krótsze, aniżeli w chwili gdy został wygnany ze swego księstwa. Jego broda także wyglądała inaczej; kiedyś zwykł golić górną wargę. Kazał nieco przerzedzić zarost i przyciąć go krótko, zostawił jednak wąsy, a broda zajmowała teraz niemal całą szczękę.

Martwił się już znacznie mniej, że zostanie rozpoznany. Od czasów młodości nie był tak szczupły. Całe życie spędził na książęcym dworze, gdzie nie brakowało mu jedzenia, więc odznaczał się sporą masą, choć zawsze odczuwał dumę z faktu, iż jest w doskonałej formie fizycznej. Teraz był chudy. Policzki bardzo mu się zapadły, a kiedy zdjął starą koszulę, żeby krawiec mógł zdjąć miarę na nową, stwierdził, że wystają mu żebra.

Nie chciał czekać paru dni, więc zapłacił wyższą cenę za uszycie odpowiedniego ubrania w jeden dzień, pomimo że oznaczało to ciągłe przymiarki przez całe popołudnie. To nie miało zresztą znaczenia – i tak nie musiał nigdzie iść i nie czekały go żadne pilne zadania. Kiedy nadejdzie czas na konfrontację z ludźmi u władzy w Olasko, przynajmniej będzie dobrze wyglądał.

– Na razie wystarczy, panie – powiedział krawiec, mężczyzna o imieniu Swan. – Jeżeli chcesz czekać, skończę to w przeciągu godziny.

Posłał po szewca, który mierzył mu stopę. Teraz wrócił.

– Mam parę, która powinna pasować. Możesz je nosić, panie, do czasu, aż zrobię ci buty, które zamówiłeś.

Kaspar przedstawił się po prostu jako przybysz z Sulth, co w zasadzie było prawdą. Sądził, że ani krawiec, ani szewc nie mają nic przeciwko temu, że nigdy nie słyszeli o takim mieście, tak długo jak płacił im złotymi monetami. Zapewne byłoby rozsądniej, gdyby znalazł jakiś kantor i wymienił trochę złota z Novindusu na lokalne monety.

Kiedy przymierzał buty, wrócił Amafi. Książę zapłacił szewcowi i umówił się, że zamówienie

zostanie dostarczone do karczmy, gdzie się zatrzymał. Później wziął mordercę na stronę.

– Czego się dowiedziałeś?

– Odkryłem, jak przekazać informację twojej siostrze, wasza miłość. To nie będzie kosztowało wiele, ponieważ dziewczyna, która pracuje w pałacu, nie grzeszy rozsądkiem i z łatwością ją omotam. Ale to niebezpieczne, bo jeżeli ktokolwiek odkryje, że przynosi list dla księżnej od brata, wszystko natychmiast wypapla.

– Musimy podjąć ryzyko – orzekł Kaspar. Sięgnął w fałdy tuniki i wyjął złożony kawałek pergaminu. – Wyślij to do Talii dzisiaj wieczorem.

– Dziewczyna będzie w tawernie niedaleko cytadeli, bo tam pracuje jej rodzina. Pomaga w dworskiej kuchni i pralni, ale nie mieszka w pałacu. Może zająć dzień lub dwa, zanim uda jej się przekazać informacje twojej siostrze, ale twierdzi, że to jest do zrobienia.

– Czy coś cię gnębi, Amafi?

Stary zabójca potarł rękę, jakby było mu zimno.

– Taa – mruknął, a w jego głosie pobrzmiwało rozdrażnienie. – Musisz mi wybaczyć, wasza miłość, ale ostatnio nie wiedzie mi się najlepiej. Ciągłe wybieram stronę przegraną. Najpierw służyłem Talwinowi, a ty go zdradziłeś, potem tobie, i ciebie także zdradzono. Mam nadzieję, że w końcu zły los się odwróci.

– Obaj mamy taką nadzieję – powiedział książę sucho. – Teraz idź. Szukaj mnie dzisiaj wieczorem w Domu Nadrzecznym. – Rzucił mężczyźnie małą sakiewkę. – Kiedy już skończysz, wróć tutaj i, kup sobie jakieś odpowiednie ubranie. Nie mogę pozwolić, żebyś wszedł do Domu Nadrzecznego, wyglądając jak jakiś handlarz starzyzną.

– Dobrze, wasza miłość – odparł Queganin z uśmiechem. – Dostosuję się.

Kaspar patrzył, jak wychodzi, i westchnął. Istniała spora szansa, że chytry człowiek sprzeda go konstablom, gdy tylko nadarzy się pierwsza okazja, jeśli nabierze pewności, że w ten sposób uniknie kary za przewiny. Jednak książę musiał podjąć ryzyko. Jego siostra była jedyną osobą, która posiadała odpowiednie wpływy, żeby uchronić go przed stryczkiem na tyle długo, aby mógł wypełnić swoje zadanie.

Czuł to całym ciałem. Zbliżał się. Już niebawem zabierze tę przeklętą istotę ze swojego pokoju i zaprowadzi do pałacu. Niebawem wyjaśni, jaka jest sytuacja i, miał nadzieję, odnajdzie Talwina Hawkinsa, a przez niego trafi do Konklawe Cieni.

* * *

Dom Nadrzeczny, wedle wszelkich pogłosek, był jedną z najbardziej ekskluzywnych restauracji w Olasko. Otwarto go przed sześcioma miesiącami, więc Kaspar oczywiście nigdy się tam nie stołował, ale czuł potrzebę zjedzenia czegoś smacznego. Podchodził do dobrego jedzenia jak epikurejczycy i musiał przyznać, że od momentu wygnania nie jadł posiłku, który mógłby nazwać choć przyzwoitym. Jeżeli miał niebawem zakończyć życie, niech przynajmniej przeżyje kilka ostatnich dni na jakim takim poziomie. Poza tym był przekonany, że nikt go nie rozpozna, gdyż naprawdę mocno się zmienił.

Właścicielami restauracji była para z Królestwa, kucharz i jego żona. Wkrótce po otwarciu Dom Nadrzeczny stał się ulubionym miejscem zamożnych mieszczan i drobnej szlachty. Dawno temu dom stanowił własność arystokraty, którego doprowadził do ruiny ojciec Kaspara. Budynek przechodził z rąk do rąk. Ostatnio był czymś w rodzaju zajazdu, gdzie kurtyzany wraz z klientami wynajmowali pokoje na godziny. Teraz całkowicie go odnowiono; w porze obiadowej i wieczorem podawano posiłki na sposób, który przywędrował do Olasko z Bas-Tyry. Miejsce nie przypominało gospody ani zajazdu, ponieważ nie miało wspólnej sali ani szynkwasu; nazywano je restauracją. W Bas-Tyrze, prowincji Królestwa Wysp, podobne lokale okazały się tak popularne, że w całym regionie w co większych miastach zaczęły powstawać ich podobizny. Restauracje stanowiły doskonałe miejsca dla tych, co chcieli zorganizować wystawny obiad, ale ich domy były zbyt małe, aby pomieścić wszystkich gości; albo dla tych, którym dochody nie pozwalały na stałe zatrudnienie kucharza.

Pomieszczenie było zatłoczone. Jeżeli tłum ludzi, okupujących stoliki, cokolwiek oznaczał, jedzenie podawane w tym miejscu musiało naprawdę zachwycać. Dawny władca został zmuszony do wielkiej łapówki, żeby szef sali znalazł mu mały, wolny stolik w rogu. I udało się to tylko dlatego, że było jeszcze wcześniej.

Narożnik bardzo odpowiadał księciu, gdyż z łatwością mógł obserwować wchodzących i wychodzących gości. W pomieszczeniu zasiadało kilka rodzin; nie znał tych ludzi zbyt dobrze, lecz rozpoznał bogatych mieszczan i drobną szlachtę, często bywały na jego dworze. Wydało mu się zabawne, że nikt go nie dostrzega i nie rozpoznaje. Rozpoczął posiłek powoli – od chłodnego białego wina, importowanego z Królestwa, które pił do małży i surowych krewetek. Dania były wspaniałe.

Kiedy jadł, widział coraz więcej znajomych osób, wchodzących do pomieszczenia, ale nikt nie rzucił w jego kierunku nawet jednego spojrzenia. Zdał sobie sprawę z pewnego aspektu ludzkiej natury; ludzie nie rozpoznają się nawzajem, jeśli spotykają się poza miejscem, gdzie na ogół mają ze sobą do czynienia. Chyba że się doskonale znają. Nikt nawet przez chwilę nie brał pod uwagę, że szczupły, muskularny, spalony słońcem mężczyzna, siedzący w kącie, może być Kasparem z Olasko, ponieważ nikt nie spodziewał się, że były władca będzie siedział w kącie tej restauracji i zjadał z przyjemnością obiad. Co najwyżej ktoś mógłby powiedzieć później, że widział wczoraj mężczyznę bardzo podobnego do starego księcia. I przejść nad tym do porządku dziennego.

Ładna kobieta, która mu usługiwała, miała na imię Małgorzata. Była to żona kucharza. Odnosiła się do niego w czarujący sposób, chociaż nie zachowywała się jak flirciara, co stanowiło miłą odmianą po szorstkich kobietach, obsługujących go wszędzie tam, gdzie jadał w trakcie wygnania. Poleciała mu kilka dań. Kiedy zjadł drugie, podjął bohaterską decyzję, że spróbuje wszystkiego, co mu zachwalała, nawet jeżeli nie będzie mógł zjeść każdej potrawy do końca; ich smak był doskonały.

Druga z kobiet usługujących na sali, miała królewski sposób bycia i jasno rudawe włosy. Można byłoby nazwać ją piękną, gdyby nie powściągliwy wyraz twarzy. Uśmiechała się, ale w jej oczach nie było nawet śladu ciepła.

Księżę próbował właśnie nowego dania, świeżej polnej sałaty z octem winnym i kompotem owocowym, polanej sokiem z cytryny i posypanej przyprawami. Dziwaczne połączenie nie od razu przypadło mu do gustu, ale w końcu musiał przyznać, że jest wyśmienite. Małgorzata naląła Kasparowi inne białe wino.

– Cierpkość sosu do tej sałaty nie idzie w parze z większością win – powiedziała – ale sądzę, że to powinno ci posmakować.

Tak rzeczywiście było i nie omieszkał wyrazić swego uznania, gdy wróciła z kolejnym daniem: młodym faszzerowanym gołębiem, dobrze przyprawionym i oblanym sosem, który budził tęsknotę.

Kiedy skończył pieczone, ujrzał Amafię. Zabójca wszedł do lokalu i wskazał Kaspara. Szef sali popatrzył w kierunku księcia, który zamachał ręką, przyzywając Queganina do swojego stolika.

– Musisz spróbować tego gołębia – powiedział, gdy Amafi usiadł. – Jest wprost niesamowity.

– Tak też słyszałem, wasza miłość.

– Dobrze wyglądasz – powiedział były władca, wskazując widelcem na nowe ubranie sługi.

– Dziękuję ci. To wspaniałe uczucie znowu być czystym.

Podeszła Małgorzata, lecz kiedy zobaczyła Amafię, zamarła na chwilę. Widać było, że się waha, a następnie zawróciła i znikła w kuchni.

Morderca przez chwilę siedział bez ruchu, a potem wstał.

– Wasza miłość, musimy natychmiast stąd wyjść!

Kaspar opadł na oparcie.

– Co?

Amafi pochylił się nad stołem i złapał go za ramię.

– Teraz, panie, natychmiast. Zostałem rozpoznany.

Właśnie podnosił się z krzesła, gdy kobieta wróciła z kuchni wraz z dwoma mężczyznami, odzianymi w białe stroje kucharzy. Zanim Amafi czy księżę zdążyli wyciągnąć broń, jeden z dwóch nieznajomych już trzymał miecz nad ich głowami.

– Patrzcie, patrzcie, jeżeli to nie jest największa niespodzianka w całym moim życiu, sam nie wiem, co mogłoby podchodzić pod tę kategorię – powiedział Talwin Hawkins.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Konfrontacja.

Kaspar stał bez ruchu.

Powaga sytuacji docierała do niego z pełną mocą. Odnalazł poszukiwanego, jeśli jednak zrobi albo powie coś niewłaściwego, natychmiast zostanie zabity.

Jasne błękitne oczy, na dnie których czaiła się chęć mordu, spoczęły na dawnym władcy. Usta Tala Hawkinsa wykrzywiły się w uśmiechu, w którym nie było ani krzty radości. Goście ujrzeni, że trzyma w dłoni nagi miecz, i niektórzy zaczęli nerwowo wstawać od stolików.

– Panie i panowie, siedźcie dalej i nie denerwujcie się. To zwykłe nieporozumienie co do ceny posiłku – oznajmił Tal. Wskazał mieczem, że Amafi wraz z Kasparem mają pójść do kuchni. – Pamiętajcie, że jestem w stanie wypruć z was flaki, zanim zdążacie zrobić choć krok w niewłaściwym kierunku.

Księżę skierował się do kuchni.

– Amafi, proszę, nie próbuj czegoś głupiego – rzucił do zabójcy. – Nie jesteś tak szybki, jak byłeś kiedyś.

– Tak, mój panie – zgodził się Queganin. – To fakt, którego jestem boleśnie świadom.

Kiedy już znaleźli się w kuchni, były kawaler poprowadził dwóch mężczyzn do stołu w narożniku.

– Odepnijcie miecze i noże, tylko powoli. Dotyczy to także dwóch ostrzy w twoich butach, Amafi, i nożyka ze sprzączki od pasa też. Połóżcie je na stole.

Zrobili, jak im kazał.

– Byłem świadkiem wielu niesamowitych rzeczy, Kasparze – rzekł Tal – ale muszę ci wyznać, że kiedy Małgorzata przyszła do mnie i powiedziała, że już od godziny służy przyjacielowi Amafiemu, a potem wyszedłem i zobaczyłem, że stary zabójca siedzi przy stoliku z tobą, cóż, nigdy w życiu się tak nie zdziwiłem. Jak udało ci się wrócić? I skąd w tobie tyle zuchwałości, że przyszedłeś jeść akurat do mojego lokalu?

– Prawda jest taka – odparł Kaspar – że nie miałem bladego pojęcia, że zostałeś karczmarzem.

– To nie żadna karczma, to restauracja. Lucjan i jego żona byli moimi służącymi w Saladorze. Kiedy wojna się skończyła, posłałem po nich i razem rozkręciliśmy ten interes. Wraz z moją żoną. –

Wskazał na cichą kobietę, którą książe widział już wcześniej, gdy obsługiwała gości. Teraz stała w kącie i trzymała w ręku długi nóż. – Ona wie, kim jesteś, Kasparze, i z radością wyprułaby ci flaki, gdybym tylko jej na to pozwolił. Czy dasz mi jakiś powód, żebym tego nie robił?

– Mam ci do opowiedzenia bardzo długą i bardzo dziwną historię.

– A dlaczego niby miałbym wysłuchiwać tego, co masz mi do powiedzenia? Dlaczego nie miałbym zawołać miejskich strażników i oddać cię w ich ręce. Oni z przyjemnością zapędziliby cię kopniakami do cytadeli i pozwolili księciu Rodoskiemu podjąć decyzję co do twoich dalszych losów... zakładając oczywiście, że Cyraneczka wypuści cię stąd żywego.

– Muszę ci coś szepnąć na ucho – odrzekł były książe Olasko. Założył ręce za plecami. – Daję słowo, że nie będę próbował skrzywdzić nikogo, kto jest w tej kuchni, a kiedy dowiesz się, co mam ci do powiedzenia, zrozumiesz, dlaczego nikt inny nie mógł tego usłyszeć.

– Lucjanie – zwrócił się Talwin do kucharza.

– Tak?

– Weź jeden z tych dwóch mieczy i wymierz w szyję naszego byłego księcia, o tutaj – poinstruował Tal. – Jeżeli spróbuje jakichś sztuczek, nie wahaj się go dziabnąć.

Lucjan uniósł miecz i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Dobrze, Tal.

Dawny władca pochylił się do przodu.

– Mam coś, co muszę przekazać Konklawe Cieni – szepnął do ucha swego wroga.

Talwin Hawkins, znany kiedyś jako Szpon Srebrnego Jastrzębia, ostatni mężczyzna z ludu Orosinich, stał nieruchomo przez dłuższą chwilę, a potem odłożył miecz. Popatrzył na Amafiego.

– Usiądź tam – rozkazał zabójcy. – I nie ruszaj się.

– Tak, wasza wielmożność – powiedział jego były sługa i ochroniarz.

– Wszystko później ci wyjaśnię – zwrócił się Tal do żony.

Nie wyglądała na zachwyconą, ale skinęła głową i odłożyła nóż.

– Wracajcie do pracy – odezwał się do pozostałych. – Jeżeli zostali nam jeszcze jacyś klienci, z pewnością będą chcieli, żeby ktoś się nimi zajął.

Lucjan, Małgorzata i Cyraneczka wrócili do pracy i w kuchni znów rozległo się trzaskanie talerzy i posykiwanie garnków.

– Mam na zapleczu pokój, gdzie będziemy mogli porozmawiać na osobności.

– Wyświadczyć mi jedną przysługę.

– Ty mnie prosisz o przysługę? – Popatrzył na Kaspara bezbrzeźnie zdumiony.

– Proszę. Przerwałeś mi posiłek. Miałem nadzieję, o ile się nie obrazisz, że podczas rozmowy będę mógł go skończyć. To po prostu najwspanialsze jedzenie, jakie kiedykolwiek jadłem.

Hawkins przez chwilę stał bez ruchu, całkowicie zaskoczony prośbą, a następnie potrząsnął głową i roześmiał się głośno.

– Nieprawdopodobieństwo goni niemożliwość. No dobrze. – Zawołał Małgorzatę. – Jeżeli nie masz nic przeciwko, czy zgodziłabyś się obsłużyć tego... dżentelmena i przynieść mu pozostałe dania do pokoju na tyłach? I proszę, przynieś dwie szklaneczki do wina.

Tal, wciąż trzymając miecz wymierzony w Kaspara, skinął nań, by przeszedł przez drzwi na tyłach kuchni. W pokoju stał stół i osiem krzeseł.

– Tutaj jada personel – wyjaśnił.

Księżę skinął głową. Odsunął sobie krzesło i usiadł. Talwin czekał, aż Małgorzata przyniesie butelkę wina i dwie szklanki. Potem skinął na Kaspara, żeby nalał. Wykonał polecenie.

– Tal, przyniosę wołowinę za parę chwil – powiedziała Małgorzata.

Tal skinął głową.

– Zamknij, proszę, drzwi.

Olaskanin zaczerpnął głęboki łyk wina.

– Zanim zacznę, pozwól mi powiedzieć, że twoja restauracja naprawdę zrobiła na mnie duże wrażenie, młody Hawkinsie. Twoje coraz to nowe talenty nie przestają mnie zadziwiać. Jedzenie i wino są wprost niesamowite.

– Minęło sporo czasu, odkąd jadłeś coś porządnego, prawda?

Księżę roześmiał się.

– Więcej niż myślisz. Ale nawet w porównaniu z kuchnią cytadeli, twoja jest zdumiewająca. Gdybym miał chociaż cień podejrzenia, nigdy bym cię nie poświęcił jako agenta. Zrobiłbym z ciebie najlepiej opłacanego kucharza we Wschodnich Królestwach.

– Kuchnia to zasługa Lucjana. Dobrze nam się razem pracuje, ale to on jest prawdziwym wizjonerem. A teraz, proszę, zacznij opowiadać. – Talwin usiadł, choć nie odłożył miecza. Nadal mierzył nim w Kaspara.

– Moja historia jest bardzo długa, więc może poczekajmy, aż przyniosą jedzenie, żebyśmy nie musieli przerywać, dobrze? O tym, co mam ci do powiedzenia, nie może wiedzieć zbyt wielu ludzi.

– Twoje wymagania mówią mi, że tak jest w istocie.

Kilka minut później pojawiła się żona Lucjana. Niosła parujący talerz wołowiny w sosie, udekorowanej przyprawionymi warzywami. Kiedy wyszła, Kaspar spróbował dania.

– Prześcigasz sam siebie wraz z każdym talerzem, który dostaję, Talwinie.

– Jeżeli pożyczysz wystarczająco długo, Kasparze, przypomnij mi, żebyś ci opowiedział, jak kucharzenie pomogło mi wydostać się z tej skały, na którą mnie zesłałeś.

– Z Fortecy Rozpaczy?

– Tak. Myślę, że ta historia ci się spodoba.

– Chciałbym to samo powiedzieć o mojej opowieści. Przeskoczę przez pierwsze dni mojego wygnania; powiem tylko, że były bardzo pouczające. Zaczniemy od małego miasteczka zwanego Simarah, gdzie spotkałem trzech handlarzy z Port Wykor: Flynna, Kennera i McGoina.

Były władca rozpoczął swoją opowieść.

* * *

Noc upływała wolno. Kiedy z restauracji wyszli ostami goście, do pokoiku zapukała Cyraneczka. Chciała sprawdzić, czy jej mąż i mężczyzna, który zgubił ich rodaków, ciągle jeszcze rozmawiają. Szpon wstał i podszedł do niej, odwracając się plecami do Kaspara. Miecz zostawił na stole, poza zasięgiem ręki, więc Cyraneczka zyskała pewność, że nie dojdzie już do rozlewu krwi.

Tal powiedział jej, że być może spędzi w restauracji całą noc, więc kobieta poszła do Amafiego, cierpliwie czekającego na swego pana.

– Mój mąż mówi, że możesz wracać do swojego zajazdu. Twój pan pośle po ciebie, gdy będzie chciał, żebyś do niego dołączył. Mój mąż i Kaspar – dodała – kazali ci nie próbować opuszczać miasta.

Sługa wzruszył ramionami.

– Próbuję je opuścić od roku. Spodziewam się, że to jakieś fatum nie pozwoliło mi stąd odejść.

Uklonił się młodej kobiecie i odszedł. Cyraneczka przez dłuższy czas wpatrywała się w kuchenne drzwi. Rozważała, czy wrócić do środka, ale kiedy poważniej się nad tym zastanowiła, zdała sobie

sprawę, że mężczyzna, który zniszczył jej świat, i ten drugi, co uwolnił ją i jej syna od ciężkiej niewoli, zamierzają spędzić w kuchni długi czas. W końcu odwróciła się i poszła na górę do łóżka.

Kiedy Lucjan, Małgorzata i Cyraneczka weszli rano do kuchni, Kaspar i Tal ciągle siedzieli przy stoliku w pokoju na zapleczu. Talwin przygotował kawę i obaj mężczyźni wypili po kilka sporych filiżanek.

– Mam wam wszystkim coś do powiedzenia – odezwał się Hawkins, kiedy weszli do kuchni. Przywołał do siebie żonę i objął ją ramieniem. – Cyraneczko, ty bardziej niż inni rozumiesz, że ten człowiek dopuścił się rzeczy potwornych i pełnych okrucieństwa.

Książę siedział nieporuszony, a jego twarz nie ukazywała żadnych uczuć.

– Kiedyś wybaczyłem mu jego zbrodnie. – Popatrzył na żonę.

– Ale nie mogę wymagać tego samego od ciebie, Cyraneczko. Podczas gdy ja zostałem wykierowany na młodego szlachcica i tak pozwolono mi żyć, ty cierpiałaś biedę i poniżenie. Proszę cię tylko o wyrozumiałość i zrozumienie. Muszę zachować tego człowieka przy życiu jeszcze przez jakiś czas.

Na te słowa Kaspar się uśmiechnął.

– Mam nadzieję, że na długi czas.

– To nie zależy ode mnie. Teraz pomagam ściganemu, i chociaż mi się to nie podoba, nie mam wyboru. Jeżeli strażnicy miejscy wpadną na twój trop i wieści dotrą do Rodoskiego, nawet dług wdzięczności, który mam u nowego księcia, a przynajmniej on tak uważa, na nic się nie przyda. Nie ocalę twojej skóry. – Przerwał na chwilę. – Tylko kilka osób może się dowiedzieć, o czym tutaj rozmawialiśmy – dodał. – Jestem zmuszony mieć sekrety przed kobietą, którą kocham. – Popatrzył na swoją żonę.

– Która znosi tę obrazę z godnością, której nigdy nie będę w stanie dorównać.

Cyraneczka uśmiechnęła się lekko i dawnego władcę uderzyła jej uroda. Bogowie, jakimże człowiekiem byłem, zastanawiał się w duchu, że zniszczyłem naród, który wydał na świat taką piękność, tylko po to, aby zaspokoić chore polityczne ambicje?

Kaspar wstał i skłonił się przed młodą żoną Tala.

– Pani – zaczął. – Moje słowa nigdy nie zaleczą ran, które ci zadałem. Nie oczekuję, że mi wybaczysz. Chcę po prostu, żebyś wiedziała, że bardzo żałuję tego, co zrobiłem tobie i twoim rodakom. I że wstydę się głęboko za moje uczynki.

– Ja żyję – powiedziała Oko Niebieskoskrzydłej Cyraneczki bardzo cicho. – Mam zdrowego syna i męża, który o mnie dba. Moje życie przez ostatni rok było czymś wspaniałym.

Były książę Olasko poczuł, jak wilgotnieją mu oczy, gdy patrzył na tę pełną godności kobietę.

– Przywodziś mi na myśl kobietę, którą znam – powiedział. – Bardzo wiele jej zawdzięczam. W przyszłości zrobię, co będę mógł, żeby uchronić ją i jej podobnych przed niepotrzebnym cierpieniem.

Cyraneczka lekko skinęła głową.

– No dobrze, Kasparze – odezwał się Tal. – Będziemy mieć sporo roboty przez następne kilka dni, ale zanim wezmę się do pracy, musimy przygotować śniadanie i popołudniowy posiłek dla gości. Lucjanie, co dzisiaj podajemy?

Lucjan wyszczerzył zęby w uśmiechu i zaczął mówić o składnikach, które musieli nabyć na rynku i o daniach, które, jak sądził, zainteresują dzisiejszych gości. Dawny władca zaczekał, aż kuchnia ruszy codziennym trybem, a potem odciągnął byłego kawalera na bok.

– Zakładam, że zdołasz skontaktować się ludźmi, o których mówiliśmy?

Nie musiał mówić, o kogo chodzi.

– Tak jak ci powiedziałem, już dla nich nie pracuję. Są sposoby, żeby dać im znak, że chcę się porozumieć, ale nie mam pojęcia, jak wiele czasu zabierze skontaktowanie się z nimi. – Wzruszył ramionami.

Księżę stał przez chwilę w milczeniu.

– Czy mógłbyś wysłać słówko do Talii i przekazać jej, że żyję?

Tal kiwnął głową.

– Tak, chociaż nie bywam już na salonach władzy. – Zatoczył łuk ręką. – Znajduję to życie bardziej interesującym. Myślę, że mój dziadek miałby pewne trudności, żeby pojąć moje nastawienie do jedzenia. Pożywienie moich rodaków... – Jego oczy przez chwilę straciły ostrość, jakby zapatrzył się w przeszłość.

Kaspar nie odzywał się.

Talwin otrząsnął się w chwilowego zamyślenia.

– Jestem pewien, że będzie chciała się z tobą zobaczyć, ale to może okazać się trudne. Dopóki nie znajdziemy sposobu, żeby odwieść jej męża od natychmiastowej egzekucji na szafocie, lepiej żebyś nikomu nie wchodził w oczy. To powinno być łatwe, bo bardzo się zmieniłeś. Gdyby Małgorzata nie rozpoznała Amafiego, mógłbyś spokojnie rozkoszować się obiadem przez cały wieczór, a potem wyjść bez przeszkód. W każdym razie nasze cele są wspólne, chyba że ci, z którymi chcesz się porozumieć, wydadzą mi inne polecenie. – Zamyślił się ponownie. – Przez chwilę możemy być sprzymierzeńcami – dodał stanowczo. – I mogę z tym żyć, ale nie popełnij błędu, Kasparze. Mogłem ci wybaczyć, ale nigdy nie zapomnę, jaki rozkaz kiedyś wydałeś i do końca moich dni będę cię miał w głębokiej pogardzie. – Przerwał. – Tak jak sam czuję do siebie pogardę za rzeczy, które robiłem na służbie u ciebie.

Mężczyzna skinął głową.

– Świetlana?

Hawkins popatrzył na niego.

– Nie ma nocy, żebym nie myślał o tym, jak ją zamordowałem.

Kaspar westchnął. Delikatnie położył rękę na ramieniu byłego agenta.

– Niektórzy mówią, że bogowie, kiedy mają zły humor, każą nam wplątywać się w sprawy, których nienawidzimy ponad wszystko.

Tal znów kiwnął głową.

– Wracaj do swojego zajazdu i siedź cicho. Spróbuj nie rzucać się za bardzo w oczy. Poślę ci wiadomość, kiedy tylko uda mi się skontaktować z moimi dawnymi mocodawcami.

– Wiem, że to dla ciebie trudne – powiedział książę. – Ale uwierz mi w to, że mamy wspólny cel. Mój opis nie oddaje w pełni tego, co widziałem.

– Rozumiem. Postaraj się także trzymać Amafiego poza zasięgiem ciekawskich oczu.

– Dobrze. Do widzenia.

Młody mężczyzna po prostu kiwnął głową na pożegnanie.

Były władca wyszedł z restauracji i wrócił szybko do zajazdu. Przeszedł przez wspólną salę i wkroczył do swojego pokoju. Spodziewał się, że Amafi zniknął, ale zamiast tego znalazł go śpiącego na łóżku. Stary zabójca obudził się natychmiast, gdy tylko Kaspar zamknął za sobą drzwi.

– Wasza miłość, czy uda nam się przeżyć kolejny dzień?

– Jeszcze trochę pożyjemy. – Książę popatrzył na Talnoya, stojącego bez ruchu w kącie, i zastanowił się, jak wiele dni im jeszcze pozostało. Potem spojrzał znów na Queganina. – Będziemy potrzebować większego pokoju – oznajmił.

* * *

Dni mijały, a Kaspar czekał cierpliwie. Po około tygodniu oczekiwania pojawił się posłaniec z wiadomością od Tala. Przyniósł zaproszenie na obiad.

– Myślę, że coś się dzisiaj wyjaśni – powiedział książę do Amafiego. – Jesteśmy zaproszeni na

obiad do Domu Nadrzecznego na dziś wieczór.

Przez resztę dnia mężczyźni czas bardzo się dłużył, niecierpliwie czekał, aż będzie mógł przejść do działania, jakiegokolwiek by ono nie było, i wreszcie doprowadzić sprawę do końca. Talnoy stał w kącie pokoju i codziennie przypominał mu o potwornościach, czających się w sąsiednim wymiarze. Widział je w każdym cieniu. Szczelina otwierająca się nad morzem i potworna istota, która usiłowała przez nią przejść, przypominały mu o ostrzeżeniach Kalkina. Konstruktor był jak latarnia morska dla innego świata i z każdym dniem jego istnienie wielokrotnie zwiększało szansę inwazji Dasatich.

W końcu nadszedł wieczór i Kaspar z Queganinem przebrali się do obiadu. Zamiast wynajmować powóz, poszli do Nadrzecznego Domu piechotą. Tak jak mówił Tal, im mniej uwagi przyciągali swoimi osobami, tym lepiej.

Byli już prawie na miejscu, kiedy zabójca się zaniepokoił.

– Wasza wielmożność, jesteście śledzeni.

– Ilu ich jest?

– Co najmniej dwóch.

– Agenci księcia?

– Nie wydaje mi się. Ci ludzie to myśliwi. Skręć w prawo za następnym rogiem i nie oddalaj się.

Kiedy tylko skręcili na rogu, Amafi złapał Kaspara za ramię i wciągnął go do bramy. Czekali w cieniu portyku, aż dwaj mężczyźni przeszli obok. Obaj nosili ciężkie, ciemnoszare płaszcze i miękkie kapelusze, które skrywały ich twarze. Szli szybko, nieświadomi tego, że śledzeni ukryli się za rogiem.

– Czy pójdziemy za nimi, wasza miłość?

– Nie – odparł książę. – Nie zamierzam ściągać sobie na głowę kłopotów. A już szczególnie wtedy, kiedy to kłopoty szukają nas. – Wyszedł z bramy. – Chodź, wracajmy tędy.

Wrócili na trasę prowadzącą do restauracji i niebawem doszli do Nadrzecznego Domu. Kiedy już weszli, natychmiast skierowano ich na górę do pokoju na tyłach domu. Tam znaleźli Szpona, jego żonę oraz mężczyznę, którego Kaspar już kiedyś spotkał. Białowłosego maga.

Talwin skinął im na powitanie.

– Kasparze, mam nadzieję, że pamiętasz Magnusa.

– Raczej nie mógłbym go zapomnieć.

– Widzę, że przetrwałeś spotkanie z nomadami – powiedział mag kwaśnym tonem.

– A także wiele innych rzeczy. Co ci powiedział Tal?

– Coś, co nie powinno być w ogóle tutaj poruszane. – Odwrócił się do byłego szlachcica. – Niebawem powrócimy – powiedział. – Zostań tutaj z Talem – zwrócił się do Amafiego.

Magnus postąpił krok do przodu i położył rękę na ramieniu Kaspara. Książę poczuł wibrację, zobaczył nagły wybuch szarości i nagle znaleźli się zupełnie gdzie indziej. W nowym miejscu był środek dnia.

Mógł słyszeć ptaki, śpiewające w koronach drzew. Rozejrzał się dookoła. Przed nim, w spokojnej dolinie, stał duży dom. Zobaczył ludzi, uwijających się wokół domostwa, podobnie jak szereg istot, których nie potrafił rozpoznać. Jednakże to, czego doświadczył w ostatnich tygodniach, uodporniło go znacznie na niespodzianki, więc nie za bardzo się zdziwił.

– Gdzie jesteśmy?

– W posiadłości mojego ojca, na wyspie na Morzu Gorzkim.

– Twój ojciec to ten niewysoki, poważny mężczyzna, który rok temu przekonał Tala, żeby darował mi życie, prawda?

Na te słowa wysoki mag lekko się uśmiechnął.

– Tak, to był mój ojciec. Chodźmy, oczekuje mnie i ma nadzieję, że wyjaśnię mu tajemnicę wiadomości Talwina. Lepiej będzie, jeżeli sam opowiesz mu swoją historię.

Magnus zaprowadził Kaspara do domu. Przeszli wzdłuż dużego, prostokątnego budynku, do którego przylegał piękny ogród. Poprowadził byłego księcia Olasko długim korytarzem; weszli do wielkiego pokoju, gdzie stało spore biurko. Znajdowała się tam potężna kolekcja książek, pergaminów i zwojów, poustawianych na półkach, popakowanych w wiklinowe kosze albo po prostu zrzuconych na stos w kącie. Przy biurku siedział niski, czarnobrody mężczyzna, ubrany w czarną szatę. Czytał jakiś pergamin, a jego brwi marszczyły się z wysiłku intelektualnego.

Kiedy uniósł wzrok znad księgi, nie wyglądał na zbyt zaskoczonego.

– Magnusie, nie spodziewałem się, że wrócisz tutaj z... Kasparem z Olasko, o ile się nie mylę?

– Nie mylisz się, ojcie – odrzekł. – Tal Hawkins wysłał wiadomość, że musi się skontaktować z członkiem Konklawe, a gdy odpowiedziałem na wezwanie, opowiedział mi dziwną i straszną historię. Najlepiej będzie, jeżeli ten człowiek ci ją opowie.

– Nazywam się Pug, a to jest mój dom – oznajmił niski mężczyzna. – Nie przypominam sobie, żebyśmy zostali sobie odpowiednio przedstawieni – dodał ironicznie.

Kaspar zaśmiał się.

– Zdaje się, że podczas ostatniego spotkania byliśmy nieco rozproszeni.

– Co to za okropna historia, która sprawiła, że mój syn złamał protokół i zaprosił cię tutaj, nie czekając na moje pozwolenie? – Starszy mężczyzna rzucił swemu synowi pytające spojrzenie.

– Jeżeli to, co mówi, jest prawdą, ojcze, to bardzo istotne.

– No dobrze – mruknął Pug. – Hm... nie mogę cię nazywać wasza wysokość, już teraz nie, prawda?

– Kaspar wystarczy. – Księżę usiadł na krześle, stojącym po drugiej stronie biurka.

Mag machnął pergaminem, który wcześniej studiował.

– To mały zbieg okoliczności, że pojawiłeś się tutaj akurat dzisiaj. Próbowałem zrozumieć coś, co twój przyjaciel, Leso Varen, zostawił w cytadeli.

Kaspar zaśmiał się.

– Rozmyślenia ostatniego roku doprowadziły mnie do wniosków, że termin „przyjaciel” nie bardzo się tu nadaje. „Manipulujący pasożyt” opisuje go znacznie dokładniej, tak mi się zdaje.

Właściciel domu westchnął.

– Prawie chciałbym, żeby on żył, ponieważ mam tak wiele pytań, a odpowiedzi z pewnością mógłbym usłyszeć tylko od niego.

– Och, ale on żyje.

Pug usiadł nagle prosto.

– Jesteś tego pewien?

Były władca wyglądał na zakłopotanego.

– Nie widziałem jego ciała, ale mam informacje z dobrego źródła, że jego umysł gdzieś żyje. Osoba, która mi to powiedziała, wyjaśniła, że on jest jak karaluch. Możesz na niego nadepnąć, możesz go deptać przez cały dzień, a on i tak nie zdechnie.

Mag roześmiał się.

– Zmierzyłem się z nim twarzą w twarz niezliczoną ilość razy, niejednokrotnie walczyłem pośrednio, ale twój opis najbliższej pasuje do oryginału. Kto ci powiedział, że on żyje?

– Wydaje mi się, że ona nazywa się Arch-Indar.

Opadł na oparcie, a na jego twarzy malowało się zaskoczenie.

– To przecież bogini.

– Tak, a do tego martwa – dodał Magnus.

– Cóż, powiedziano mi, że ona jest jedynie wspomnieniem bogini.

– Kto ci powiedział?

– Strażnik, który mieszka w górach pod Filarami Niebios, pod Pawilonem Bogów. Powiedział mi to, zanim posłał mnie do Pawilonu, żebym mógł porozmawiać z Kalkinem.

– Rozmawiałeś z Kalkinem? – zdumiał się jeszcze bardziej Pug.

– Z Banathem, tak – odparł Kaspar. – Arch-Indar skierowała mnie do Strażników, a oni zaprowadzili mnie do Kalkina. To on właśnie kazał mi was odnaleźć.

Ojciec Magnusa znów poruszył się na krześle.

– Poinformuj swoją matkę, a potem poślij po Nakora – polecił synowi. – Myślę, że oni także powinni posłuchać tej opowieści.

Młodszy mag wyszedł natychmiast.

– Będziemy się starać, żeby wszystko przebiegało w cywilizowany sposób w serdecznej atmosferze, Kasparze – powiedział Pug. – Ale chcę, żebyś dobrze mnie zrozumiał pod jednym względem.

– To znaczy?

– Jeżeli twoja opowieść nie będzie tak ważna, jak mówi mój syn, wyciągnę z tego konsekwencje.

Książę nie odezwał się.

– Chciałbym wierzyć, że nie jesteś już marionetką Leso Varena – mówił dalej – ale to życzenie ma niewiele wspólnego z zapewnieniem bezpieczeństwa moim ludziom. Jeżeli mnie nie przekonasz, to gdy skończysz opowiadać swoją historię, będziesz zgubiony. I nie opuścisz tej wyspy żywy. Czy mnie rozumiesz?

– Tak, rozumiem. – Kaspar milczał przez chwilę. – Jeżeli to nie sprawi ci wiele kłopotu – odezwał się wreszcie. – Chwilę temu miałem właśnie siadać do obiadu, zanim zabrano mnie w... podróż tutaj.

Pug uśmiechnął się.

– Myślę, że możemy zorganizować trochę jedzenia.

Książę usiadł wygodniej. Ucieszył się na myśl o posiłku, choć jednocześnie żałował, że nie je w Domu Nadrzecznym, gdyż mogła to być ostatnia kolacja w jego życiu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Narada.

Kaspar czekał.

Skończył już opowiadać swoją historię Pugowi i reszcie; podobnie jak Strażnicy, słuchacze zadawali mu mnóstwo pytań. Teraz siedzieli cicho i każdy z członków Konklawe zastanawiał się nad tym, co przed chwilą usłyszał.

Kobieta miała na imię Miranda. Chociaż była żoną Puga i matką Magnusa, wcale nie wyglądała starzej od syna. Miała ciemne włosy i świdrujące spojrzenie; jej zachowanie wskazywało na to, że jest traktowana na równi ze swoim mężem. Prosta, niebieska szata nie zniekształcała jej sylwetki, szczupłej i wyprostowanej, ciągle młodej mimo lat. Niskiego mężczyznę, Nakora, księżę pamiętał z krótkiego spotkania z magami po tym, jak upadła jego cytadela. Mężczyzna odziany był w wystrzępioną na dole, żółtą szatę, a w ręku trzymał drewnianą laskę. Na jego ramieniu wisiała duża podróżna torba. Kiedy wszedł do pokoju, uśmiechał się od ucha do ucha, ale w miarę postępu opowieści, uśmiech zanikał i teraz zamienił się w wyraz posępnego zamyślenia.

– No dobrze – powiedział Pug po dłuższej chwili. – Co o tym myślisz?

Miranda skrzyżowała ramiona na piersiach.

– Myślę, że powinniśmy natychmiast zbadać tego Talnoya.

– Martwią mnie wieści, że Leso Varen przeżył nasze ostatnie spotkanie – wtrącił Magnus. – Ciągłe nie odkryliśmy tego odrażającego przejścia, które konstruował w Opardum.

Nakor potrząsnął głową.

– A ja martwię się raczej tym, że Leso Varen, jeżeli naprawdę żyje, zapewne także szuka Talnoya. Dwaj mężczyźni, idący za Kasparem w Opardum, mogli być agentami króla Roldem albo księcia Olasko, ale także mogli pracować dla Varena.

– Wybaczcie mi – odezwał się Kaspar – ale trudno mi się przyzwyczaić, kiedy słyszę, jak mówicie księżu Olasko o kimś innym. W każdym razie, czy Varen może mieć agentów?

– Jego organizacja jest tak samo nieprzenikniona dla nas, jak nasza dla niego – powiedział Pug. – Mamy wielu sprzymierzeńców i jesteśmy czymś w rodzaju rady, podczas gdy Varen nie zalicza nikogo do równych sobie. Z tego, co wiemy, sam rządzi rzeszą swoich poddanych.

– Ale może on się myli – zasugerował mężczyzna w żółtej szacie.

– Ciągłe nie mogę dojść do ładu z tym, co Kaspar widział na tym innym świecie – powiedział syn gospodarza. – Jak dokładny jest twój opis?

– Powiedziałem wam, co widziałem – odparł ksiązę.

– Opowiedziałeś nam o tym, co pokazał ci Kalkin – sprostował Nakor i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – A Banath nie bez przyczyny jest nazywany Oszustem – dodał. – Kto wie, jakie naprawdę ma zamiary?

– Z pewnością nie chce widzieć Midkemii w ruinie.

– Nie – zgodziła się małżonka Puga. – Ale może mieć na myśli daleko więcej niż tylko zagrożenie ludzkości i innych inteligentnych ras, zamieszkujących Midkemię. Nakor ma rację. Banath mógł przekazać ci tylko część prawdy. To tylko twój opis tych...

– Dasatich – podpowiedział Kaspar.

– ...Dasatich – kontynuowała Miranda – każe mi się zastanawiać. Okrucieństwo, wiem. Byliśmy świadkami wystarczającej jego ilości tu, na Midkemii. – Wbiła w Kaspara złowrogie spojrzenie, ale nie ciągnęła dalej tematu. – My... a raczej Kaspar, widział tylko to, co pozwolono mu zobaczyć. Logika mówi nam, że w tym społeczeństwie musi istnieć coś więcej niż tylko proste okrucieństwo i samolubność. Żeby dotrzeć na taki poziom siły i organizacji, trzeba czegoś więcej, trzeba woli współdziałania i gotowości do poświęceń.

– Inne prawa i zasady, tak powiedział Kalkin – rzekł uśmiechając się ksiązę. – Sam miałem takie myśli, kiedy zobaczyłem ich po raz pierwszy. Znam się na tyle na rządzeniu i stosunkach społecznych, żeby wiedzieć, że można utrzymać rządy terrorem i okrucieństwem, lecz tylko przez krótki czas. Zbudowanie wielowiekowej kultury wymaga czegoś więcej.

– To abstrakcyjna dyskusja – wtrącił się Magnus. – Może udało im się osiągnąć pewien poziom rozwoju, a potem całkowicie się zmienili. Ale jakakolwiek jest tego przyczyna, musimy się martwić tym, kim są teraz i ich obecnymi zamiarami.

– O ile to, co widziałem, jest prawdą – powiedział Kaspar – oni na razie nie mają żadnych zamiarów, jeżeli jednak nas odkryją, podejrzewam, że najpierw zajmą się podbojem, a dopiero później będą zadawać pytania. Kalkin wspomniał, że imperium Dasatich pochłonęło już wiele światów.

– Jakies pomysły? – zapytał Pug.

– Musimy działać szybko – odparł jego syn.

Kobieta kiwnęła potakująco głową.

– Myślę, że powinniśmy sprowadzić tutaj tego Talnoya. Zróbcie to zaraz, żebyśmy mogli mu się przyjrzeć.

– Ja udam się do świątyni Banatha w mieście Kesh – oznajmił Nakor. – I zobaczę, czy któryś z moich starych przyjaciół ma choć blade pojęcie o tym, co Banath, albo Kalkin – skinął głową Kasparowi – ma do powiedzenia w tej sprawie. Nie będę zaskoczony, jeżeli okaże się, że albo wiedzą wszystko, albo zupełnie nic, ale sądzę, że powinienem zapytać. Powrócę za dwa dni. – Wyszedł z pokoju.

– Bardzo dobrze – powiedział mag w czarnej szacie. – Zgadza się wszyscy, że czas nas goni, więc Magnusie, zabierz Kaspara z powrotem do Oparum, weźcie Talnoya i wracajcie tu z nim. – Odwrócił się do żony. – Ty i ja powinniśmy przedyskutować, kogo zatrudnimy do tego zadania.

Skinęła głową. Książę wstał. Popatrzył na Magnusa.

– Dokąd teraz? – zapytał.

Mag położył dłoń na ramieniu Kaspara i nagle znaleźli się w pokoiku na tyłach Nadrzecznego Domu.

– Tutaj – odparł Magnus.

Dawny władca poczuł, jak miękną mu kolana, ale po chwili udało mu się wziąć w garść.

– Nigdy się do tego nie przyzwyczaję – mruknął.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Poczekaj chwilę. Muszę porozmawiać z Talem.

Po kilku minutach wrócili obaj do pokoju.

– Powinniśmy we trzech pójść do twojego zajazdu i zabrać tę rzecz – powiedział mag.

– Po co mamy iść we trzech? – zdziwił się książę.

– Ponieważ przyda nam się dodatkowy miecz, a nie mam czasu, żeby tłumaczyć wszystko innym naszym członkom, których zresztą nie ma wielu w pobliżu – warknął Magnus z niecierpliwością. – Po prostu chodź z nami i miejmy to już z głowy.

Trzej mężczyźni wyszli z Domu Nadrzecznego i pospieszyli do zajazdu, gdzie zatrzymał się Kaspar. Było dość późno, zanim książę i Magnus pojawili się w restauracji, Tal pożegnał już ostatnich klientów. Na ulicach rozlegało się echo odgłosów butów uderzających w brukowe kamienie. Szli szybko, lecz czujnie, przez ciemne ulice Oparum.

Kiedy zbliżyli się do zajazdu, Kaspar uniósł rękę.

– Coś jest nie w porządku – wyszeptał cicho.

– Co? – spytał mag.

– Widzę ich – wtrącił Talwin. – Dwóch mężczyzn czai się w mroku, jeden naprzeciwko karczmy, w bramie, drugi tuż za rogiem alejki, po tej stronie budynku.

– Nic nie widzę – zachnął się syn Puga.

Książę z powrotem schował się w cieniu i skinął na pozostałych, by zrobili to samo.

– Jeżeli to są ci sami ludzie, którzy szli za mną i za Amafim dzisiaj wczesnym wieczorem... – Zerknął na czarne niebo. – Ciągle mamy ten sam wieczór, prawda?

Magnus skinął głową.

– Jeśli to ta sama dwójka, Amafi miał rację i rzeczywiście ktoś nas obserwuje. – Rozejrzał się dookoła. – Jeżeli się pospieszę, mogę zejść ich od tyłu. Po cichu zakradnę się tamtą alejką. Powinienem mieć stamtąd dobry widok na tę podejrzaną dwójkę, a oni mnie nie spostrzegą.

– Ja zrobię to lepiej, Kasparze – wtrącił Hawkins. – Mnie na pewno nie zauważą.

– Prawda – odparł były książę Olasko. – Ale ty nie wiesz, jak oni wyglądali.

– Wielkie kapelusze, ciemne płaszcze?

– Tak.

– Czy widziałeś ich twarze?

– Nie.

– Więc ty także nie wiesz, jak wyglądali. Czekaście tutaj.

Kaspar i Magnus stali w ciemnościach.

– Musieli pójść za Amafim i trafili aż tutaj. A teraz czekają, aż ja wrócę do pokoju.

– Może w środku jest ich więcej? Może już pojмали twojego człowieka.

Mężczyzna zachichotał.

– Raczej nie. Talnoy by temu zapobiegł, gdyż takie wydałem mu polecenie. Poza mną i Amafim nikt nie może wejść do pokoju, gdyż natychmiast zostanie zaatakowany.

Jakieś pięć minut po odejściu Tala w uliczce wybuchło jakieś zamieszanie. Książę i mag ujrzeli, jak człowiek, który stał naprzeciwko drzwi do zajazdu, podążył w kierunku alejki i w biegu wyciąga miecz.

Kaspar także sięgnął po broń.

– No dobrze, teraz my! – Popędził w dół ulicy i skręcił za róg akurat w porę, by zobaczyć

Talwina, stojącego nad rozciągniętym na ziemi mężczyzną i odpierającego gwałtowny atak drugiego. Książę przytknął koniec miecza do krzyża walczącego.

– Dosyć! – wrzasnął.

Człowiek zamarł i wypuścił miecz z dłoni. Tal podszedł do niego i zdarł mu kapelusz z głowy, a Kaspar brutalnie odwrócił go ku sobie.

Nie znał tego człowieka. Starszy mężczyzna popatrzył na Talwina.

– Zdawało mi się, że miałeś pozostać niezauważony.

Były agent wzruszył ramionami.

– Najwyraźniej wyszedłem z wprawy.

Białowłosa podszedł do obcego mężczyzny.

– Kto cię przysłał? – zapytał.

Pokonany spojrział na leżącego na ziemi kompana, a potem popatrzył na Tala i Magnusa.

– Nie próbuj nas zwodzić, człowieku – ostrzegł mag. – Mamy swoje sposoby, żeby wydusić z ciebie całą prawdę!

Odziany w ciemny płaszcz mężczyzna skoczył nagle do przodu, tak jakby chciał zaatakować Magnusa, więc Kaspar uderzył go mocno w twarz rękojeścią miecza. Obcy natychmiast upadł twarzą na uliczny bruk. Jednakże spróbował wstać.

– Trzymajcie go! – zawołał syn Puga, ale było już za późno.

Zanim Talwin i książę zdążyli do niego podejść, schwytany już miotał się w konwulsjach.

– Zażył truciznę – wyjaśnił niepotrzebnie Magnus. Hawkins podszedł do pierwszego mężczyzny, z którym walczył, żeby bliżej mu się przyjrzeć.

– Ten także nie żyje.

Mag ukląkł obok nieznajomego, włożył rękę pod jego koszulę i wyjął medalion. Zaklął głośno. – Nie, tylko nie to!

– Co to jest? – zainteresował się Tal.

Pokazał mu medalion. Zrobiono go z jakiegoś metalu, prawdopodobnie z matowionej, ściemnionej cyny. Wyryto na nim jeden, jedyny symbol, jastrzębia.

– Co to oznacza? – spytał Kaspar.

– Nocne Jastrzębie – wyjaśnił białowłosy.

– Kto taki? – zdziwił się książę.

Tal wzruszył ramionami.

– Gildia Śmierci. Ostatni raz mieliśmy z nimi do czynienia czterdzieści, a może nawet więcej lat temu. Pozwolisz, że mój ojciec opowie ci o nich nieco więcej, ponieważ w tej chwili powinniśmy się raczej pospieszyć. – Skinął na Kaspara, aby ten pierwszy wszedł do zajazdu.

Weszli i stwierdzili, że wspólna sala jest całkowicie pusta. Nie było to niczym niezwykłym o tej porze nocy. Książę podszedł do swoich drzwi i zapukał dwukrotnie. Otworzył mu Amafi.

– Wasza wielmożność! – zawołał od progu. – Dobrze, że jesteś cały! – Spojrzał poza swego pana. – A do tego nie jesteś sam – dodał.

Mieszkaniec zajazdu gestem nakazał pozostałym zaczekać na zewnątrz, wszedł do pokoju i podszedł do czarnej sylwetki. Wsunął na palec pierścień.

– Nikogo nie atakuj – rozkazał.

Zdjął pierścień, skinął na Tala i Magnusa, żeby weszli do środka.

– Czy ktoś za tobą szedł? – zapytał Kaspar sługę.

– Tak, ci sami dwaj mężczyźni, którzy szli za nami wcześniej. Wysłałem chłopca z wiadomością do Domu Nadrzecznego.

– Nigdy tam nie dotarł – odezwał się były kawaler. – Musieli jakoś go przechwycić.

– Zatem chłopiec z pewnością jest już martwy – wtrącił się Magnus. Spojrzał w kierunku kąta, gdzie stał nieruchomy Talnoy. Przez chwilę przypatrywał się istocie bardzo wnikliwie.

– Wiem, co miał na myśli tamten mnich, Kasparze – odezwał się w końcu. – To coś jest mocno nie w porządku, ale... nie potrafię wyjaśnić, pod jakim względem. Jednak ta rzecz z pewnością nie należy do naszego świata.

– Jeżeli to wszystko – rzekł książę – to sugeruję, żebyśmy zabrali to do twojego ojca, a może on wymyśli, jak się tego pozbyć z naszego świata.

Białowłosy mag potrząsnął głową.

– Nie.

– Co masz na myśli, mówiąc nie? – zdenerwował się Kaspar. – Myślałem, że właśnie po to tutaj przyszliśmy.

– Tal? Czy ty to wyczuwasz?

Talwin spoglądał na milczącą, czarną sylwetkę. Na chwilę dotknął zbroi i zawahał się. – Może coś...

– Talwin ma talent, jakim niewielu ludzi może się poszczycić. Chociaż nie jest magiem, potrafi wyczuwać magię. Jakiegokolwiek mroczne sztuki sprawiły, że w tej skorupie zakłęto duszę, ciągle jest ona silna i... niebezpieczna. – Magnus odwrócił się i popatrzył na księcia. – Ty możesz być bezpieczny, ponieważ pierścień daje ci kontrolę nad tą istotą, ale ja tak się nie czuję. Wróć sam do mojego ojca i najpierw się z nim porozumiem.

Nagle zniknął. Tal usiadł na łóżku.

– Nienawidzę, kiedy to robi.

Kaspar usiadł na drugim końcu.

– Wiem, co masz na myśli.

Czekali.

* * *

Upłynęła więcej niż godzina i Magnus nagle pojawił się w pokoju.

– Ojciec kazał mi, żebym zabrał ciebie i Talnoya do specyficznego miejsca na wyspie – powiedział. – Ojciec i matka zaczęli wznosić tam czary, które uchronią nas przed tą istotą, a także pozwolą ją nam ukryć przed kimkolwiek, kto może jej szukać.

– Ukryć ją? – zdziwił się były książę Olasko. – Jesteśmy teraz w Oparum, a za chwilę znajdziemy się tysiące kilometrów stąd. Dlaczego ktokolwiek miałby tego szukać na waszej wyspie?

– Istnieją bardziej efektywne metody poszukiwań niż zagładanie pod kamienie – odparł mag. – Ta rzecz ma w sobie obcą magię i jedyną przyczyną, dla której Leso Varen i jego agenci jeszcze tego nie znaleźli, jest fakt, że oni sami nie za bardzo wiedzą, czego szukają. Teraz, gdy już to zobaczyłem i dotknąłem, mógłbym odnaleźć ten... artefakt gdziekolwiek by się znalazł na naszym świecie.

Kaspar i Tal wstali, zaś Amafi dalej siedział w kącie.

– Każ tej rzeczy stanąć na środku pokoju – polecił syn Puga. – Poślę ci wiadomość, jeżeli będziemy potrzebować twojej pomocy – zwrócił się do Hawkinsa. – Dziękuję, że zdecydowałeś się wziąć w tym udział.

– Informuj mnie na bieżąco, Magnusie – odrzekł Tal. – Chętnie wam pomogę, gdy będzie trzeba.

Książę wsunął pierścień na palec i kazał Talnoyowi stanąć na środku pokoju. Istota usłuchała.

– Stańcie wokoło – rozkazał Magnus.

– Wasza miłość? – zaniepokoił się zabójca.

– Ty też lepiej z nami idź – powiedział Kaspar.

– Dobrze, panie. – Queganin wyglądał tak, jakby wielki ciężar spadł mu z serca.

Stanęli blisko siebie i mag położył ręce na ramionach Amafięgo i Kaspara. Nagle znaleźli się na łączce za willą.

Amafi rozglądał się dookoła z otwartymi ustami. W miejscu, gdzie się znaleźli, było późno, prawie północ, lecz ludzie ciągle biegali tu i tam za swoimi sprawami. Wielu z nich nosiło egzotyczne szaty, a kilku z pewnością nie należało do rodzaju ludzkiego.

– Wydaje mi się, że powoli się przyzwyczajam – zauważył książę.

– Wasza miłość, muszę się z tobą zgodzić.

W pobliżu stali Pug i Miranda. Kaspar zorientował się, że ich grupka zmaterializowała się w kręgu wyznaczonym przez pięć bursztynowych kryształów, płonących wewnętrznym światłem.

– Wyjdźcie z kręgu, szybko – rozkazał im mag w czarnej szacie.

Usłuchali go natychmiast.

– Odsuńcie się – powiedział Pug. Wykonał magiczny gest ręką. Kaspar zobaczył, że Miranda i Magnus naśladują jego poczynania. Kryształy zapłonęły przez chwilę mocniejszym blaskiem, a potem światło zostało zredukowane do delikatnego poblasku.

– Teraz ci, co szukają tego przedmiotu, będą musieli wykorzystywać naprawdę potężną magię – odezwał się ojciec Magnusa.

– Bardzo potężną – zgodziła się Miranda.

– Proszę, daj mi teraz pierścień – zwrócił się Pug do Kaspara. Książę wyjął obrączkę z sakiewki i podał ją Pugowi. Mag położył metalowe kółko na dłoni i przyjrzał mu się uważnie.

– To nie zostało wykonane dłońmi śmiertelników, jestem tego pewien.

– Oba, zarówno pierścień i artefakt, śmierdzą czymś nieludzkim, ojcie – zgodził się Magnus.

– Kiedy zmacono czary ukrywające tę rzecz w jaskini... – Pug zawahał się. – Możemy nigdy się

nie dowiedzieć, jak do tego doszło, ale mam pewne podejrzenia.

Odziany w czarne szaty mag w milczeniu przyglądał się Talnoyowi, podczas gdy Kaspar, Amafi, Magnus i Miranda czekali na zewnątrz magicznego kręgu. Zebrał się także spory tłumek mieszkańców domostwa.

– Wasza miłość, co to za miejsce? – spytał szeptem zabójca. Zagapił się na istotę o czarnej jak węgiel skórze i jasnoczerwonych oczach, która przyglądała się Pugowi z jawnym zainteresowaniem.

– To szkoła, jeżeli jesteś w stanie w to uwierzyć – odpowiedział Kaspar. – I o wiele więcej – dodał patrząc na właściciela domostwa.

Badanie zajęło ponad godzinę, ale nikt się nie nudził ani nie odchodził. Wszyscy bez szemrania stali cicho i obserwowali, jak Pug bada Talnoya. Ciszę nocną przerywały tylko okazjonalne szepty.

– A więc chodźmy do mojego gabinetu – powiedział w końcu ojciec Magnusa.

Kaspar i Amafi poszli za Magnusem, Miranda i jej mężem, podczas gdy inni mieszkańcy wyspy rozproszyli się, wracając do swoich tajemniczych zadań lub po prostu do łóżek. Stary morderca rozglądał się dookoła, kiedy szli przez rozległy ogród, dom i w końcu weszli do korytarza, prowadzącego do gabinetu gospodarza.

– Przyniosłeś nam bardzo złą rzecz, Kasparze – odezwał się Pug, gdy już weszli do środka.

– Zdaje mi się, że to nie jest dla ciebie niespodzianką, magu – odparł Kaspar.

– Obawiam się, że twoja historia jest w pełni prawdziwa, a nawet więcej – westchnął. Usiadł przy biurku i gestem dłoni kazał pozostałym także zająć wolne krzesła. Miranda podeszła do swojego męża, stanęła za nim i położyła ręce na jego ramionach, a Magnus zajął miejsce w kącie. Kaspar i Amafi usiedli na dwóch krzesłach naprzeciwko Puga. – Myślę, że powinniśmy poczekać na powrót Nakora, zanim podejmę ostateczną decyzję, ale teraz mogę powiedzieć, że to, co nam opowiedziałeś, rzeczywiście jest prawdą i zagraża śmiertelnie naszemu światu. Nawet z pojedynczą istotą tego rodzaju nie będzie nam łatwo sobie poradzić, a cała armia jej podobnych... – mag nie dokończył myśli. – Musimy jakoś to przerwać. – Milczał przez chwilę. – Magnusie, czy masz jeszcze jakieś wieści? – zapytał po chwili.

Syn podszedł do biurka i położył na nim medalion z symbolem jastrzębia.

– Dwaj mężczyźni śledzili Kaspara. Prawdopodobnie chcieli trafić za nim do Talnoya.

Pug opadł na oparcie, a na jego twarzy pojawił się wyraz obrzydzenia.

– Gildia Śmierci, po tych wszystkich latach.

– Gildia Śmierci? – zapytał księżę, zainteresowany.

Ciemne oczy Puga spoczęły na twarzy księcia.

– Tak naprawdę były dwie gildie. Oryginalna funkcjonowała jako rodzaj bractwa, coś w rodzaju rozszerzonej rodziny. Należeli do niej najbardziej niebezpieczni zabójcy w historii Królestwa i Keshu. Działali na terenie Kronodoru, Keshu i miasta Salador przez niemal sześćdziesiąt lat. Po tym czasie w ich szeregi wkradły się niepożądane osoby, a może część z nich zaczęła służyć innym panom, ale fakt faktem po pewnym czasie ludzie, którzy ich znali, zaczęli przebąkiwać, że członkowie tej gildii są pod wpływem jakiś... mrocznych sił i teraz im służą. Przed tą przemianą nie było ich wielu, nie więcej niż pięćdziesiąt osób, którzy zabijali na zlecenie, głównie dla politycznych korzyści. Kiedy zetknęli się z nimi moi ludzie, zabójcy byli już pod czarodziejskim wpływem tych, co pragną wtrącić Królestwo w wieczny chaos. Mój drogi przyjaciel, książe James z Kronodoru, kiedy jeszcze był kawalerem starego księcia Aruthy wraz z moim pierworodnym synem Wiliamem, a także uczył się u mnie magii, odkrył ich siedzibę. Starą wojskową fortecę na pustyni Jal-Pur. Znalazł setki zabójców. Próbowali zwabić do naszego świata demona. – Mag westchnął. – Książe Arutha i jego armia zmietli ich z powierzchni ziemi. Później spotkałem mężczyznę... – Popatrzył na Kaspara. – Znałeś go jako Leso Varena. Kiedy go spotkałem, nazywano go Sidi. On posiada także inne imiona. I inne ciała, o ile się nie mylę. Wiecie, dla kogo on pracuje, prawda?

– To zostało mi wyjaśnione – odrzekł Olaskanin. – A ty nie musisz tego wiedzieć – zwrócił się do Amafiego.

– Wasza miłość – odezwał się zabójca z lekkim ukłonem. – Cieszę się ze swojej ignorancji w tej materii.

– Ten człowiek, który nazywa się teraz Varen, został... przywódcą, bo nie mam lepszego słowa na tę funkcję, tych, co szukają sposobu na otwarcie drzwi, przez które wpuszczą chaos i destrukcję, i wtrącą nasz świat w rodzaj szaleństwa, którego byłeś świadkiem, Kasparze.

– Rozumiem – powiedział książe. – A więc chcesz powiedzieć, że Varen jest przywódcą Nocnych Jastrzębi?

– W pewien sposób, tak. Ma także innych agentów. W każdym razie, jeżeli Nocne Jastrzębie są na twoim tropie, to oznacza tylko jedną rzecz. Varen się tobą interesuje i to wcale nie z tego powodu, że byłeś jego gospodarzem przez długie lata. Możliwe, że jeszcze nie wie, co wpadło w twoje ręce. – Pokazał na Talnoya. – Ale wie, że coś ważnego wpadło w nasze ręce. Najprawdopodobniej ma, rozsianych po całym świecie, agentów, szukających twoich śladów.

Większość jednak z pewnością przebywa w Olasko, gdyż to tam istnieje najwięcej szans na twój powrót.

– Albo może po prostu szukają jakichkolwiek magicznych śladów Talnoya – wtrącił Kaspar – I nie mieli pojęcia, kim ja jestem.

– Może – zgodziła się Miranda – Próba odgadnięcia następnego ruchu nieprzyjaciela jest przydatna. Próba odgadnięcia, o czym nieprzyjaciel myśli, jest całkowicie bezużyteczna.

Pug skinął głową, zgadzając się ze słowami swojej żony.

– W każdym razie, myślę, że możesz tę sprawę pozostawić nam – Popatrzył na mężczyznę uważnie – Ciągłe masz środki do życia i możesz się gdzieś osiedlić. Wierzę, że byłeś pod wpływem Varena, ale na twoich rękach jest mnóstwo krwi. Oczywiście jeżeli chcesz, poproszę Talwina Hawkinsa, żeby pomówił z księciem w twoim imieniu.

Były władca zaśmiał się.

– Dziękuję ci za to, magu, ale wątpię, czy wśród waszej trojki tutaj jest dość magicznej mocy, żeby przekonać Rodoskiego, aby pozwolił mi zostać w Olasko. Wiem, że gdybyśmy zamienili się miejscami, ja bym się na to nie zgodził. Nawet jeśli obiecałbym zachowywać się poprawnie, z pewnością znaleźli by się tacy, co użyliby mojej obecności, by podkopać jego autorytet. A co więcej, teraz Olasko jest częścią Roldem i król Karol prawdopodobnie wolałby mieć w Opardum armię Talnoyów niż mnie. Nie, raczej pójdę gdzieś indziej.

Masz jakieś plany?

– Tak, ale jeszcze nie wykrystalizowały się do końca. Lecz proszę cię o jedną rzecz, magu, o ile mogę. Czy mógłbyś jakoś zaaranżować spotkanie z moją siostrą, zanim opuszczę Olasko na zawsze?

– Oczywiście – odparł Pug. Odwrócił się do Magnusa – Znajdź jakieś pokoje dla naszych gości, a ja pošlę wiadomość do Talwina Hawkinsa. Zostań tutaj kilka dni, a gdy będziemy gotowi, wyślemy cię z powrotem do Olasko – powiedział do Kaspara – Jeżeli Nocne Jastrzębie Varena ciągle cię szukają, lepiej żebyś nie przebywał w Opardum zbyt długo.

– Zgoda.

Magnus skinął na gości, żeby udali się za nim. Poprowadził ich długim korytarzem do innego skrzydła willi. Tam wprowadził ich do wygodnego pokoju, w którym stały dwa łóżka.

– Czekaście tutaj – polecił.

Kilka chwil później wrócił z młodym chłopcem o włosach koloru piasku i niebieskich oczach.

– To Malikai – przedstawił go – Poprosiłem go, żeby opiekował się wami w czasie pobytu.

Księżę uśmiechnął się.

– I miał na nas oko, prawda?

– To niepotrzebne – stwierdził syn Puga – Jesteśmy na wyspie, więc nie ma tu wielu miejsc, dokąd moglibyście uciec albo się schować. Ale wolelibyśmy, żebyście nie zaglądali do pewnych zakątków, oczywiście dla waszego własnego dobra. Nie wiem, jak długo macie tu pozostać, więc przyniesiemy wam jedzenie i jakieś ubrania, byście mogli się przebrać.

– Panowie? – spytał Malikai, gdy Magnus zniknął za drzwiami – Czy życzycie sobie czegoś w tej chwili?

– Nic więcej jak tylko dobrego snu odparł Kaspar, siedząc na łóżku, i zaczął zdejmować buty – Przybyliśmy tutaj z miejsca leżącego dość daleko na wschodzie i nie jestem pewien, która tutaj godzina.

– Już po północy, panie.

– No cóż, zatem ciągle mamy szansę na dobry sen tej nocy, wasza miłość – powiedział Amafi i usiadł na drugim łóżku.

– Będę w pokoju obok do śniadania, panowie – odezwał się Malikai – Rano mam zajęcia, ale jeżeli będziecie mnie potrzebować, po prostu zapytajcie jakiegokolwiek studenta, a on mnie zawoła. Będą wiedzieli, gdzie jestem. Nie ma nas tutaj zbyt wielu.

– Bardzo dobrze – zgodził się książę – Spodziewam się, że będziemy mieli dużo pytań, jednak skoro jutro z samego rana będziesz zajęty, myślę, że odłożymy je na później.

Chłopiec wyszedł i Kaspar położył się na łóżku, naciągając na siebie koc Sługa postąpił podobnie i zdmuchnął świecę.

– Wasza miłość, co zamierzasz teraz robić? – zapytał zabójca po chwili.

– Spać, Amafi.

– Miałem na myśli po tym, jak już opuścimy to miejsce.

Mężczyzna milczał przez chwilę.

– Mam parę pomysłów – powiedział w końcu – Ale na razie nie jestem gotów o nich mówić Dobranoc, Amafi.

– Dobranoc, wasza wielmożność.

Książę leżał nieruchomo i doszedł do wniosku, że to bardzo dobre pytanie Zapamiętał się całkowicie w zadaniu narzuconym przez Kalkina Dostarczył Talnoya i wiadomość od boga do członków Konklawe Cieni, a teraz poza chęcią ujrzenia swojej siostry po raz ostatni. Nie miał pojęcia, co będzie robił potem.

Choć był bardzo zmęczony, długo nie mógł zasnąć.

* * *

Amafi i Kaspar byli gośćmi w domu Puga i jego rodziny przez trzy dni. Książę zorientował się szybko, że jest na niemalże legendarnej Wyspie Czarnoksiężnika, do której nie przybijały żadne

statki, gdyż strzegły jej czary, a marynarzy odstraszały pogłoski o tym, co czai się u jej brzegów. Słyszał o okropieństwach, czekających na tego, kto postawi stopę na gruncie wyspy, a także o zaklęciach, zmieniających to piękne i miłe miejsce w nieprzyjazną skałę w oczach każdego, kto ośmielił się przepłynąć na tyle blisko, żeby cokolwiek zobaczyć.

Wyspa naprawdę była cudowna, a że na północy panowała akurat pozna wiosna, miejsce tonęło w kwiatach i zieleń. Mężczyźni wykorzystywali dany im czas na odpoczynek i pokrzepienie po ciężkich przejściach, jakich doświadczyli w ostatnim roku.

Dla starego zabójcy było to pierwsze miejsce od roku, gdzie mógł wreszcie odpocząć, nie martwiąc się o własną skórę. Kaspar natomiast mógł wreszcie uwolnić się od okropnej odpowiedzialności, spoczywającej na nim od czasu, gdy spotkał Flynna i pozostałych. Obaj cieszyli się z niespodziewanego wypoczynku.

Rankiem czwartego dnia Malikai znalazł księcia siedzącego na skraju dużej łąki, rozciągającej się za domem. Słuchał lekcji, prowadzonej przez nauczycielkę o lekko pomarańczowej skórze. Poza tym drobnym szczegółem kobietę cechowała imponująca uroda. Kaspar z trudem nadązał za wątkiem zajęć, ale podobnie jak na uniwersytecie na Novindusie uważał za fascynujące obserwowanie młodych i chętnych do nauki umysłów.

– Dzień dobry, Kasparze – usłyszał nagle kobiecy głos za plecami.

Odwrócił się i zobaczył kogoś, kogo naprawdę nie spodziewał się tu ujrzeć.

– Rowena! – powiedział wstając – Co ty?

Skrzywiła wargi w uśmiechu.

– Tutaj nazywam się Alysandra. To moje prawdziwe imię.

Zaśmiał się głośno.

– A więc i ty byłaś jednym z agentów Puga?

– Tak, podobnie jak Tal.

Alysandra skinęła na Kaspara, żeby się z nią przespacerował.

– Prawie zginęłam w rękach tego szaleńca, jak zapewne wiesz?

– Po sam koniec – odrzekł z wahaniem – wszystko wymknęło się spod kontroli. Ja nie rozumiałem, na co się zgadzam.

– Och, nie obwiniaj się za to wszystko – zawołała z ożywieniem, uśmiechając się tak samo promiennie jak kiedyś – W końcu to było moje zadanie, zbliżyć się do Varena i sprawdzić, czy ma on

jakąs słabość. On nie zainteresował się mną w taki sposób, jak mężczyzna interesuje się kobietą. Raczej wolał pokroić mnie kawałek po kawałku. Odwalili kawał dobrej roboty, lecząc mnie z tamtych ran – dodała rzeczowo – Nie ma na mnie nawet jednej blizny.

Księżę nie wiedział, co powiedzieć. Kiedy znał ją jako lady Rowenę z Talsin, trzecią córkę drobnego szlachcica z niewielkiej baronii w Miskalonie, była jedną z najbardziej uwodzicielskich istot, jakie w życiu poznał. Tutaj zachowywała się zupełnie inaczej. Z jej zachowania mógł wywnioskować, że do minionych zdarzeń podchodzi z dużym dystansem, tak jakby tamto nieszczęście przydarzyło się komuś innemu.

– Cóż, nawet jeżeli wykonywałaś rozkazy swoich przełożonych, byłaś w tamtych czasach pod moją opieką. To ja pozwoliłem, aby to się stało.

– Naprawdę, nie wyrzucaj sobie tego. W końcu byłam tam, żeby cię zabić przy pierwszej nadarzącej się okazji.

Zatrzymał się na chwilę, zaskoczony, a potem ją dogonił. – Ty miałaś...?

– Ale dopiero po tym, jak odkryłabym, czym zajmuje się Leso.

– I odkryłaś?

– Nie, ale tutaj ciągle badają rzecz, którą znaleźli w cytadeli. To coś bardzo... dziwnego, jak mówią ci, którzy się na tym znają.

– A co z tobą? – zapytał. – Teraz już jesteś zdrowa. Czy powrócisz do swojej rodziny?

Zaśmiała się, tym samym melodyjnym śmiechem, który pamiętał. Tym samym, którym śmiała się, kiedy leżała w jego ramionach przez te wszystkie noce w Oparдум.

– Do rodziny? Nie mam rodziny ani nikogo na tyle bliskiego, aby go tak nazywać. Ze mną jest coś nie w porządku, Kasparze, a przynajmniej wydaje mi się, że ludzie tak o mnie myślą. To nie to, że lubię ich krzywdzić. Po prostu nie obchodzi mnie, jeżeli cierpią. Rozumiesz mnie?

I nagle Kaspar zrozumiał.

– Jesteś doskonałym zabójcą.

– Cóż, nie wiem nic o doskonałości, ale z pewnością nie czuję żadnych wyrzutów sumienia ani żalu. Kiedy byliśmy razem, świetnie się bawiłam, ale gdybyś umarł, nie poczułabym nic. Zatem Pug myśli, że najlepiej będzie, jeżeli tutaj zostanę i będę dla niego pracować.

– Zgadza się – powiedział łagodnie.

Uśmiechnęła się i ścisnęła go za ramię.

– Cóż, muszę już iść. Ale jeżeli zobaczysz się ze swoją siostrą, przekaż jej moje pozdrowienia.

– Dobrze – odrzekł i poczuł nagły smutek, patrząc, jak odchodzi.

* * *

Później tego samego ranka do księcia podszedł Malikai.

– Magnus chce z tobą mówić, panie – poinformował.

Poszedł za młodzieńcem, rozkoszując się zapachem świeżej zieleni i ciepłym słońcem, ogrzewającego mu plecy, gdy szli przez ogród. Magnus stał tuż obok jakichś bardzo bujnych kwiatów, zupełnie nieznanymi Kasparowi.

– Zorganizowaliśmy spotkanie z twoją siostrą – powiedział białowłosy mag.

– Kiedy?

– Teraz – odparł Magnus i położył rękę na jego ramieniu. Nagle znaleźli się w Domu Nadrzecznym, w pokoiku na zapleczu.

– Na tyłach jest prywatny pokój jadalny. Twoja siostra czeka tam na ciebie.

Ruszył przez restaurację, dość zatłoczoną, mimo że w Oparum był dopiero wczesny wieczór, i odnalazł jadalnię na tyłach. Wszedł do pokoju i zobaczył Natalię, siedzącą przy końcu stołu.

Kobieta wstała na jego widok.

– Och, Kasparze! – zawołała i podeszła do księcia. Jej ciąża była doskonale widoczna. Pocałowała go w policzek. – Myślałam, że już cię więcej nie zobaczę – dodała.

– Ja też tak myślałem.

Odsunęła się krok do tyłu.

– Wyglądasz tak inaczej niż kiedyś. Jesteś teraz taki szczupły!

Zaśmiał się.

– A ty wręcz przeciwnie.

Zaczerwieniła się.

– Varen i ja będziemy mieli syna, tak przynajmniej twierdzą położne. Urodzi się za dwa miesiące.

Policzył w myślach.

– Nie marnował czasu, nieprawdaż?

Natalia podeszła do swojego krzesła i usiadła; skinęła na brata, żeby zajął miejsce obok niej. Szarpnęła sznur od dzwonka i w drzwiach pojawiła się Małgorzata.

– Możesz zacząć podawać.

– Tak, wasza miłość.

Kaspar zaśmiał się, kiedy Małgorzata wyszła.

– Wasza miłość! To prawda, teraz jesteś księżną.

Pochyliła się do przodu.

– Kasparze, wiem, że pewne rzeczy mogą być dla ciebie... trudne.

Poklepał ją po ręku.

– To słowo z pewnością nie oddaje istoty rzeczy. Ale nie martw się, jakoś sobie radzę.

– Varen to dobry człowiek. On i ja nigdy... cóż, darzę go szacunkiem, a on jest zawsze uprzejmy. To wspaniały ojciec i doskonały władca. Twój naród jest w dobrych rękach.

– Naród? – westchnął dawny książę Olasko. – Już nie.

– Cóż, jeżeli to ma cię pocieszyć, następny książę Olasko będzie miał twoją krew w żyłach.

Zaśmiał się głośno i uderzył dłonią w stół.

– Nie mogę się doczekać, żeby ci powiedzieć, jak bardzo ucieszyła mnie ta akurat wiadomość.

– Ja też się cieszę.

Weszła Małgorzata z zupą i książę po zapachu potrawy poznał, że będzie mu smakować. Kiedy wyszła, złapał za łyżkę.

– Jestem podwójnie zadowolony, że spotykam się z tobą akurat tutaj – oznajmił. – Po pierwsze widzę ciebie, moja kochana siostrze, a po drugie mam okazję znów skosztować tego wspaniałego jedzenia, a wierz mi, kiedy jadłem tu obiad w zeszłym tygodniu, smakowało wspaniale.

Rozmawiali podczas posiłku, a potem długo w nocy. Kaspar sącył mocne wino, a jego siostra napiła się po obiedzie gorącej herbaty. W końcu złapali się na tym, że już nie mają sobie nic do powiedzenia. I oboje wiedzieli, dlaczego. Do pokoju wszedł Tal.

– Wasza miłość, twoja kareta już czeka – powiedział. Natalia wstała, podeszła do Talwina i pocałowała go w policzek.

– Dziękuję ci za mojego brata.

– Naprawdę nie ma za co. Poczekam na zewnątrz, a wy powiedzcie sobie do widzenia.

– Czy powinienem cię odprowadzić? – zapytał, kiedy zostali sami.

– Nie – odparła. – Ktoś może cię rozpoznać, nawet o tak późnej porze. Najlepiej będzie, jak już pójdę.

Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu ściskając się za ręce.

– Wiem – powiedział mężczyzna w końcu. – Możliwe, że już nigdy się nie zobaczymy.

– Co zamierzasz robić?

– Jeszcze nie wiem, ale ostatniego roku odkryłem jedną ważną rzecz. Nasz świat jest bardzo rozległym miejscem i daje wiele możliwości komuś, kto chce zacząć wszystko od początku. Kiedy zacznę wszystko od początku, pošlę ci wiadomość.

– Niech bogowie mają cię w swojej opiece, mój ukochany bracie. – Pocałowała go i wyszła szybko, jakby nie chciała, żeby zapamiętał ją zapłakaną.

Chwilę później do pokoju ponownie wszedł Hawkins.

– Tak jak powiedziała, dziękuję ci – rzekł Kaspar.

Tal wzruszył ramionami.

– Obaj kochaliśmy ją na swój własny sposób.

Księżę roześmiał się.

– Ironia nie jest twoją mocną stroną, ale tutaj nie sposób jej przeoczyć, nieprawdaż?

– Masz na myśli to, że kochałem twoją siostrę, jednocześnie życząc ci śmierci? – Kaspar skinął głową. – Nigdy nie mógłbym kochać Natalii w taki sposób, jak mąż kocha żonę.

– Ale znalazłeś wreszcie dziewczynę, która była twoim przeznaczeniem?

Szpon ponownie wzruszył ramionami, a na jego twarzy pojawił się wyraz rezygnacji pomieszanej z żalem.

– Cyraneczka nie jest tą dziewczyną, którą znałem w wiosce. Ona się... zmieniła. Nigdy nie będzie tak naprawdę i do końca szczęśliwa, tak myślę. Gwałcono ją tak wiele razy, że nawet nie wie, kto jest ojcem jej syna. Traktuję go jako swego własnego, ale... nigdy już nie będę dla niej tym samym chłopcem, co kiedyś. Jednakże czasem ma dobre dni, nawet tygodnie. – Zapatrzył się w dal niewidzącym wzrokiem. – Ona nigdy nie płacze, Kasparze. Nigdy. Bardzo bym się cieszył, gdyby

choć raz zapłakała.

– Wzięłeś na siebie wielki ciężar.

– A kto inny mógł oddać jej chociaż cząstkę tego, co nam zabrałeś?

Milczał. Nie mógł nic powiedzieć na swoją obronę. – Alysandra prosiła, żebym cię pozdrowił – odezwał się w końcu. – Ma się dobrze.

Tal roześmiał się, ale w jego śmiechu czaiła się nutka goryczy.

– Byłem taki młody, kiedy ją poznałem, i myślałem, że ona jest miłością mojego życia. To była twarda lekcja.

– Jest jeszcze ktoś inny, kto nigdy nie płacze – powiedział Kaspar.

– Jeżeli będziesz miał szczęście i spotkasz kobietę, którą pokochasz bez żadnych zastrzeżeń, nie wahaj się z nią zostać – odezwał się Talwin po dłuższej chwili. – Ponieważ wtedy będziesz wiedział, że bogowie naprawdę ci wybaczyli.

Księżę skinął głową.

– Powinienem już wracać. Jak to zostało umówione?

Tal podał mu kulę zrobioną z jakiegoś złotawego metalu, jednakże dużo lżejszego od złota.

– Kiedy naciśniesz tamten punkt na kuli, w jednej chwili znajdziesz się na wyspie.

– A więc to pożegnanie, młody Talwinie Hawkinsie – stwierdził Kaspar. – Chociaż nie jesteś już tak młody jak wtedy, gdy cię poznałem. Czy jeszcze kiedyś się spotkamy?

Były kawaler uśmiechnął się smutno.

– Kiedy w grę wchodzi sprawy Konklawe, nie ma nic pewnego. Na tyle, na ile jestem w stanie, życzę ci szczęścia, Kasparze z Olasko.

– A ja tobie, Talu.

Nie uścisnęli sobie dłoni, ale przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a niewypowiedziane uczucia kłębiły się w ich duszach. Księżę nacisnął punkt na kuli i nagle znalazł się w gabinecie Puga. Mag podniósł wzrok znad papierów.

– Czy spotkanie sprawiło ci przyjemność?

– Bardzo dużą – odrzekł. – Dziękuję ci za pomoc.

– To Tal zorganizował spotkanie. Ja tylko posłałem mu wiadomość.

– Wyglądasz na zmęczonego.

– Są chwile, gdy myślę, że urodziłem się już zmęczony – stwierdził Pug i uśmiechnął się smutno. – Pamiętam, kiedy jeszcze byłem chłopcem i mieszkałem w Crydee. To miało miejsce tylko sto lat temu, a wydaje mi się, że upłynęło znacznie więcej lat.

Dawny książę Olasko zaśmiał się głośno.

– Macie tutaj wspaniałe plaże, tak mi przynajmniej mówiono. Powinieneś iść popływać, a potem poleżeć na słoneczku przez cały dzień.

– Zrobiłbym to, gdybym mógł. Ale mamy dużo pracy.

– My?

– Tak. Idź i wypocznij, ponieważ jutro ty i ja wybierzemy się w podróż, żeby zobaczyć się z kimś, kto może udzielić nam więcej informacji na temat Talnoya.

– Kto i gdzie?

– Mój przyjaciel, który wie więcej o Jeźdźcach Smoków niż ktokolwiek z żywych.

– A gdzie on przebywa?

– W Elvandarze. Wybieramy się na dwór elfiej królowej.

– Talwin miał rację – westchnął szlachcic. – Nigdy nie wiesz, co może się zdarzyć następnego dnia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Elvandar.

Kaspar zamrugał.

W jednej chwili byli na Wyspie Czarnoksiężnika, a w drugiej znaleźli się w gęstym lesie. Stali na brzegu rzeki.

– To rzeka Crydee – odezwał się Pug, a potem odwrócił się, by się upewnić, że Talnoy wciąż jest z nimi.

– I co teraz? – zapytał ksiązę.

– Czekamy – odparł mag. – Nie będziemy tu długo stać. Elfy są bardzo czujne, jeżeli chodzi o granice ich państwa.

– Dlaczego musimy tu czekać, aż do nas przyjdą?

– Nikt nie może wejść do Elvandaru ani do otaczającego go lasu bez zaproszenia. Jeżeli jednak ktoś się na to poważy, musi się liczyć z poważnymi konsekwencjami.

Było chłodno, lecz nie zimno. Wyruszyli tuż po śniadaniu, ale Elvandar leżał bardziej na zachodzie niż Wyspa Czarnoksiężnika, więc kiedy tu przybyli, ledwie świtało.

Czekali prawie godzinę. Kaspar usiadł na trawie, a mag w czerni i czarny konstrukt stali bez ruchu. Ksiązę nie rozmawiał z nim zbyt wiele, gdy jeszcze przebywał na Wyspie Czarnoksiężnika. Wiedział, że Pug jest przywódcą Konklawe Cieni, chociaż nikt mu tego nie powiedział wprost. Mag nie wyglądał na osobę, która chętnie wdaje się w beztroskie pogaduszki. Zresztą do tej pory nie zrobił niczego, co przeczyłoby wcześniejszemu twierdzeniu.

– Są tutaj – odezwał się w końcu Pug.

Kaspar spojrzał za rzekę i nie zobaczył nic.

– Witajcie! – zawołał mimo tego mag. – To ja, Pug z Crydee!

Z drugiej strony rzeki dobiegł ich śmiech.

– Witaj w Elvandarze, Pugu z Crydee – zawołał w odpowiedzi ukryty rozmówca. – Ty i twoi towarzysze możecie wejść.

Pug przywołał księcia i rozkazał Talnoyowi, żeby poszedł za nimi do brodu. Kaspar, obejrzawszy się za siebie, by sprawdzić, czy istota usłuchała rozkazu, pomyślał, że w mrocznym lesie stwór z obcego świata wygląda jeszcze bardziej przerażająco. Z wielką ulgą oddał pierścień przywódcy Konklawe, który zdawał się być zdolnym do noszenia go przez dłuższe okresy bez wyraźnego uszczerbku na umyśle.

Po drugiej stronie rzeki, pomiędzy drzewami, czekały na nich cztery elfy. Książę zauważył, że jeden z nich wyglądał nieco inaczej niż pozostałe. Był szerszy w ramionach i miał nieco mniej szpiczaste uszy.

– Witaj, Calisie! – powiedział Pug, uśmiechając się do nietypowego elfa.

– Pozdrowienia, Pugu. – Młody mężczyzna nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia pięć lat. – Zawsze jesteś u nas miłe widziany. Wysłałem już posłańca, żeby poinformował moją matkę i ojca o twoim przybyciu.

– Obawiam się, że musimy znaleźć się na dworze najszybciej, jak się da.

– Przykro mi, ale nie mogę tam pójść z wami – rzekł Calis.

– Jak tam twoja rodzina?

– Ellia i bliźniaki mają się świetnie. – Popatrzył na czarną sylwetkę. – Czy dobrze rozumiem, że to właśnie tą rzecz przywiozłeś ze sobą, żeby pokazać ją na dworze?

– Tak, muszę o tym porozmawiać z twoim ojcem.

Elf przyjrzał się Talnoyowi uważnie.

– To niewątpliwie zawiera w sobie zło, ale też ma coś takiego... – skrzywił się. – To cuchnie śmiercią, Pugu.

– Obawiam się, że masz rację – zgodził się mag.

– A więc nie będziemy cię zatrzymywać. Dobrze znów cię zobaczyć, Pugu.

– I ciebie też.

Mag skinął na Kaspara, żeby stanął bliżej niego i nagle przenieśli się do innej części lasu.

Książę stał z otwartymi ustami.

Przed nim roztaczał się zaiste wspaniały widok, budzący głęboki respekt. Widział las, ale las unikalny i jakby nie z tego świata. Stali na dużej łące. Przed nimi, na środku polany, znajdowały się potężne dęby, sięgające do samego nieba. Każdy z nich był co najmniej trzykrotnie wyższy od drzew rosnących w rezerwacie łowieckim Olasko. Nie wspominając już o ich barwach!

Niektóre miały ciemnozielone listowie, zgodnie z panującą porą roku, ale inne skrzyły się czerwienią, złotem i pomarańczem. Widział nawet jeden okryty liśćmi w kolorze niebieskim, a także kilka białych jak śnieg. Pomiędzy potężnymi drzewami, tuż pod wierzchołkami, biegły szerokie aleje, zbudowane na masywnych gałęziach. Schody, które zdawały się być wyrzeźbione w żywym drewnie, wiły się wokół pni i ginęły wśród liści. Gdzieniegdzie dostrzegał platformy. Wszędzie, gdzie tylko spojrzeł, widział krzątające się elfy.

Wydawały się bardzo majestatyczne, ale Kaspar doszedł do wniosku, że opowieści, jakie o nich słyszał, nie oddawały całej prawdy.

Niektóre ubrane były w skórzane stroje do polowania, podobnie jak zwiadowcy nad rzeką, podczas gdy inne nosiły królewskie szaty z drogocennych materiałów, misternie zdobione złotą i srebrną nicią. Poruszały się z płynną gracją. Ekonomiczne ruchy dawały wrażenie raczej płynięcia albo unoszenia się w powietrzu niż zwykłego chodu.

– Zapiera dech w piersiach – westchnął.

– Byłem tutaj więcej razy, niż potrafię zliczyć, a i tak podczas każdej wizyty gapię się na wszystko z otwartą gębą – przyznał Pug. – Chodź za mną.

Poprowadził go do wielkich, łukowatych schodów, które owijały się dookoła pnia jednego z potężnych drzew. U ich podstawy bawiła się gromadka elfich dzieci, obserwowana przez kilka młodych kobiet, pochylonych w milczeniu nad szyciem.

Kiedy się wspinali, mag wymieniał pozdrowienia z wieloma mijającymi ich osobami. Dawny władca zaczął żałować, że nie może zobaczyć wszystkich cudów na raz.

– To najcudowniejsze miejsce, jakie widziałem, Pugu – powiedział.

– W rzeczy samej.

– To coś więcej niż tylko piękno... także spokój.

– To smutne, ale nie zawsze tak tu było. Podczas Wojny Światów, w miejscu gdzie wylądowaliśmy, doszło do wielkiej bitwy pomiędzy najeźdźcami Tsurani a elfami. Ja zostałem pojmany przez wroga i wywieziony do obcego świata, więc nie byłem świadkiem tamtej bitwy, lecz słyszałem tę smutną opowieść wiele razy. Zbyt często krew długowiecznych plamiła ten dziewiczy las.

Intuicyjnie wyczuł, o czym mówi Pug, gdyż słyszał pogłoski, że elfy mogły żyć przez setki lat.

Dotarli do wysokiej estakady, prowadzącej wzdłuż kilku potężnych gałęzi. Zaprowadziła ich do gigantycznego centralnego pałacu. Na wielkim drewnianym podeście stały dwa trony, na których siedziały dwie osoby, wyglądające równie nobliwie jak ich otoczenie.

Tron kobiety stał nieco wyżej niż mężczyzny. Elfka ubrana była w prostą śnieżnobiałą suknię, a mężczyzna nosił brązową tunikę i nogawice, lecz skromne stroje w żaden sposób nie odbierały im

majestatu. Uszy kobiety wyglądały jak u innych elfów – były dłuższe, szpiczaste i pozbawione wyraźnych płatków usznych. Jej wspaniałe rudozłote włosy spadały swobodnie na ramiona, ozdobione jedynie prostą, cienką złotą obręczą. Podobne kształtem do migdałów oczy kobiety miały niebieską barwę, ale w ich głębi czaiły się zielone iskierki.

Mężczyzna nie nosił żadnych ozdób, ale z całej jego postaci biła moc. Kaspar poczuł respekt przed jego siłą. Pug zrobił na nim wrażenie człowieka o subtelnej sile, ten zaś był wcieloną potęgą. Musiał mierzyć co najmniej metr dziewięćdziesiąt i miał bardzo szerokie ramiona, ale coś w jego postawie mówiło, że jego siła nie bierze się tylko i wyłącznie z wielkości ciała, lecz tkwi gdzieś w głębi.

– Witaj, Pugu! – wykrzyknął mężczyzna i wstał, żeby ich powitać. – Nie przysłałeś nam wiadomości o swoim przybyciu.

Przybysz objął go.

– Obawiam się, że przybyliśmy tu wcześniej niż posłaniec, którego twój syn wysłał nad rzeką. Czas ma wielkie znaczenie. – Zwrócił się do kobiety i skłonił głęboko. – Wasza miłość.

Uśmiechnęła się i książę znów poczuł się tak, jakby ktoś uderzył go obuchem w głowę. Była mu obca, ale z pewnością piękna, pięknem wykraczającym poza ludzkie ramy. Skinęła lekko głową.

– Cieszymy się z twojej wizyty, Pugu, jak zawsze. Kim są twoi dwaj towarzysze?

– Królowo Aglaranno – odrzekł mag – pozwól, że ci przedstawię Kaspara, byłego księcia Olasko, a teraz... mojego towarzysza. A ta istota, stojąca za nim, to właśnie powód naszej wizyty.

Królowa ponownie skłoniła głowę.

– Witaj, Kasparze.

– Jestem zachwycony i bardzo wdzięczny, że mogę tu być, wasza miłość – powiedział Kaspar.

– A to jest Tomas – przedstawił wysokiego mężczyznę. – Książę małżonek władczyni Elvandaru i mój przyjaciel z lat dzieciństwa.

Tomas pokazał ręką na elfy, siedzące kręgiem po obu stronach tronów.

– To są doradcy królowej. – Skinął w kierunku starszego elfa. – Tathar jest pierwszym pośród tkaczy magii. – Stary elf był szeroki w ramionach i brodaty; mimo białych włosów, wyglądał bardzo podobnie do swych towarzyszy z rady. Odziany był w grubo tkaną opończę i skórzane nogawice. Siedział po prawej ręce królowej. Po drugiej stronie podwyższenia, z lewej strony Tomasa, zasiadał innym elf. – A to jest Acaila, pierwszy spośród Eldarów.

Tathar wyglądał jak grubo ciosany kołek, natomiast Acaila w porównaniu z nim przypominał opanowanego kleryka, skoncentrowanego na własnym wnętrzu i duchowości. Był chudy niczym starzec, a jego skóra – niemal tak przezroczysta jak pergamin.

Książę skinął głową wszystkim, którzy zostali mu przedstawieni.

– A więc – odezwał się Tomas – co to za rzecz, która przywiodła was do nas? Ona nie jest żywa, prawda?

– W pewnym sensie jest – odparł jego przyjaciel. – Miałem nadzieję, że się jej przyjrzesz i rzucisz nieco światła na nasz problem.

Książę małżonek utkwiał w zbroi spojrzenie najjaśniejszych błękitnych oczu, jakie przybysz z Olasko kiedykolwiek widział. Po chwili powieki rozszerzyły mu się ze zdumienia.

– Talnoy! – powiedział cicho. – Teraz sobie przypominam.

– Przypominasz? – zapytał były książę Olasko.

– Wszystko ci wyjaśnimy – wtrącił się Pug. – Co o tym pamiętasz? – zapytał Tomasa, patrząc na niego badawczo.

Głos mężczyzny stał się lodowaty, tak jakby przemawiała przez niego inna osoba; zapatrzył się przed siebie niewidzącymi oczami.

– Walczyliśmy przeciwko rasie nazywanej Teld-Katha, na świecie Riska. Usiłowali wygnać nas ze swojego nieba, używając naprędce sporządzonych, ale bardzo silnych czarów. Nie udało im się, więc zamiast tego postanowili otworzyć szczelinę. Zniszczyliśmy Teld-Katha, lecz nie splądrowaliśmy ich świata, gdyż sami zostaliśmy zaatakowani przez istoty, które wyszły ze szczeliny, i przez tych... – Nagle jego oczy odzyskały ostrość widzenia. Popatrzył na przywódcę Konklawe Cieni. – Musicie jakoś to zniszczyć – syknął. – I to szybko!

– Nasze wstępne badania pozwalają mi wierzyć, że to nie będzie takie łatwe, a może nawet niemożliwe.

Tomas popatrzył na dwóch starszych elfów.

– Tathar i Acaila, czy moglibyście przyjrzeć się tej istocie i zastanowić się, czy zdołacie jakoś ją unicestwić?

Oba elfy skłoniły się i podeszły do Talnoya.

– Nie potrzebuję czarów, żeby wiedzieć, że ta rzecz jest zła – powiedział Tathar. – Nawet podczas spoczynku emanuje wokół czarną mocą.

– Będę musiał przejrzeć archiwa – zdecydował Acaila.

– Najpierw przejdźmy do jakiegoś spokojniejszego miejsca – zarządził mąż królowej. – Potem powiem wam wszystko, co wiem.

– Zwrócił się do żony. – Królowo, proszę cię o pozwolenie odejścia do prywatnych komnat.

– Idź mężu, a ja dołączę do ciebie wieczorem.

Tomas skłonił się, a potem poprowadził Puga i pozostałych do pokoi z dala od głównego dworu.

Kiedy dotarli do dużego pomieszczenia, osadzonego na grubej gałęzi, mąż królowej zatrzymał się.

– Pugu, ta rzecz może się okazać jedną z najniebezpieczniejszych istot na naszym świecie. Jak to się stało, że wpadła ci w ręce?

Pug skinął na Kaspara, który opowiedział swoją historię po raz kolejny.

– Teraz ja opowiem wam to, co pamiętam z wojny z Dasatimi – odezwał się Tomas, kiedy książę skończył.

– Wybacz mi – przerwał mu Olaskanin. – Ale jak możesz pamiętać coś, co się wydarzyło przed twoim urodzeniem?

Mąż Aglaranny popatrzył na Puga.

– Nie mówiłem mu o tym, bo nie było czasu – usprawiedliwił się mag.

– To może ci się wydać niemożliwe – zaczął książę małżonek – ale posiadam wspomnienia Valheru, jednego z Jeźdźców Smoków. To tak, jakbym przeżył dwa życia, ale obawiam się, że czas nie pozwoli mi na szczegółową opowieść. – Rozejrzał się wokół i zatrzymał wzrok na czterech mężczyznach, stojących w pokoju. – To było jeszcze przed Wojnami Chaosu – mówił dalej – kiedy Valheru rządili na niebie. Mieliśmy moc pozwalającą nam na przemieszczanie się między światami i nikt nie mógł nas przed tym powstrzymać. – Na to wspomnienie zamglily mu się oczy. – Zniszczyliśmy Teld-Katha, którzy w ostatnim, desperackim akcie otworzyli szczelinę. Przez otwarte przejście nadeszły istoty, które zaatakowały nas bez wahania. W końcu udało nam się je pokonać i zwróciliśmy naszą uwagę na szczelinę, wyczuwając, że poza nią kryje się jeszcze większa siła, może nawet większa od wszystkiego, z czym przyszło nam się mierzyć. Zatem odeszliśmy z Riski i przelecieliśmy przez szczelinę. – Odwrócił wzrok, jakby wspomnienia sprawiały mu ból. – Wtedy po raz pierwszy i jedyny w swoim życiu Ashen-Shugar czuł strach – dodał szeptem. Pokazał na Talnoya.

– Mógłbym wyjąć mój złoty miecz, Pugu, i jeżeli uderzyłbym tę istotę z całą swoją mocą, może udałoby mi się to zniszczyć. Kilkoma ciosami mógłbym może odrąbać temu głowę. Ale jego twórcy użyli czarnej magii i nawet jeżeli posiekam to na kawałki, złożą się do kupy. W przeciągu kilku godzin znów stanie na nogi, gotowe do walki. Dasati są jak plaga. Ich naród liczy miliony, mają dziesiątki tysięcy Talnoyów, może nawet setki tysięcy. Ale nawet bez Talnoyów, Dasati są trudniejsi do zabicia niż jakiegokolwiek śmiertelne istoty, jakim Valheru stawili czoła. Tylko podczas walki z bogami doznaliśmy większych strat. Nawet demony z piątego kręgu czy Lordowie Przerazenia są wrogami łatwiejszymi do pokonania, gdyż chociaż jako jednostki mają większą od nas moc, rzadko kiedy atakują gromadnie. Ashen-Shugar, władca Orlich Perci, i jego wielki, złoty smok Shuruga zabili wielu Dasatich, ale w miejsce każdego zabitego pojawiała się dwóch następnych. Po wielu dniach walki zginął pierwszy Valheru, Kindo-Raber, Mistrz Gadów. Zwlekli go z grzbietu jego

smoka i rozerwali na strzępy. Odarli jego kości ze skóry i mięsa, Pugu. Podobnie postąpili z jego wspaniałym smokiem. Oni są jak mrówki, idące niepowstrzymanym pochodem. Jest ich tak wielu, że w końcu każdy, kto stanie na ich drodze, musi upaść. Uciekaliśmy i podczas beładnej ucieczki zginęło wielu Valheru. Tak bardzo baliśmy się Dasatich, że zamknęliśmy przejście, całkowicie niszcząc Riskę.

– Zniszczyliście cały świat? – zdumiał się Kaspar.

– Mieliśmy wielką moc. Wykorzystaliśmy ją, żeby zniszczyć skorupę planety, co spowodowało wielkie trzęsienia ziemi i spiętrzenia gór. Wywarliśmy swój gniew na tym świecie, by zlikwidować przejście, które dosłownie zatrzęsnęło się pod zwałami skał.

– Jak to się tu znalazło? – spytał przywódca Konklawe, pokazując na Talnoya.

– Nie mam pojęcia – odparł Tomas. – Może jeden z moich braci wziął ją jako trofeum... chociaż trudno mi w to uwierzyć. Musieliśmy uciekać, żeby ratować swoją skórę.

– Nie – zgodził się Pug. – To musiał być ktoś inny.

– Ale jak mu się udało? I co ważniejsze, kto to mógł być? – zapytał mąż królowej. – Tylko Czarny Macros posiadał wystarczającą wiedzę o szczelinach, żeby jakąś otworzyć. I nieważne, jak zawile były jego intrygi, nie potrafię sobie wyobrazić, że mógłby zrobić coś tak niebezpiecznego.

– Och, a ja mogę – uśmiechnął się mag. – Minęło już wiele czasu od chwili, gdy odziedziczyłem wyspę Macroasa i muszę wyznać, że z powodu wojen z węzowym ludem znacznie zaniedbałem segregowanie i katalogowanie jego przepastnej biblioteki. – Westchnął – może zrobiłem się próżny i uwierzyłem, że nie dowiem się z jego dzieł już niczego nowego. W każdym razie, każę kilku moim najbystrzejszym studentom natychmiast ruszyć na poszukiwania informacji o tej rzeczy.

– Największym lękiem Macroasa był strach przed powrotem Smoczego Zastępu. Może zatrzymał tę istotę, żeby zabezpieczyć się przed taką możliwością. – Nagle na twarzy Tomasa pojawił się niepokój. – Jeden Talnoy zaledwie zirytowałby Smoczy Zastęp, ale cała ich armia...

– Myślisz, że jest ich więcej? – zapytał Pug. – Jak miałyby do tego dojść i dlaczego nikt ich jeszcze nie odkrył?

– Kiedy moi przyjaciele znaleźli Talnoya – wtrącił były władca Olasko – był zakopany pod zwałami litej skały. Jaskinia otworzyła się tylko dlatego, że wcześniej miało miejsce trzęsienie ziemi. Talnoya także otoczono licznymi czarami.

– To brzmi jak Macros – mruknął mag w czarnych szatach. – Czy wiesz, gdzie to znaleźli? – zapytał księcia.

– Nie mam pojęcia. Flynn powiedział mi, gdzie odkryli pozostałe skarby i podał nazwę miasta, które leży blisko tamtego miejsca. Z tego, co mówił, wystarczy, że damy mieszkańcom odrobinę złota, a oni z chęcią wskażą nam odpowiednie miejsce.

– Dobrze – odrzekł Pug. – Musimy tam dotrzeć najszybciej, jak się da.

– Wybacz mi – przerwał mu Kaspar – ale wydaje mi się, że umknęło ci sedno problemu. Talnoy nie jest obecnie żadnym zagrożeniem. Chodzi o szczeliny, które otwierają się pomiędzy Midkemią a światem Dasatich. Powinieneś zobaczyć istotę, która wyłoniła się z tamtejszego oceanu i chciała przejść do naszego świata! Widziałem ją, kiedy wracałem do Oparum. Te szczeliny będą się otwierały coraz częściej i pozostawały coraz dłużej, jeżeli nic z tym nie zrobimy!

– Istoty z drugiego kręgu pojawiały się w naszym świecie kilkakrotnie podczas minionych wieków – oznajmił Acaila. – Eldarowie byli pierwszymi pośród sług Valheru i ciągle nie dajemy zginąć ich legendzie. Nawet najmniejsza istota ze świata Dasatich jest potencjalnie śmiertelna i niemalże niemożliwa do zabicia. Cały zastęp takich istot to zagrożenie, którego wagi nawet nie potrafimy sobie wyobrazić.

– Czy powinienem znów nałożyć moją zbroję? – zapytał mąż królowej.

– Te istoty stanowią zagrożenie nie tylko dla Elvandaru – rzekł wolno stary Tathar. – One zagrażają całemu światu, na którym żyjemy.

– Wybaczcie, że pytam – przerwał im książę – gdyż nie znam się zbyt dobrze na magii i szczerze mówiąc, nawet to, co wiem, to i tak dla mnie za wiele.

Pug kiwnął głową, rozumiejąc, że chodzi mu o nekromantyczne praktyki Leso Varena.

– Ale przecież miotałeś nami jak ziarnkami grochu po całym świecie. Nie mógłbyś po prostu odesłać tego z powrotem, tak samo jak nas?

– Muszę znać miejsce przeznaczenia.

– A co ze słońcem? – zapytał były książę Olasko. – Nie możesz wysłać tego aż tak daleko?

Mag zaśmiał się.

– Może, ale potrafię wysłać rzeczy i ludzi tylko w miejsca, które znam albo takie, które dokładnie mi opisano. Najlepiej działa wtedy, kiedy sam widziałem dane miejsce. Podejrzewam, że mógłbym przyrzeć się słońcu uważnie, a potem spróbować się tam dostać, ale raczej nie zaryzykuję. – Opadł na oparcie. – Chociaż myślę, że znalazłem wyjście z sytuacji, przynajmniej na krótki czas. Zabiorę Talnoya z Midkemii.

– Dokąd? – zapytał Tomas.

– Do Zgromadzenia na Kelewanie. Magowie, którzy tam mieszkają, będą może w stanie udzielić mi bardziej szczegółowych informacji na temat tej rzeczy. I jest ich więcej niż moich studentów na Wyspie Czarnoksiężnika. Z pewnością będą mogli rzucić na tyle potężne czary ochronne, że znów skryją Talnoya przed jego macierzystym światem.

– A co ze Stardock? – spytał książę. – Moi przyjaciele planowali sprzedać to właśnie magom

stamtąd.

Pug uśmiechnął się.

– To ja założyłem Akademię w Stardock. Zaufaj mi, gdy mówię, że większość magicznej mocy na Midkemii znajduje się właśnie na mojej wyspie. Ale nawet połączone siły magów ze Stardock i moich studentów to za mało. Członkowie Zgromadzenia są silniejsi i bardziej doświadczeni. Jeżeli zabiorę Talnoya z Midkemii na Kelewan, zmniejszy się ryzyko powstawania nowych szczelin. Po jakimś czasie przejścia mogą wrócić, ale jak powiedziałem, magowie z Kelewanu być może potrafią przywrócić czary ochronne, a tym samym dadzą nam więcej czasu na badanie Talnoya.

– Powinniśmy zbadać to, zanim odejdziesz – zauważył Tathar. – Może uda nam się coś odkryć.

– Dziś wieczorem będziecie naszymi gośćmi – powiedział książę małżonek, prowadząc Kaspara i Puga do innego pokoju. – Odpocznijcie tutaj przez resztę popołudnia. Pugu, jeżeli będziesz miał chwilkę, czy mogę cię prosić?

Mężczyzna skinął głową.

– Dołączę do ciebie niebawem. – Zwrócił się do Kaspara, siedzącego na puchowym materacu, leżącym na drewnianej ramie łóżka. – Mój przyjacielu, mam wiele spraw do omówienia. Czy zechcesz zostać tutaj sam?

– W głowie mi się kręci od tego, co widziałem i słyszałem, Pugu. Czas na odpoczynek i rozmyślenia będzie mile widziany.

Gdy Pug wyszedł, książę położył się na łóżku i pozwolił swemu umysłowi dryfować swobodnie. Przed jego oczami przesuwały się obrazy minionych miesięcy. Widział Joannę i Jorgena, Flynna i innych, grał w szachy z generałem, podróżował po morzu. Nagle coś go uderzyło.

Wstał i wyszedł z pokoju. Kiedy szedł w kierunku głównego dworu i przechodził przez mostek, zobaczył Puga i Tomasa, pograżonych w cichej rozmowie na platformie poniżej.

– Pugu! – zawołał.

Mężczyźni spojrzeli do góry.

– Co takiego?

– Właśnie o czymś pomyślałem. – Kaspar rozejrzał się dookoła. – Jak mogę do was zejść?

– Schody są tam. – Pokazał mu mag.

Zbiegł na dół i dołączył do nich.

– O co chodzi? – zapytał Pug.

– Dowiedz się, kto rzucił na Talnoya urok, a będziesz wiedział, kto pogrzebał go pod skałami wieki temu.

– Urok?

– Kiedy spotkałem Flynna i innych – zaczął wyjaśniać Olaskanin – byli oni jedynymi, co przetrwali z trzydziestoosobowej grupy kupców, podróżujących po Novindusie. Pozostawiali pod działaniem uroku. Nie byli w stanie decydować o kierunku wyprawy, gdyż niewiadomy przymus kazał im zanieść Talnoya do Pawilonu Bogów. Porzucili nawet bajeczną fortunę, żeby tego dokonać. Ktoś bardzo chciał, żeby bogowie zwrócili uwagę na tę rzecz.

– Nie widzę błędu w twoim rozumowaniu – zachęcił go przywódca Konklawe Cieni.

– Nie zdawałem sobie z tego sprawy aż do teraz, ale kiedy opuściłem Pawilon Bogów, nie czułem już potrzeby udania się w jakieś konkretne miejsce. Czar zniknął.

– Wypełnił się – odpowiedział Tomas.

– Albo został usunięty przez Kalkina! Czy jest jakiś sposób, żeby się dowiedzieć, kto był autorem tego uroku?

– To możliwe – zamyślił się mąż Mirandy. – Magia jest tak samo sztuką, jak logicznym działaniem i magowie bardzo często pozostawiają swój... podpis, z braku lepszego słowa. – Popatrzył na Kaspara. – Gdyby to był twój przyjaciel Leso Varen, wyczułbym go w jedną minutę. Ale to nie był on.

– A co z przedmiotami, które pozostawił po sobie w cytadeli? – zapytał. – Czy znaleźliście tam cokolwiek, co mogłoby go wiązać z tą sprawą?

– Nie – odparł Pug. – Ale Varen próbował otworzyć nowy rodzaj przejścia...

– Nowy rodzaj? – przerwał mu książę małżonek. – Co masz na myśli?

Przywódca Konklawe Cieni westchnął.

– To bardzo skomplikowane, więc jeżeli mój wywód stanie się dla was zbyt niejasny, nie wahajcie się i poproście mnie o więcej szczegółów. Szczeliny to rozdarcia w materiale wszechświata. Żeby je stworzyć, potrzebna jest specjalna wiedza i wielka porcja energii. Varen używał mocy, której jeszcze nigdy nie widziałem ani tym bardziej nie stosowałem. Ale to przypomniało mi coś, czego nie mogłem do końca zrozumieć.

– Na czym polegają różnice? – spytał książę.

– Varen używał energii życiowej, którą wysysał ze swoich ofiar podczas potwornych tortur i morderstw, podobnie jak Murmandamus, kiedy gromadził życiowe moce, aby uaktywnić Kamień

Życia.

Kaspar wyglądał na nieco zagubionego, w przeciwieństwie do Tomasa.

– Pantathianie? – zdziwił się mąż królowej.

Pug kiwnął potakująco głową.

– Może. Chociaż uważamy ich za całkowicie wytępionych i nie widzieliśmy ani śladu Gadzich Kapłanów od końca wojny z wężowym ludem, wszystko jest możliwe. Pozwólcie mi odejść, muszę jeszcze raz zbadać Talnoya.

Zniknął nagle. Olaskanin stał zdumiony i wpatrywał się w Tomasa.

– Wybacz mi moją ignorancję, ale mówiliście o rzeczach, które są mi zupełnie obce.

Mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu i przez chwilę wyglądał jak psotny chłopiec.

– Mój przyjaciel Pug potrafi być bardzo obcesowy, kiedy przychodzi do tym podobnych rzeczy. Chodź ze mną, a pomogę ci wypełnić luki w twojej wiedzy, a przy okazji wypijemy szklaneczką lub dwie krasnoludzkiego piwa.

– Z wielką przyjemnością – odrzekł kiwając głową.

Zeszli z platformy. Podążył za Tomasem, najwyraźniej zmierzającym w kierunku prywatnych pokoi. Książę doszedł do wniosku, że jak na królewskie komnaty pomieszczenia są dość skromne. Jednakże w postawie i manierach tego ludu było coś królewskiego, więc zakładał, że nie potrzebują otaczać się zbytkiem i bogactwem, żeby przypominać innym o swojej ważności.

Tomas nalał dwa kufle chłodnego piwa i podał jeden Kasparowi. Skinął na byłego księcia Olasko, żeby usiadł.

– Moja historia będzie długa – powiedział. – A z pewnością wydłużą ją jeszcze setki twych pytań. Jeżeli chcesz poznać dzieje Gadzich Kapłanów i usłyszeć, jaką rolę odegrali podczas Wojny Światów i Wielkiego Powstania, muszę zacząć od momentu, kiedy ja i Pug byliśmy jeszcze chłopcami i pracowaliśmy dla mojego ojca w kuchni zamku Crydee...

* * *

Kiedy mąż Aglaranny skończył swoją opowieść, zdążyli wypić po kilka kubków ciemnego piwa, a za krzesłem Kaspara zapłonęła świeca. W drzwiach do pokoju stanęła królowa elfów i gość wstał.

– Tutaj jesteście – powiedziała z uśmiechem.

Księżę skłonił się.

– Wasza miłość.

– Czy czujesz się u nas dobrze, lordzie Kasparze?

– Nie jestem już lordem, wasza miłość, ale tak, czuję się tu lepiej niż dobrze. Twój dom jest jak wzmacniający nektar. Od wielu lat nie czułem się tak wspaniale.

Księżę małżonek uśmiechnął się.

– To jedna z zalet mieszkania z elfami.

– Twój mąż skończył właśnie opowiadać mi zadziwiającą historię swojego dzieciństwa, o Wojnie Światów i Kamieniu Życia.

– Kamień Życia był jednym z najbardziej strzeżonych sekretów naszych czasów. Teraz, kiedy już nie istnieje, możemy o nim mówić bez przeszkód.

– Kiedy Tomas opowiedział mi o twoim synu i o tym, jak jego nietypowa natura, biorąca się z połączenia krwi ludzkiej, Jeźdźca Smoków i elfiej, okazała się kluczem do zagadki Kamienia Życia... cóż, miałem pewien pomysł. Myślę, że powinienem porozmawiać o tym z Pugiem.

– Są w pokoju, który leży tuż obok biblioteki, Kasparze – powiedziała Aglaranna, wchodząc głębiej do pomieszczenia.

– Chodźmy, pokażę ci – zaproponował Tomas.

Kaspar pożegnał królową elfów i podążył za jej małżonkiem poprzez estakady, podwieszane na gałęziach, i schodki, wsparte na pniach drzew Elvandaru, aż dotarli do dębu, który był potężniejszy od pozostałych. Ze wszystkich widzianych tu drzew, to było najokazalsze. Jego pień miał dwadzieścia pięć metrów średnicy, a na środku, wycięte w korze, widniało spore, otwarte wejście.

Tomas poprowadził księcia w głąb drzewa. W środku zaskoczony mężczyzna ujrzał wznoszące się piętrowo platformy, układające się okręgami wokół centralnej studni, którą biegła drabina, umożliwiająca komunikację pomiędzy piętrami.

– To nasza biblioteka – wyjaśnił mąż królowej elfów. – Jest zupełnie niepodobna do księgozbiorów ludzi, gdyż trzymamy tutaj znacznie więcej niż tylko księgi i woluminy. W tym miejscu składowane są także artefakty i inne przedmioty, szczególnie nas interesujące.

– Fascynujące – przyznał Olaskanin. Okrążyli centralną studnię i wyszli przez kolejny portal na przeciwko pierwszego, przez który wchodzili do pnia. Zobaczył sporą platformę, leżącą na skrzyżowaniu gałęzi. Ponad nią znajdował się inny pokój, a w środku siedział Pug i dwa starsze elfy; razem badali Talnoya.

– Kaspar ma jakiś pomysł, Pugu – oznajmił małżonek Aglaranny.

Pug podniósł głowę i spojrział na nich.

– Z chęcią go usłyszemy.

– O ile dobrze zrozumiałem to, co Tomas przed chwilami opowiedział, Kamień Życia został stworzony przez Jeźdźców Smoków, którzy chcieli za jego pomocą zniszczyć bogów, prawda?

– Tak – potwierdził Tomas. – Takie właśnie było przeznaczenie owego przedmiotu. Miał wyssać energię życiową z naszego świata, żeby przetworzyć ją w broń przeciwko bogom.

– A w jaki sposób? – spytał Kaspar.

– Co masz na myśli?

– No cóż, kiedy syn Tomasa uaktywnił Kamień Życia i uwolnił zgromadzoną w nim siłę życiową, twoja żona odzyskała płodność, prawda?

– Tak – potwierdził mag. – Chociaż nie widzę, do czego zmierzasz.

– Poczekaj – przerwał mu książę. – Teraz, pozwalanie ludziom na rodzenie dzieci nie wydaje mi się celem samym w sobie, jak krył Kamień Życia. Tak samo jak leczenie ran albo inne rzeczy które przydarzały się osobom, wystawionym na działanie tego artefaktu w tamtych dniach.

Pug skinął głową.

– Zatem, chcę zapytać, jak ten... Murmandamus? – Popatrzy pytająco na Tomasa.

– Tak, tak się właśnie nazywał.

– Jak ten Murmandamus zamierzał zniszczyć te wszystkie życia, których energię planował przelać w Kamień Życia, i w jak sposób Jeźdźcy Smoków chcieli użyć tej siły przeciwko bogom.

Mag w czerni popatrzył na Tomasa.

– Jeżeli kamień zostałby aktywowany, połknąłby wszystkie siły życiowe na naszym świecie. Wszystko, poczynając od największego smoka do najmniejszego źdźbła trawy, zostałyby zniszczone. Bogowie straciliby jednocześnie wszystkich wyznawców i swoją tożsamość. Valheru byli przekonani, że mogą na jechać na inne planety i ponownie zaludnić Midkemię.

– Szaleństwo – podsumował Kaspar. – Strażnik Samas powie dział mi trochę o naturze zła. Wysnuł wniosek, że zło to czyste szaleństwo.

– Zgadza się z tym – odezwał się mąż królowej. – Widzieliśmy, jaki wpływ ma zło na żywe istoty, nawet tutaj, pomiędzy elfami.

– Więc Pantathianie szukali sposobu na zniszczenie całego życia na tym świecie, wliczając w to swoje własne, prawda?

– To była rasa skrzywiona – rzekł Tomas. – Uczyniona na podobieństwo jednej z Valheru, którą czcili. Wierzyli, że Alma-Lodaka jest ich boginią. Wierzyli ślepo i bezmyślnie; myśleli, że kiedy ich bogini powróci, sprawi, że staną się półbogami i dołączą do niej w niebie. To smutna i pokręcona rasa, efekt niewłaściwego użycia siły i mocy Valheru – dokończył.

– Dobrze, więc przejdę do rzeczy. Dlaczego próbujecie znaleźć logiczne wytłumaczenie faktu, że ta rzecz znalazła się na naszym świecie, skoro bardziej prawdopodobne będzie tłumaczenie szalone i nieprawdopodobne?

Mag popatrzył na księcia małżonka i po chwili obaj się roześmieli.

– Kasparze – powiedział mąż Mirandy – czy masz coś konkretnego na myśli?

– Powiedziałaś, że walczyłaś z Leso Varenem już wcześniej, ale on mieszkał w mojej cytadeli przez długie lata. Jadałem z nim. Stałem i patrzyłem, jak on robi ludziom różne rzeczy... szaleństwo, tak tylko mogę je opisać. Jednak podczas gdy w jego działaniach są może jakieś ślady pokrętej i szalonej logiki, skąd możemy wiedzieć, czy z punktu widzenia kogoś innego jego postęпки nie zdawały się zupełnie logiczne?

– Mów dalej – zachęcił go Tomas.

– Gdzie mieszkali Pantathianie?

– Na wzgórzach, u podnóży gór Ratn'gary, na południe od Nekropolis – odpowiedział Tomas.

– A więc może było tak, że urok nie stanowił części bardzo sprytnego planu, którego ukoronowaniem miałyby być dostarczenie Talnoya do bogów przez przypadkowego znalazcę. Może raczej to Pantathianie skonstruowali czar, żeby ktoś przyprowadził tę maszynę im, do miejsca, gdzie żyli, prawda?

– Ale po co? – zapytał Pug.

– Po co? – powtórzył Kaspar. – Ponieważ oni są szaleńcami! W jakiś sposób konstrukt dostał się do naszego świata. Może przybył przez szczelinę wraz z Jeźdźcami Smoków. Może ktoś zabrał go jako łup i porzucił gdzieś po drodze. Ale w pewnym momencie został pogrzebany pod tonami skały i Pantathianie otoczyli go czarami, żeby go nikt nie znalazł. I prawdopodobnie ubezpieczyli się na wypadek, gdyby jednak ktoś trafił na Talnoya. Gdyby to się stało, znalazca i tak dostarczyłby im to coś.

– Ale po co by to tam zakopywali? – zdziwił się Tathar.

– Nie mam pojęcia. Może nie chcieli, żeby to wpadło w ręce kogoś innego, a ukrycie w bezpiecznym miejscu było bardziej korzystne niż wleczenie Talnoya przez cały kontynent – odparł książę. – Może ich bogini im tak kazała, lecz jakiegokolwiek byłyby przyczyny, być może w całej tej historii, w którą Flynn i jego towarzysze tak nieszczęśliwie się wplątali, nie ma nic więcej ponad głupi antyczny kawał.

– Jeżeli tak, szaleństwo Pantathian bardzo się nam przydało – stwierdził Acaila. – Bo gdyby czar nie został aktywowany, ta rzecz spałaby w swojej kamiennej pieczarze bez przeszkód i gdyby zaczęły pojawiać się przejścia, nie mielibyśmy nawet bladego pojęcia, dlaczego tak się dzieje.

– Aż do chwili, kiedy na karki spadłaby nam armia Talnoyów – podsumował były władca Olasko.

– Każę Magnusowi zabrać to na Kelewan – oznajmił przywódca Konklawe. – Myślę, że spróbuję poszukać miejsca na Novindusie, gdzie Talnoy był ukryty. – Zwrócił się do księcia. – Czy pomożesz mi znaleźć jaskinię, skąd przedmiot został zabrany?

Wzruszył ramionami.

– Zrobię, co będę mógł.

– A teraz, jest jeszcze jedna sprawa – zaczął Pug.

– Nocne Jastrzębie – powiedział Tomas. – Taa, mnie też to martwi.

– Czy Leso Varen mógł tak szybko odzyskać swoją moc? – zapytał Olaskanin. – Talwin Hawkins skrzył mu przecież kark.

– Zmierzyłem się z nim kilkakrotnie – odparł mag – i przez wiele lat gromadziłem świadectwa i dowody jego działań. Na przykład wiele lat temu zginął baron z Końca Ziemi. Szlachcic próbował uratować swoją umierającą żonę za pomocą czarnej magii i umarł podczas tej próby; syn arystokraty z Aranoru usiłował zamordować całą swoją rodzinę w noc zaręczyn; a także pan z Keshu lekką ręką zdradzał sekrety stanu Królestwu Roldem bez żadnego powodu ani zysku, aż w końcu sam odebrał sobie życie. Tak, jeżeli posiada moc taką, jak myślę, może powrócić już w rok po swojej domniemanej śmierci. I znów wysyłać swoich podwładnych w nieczym celu. – Pug popatrzył na Kaspara. – Jest taki szczególnie niebezpieczny i odpychający czar, który pozwala magowi zamknąć swoją duszę w pudełku, butelce albo jakimś innym szczelnie zamkniętym pojemniku. Tak długo, jak opakowanie pozostaje nietknięte, nieważne co stanie się z ciałem. Jeżeli w pobliżu uwięzionej duszy znajduje się inne ciało, kiedy stare umiera, dusza maga bierze w posiadanie to nowe. Varen może teraz wyglądać jak ktokolwiek bądź. Może być młodym chłopcem albo piękną kobietą. Potrafi ukryć swoją tożsamość, ale nie przede mną. Ja stawiłem mu czoła zbyt wiele razy i rozpoznałbym go w jednej chwili.

– Musisz odnaleźć ten pojemnik – powiedział były książę Olasko.

– Kiedyś to zrobię – odparł Pug.

Mąż Aglaranny westchnął.

– A więc chodźmy na obiad, moi przyjaciele, a jutro zabierzecie się za wykonywanie smutnych zadań. Lecz do tej pory rozchmurzcie się i dajcie odpocząć umysłom.

Kaspar i Pug wymienili spojrzenia. Wiedzieli obaj, że nawet jeżeli wieczór sprawi im przyjemność, nie zdołają w pełni się zrelaksować.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Požoga.

Olaskanin czekał cierpliwie. On i Pug mieli właśnie opuścić Elvandar i czekali, aż w sali audiencyjnej pokażą się królowa elfów i jej małżonek Tomas. Talnoy stał bez ruchu za Kasparem.

Kiedy przybyła królewska para, wszyscy wstali i skłonili się. Królowa zajęła swoje miejsce na tronie.

– Dziękujemy ci za ostrzeżenie, Pugu. Jesteśmy teraz świadomi zagrażającego nam niebezpieczeństwa. I tobie też dziękujemy, Kasparze z Olasko.

Kaspar uklonił się królowej.

– Wasza miłość, twoja łaskawość dorównuje piękności. Upokarzasz dumnego człowieka swoją hojnością i dobrocią.

Aglaranna uśmiechnęła się.

– Wiem, że na twojej przeszłości leży cień, lordzie Kasparze, ale czuję, że walczysz, aby wejść na ścieżkę wiodącą ku dobru. Życzymy ci wszystkiego najlepszego na tej drodze i mamy nadzieję, że osiągniesz sukces.

– Znów twoja dobroć, wasza miłość, zawstydzają mnie – odrzekł książę.

– Czy to już czas? – spytała królowa patrząc na Puga.

– Musimy teraz wrócić na Wyspę Czarnoksiężnika – odparł mag. – Jeżeli wasza miłość pozwoli.

Królowa Aglaranna uśmiechnęła się i skinęła lekko głową.

– Idźcie z naszym błogosławieństwem. Życzę wam bezpiecznej podróży, mój przyjacielu Pugu. Zawsze będziemy cię witać z radością na naszym dworze.

Tomas uścisną rękę Kaspara.

– Mam nadzieję, że spotkamy się znowu w lepszych czasach. Tak jak powiedziała moja żona, życzę ci, abyś ruszył przed siebie lepszą ścieżką, niż ta, po której stąpałeś do tej pory.

– Mam nadzieję, że pewnego dnia tu powrócę, Tomasie.

– Znasz moją przysięgę – zwrócił się książę małżonek do Puga. – Ślubowałem, że nigdy nie opuszczę Elvandar, chyba że wymagałoby tego jego bezpieczeństwo. Tathar przekonał mnie, że obecne zagrożenie jest daleko poważniejsze niż inwazja Tsuranich. Zatem gdybyś potrzebował mojej pomocy, nie wahaj się mnie zawiadomić.

– Modłę się, żebym nigdy nie odczuł takiej potrzeby – odparł jego przyjaciel – ale jeżeli dostaniesz moje wezwanie, wiedz, że nie przyjdzie mi ono z łatwością.

– Wiem.

Pug wsunął na palec pierścień pozwalający na wydawanie poleceń Talnoyowi.

– Zbliź się – rozkazał i istota usłuchała.

Zsunął pierścień i podał go z powrotem Kasparowi, który schował metalowy krążek do sakiewki przy pasku. Mag położył rękę na ramieniu księcia.

– Elvandar jest chroniony czarami niepodobnymi do jakichkolwiek na świecie – powiedział. – Będę potrzebował pomocy tkaczy magii, żeby ruszyć bezpośrednio do domu. W przeciwnym razie będziemy musieli udać się najpierw nad brzeg rzeki i znów przejść przez bród. – Skinął na Tathara.

Stary elf kiwnął głową i zaczął mrużyć pod nosem. Melodia została szybko podchwyciona przez pozostałych tkaczy magii.

– Za chwilę będziemy mogli...

Nagle książę poczuł, że dzieje się coś złego, coś przerażająco niewłaściwego. Powietrze wypełnił ogłuszający łoskot, kaleczący uszy. Kaspar zwinął się z bólu i niemalże osunął na ziemię; podniósł ręce, żeby ochronić uszy. Z bólu łzawiły mu oczy. Zamrugnął, aby usunąć łzy; upadł na kolana, po czym dostrzegł, że większość elfów, zebranych w sali tronowej, także leży na podłodze. Królowa siedziała na tronie z zamkniętymi oczami; jej twarz stanowiła maskę cierpienia. Tomas wstał. Przerażający hałas działał na niego tak jak na pozostałych, ale najwyraźniej łatwiej znosił ból.

Książę poczuł, jak jego żołądek zaciska się w supeł i ogarnia go fala nudności. Odwrócił się do Puga i ujrzał, że mag walczy o odzyskanie skupienia.

Twarc Puga była potwornie wykrzywiona, lecz jego oczy patrzyły świadomie. Uniósł dłonie ponad głowę i krzyknął chrapliwie kilka słów inkantacji. Potworny hałas nieco zelżał. Przez chwilę nikt się nie ruszał. Wszyscy byli ogłuszeni nieoczekiwanym wydarzeniem, a potem niebo ponad nimi buchnęło płomieniem.

Kaspar przez ułamek sekundy czuł na swoim ciele żar otwartego ognia, palący płuca i pozostawiający na skórze piekące pęcherze. Ale przywódca Konklawe znów wykrzyczał w odpowiedzi kilka słów. Mag wyciągnął rękę i spadające z nieba morze płomieni znikło tak szybko, jak się pojawiło. Ogień szalał za niewyraźną kopułą energii, ale Olaskanin ciągle czuł ciepło, niemal niemożliwe do zniesienia.

Tkacze magii ciągle staniali się na nogach. Atak z nieba wyraźnie uderzył najmocniej w tych, co mieli strzec bezpieczeństwa Elvandaru, podobnie jak w wielkie drzewa, otaczające dwór.

Wszędzie, gdzie spojrzął, Kaspar widział płomienie, tańczące na szczytach drzew. Starożytne dęby miały się daleko lepiej niż las otaczający serce Elvandaru. Poprzez gałęzie i listowie widział ogień, szaleńczo rozprzestrzeniający się w każdym kierunku. A także słyszał krzyki i jęki.

– Tamar! – krzyknął Pug. – Od lat nie posługiwałem się magią pogody. Czy potrafisz sprowadzić deszcz?

Stary elf potrząsnął głową.

– Przerwanie barier ochronnych zważyło nas z nóg, ale spróbujemy. Może się uda.

Elfy uklękły razem i zaczęły omawiać następne posunięcie.

– Pospieszcie się – nalegał mag, który ciągle podtrzymywał barierę chroniącą centrum dworu.

Księżę rozglądał się wokół i zastanawiał się, co dzieje się z mieszkańcami Elvandaru, którzy przebywali w miejscach nie chronionych zaklęciem odzianego w czerń maga. Ci na ziemi i na niższych poziomach powinni być bezpieczni, gdyż ogień płonął tylko na najwyższych gałęziach, ale mieszkańcy górnych platform nie mieli najmniejszych szans.

Kaspar widział pożar koron drzew w lesie Olasko, kiedy był jeszcze chłopcem. Pewnego lata ojciec zabrał go na polowanie; był to bardzo suchy rok. Górne partie lasu na wzgórzach zajęły się ogniem od uderzenia pioruna. Chłopiec stał i patrzył, jak płomienie przeskakują z wierzchołka na wierzchołek; pędziły tak szybko, jak zwierzęta, które uciekały przed ogarniającą wszystko pożogą. To był potworny widok i nie chciałby go nigdy więcej oglądać.

Nagle księcia ogarnęło kolejne potworne uczucie. Poczul chłód, biegnący w dół wzdłuż kręgosłupa i zaciskający żołądek w węzeł. Niemalże bez udziału świadomości wyszarpnął miecz z pochwy. Elfy, zebrane w sali, zaczęły rozglądać się nerwowo. Pojawiło się coś, czego nie było tutaj jeszcze chwilę wcześniej.

A potem Kaspar zobaczył cień – migoczący obraz niemal niedostrzegalnej sylwetki ludzkiej, złapany kątem oka.

– Tam! – zawołał i pokazał na majaczący kształt.

Nagle wśród elfów zapanowało ożywienie. Człowiek rozglądał się wokoło zaskoczony, kiedy tkacze magii padali na ziemię, rzucając jak szmaciane lalki. Tylko stary Tathar stał niczym mocno zakorzeniony dąb. Jego ręce poruszały się gorączkowo w powietrzu, kiedy snuł czary, mające chronić królową. Tomas w jednej chwili znalazł się tuż przy żonie i zamknął ją w ochronnym uścisku ramion. Uniósł ją z łatwością, jakby była dzieckiem, i zaniósł do względnie bezpiecznych, znajdujących się niedaleko, prywatnych komnat.

Kaspar odwrócił się gwałtownie, gdyż znów zdawało mu się, że dojrzał na mgnienie oka zarys

ludzkiej sylwetki. Nic jednakże nie zobaczył.

Jedną ręką, wyciągniętą wysoko ponad głowę, Pug osłaniał dwór przed szalejącymi płomieniami, a drugą zaczął przywoływać nowy czar. Z zaciśniętej dłoni buchnęło oślepiające, błękitne światło. Blask wydobył kontury dworu, upodabniając jego mieszkańców do surowych płaskorzeźb; ostre światło zalewało przedmioty i czyniło cienie jeszcze czarniejszymi. Na środku sali tronowej stał cień mężczyzny trzymającego miecz i rozglądał się dookoła, jakby czegoś szukał. Nagle pojawił się drugi. A potem trzeci.

– Tancerze śmierci! – wrzasnął mag w czerni.

Księżę usiłował przyjrzeć się obcym istotom dokładniej. Z pewnością miały ludzki kształt, ale brakło im szczegółów i trzeciego wymiaru. Były jak cienie, którym nadano konkretną formę, jak duże szablony, wycięte z materiału tak czarnego, że nie odbijał światła. Wiedział, że bez magii Puga te istoty byłyby nieuchwytnie dla ludzkiego oka.

Elfy rzuciły się do walki. W całym Elvandarze rozbrzmiewały krzyki i wrzaski; Kaspar słyszał brzęk stali uderzającej o stal.

A potem tuż przed nim wyrósł tancerz śmierci i były księżę Olasko został zmuszony do walki o swoje życie. Nigdy jeszcze nie walczył z kimś tak skoncentrowanym i szybkim. Parował ciosy, gdyż mógł się tylko bronić. Nie miał czasu, aby obmyślać atak albo ripostę. Po prostu walczył, aby utrzymać się przy życiu.

Wrócił Tomas dzierżąc złoty miecz. Potężnym ciosem uderzył w ramię istotę walczącą zaciekle z Kasparem. Tancerz zawył cieniem, zawodzącym głosem.

Tancerz śmierci odwrócił się, żeby stawić czoła Tomasowi, więc Kaspar ze wszystkich sił pchnął czarną istotę mieczem w plecy. Znowu zawyla, ale cios najwyraźniej tylko odrobinę zwolnił jej ruchy.

Coś nagle przebiegło tuż obok księcia. Kątem oka dostrzegł, że dwaj tancerze śmierci unoszą Talnoya i gdzieś go zabierają.

Wyjął pierścień z sakiewki przy pasku i wsunął go na palec. Natychmiast poczuł się dziwnie, co zwykle towarzyszyło noszeniu metalowego krążka. Skoczył za uciekającymi tancerzami śmierci i w jednej chwili dotknął ramienia Talnoya.

– Zabij tancerzy śmierci – rozkazał mu.

Olaskanin zatrzymał się, gdy istota ożyła. Uniosła stopy i podkurczyła kolana, a potem kopnęła, wyrzucając nogi wysoko w powietrze. Ruchem, który wyrwałby człowiekowi ramiona ze stawów, odepchnęła się i wyłamała z uścisku dwóch tancerzy, wyskakując wysoko w powietrze. Zwinęła się w locie w kłębek i obróciła wokół własnej osi, lądując na nogach twarzą do przeciwnika. Czarny miecz załśnił w rękach Talnoya.

Konstrukt postąpił krok naprzód. Poruszał się z nieludzką szybkością i przeciął obu tancerzy

śmierci w pasie, niczym żniwiarz tnący zboże sierpem. Napastnicy zamienili się w dym i znikli z jęklwym okrzykiem. Następnie Talnoy podbiegł do dwóch czarnych napastników, którzy właśnie zabili dwóch elfich wojowników. Mroczny, pozbawiony wyraźnych konturów tancerz odwrócił się jakby wyczuł atakującego i uniósł miecz. Talnoy uderzył z góry z niesamowitą siłą i tancerz obrócił się od impetu ciosu wokół własnej osi. Następnie czarny wojownik uderzył ponownie i jego przeciwnik upadł do tyłu, zwijając się w kłębek. Trzeci cios jego miecza skruszył ostrze napastnika, zrobione z ciemnej mgły, i zagłębił się w szyi tancerza. Na oczach Kaspara pokonany zatracił kontury i rozwiął się na wietrze niczym dym.

Zanim książę zdołał pojąć, co widzi, Talnoy właśnie dobiegał do czwartego tancerza, a Tomas powalał kolejnego potwornym ciosem oburęcznego miecza. Uderzenie było tak silne, że z pewnością zdołałoby przeciąć kowadło. Tancerz złożył się w pół i wyparował.

Mąż królowej rozejrzał się dookoła. Podczas gdy ludzie i elfy z trudem dochodzili do siebie po niespodziewanym ataku, przedmiot Dasatich ruszył w pościg za tancerzami. Istota poruszała się tak lekko i szybko jak elfy pomiędzy drzewami.

Tathar klasnął w dłonie i po niebie przetoczył się grzmot. Zaczął padać deszcz.

Kaspar wahał się przez chwilę, a potem pobiegł za Tomaszem i Pugiem, którzy gonili kreatury nie z tego świata. Podczas biegu księcia ogarniała coraz większa wściekłość. Te potwory, ci tancerze, myślał, jakim prawem atakują najpiękniejsze i najspokojniejsze miejsce, w jakim kiedykolwiek byłem! Niewielka część jego umysłu sygnalizowała, że ta emocja rodzi się na skutek przedłużonego używania pierścienia i jest pierwszą oznaką nadchodzącego szaleństwa. Wiedział, że będzie musiał go zdjąć w przeciągu godziny. Ale teraz wynikłoby z tego zbyt duże ryzyko dla Elvandar i jego mieszkańców.

Olaskanin sapał, biegnąc w górę niekończących się schodów. Dotarł wreszcie na ich szczyt. Płuca i oczy palił żrący dym, wypełniający powietrze. Ujrzał jeszcze Puga, znikającego w oddali. Deszcz gasił płomień ponad jego głową, ale wytworzona para nie pozwalała oddychać.

Kaspar z trudem łapał powietrze. Dostrzegł Tomasa, który przeskoczył właśnie przez drewnianą balustradę na innej platformie i zniknął w dół. Podbiegł do barierki i spojrzał w dół, gdzie książę małżonek wylądował lekko na nogach. Znajdował się teraz ponad dwanaście metrów niżej, na jeszcze innej wielkiej estakadzie, gdzie leżało kilka ciał elfów, skąpanych w kałużach krwi. Nie mógł już dłużej oglądać mężczyzny, który skrył się za zasłoną dymu i liści, ale słyszał odgłosy walki, dochodzące z całkiem bliska. Rozejrzał się, po czym zobaczył schody w dół i popędził w kierunku, skąd dobiegał bitewny hałas.

Kiedy dotarł do niższej platformy, walki znów się przemieściły. Biegł więc ciągle w kierunku odgłosów starcia, ale nie mógł dogonić walczących. Tempo pościgu było mordercze, znacznie szybsze niż to, czego książę doświadczył w bitwach, jakie stoczył w swoim życiu.

Na następnej platformie zatrzymał się na chwilę, żeby złapać oddech. Ledwie trzymał się na nogach, a o stawaniu do walki nie mogło być mowy. Jego płuca płonęły od pary i dymu. Pochylił się do przodu i oparł dłonie na udach, kaszląc i plując. Odgłosy walki, za którymi podążał, słabły

w oddali. Nagle zapadła cisza.

Były książę Olasko stał lekko pochylony i dyszał ciężko. Słyszał tylko deszcz, siekący coraz mocniej, gdyż siła ulewy ciągle wzrastała. Wziął ostatni głęboki oddech i pospieszył w kierunku miejsca, skąd ostatnio dochodził go bitewny zgiełk.

Kiedy dotarł do miejsca ostatecznego starcia, znalazł tam Tomasa, Puga i Talnoya, stojących w samym środku pobojowiska. Wokół nich leżały cztery elfy, rozciągnięte w groteskowych pozach śmierci, podczas gdy tuzin mieszkańców Elvandaru opatrywał sobie wzajemnie rany, wahające się od lekkich do śmiertelnych.

Ze wszystkich stron biegły elfy, żeby pomóc rannym.

– Co się tu stało? – zapytał Kaspar.

Pug odwrócił się i gestem uniesionej dłoni nakazał mu milczenie. Kiedy Tomas spojrzał na księcia, ów zrozumiał, dlaczego.

Nigdy w całym swoim życiu Kaspar nie był świadkiem takiej wściekłości.

– Kto się ośmielił? – powiedział mąż Aglaranny głosem, w którym drżała tłumiona furia. Popatrzył na ciała rozciągnięte u jego stóp i jego głos wzniósł się o ton wyżej. – Kto śmiał zaatakować moich poddanych w ten sposób?

– Ktoś, kto chciał mieć to – odparł mag pokazując na Talnoya. – Może nie wiedzieli dokładnie, co to takiego jest, ale zdają sobie sprawę, że to ważne. Wyczuli potężną czarną magię w zasięgu ręki i chcą mieć nad nią kontrolę.

– Skąd to możesz wiedzieć? – zapytał książę. W końcu zdjął pierścień z palca.

– Nie ma innych bardziej prawdopodobnych przyczyn – odparł Pug. – A co więcej, jestem pewny, ponieważ wiem, kto nasłał tutaj tancerzy śmierci.

– Kto?

Przywódca Konklawe Cieni popatrzył na Kaspara i ów zobaczył, że jego twarz zmieniła się maskę kontrolowanego gniewu – nie mniej głębokiego niż Tomasa, a nawet straszniejszego, gdyż ujętego w karby żelaznej samokontroli.

– Twój stary przyjaciel, Leso Varen – powiedział łagodnie mag. Popatrzył wokół i zatoczył krąg ręką. – To jest dowód na to, że wrócił, gdyż tylko on ma tyle mocy, by stworzyć taką liczbę tancerzy śmierci.

– Ale dlaczego tutaj? – jęknął Olaskanin.

Pug pokazał na Talnoya.

– Musiał wyczuć jego obecność, kiedy Tathar i tkacze magii zdjęli czary ochronne Elvandaru, żebyśmy mogli się przenieść. – Mag popatrzył na Tomasa. – Czuję się za to odpowiedzialny. Mogłem przecież przenieść się najpierw nad rzekę, a wtedy on nigdy nie zaatakowałby tego miejsca, twojego domu.

Książę małżonek potrząsnął głową.

– Nie, stary przyjacielu. To nie twoja wina. I sędzę, że on i tak zdołałby złamać nasze zabezpieczenia. Pamiętasz, kiedy byłeś więźniem na świecie Tsuranich, podczas ataku Wielkich z Kelewanu, tylko umiejętności Czarnego Macrosa pozwoliły nam na odparcie napastników. Jeżeli im udało się przebić przez nasze ochronne czary, dlaczego Varen nie mógłby tego dokonać?

Pug skinął głową.

– Może masz rację. Kiedy wrócę do domu, przyślę do was Mirandę. Skonsultuje z Tatharem i innymi, jak można wzmocnić wasze osłony. – Popatrzył na wypełnione dymem powietrze i wsłuchał się w krzyki przestachu i bólu. – To nie może się powtórzyć – dodał.

Były władca Olasko mógł tylko niemo pokiwać głową na znak, że się zgadza.

* * *

Kiedy już rada oceniła skutki ataku i oszacowała zniszczenia, w sali tronowej odbyło się posępne spotkanie. Szesnaście elfów straciło życie broniąc swój dom przed napastnikami. Kolejny tuzin zginął w płomieniach, w tym troje dzieci.

Kiedy Aglaranna i Tomasz słuchali raportu opisującego straty, Pug odciągnął Kaspara na bok.

– Musisz zrozumieć jedno. Te istoty rodzą dziecko raz na stulecie, a nawet rzadziej. To największa strata, jakiej doświadczyli od czasów Wojny Światów. Będą opłakiwać swoich małych zmarłych jeszcze przez wiele lat.

– Wyczułem, że o to właśnie chodzi – odparł książę cicho. – To wielka tragedia.

– Nasze czary zostały zdmuchnięte, wasza miłość – przemówił Acaila do królowej. – Było tak, jakby ktoś badał je przez bardzo długi czas, badał po kryjomu, ostrożnie i pasywnie. W chwili gdy opadły, uderzyły w nas dwa zaklęcia. Płomienie zostały przywołane przez nic więcej jak zwyczajny czar ognia, tylko rzucony na znacznie większą skalę. – Zwrócił się do Puga. – To nie stało się z twojej winy, przyjacielu. Nawet jeżeli nie osłabilibyśmy osłony, myślę, że i tak doszłoby do tego, co się stało. Tathar wystąpił naprzód. Jego oczy, ocienione krzaczastymi, białymi brwiami, pały z gniewu.

– Jest tak, jak mówi Acaila, Pugu. Nie mieliśmy szans, tak czy tak. – Popatrzył na Talnoya,

stojącego bez ruchu. – Być może twój stary znajomy zaatakował nas akurat teraz, gdyż wyczuł tę rzecz, ale fakty mówią nam coś jeszcze. Efektywność ataku, staranność przygotowań, skuteczność, z jaką przerwał czary ochronne, zapalił drzewa i przetransportował aż tylu tancerzy śmierci prosto do serca naszego lasu, każe nam przypuszczać, że plan Varena został dopracowany w najdrobniejszych szczegółach już jakiś czas temu. Nie, decyzja o ataku na Elvandar musiała zostać podjęta już dawno temu. Tylko ostateczny czas napaści został ustalony w ostatniej chwili pod wpływem bieżących wydarzeń.

Przywódca Konklawe pokiwał głową na te słowa.

– Varen musiał przygotowywać atak na Elvandar jako ewentualność, gdyż nie mógł wiedzieć, że przywieziemy to tutaj ze sobą. To był bardzo efektywny plan, a także prosty, chociaż wymagający wielkiego nakładu energii. Kiedy opadły nasze czary ochronne, Varen rzucił zaklęcie dezorientacji, a nagły transport takiej ilości tancerzy śmierci z pewnością nie należał do prostych. To jasne, że atak miał być dywersją, krwawym, wszechogarniającym i okrutnym sposobem na odwrócenie uwagi, żeby mogli bez przeszkód wyprowadzić stąd Talnoya.

Pug westchnął.

– Ale nawet jeżeli tak rzeczywiście było, nie mogę uwolnić się od myśli, że gdybym nie przywiózł tutaj artefaktu, moglibyście uniknąć tego wszystkiego.

– Zatem nie męcz tym swojego umysłu – powiedział Tomas i popatrzył na Talnoya. – To ponury żart, ale gdyby nie fakt, że.

Talnoy pozostawał pod kontrolą Kaspara, z pewnością odnieśliśmy daleko większe straty. W końcu pokonałbym tancerzy śmierci, ale zginęłoby znacznie więcej naszych. Teraz, kiedy wiemy, do czego jest zdolna ta istota, jestem pewien jednego: musisz szybko rozwiązać ten problem, bo jeżeli na nasz świat napadnie armia złożona z takich potworów, z pewnością nas zniszczą. – Podszedł bliżej do swego przyjaciela. – Moje wspomnienia z życia Ashen-Shugara to jedno, a doświadczenia Tomasa to drugie. Pugu, cała siła Królestwa, połączona z Keshem, wszyscy magowie ze Stardock i Wyspy Czarnoksiężnika, cały świat sprzymierzony nie ma najmniejszej szansy w starciu z tysiącem Talnoyów. Musisz się pośpieszyć.

– Musimy stąd odejść, i to szybko – zgodził się mag. – To jasne, że Varen znów stanął na czele sił, które są przeciwnikami Konklawe Cieni, i działa zuchwale, a nawet dość nieostrożnie. Złamanie czarów ochronnych Elvandar nie jest łatwym zadaniem, a wysłanie dwóch tuzinów tancerzy śmierci do serca waszego królestwa... – Popatrzył na przyjaciela z dzieciństwa i królową. – Należy do wysiłków porównywalnych ze stworzeniem Talnoya, gdyż każdy tancerz powstaje z duszy, która dobrowolnie zrzekła się swojej suwerenności na rzecz maga, a to jest czyn popełniany tylko przez skrajnych fanatyków.

Kaspar zobaczył, jak księżę małżonek wraca do tronu Aglaranny i pochyła się nad nią. Przez chwilę mężczyzna toczył ze swoją żoną cichą rozmowę. Królowa trzymała jego rękę i odpowiadała mu z obawą w oczach. W końcu opuściła wzrok, jakby dawała za wygraną. Pocałował ją i odsunął się od tronu. Podszedł do Puga i Olaskanina.

– Czekaście tutaj, proszę – powiedział i oddalił się do komnat królewskiej pary.

Niebawem pojawił się z powrotem jego osobliwy wygląd ponownie zaskoczył Księcia. Teraz miał na sobie biały tabard, narzucony na złotą zbroję, a w dłoni trzymał białą tarczę. Na tarczy i szacie widniał ten sam znak, złoty smok. Na głowie Tomasa połyskiwał złoty hełm, ukształtowany na podobieństwo smoka, którego złote skrzydła opadały po bokach.

– Patrz, Kasparze, bo to jest ktoś, kto spośród żyjących najbardziej zbliżył się do Jeźdźców Smoków.

Księżę małżonek ponownie podszedł do swojej żony, znów zamienił z nią kilka słów, a potem zwrócił się do zebranych elfów.

– Moi przyjaciele, pošlę wiadomość do księcia Calina i księcia Calisa, żeby natychmiast tu wrócili i zasiedli u boku matki w moim zastępstwie. Przysięgałem nigdy nie opuszczać Elvandaru, chyba że zmusiłyby mnie do tego okoliczności. Zostaliśmy zaatakowani bez powodu, nasi ukochani bracia i siostry stracili życie. Zbliża się wojna, nie ma co do tego wątpliwości. Oddaję moje stanowisko księciu Calinowi. Do mojego powrotu on będzie przywódcą wojsk Elvandaru na wypadek wojny.

– Ale gdzie... – zaczął Kaspar.

– Idzie z nami – uciął Pug.

Tomas podszedł do maga.

– Pójdę z wami, mój stary przyjacielu. Nie wrócę do Elvandaru, dopóki nie uporamy się z tym zagrożeniem.

– To może zająć trochę czasu.

– Wiem, Pugu, ale poświęcę go tyle, ile potrzeba – odparł z gorzkim uśmiechem. – Tyle, ile potrzeba.

Mag kiwnął głową tylko raz. Potem położył rękę na ramieniu Tomasa.

– Tyle, ile potrzeba.

Pug, Tomas, Kaspar i Talnoy znikli z Elvandaru.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Atak.

Kaspar zamrugnął. Jeszcze przed chwilą stali w Elvandarze, a teraz nagle wrócili na Wyspę Czarnoksiężnika. Natychmiast wyczuł, że tu także wydarzyło się coś strasznego. W powietrzu snuł się dym, lecz nie lekki zapach, jaki unosi się znad pieców kuchennych, opalanych drewnem, ale ciężkie, gęste chmury, gorzkie i oślepiające jak te, co spowiły Elvandar parę chwil wcześniej. Zasłonił usta ręką i otarł łzy, cisnące mu się do oczu.

W willi szalało piekło.

Wokół leżały ciała studentów i wojowników w czarnych zbrojach. Przywódca Konklawe zaklął, popatrzył na martwego żołnierza i prawie splunął.

– Czarni zabójcy!

Mąż Aglaranny nagle zniknął i księżę usłyszał brzęk stali. Wsunął pierścień na palec i dotknął lekko Talnoya.

– Za mną! – krzyknął.

– Miranda! – krzyknął Pug i zniknął także.

Kaspar dogonił Tomasa. Białozłoty rycerz wpadał akurat z zaskoczenia na gromadę czarnych zabójców, atakujących pół tuzina studentów. Przyszli magowie desperacko powstrzymywali atak ciągłymi inkantacjami; gwałtownie rzucali obronne i ofensywne czary, które niestety szybko traciły na efektywności. Olaskanin uderzył jednego z zabójców w plecy tak mocno, jak tylko potrafił, celując pomiędzy ramię i szyję. Czarno opancerzona postać opadła na kolana i Kaspar z ulgą zauważył, że obcą istotę da się zabić.

Wycofał się i podszedł do Talnoya.

– Zabij tych czarnych zabójców! – rozkazał mu.

Konstrukt skoczył do przodu i stanął u boku męża elfiej królowej. Razem rozprawili się z czarnymi zabójcami w przeciągu minuty.

– Czy jest ich więcej? – krzyknął Tomas rozglądając się dookoła.

– Są wszędzie – odparła jedna ze studentek. Po jej umorusanej, czarnej twarzy spływały łzy i krew.

Książę i Tomas popatrzyli na siebie.

– Za mną! – ponownie rozkazał Talnoyowi.

Biegli we trzech, aż znaleźli kolejny oddział zabójców, plądrujących bibliotekę i wrzucających w ogień wszystko, co nadawało się do palenia.

Mąż królowej elfów wydał z siebie pierwotny ryk wściekłości i skoczył naprzód. Były książę Olasko miał właśnie rozkazać przedmiotowi Dasatich, aby uczynił podobnie, lecz zanim zdołał sformułować polecenie, Tomas pozbawił głowy jednego z zabójców, drugiego przeciął od ramienia po pachwinę i zabierał się właśnie do trzeciego. Czwarty i piąty zginęli równie szybko, zanim Kaspar zdążył podjąć decyzję, co robić.

Książę małżonek rozejrzał się dookoła i ruszył w kierunku odgłosów walki. Książę kazał stworowi podążyć za nim i zabijać wszystkich czarnych zabójców, jacy tylko mu się nawiną. Istota odwróciła się i skoczyła za biało-złotym rycerzem. Kaspar z trudem dotrzymywał im kroku i po kilku sekundach znikli mu z oczu.

Zaczął padać deszcz.

Książę zdał sobie sprawę, że ktoś przywołał deszcz, podobnie jak tkacze magii w Elvandarze. Zatrzymał się, gdyż nie potrafił odnaleźć drogi wśród dymu i pomieszania. Nic nie dostrzegł w bibliotece, zatem wyszedł z powrotem do ogrodu.

Płuca ciągle bolały go od dymu, którego nawdychał się w Elvandarze, więc zatrzymał się ponownie i spróbował się zastanowić. Dym nie robił mu najlepiej, a kiedy kaszłał, czuł w gardle gorzki, kwaśny smak. Jeżeli to przeżyję, pomyślał, to mam nadzieję, że mają tu uzdrowiciela, który uchroni mnie przed zapaleniem płuc.

Zakaszlał znów, splunął i ruszył przed siebie.

Przed willą rozciągała się duża łąka, obramowana w oddali pasmem lasu. Kaspar zobaczył studentów, uciekających w tamtym kierunku. Najwyraźniej chcieli ukryć się między drzewami.

W drzwiach wejściowych, zaledwie trzy metry od księcia, pojawił się czarny zabójca. Zobaczył uciekających uczniów. Nie spojrzał w jego kierunku, więc książę Olasko wyciągnął miecz i rzucił go z całą swoją siłą, gdyż sądził, że nie jest w stanie pokonać wojownika w bezpośrednim starciu.

Broń trafiła zabójcę prosto w plecy; czarna postać upadła na kolana. Kaspar jednym skokiem znalazł się tuż za przeciwnikiem i złapał za rękojeść miecza, zanim tamten miał czas dojść do siebie po ciosie. Z precyzją kucharza dzielącego mięso na pieczeń, książę wbił czubek ostrza w szczelinę tuż pod pachą zbroi, naparł na miecz i obrócił go w ranie. Mężczyzna, zamknięty w środku, wrzasnął bardzo po ludzku i Kaspar nagle zdał sobie sprawę, że to nie jest żadna nadnaturalna istota, a tylko fanatyk ubrany w czarną, dziwną zbroję.

Odkrycie dodało mu sił. Przynajmniej walczył z kimś, kogo można zabić jak każdego człowieka.

Kolejny spazm kaszlu skręcił ciało księcia. Musiał na chwilę przystanąć, żeby złapać oddech. Nasłuchiwał odgłosów walki. Dobięł go hałas świadczący o toczonej niedaleko potyczce.

Pobiegł do pokoju znajdującego się w jednym z niniejszych budynków, w pobliżu kuchni, i znalazł dwóch martwych zabójców, niemalże przeciętych na połowy. Nie miał pojęcia, czy zabił ich Talnoy, czy Tomas, ale uznał, że to problem czysto akademicki.

Usłyszał kobiecy krzyk i pobiegł za tym dźwiękiem w dół długiego, zabudowanego przejścia, które łączyło mniejszy budynek z główną willą. Zobaczył, jak za zakrętem znika odziana w błękit postać i po kilku krokach natknął się na ciało kobiety.

Podbiegł do niej i uklęknął obok. Rozpoznał ją w pierwszej chwili, gdy tylko rzucił okiem na jej twarz. To była Alysandra. Leżała nieruchomo w kałuży własnej krwi. Poczul, jak zaciska mu się żołądek. Przez chwilę zdziwił się, dlaczego tak go zasmuciła jej śmierć. Kiedyś byli kochankami, ale nie łączyła ich miłość, a tylko pożądanie. Kobieta należała do siatki agentów Puga i zabiłaby go bez wahania, gdyby dostała taki rozkaz. Mimo tego czuł żal, patrząc na jej ciało, na jej twarz zastygłą w maskę zdziwienia i zmieszania. Wyciągnął rękę, delikatnie zamknął jej oczy i wstał.

Pobiegł za róg korytarza, za mężczyznę w błękitnej szacie.

* * *

Kaspar stał cały mokry od potu, na skutek starcia z dwoma czarnymi zabójcami. Najwyraźniej uciekali przed Tomaszem albo Talnoyem.

Obaj byli poważnie ranni, co ułatwiło ich pokonanie, choć i tak walka należała do zaciętych i wygrał o włos. Dym palił mu płuca i oddychał z trudem. Wiedział, że ludzie umierają, gdy podczas bitwy walczą w zbyt gęstej chmurze dymu i zastanawiał się, czy jego także spotka ten los.

Kaszłąc i plując krwią, książę popatrzył na dwa martwe ciała, zakute w czarne zbroje. Zabójcy wyglądali groźnie i w *rzeczy* samej byli doskonałymi wojownikami, ale przez ostatnie lata były władca spotykał lepszych od nich. To nie umiejętności, lecz fanatyczna gotowość poświęcenia życia za swojego pana sprawiała, że byli tak niebezpieczni. Oczywiście fakt, że uciekali przed przeciwnikiem, któremu nie daliby rady stawić czoła, świadczył o odrobinie zdrowego rozsądku, który się jeszcze w nich kołatał.

Nagle zobaczył Talnoya.

– Chodź tutaj! – zawołał.

Istota usłuchała polecenia, mimo że książę nie dotykał metalowej powierzchni potwora. Zorientował się poniewczasie, że wystarczy dotknąć konstrukta tylko raz, kiedy nakłada się pierścień,

a wtedy jest on już w pełni pod kontrolą wydającego rozkazy. To miało sens. Dowódca oddziału Talnoyów nie mógłby przecież biegać po całym polu bitwy i dotykać swoich podkomendnych.

– Chodź za mną – rozkazał i ruszyli na poszukiwania kolejnych intruzów.

* * *

Kaspar usiłował odnaleźć drogę przez długi hol willi. Dym zredukował widoczność do zaledwie metra i księżę szedł praktycznie na ślepo.

– Jeżeli upadnę – powiedział do Talnoya, z trudem trzymając się na nogach – podnieś mnie i zanieś w bezpieczne miejsce.

Ujrzał przed sobą wyjście w kłębach dymu i pospieszył w jego kierunku. Kiedy znalazł się na zewnątrz, zdał sobie sprawę, że się zgubił. Myślał, że wyjdzie z willi od strony łagodnego wzgórza, opadającego w dół na łąkę, a tymczasem trafił do głównego ogrodu.

Zamknięty dziedziniec absurdalnie kontrastował z otaczającymi go spalonymi budynkami. W jakiś sposób płomienie ominęły bujną roślinność i niewielkie sadzawki, jednak także tutaj dym był bardzo gęsty.

Księżę stał przez chwilę bez ruchu, zastanawiając się, w którą stronę powinien pójść, żeby znaleźć bezpieczne wyjście z płonącego budynku. Rozkoszował się chłodniejszym powietrzem, niosącym ulgę po palących skórę falach żaru wewnątrz. Rozważał możliwość pozostania na środku ogrodu, w jednej z sadzawek, aż pożar się dopali, ale poczuł nagle ukłucie paniki i zdał sobie sprawę, że pierścień zaczyna coraz bardziej wpływać na jego umysł. Właśnie miał go zdjąć, gdy zmienił się wiatr i pchnął w ich kierunku jęzor czarnego dymu. Kiedy zastanawiał się, w którą stronę uciekać, z chmury po cichu wyłoniła się jakaś postać.

Przez chwilę Kaspar myślał, że to Tomas, gdyż mężczyzna był bardzo wysoki, lecz gdy podszedł bliżej, księżę dostrzegł, że nie jest on tak szeroki w ramionach jak przyjaciel Puga. Nieznajomy miał jasne włosy, opadające swobodnie na ramiona. Jego oczy, lśniące żywą zielenią, migotały od łez, które wywołał dym. Mężczyzna miał kwadratową, szczupłą szczękę i wyglądał nie więcej niż na dwadzieścia pięć lat. Ubrany był w bladoniebieską szatę. Olaskanin zrozumiał, że to właśnie jego gonił w korytarzu i to on zniknął za rogiem na chwilę przed tym, nim znalazł ciało Alysandry.

Kiedy zobaczył Kaspara, obcy uśmiechnął się, jakby go rozpoznawał.

– Kaspar! Co za nieoczekiwane spotkanie.

Zamarł, gdyż nie znał tego człowieka. Widział go tylko raz, gdy uciekał w korytarzu.

Nieznajomy popatrzył na Talnoya.

– Wspaniale! – zawołał. – Wszędzie szukałem tej rzeczy. – Ruszył w kierunku czarnej istoty. – Uwolnię cię teraz od jego towarzystwa.

Księżę nagle zdał sobie sprawę, z kim ma do czynienia.

– Varen!

Mag wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Podoba ci się moje nowe ciało? Ta flądra, która usiłowała mnie zabić, lady Rowena, przypomniła mi o przyjemnościach, jakich nie zaznawałem od lat. – Jego uśmiech jeszcze się powiększył. – A więc pomyślałem, że młodsze ciało będzie doskonałym sposobem, żeby wprawić mnie w lepszy nastrój. Umieranie to taki traumatyczny proces! – Machnął ręką za siebie. – To zabawne. Przed paroma minutami wpadłem na nią w korytarzu i muszę powiedzieć, że wyglądała o niebo lepiej, niż kiedy widziałem ją po raz ostatni, w mojej pracowni, wiszącą na mojej ścianie, a właściwie na twojej ścianie, jeżeli już mam być dokładny. To była twoja cytadela. Wyglądała na mocno zagubioną, bo nie wiedziała, dlaczego obcy człowiek odbiera jej życie. Nie mogłem się zdecydować, czy zabawniejsze będzie, jeżeli powiem jej, kim jestem, czy nie. Ale, że tak powiem, kiedy już się zdecydowałem, niestety umarła.

– Dlaczego?

– Ponieważ sprawiło mi to przyjemność – odparł Leso Varen. – Ale to cały problem ze śmiercią. Gdy już są martwi, cała zabawa się kończy! Torturowanie martwego ciała to nie jest łatwa rzecz. Są czary, za pomocą których można przywrócić życie zmarłym, wiem, ale... cóż, ożywieńcy nie są tak podatni na ból jak żywi ludzie. Możesz ich zmusić do robienia całej gamy zabawnych rzeczy, ale cierpienie do nich nie należy. – Spojrzał na miecz w ręku Kaspara. – Wygląda na to, że zmieniłeś sprzymierzeńców.

– To długa historia – odparł były władca.

– Cóż, bardzo bym chciał przysunąć sobie krzesło i trochę z tobą pogawędzić, gdyż jestem pewien, że masz mi do opowiedzenia naprawdę ciekawą historię, ale czas nagli, a wokoło roi się od ludzi, którzy z przyjemnością zrobiliby mi wielką krzywdę, gdybym wpadł im w ręce, więc sam rozumiesz, muszę się zbierać. Chociaż przyznaję, że miałem dość blade pojęcie o przedmiocie moich poszukiwań. Jego aura jest bardzo dziwna, lecz jak tylko złapałem ślad, wiedziałem, że to będzie coś bardzo specjalnego. Coś wspaniałego, co wprowadzi zamieszanie w szeregi moich wrogów i wywoła ich wściekłość. Jednakże jestem nieco rozczarowany. Po prostu to nie wygląda na wystarczająco... duże.

Kaspar opuścił miecz.

– Możesz mieć trochę problemów z podporządkowaniem sobie tej istoty. Mógłbym ci w tym pomóc – powiedział.

– Proponujesz mi interes? – zapytał Varen z szerokim uśmiechem. – Cóż, to ładnie z twojej strony,

że zauważasz komplikację mojej sytuacji. Nie martw się, jakoś odgadnę, jak powodować tą istotą. W końcu, jeżeli tobie się to udało, mnie nie zajmie wiele czasu. A teraz, mój były gospodarzu, czas się pożegnać.

Nagle zdał sobie sprawę, że Leso chce go zabić. Mag ugiął rękę i wokół jego dłoni zaczęło formować się dziwne światło.

– Wybacz mi, Kasparze, ale jeżeli przeszedłeś na drugą stronę, nie mogę pozostawić cię przy życiu, żebyś im pomagał. – Mężczyzna otworzył szerzej oczy i księżę przekonał się, że niezależnie od zmienionej aparycji Varen był ciągle tak samo szalony jak zawsze.

– To będzie bolało, całkiem mocno – uprzedził z łagodnym uśmiechem na twarzy.

Ręka Leso Varena skoczyła do przodu, a Kaspar rzucił się w bok. Palce maga minęły go zaledwie o parę centymetrów.

– Zabij go! – krzyknął księżę.

Oczy Varena rozszerzyły się. Popatrzył w dół i zobaczył czarne ostrze, wystające z własnego brzucha. Z ust i nosa maga buchnęła krew. Popatrzył na Kaspara.

– Powiniennem o tym pomyśleć – wycharczał z trudem i osunął się na ziemię.

Odczołgał się od trupa Varena i wstał. Pamiętał, co Hildy opowiadała mu o karaluchach. Mag wyglądał na martwego, ale księżę wiedział doskonale, że gdzieś tam budzi się właśnie w nowym ciele.

Olaskanin czuł, że kręci mu się w głowie, ale wiedział, że to nie tylko skutek ogarniającego go szaleństwa, powodowanego przez pierścień. Jeżeli szybko nie znajdzie drogi ucieczki, z pewnością umrze od dymu i czadu.

– Znajdź najbezpieczniejsze wyjście z tego domu – rozkazał Talnoyowi. Istota natychmiast ruszyła ku drzwiom, zasnutym kłębam dymu. To mogło być najbezpieczniejsze wyjście, pomyślał Kaspar, ale to nie oznaczało wcale, że na jego drodze nie stanie żadne niebezpieczeństwo.

Podążył za konstruktem przez wypełniony dymem hol. Przeszli przez kolejne drzwi i księżę z ulgą zauważył, że znaleźli się po drugiej stronie domostwa. Chciał dogonić oddalającą się czarną sylwetkę, ale nagły spazm kaszlu zgiął go w pół.

Nagle nie mógł już wcale oddychać. W przeciągu kilku sekund osunął się na kolana i istota znikła mu z oczu. Zaczął czołgać się naprzód i po chwili wpadł twarzą w coś, co przypominało mokrą ziemię, a nie kamienie. Próbował wstać, lecz ponownie upadł i jego umysł ogarnął mrok.

Były władca obudził się i zakaszał. Płuca bolały go odrobinę, ale i tak mniej, niż się spodziewał, biorąc pod uwagę ilość wchłoniętego dymu i samopoczucie podczas pożaru. W kącie siedział Amafi.

– Wasza wielmożność! Już się obudziłeś.

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałeś.

– Jestem zdumiony, to wszystko. Jakiś mały, śmieszny człowieczek dał ci wczorajszej nocy coś do wypicia i powiedział, że dojdiesz do siebie, ale kiedy cię tutaj przynieśli, byłeś już jedną nogą na tamtym świecie.

Księżę usiadł i rozejrzał się po pokoju. – Gdzie jesteśmy?

– W jednym z budynków, które nie ucierpiały od ognia – wyjaśnił Queganin. – Zabito wielu studentów, wasza miłość, a jeszcze więcej odniosło rany. Większość budynków została zniszczona, ale ci ludzie nie przestają mnie zadziwiać. Jak możesz podejrzewać, paru magów używa swoich umiejętności do naprawy strat. To miejsce powinno wyglądać tak jak dawniej w przeciągu miesiąca, a przynajmniej tak mi powiedziano.

– Gdzie są moje ubrania? – zapytał były księżę Olasko.

Sługa zajrzał do skrzyni, stojącej w nogach łóżka Kaspara, po czym podał mu miękkie zawiniątko.

– Czyste i gotowe do nałożenia, wasza wielmożność.

Kaspar wstał i przekonał się, że prócz lekkiego bólu głowy nic mu nie dolega.

– Jak długo spałem?

– Trzy dni, wasza miłość. Talnoy wrócił po ciebie i zaniósł w bezpieczne miejsce. Budynek się zawalił i gdyby nie on, leżałbyś tam do tej pory przygnieciony zgliszczami. Mały człowieczek, Nakor, przygotował eliksir, który kiedy tylko wlałiśmy go do twego gardła, w przeciągu kilku minut sprawił, że znów zaczęłaś oddychać swobodnie.

– Jak ci się udało przeżyć tę masakrę? – zapytał, siadając na łóżku i wciągając buty.

– Kiedy mogłem, kryłem się, kiedy byłem potrzebny, walczyłem. I miałem dużo szczęścia, wasza miłość.

Jego pan wstał.

– Ach, odwaga. Bardzo dobrze, Amafi – powiedział. – A co z Pugiem i jego rodziną?

– W porządku – odparł Amafi, potrząsnął głową i przybrał smutny wyraz twarzy. – Stracili jednak bardzo wiele. Większość poległych była bardzo młoda. Czarno opancerzeni intruzi nie wybierali

sobie ofiar. Ich misją była całkowita rzeź.

– Czy widziałeś jasnowłosego maga, który nimi dowodził? – zapytał Kaspar ruszając w kierunku drzwi.

– Tak.

– To był nasz stary przyjaciel, Leso Varen.

Stary zabójca skinął głową.

– Tak samo mówił Pug, wasza miłość. Powiedział także, że potrafi wyczuć duszę maga mimo tego, że tak diametralnie zmienił swój wygląd. Właściwie Varen prezentował się całkiem nieźle, dopóki Talnoy nie wyprał mu flaków.

– Gdzie mogę znaleźć Puga? – zainteresował się książkę, kiedy wyszli z pokoju.

– Zaprowadzę cię, wasza miłość.

Queganin wyprowadził go na zewnątrz. Natychmiast dostrzegł, jakim zniszczeniom uległa okolica. Z głównego budynku pozostał tylko fragment holu, ale ogród został w jakiś cudowny sposób ocalony. Wszędzie, gdzie nie spojrzał, pracowali ludzie, naprawiając szkody. Zatrzymał się na chwilę, żeby się im przyjrzeć.

Obok sterty przyciętych desek stała dziewczynka, która nie miała więcej niż czternaście lat. Wyciągała rękę i używała siły swego umysłu, żeby przesunąć drewno na szczyt dwóch zwęglonych, ale ciągle mocnych słupów. Kiedy deski znalazły się na swoim miejscu, dwaj młodzi mężczyźni przybili je stalowymi gwoździami i zawołali na dziewczynkę, żeby uniosła kolejne sztuki.

W innych miejscach wykorzystywano bardziej przyziemne metody budowania i naprawiania. Dźwięk młotów i pił wypełniał powietrze.

– A co z ciałami?

– Zeszłej nocy odprawiono rytuały, wasza miłość. Chłopiec, Malikai, także znalazł się pomiędzy poległymi.

Kaspar nie odezwał się, ale poczuł żal.

Weszli do budynku, używanego niegdyś jako skład narzędzi rolniczych, sądząc po pługu, uprzężach i innych tego typu przedmiotach, walających się w kącie za drzwiami.

Właściciel domostwa siedział na środku pokoju, na prostym stołku. Poczerniały, kuchenny stół służył mu za biurko, na którym wznosiła się góra papierów. Podniósł wzrok.

– Kasparze, widzę, że masz się już lepiej.

– Pugu – odparł były książę Olasko. – To dzięki tobie odzyskałem zdrowie.

– Właściwie powinieneś podziękować Nakorowi – powiedział Pug i wstał. – To on miał odpowiedni eliksir w swojej bezdennej torbie i za jego pomocą wyleczył twoje zniszczone dymem płuca. Używał tego eliksiru po wielekroć podczas pierwszej nocy.

Mag nachylił się i oparł dłonie na stole.

– Znaleźliśmy cię u stóp Talnoya. W ogrodzie znaleźliśmy także ubranego na niebiesko maga, z wyprutymi flakami.

– Talnoy go zabił i wyniósł mnie z domu w bezpieczne miejsce.

– To Varen?

– To był Varen – odparł z naciskiem Kaspar. – I znów jest martwy... jeżeli to cokolwiek znaczy. – Popatrzył na Puga. – Miałeś rację – dodał. – To on szukał Talnoya. A Talnoy go zabił.

Do pokoju weszła Miranda i najwyraźniej usłyszała ich ostatnie słowa.

– Ta rzecz musi być stąd zabrana – powiedziała bez wstępów i powitania. – Oni w momencie ataku nie wiedzieli dokładnie, gdzie to się znajduje, ale zdawali sobie sprawę, że jest tu albo w Elvandarze.

– W przeciwnym razie Varen nie rozbiłby swoich sił – powiedział ktoś od drzwi.

Książę odwrócił się i zobaczył, że w wejściu stoi Tomas. – I rzuciłby na nas czarnych zabójców razem z tancerzami śmierci. Nie mielibyśmy najmniejszych szans. Mag w czerni skinął głową.

– Varen powróci. Dopóki nie znajdziemy naczynia, w którym zamknął swoją duszę, będzie wracał raz za razem.

– A więc to właśnie musimy zrobić – oznajmił Kaspar.

– My? – uśmiechnął się Pug.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Kiedy rozmawialiśmy ostatni raz, odniosłem wrażenie, że nie dysponuję w pełni swoją osobą.

Przywódca Konklawe Cieni znów pokiwał głową.

– Bo tak jest. Chodź, przejdziemy się.

Miranda i Tomas odsunęli się na bok, żeby wypuścić ich z chaty.

– Niebawem wrócę – powiedział Pug do żony, kiedy wychodzili. – Znajdź Magnusa i każ mu się przygotować do podróży na Kelewan. Musi tam zabrać Talnoya. Zgromadzenie dostanie od nas ciężki orzech do zgryzienia.

Kobieta skinęła głową.

– Po tym, co stało się tutaj, będziemy potrzebować pomocy.

Mąż uśmiechnął się i dotknął jej ramienia.

– I poślij po Kaleba. Chcę, żeby wraz z Kasparem zajęli się wyśledzeniem Varena.

– Zajmę się tym – odrzekła.

– Dlaczego na razie nie wrócisz do swojej rodziny? – zwrócił się Pug do Tomasa. – Myślę, że Varen w tych dwóch atakach wykorzystał wszystkie zgromadzone siły.

– Zgadza się, ale kiedy przyjdzie czas rozprawienia się z tym potworem, będę tutaj.

– Tak – zgodził się. – Czy Nakor ma cię wysłać z powrotem do Elvandar, czy chcesz przywołać smoka?

Biało-złoty rycerz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Mógłbym, ale one mają tendencję do wpadania w złość, gdy przejażdżka nie wiąże się z czymś niebezpiecznym. Poszukam lepiej Nakora. – Zwrócił się do księcia. – Bywaj, Kasparze. Jestem pewien, że się jeszcze spotkamy.

Wymienili uścisk dłoni.

– To był wielki zaszczyt dla mnie, że mogłem cię poznać, Tomasie – powiedział Kaspar.

Mag skinął na księcia, żeby poszedł za nim.

– To dobrze, że zdecydowałeś się do nas przyłączyć – oznajmił, kiedy zostali sami.

Kaspar roześmiał się.

– Wydaje mi się, że nie miałem zbyt wielkiego wyboru!

– Zawsze jest jakiś wybór, ale w tym przypadku twoja alternatywa nie była zbyt zachęcająca. Jesteś przebiegłym człowiekiem i odznaczasz się pewnym rodzajem bezwzględności, której będziemy bardzo potrzebować, nim to się skończy. I wiedz, że przed nami jeszcze długa droga. Zmagania dopiero się rozpoczynają. Dostaliśmy dzisiaj gorzką nauczkę. Przyzwyczajaliśmy się do tego, że w naszych domach czujemy się bezpieczni. Nigdy już nie popełnimy tego błędu.

– Kiedy zaczynamy? – zapytał Olaskanin.

– Natychmiast – odparł Pug. – Chodźmy, musimy obmyślić jakiś plan.

Były książę Olasko, teraz agent Konklawe Cieni, i były kuchcik, teraz jeden z najpotężniejszych magów na Midkemii, zeszli razem ze wzgórza i skierowali się na łąkę. Zamierzali właśnie robić wspólne plany.

EPILOG

Misje.

Magnus skłonił się.

Grupa magów, ubranych w czarne szaty, odwzajemniła powitanie. Jeden z nich wystąpił naprzód.

– Witaj, synu Milamberra – powiedział. – Jesteś radosnym gościem dla naszych starych oczu.

Białowłosa uśmiechnął się.

– Jesteś bardzo uprzejmy, Joshanu. – Popatrzył na pozostałych czterech Wielkich ze Zgromadzenia Magów. – Dobrze was wszystkich znów widzieć.

Zszedł z podwyższenia, na którym stała maszyna otwierająca szczeliny pomiędzy światami. Identiczną trzymano w Stardock na Midkemii. Pokój był duży, ale względnie pusty. Znajdowała się tu tylko maszyna do przeskakiwania między światami i pięciu mężczyzn, stojących naokoło. Zostali uprzedzeni o przybyciu Magnusa przez specjalny system, stworzony wiele lat temu. Pomieszczenie wykonane było w pełni z kamienia; panował w nim chłód, nietypowy dla tej gorącej planety. Przestrzeń oświetlały liczne lampki oliwne, umieszczone w ściennych uchwytach.

– Co to za rzecz, która idzie za tobą? – zapytał jeden z pozostałych magów.

– To powód mojej wizyty – odparł syn Puga, posługując się płynnie językiem Tsuranich. – To konstrukt, zrobiony ręką człowieka, jednakże ma w sobie ludzką duszę. Pochodzi z Drugiego Kręgu – dokończył, używając tsurańskiego określenia na drugi poziom rzeczywistości.

Jego słowa wywołały falę zainteresowania.

– Naprawdę? – zdziwił się wysoki, szczupły jak trzcina mag.

– Tak, Shumaka – potwierdził Magnus. – Wiedziałem, że specjalnie się tym zainteresujesz. – Zwrócił się do całej grupy. – Mój ojciec prosi Zgromadzenie, żeby użyczyło mu swej wiedzy. Jeżeli mogę was prosić, abyście zgromadzili jak największą liczbę swoich członków i podopiecznych, wtedy mógłbym zaadresować prośbę do was wszystkich.

Niski, korpulentny mag uśmiechnął się szeroko.

– Zaraz roześlę wici. Jestem pewien, że kiedy usłyszą o owej rzeczy, każdy natychmiast tu przybiegnie. Chodźmy, poszukamy dla ciebie jakichś komnat, żebyś mógł nieco odpocząć. Kiedy zamierzasz do nas przemówić?

Młody mag wsunął na palec pierścien i natychmiast poczuł ukłucie obcej magii.

– Chodź za mną – rozkazał Talnoyowi, dotykając go lekko.

Kiedy wysłano go z misją na Kelewan, gdzie miał dostarczyć Talnoya, Magnus odkrył kolejną rzecz dotyczącą owej istoty. Machina słuchała poleceń w dowolnym języku. Dlatego też mag doszedł do wniosku, że musiała czytać w myślach tego, kto akurat miał pierścien na palcu i wokalizacja była potrzebna jedynie do tego, aby uczynić polecenie bardziej precyzyjnym.

Poprowadzili przybysza i konstrukt przez sam środek miasta magów. Rozległa budowla zajmowała prawie całą powierzchnię wyspy – podobnie jak Stardock, które dominowało nad swą okolicą. Jednakże to miejsce zawstydzało ogromem swego naśladowcę i było starożytne, podczas gdy Stardock liczyło zaledwie sto lat.

Nikt nie wiedział więcej o szczelinach i ich magii od Puga, więc Magnus taszczył ze sobą całą masę wiadomości od ojca do różnych członków Zgromadzenia. Opisywały to, co wie, co podejrzewa, czego się obawia i domyśla. Syn przeczytał te informacje i komunikaty. Nie napisano ich po to, aby kogokolwiek uspokoić.

Na szczęście konstrukt był teraz daleko od jego domu, a Varen utracił sporo sił i na pewno nieco zwolni. Chociaż nie został zatrzymany całkowicie.

Jednak ostatnia rzecz, którą usłyszał od ojca tuż przed wyjazdem, mocno go zmartwiła.

– Obawiam się, że czas subtelnych konfliktów jest już za nami – szepnął mu do ucha, kiedy go obejmował na pożegnanie. – Teraz znów dojdzie do otwartej wojny.

Magnus miał nadzieję, że jego ojciec się myli, ale podejrzewał, że niestety ma rację.

* * *

Nakor uderzył głową w sklepienie jaskini i zaklął brzydko. Odszukanie tego miejsca, z wykorzystaniem informacji od Kaspara, zajęło mu prawie tydzień. Zanurkował pod niskim nawisem skalnym. W jednej ręce trzymał pochodnię, w drugiej kostur.

Użył jednej ze sfer, które Pug dostał od Tsuranich, żeby przetransportować się w magiczny sposób do miejsca, gdzie wedle instrukcji księcia ukryto Talnoya, czyli do Przystanku Shingazi. Opuścił Wyspę Czarnoksiężnika w południe i znalazł się na Novindusie w środku nocy.

Mag w żółtych szatach opuścił pokoje, jakie wynajął w Przystanku Shingazi, a następnie szedł, aż stracił miasteczko z oczu. Wtedy zastosował jedną ze sztuczek przywódcy Konklawe i wykorzystał sferę, żeby przemieszczać się od punktu do punktu, widocznego w zasięgu wzroku. Tempo takiej podróży było oczywiście znacznie mniejsze, niż gdyby odbywał ją z miejsca do miejsca jednym

skokiem, ale nie znał dokładnie położenia jaskini. Przenoszenie się do nieznanego miejsca niosło ze sobą wiele niebezpieczeństw, z lądowaniem we wnętrzu litej skały na czele.

Odnalazł miasteczko, które handlarze z Królestwa wykorzystywali jako bazę interesów w północnych regionach Wschodnich Ziem. Po tym, jak wydał nieco złota i zadał właściwe pytania, udało mu się zlokalizować jaskinię.

Nakor popatrzył na pobojowisko, jakie pozostawili po sobie poszukiwacze skarbów i cmentarne hieny, po czym umocował pochodnię pomiędzy dwoma dużymi kamieniami, aby oświetlić jaskinię. Ozdobione nieczytelnymi napisami porcelanowe słóiczki, potłuczone w drobny mak, oraz okruchy glinianych tabliczek chrzęściły mu pod nogami. Westchnął.

– Co za bałagan.

Poczuł, że w jaskini pojawił się Pug, zanim jeszcze mag wypowiedział jego imię.

– Tutaj! – zawołał i po chwili w tunelu pojawiło się światło. Z otworu wyszedł mąż Mirandy i stanął obok swego przyjaciela.

– Co znalazłeś?

– To – odrzekł Nakor. Uklęknął i podniósł glinianą skorupę. – Może jeżeli zabierzemy to ze sobą na Wyspę Czarnoksiężnika, studenci zdołają poskładać je do kupy i czegoś się dowiemy?

– Całość nosi wyraźne znaki krypty pogrzebowej Pantathian – oznajmił przywódca Konklawe Cieni. – Popatrz. – Pokazał na zbroję. – To pantathiańskie.

– A co jest tam z tyłu? – zapytał drugi mag.

Pug podniósł rękę i światło skoczyło naprzód, kąpiąc w blasku tylną ścianę jaskini.

– Wygląda jak skała.

– Chociaż ty jeden ze wszystkich znanych mi ludzi powinieneś patrzeć nieco głębiej poza oczywistość, Pugu. – Nakor podszedł do ściany i dokładnie się jej przyjrzał. Potem zaczął opukiwać kamienie kosturem.

Pug uklęknął i zaczął przyglądać się czemuś w kącie.

– Czy patrzyłeś już na te zaklęcia ochronne?

– Tak – odparł mag w żółci. – To Macros je tam założył.

Ojciec Magnusa wstał.

– A więc Czarny Macros natknął się na pantathiańską kryptę pogrzebową, gdzie spoczywał Talnoy i zamiast uwolnić od niego świat, nałożył na niego ochronne czary i zostawił go tutaj,

żebyśmy go znaleźli.

– Cóż – odparł Nakor – jeżeli nie potrafisz go zniszczyć, co sprawia, że myślisz, iż Macros potrafił? – Obejrzał się przez ramię i zobaczył na twarzy Puga drwiący uśmieszek. – Ciągłe uważasz, że on był potężniejszy od ciebie, ale to nie tak, a przynajmniej od pewnego czasu to już nie jest prawdą. – Ponownie utkwił badawcze spojrzenie w ścianie. – Poza tym on był bardzo zajęty w tamtych czasach.

– Można tak powiedzieć – zaśmiał się jego przyjaciel. – Ale w jego papierach nie ma o tym ani jednej wzmianki. Nie mówił o tym ani mnie, ani swojej córce.

– Nie spędził wiele czasu z twoją żoną, Pugu.

– Ale to bardzo ważne. To najniebezpieczniejsza rzecz, z jaką miałem do czynienia w całym moim życiu.

Tyłna ściana nagle zaczęła się przesuwać z wielkim łośkotem i Nakor wydał z siebie zadowolone sapnięcie.

– Znalazłem!

Pug podbiegł i stanął obok Isalanina.

– Co o tym myślisz?

– Myślę, że jeżeli Talnoy był w tej jaskini i chroniono go tak mocnymi czarami, to coś schowane za ścianą i jeszcze mocniej zabezpieczone, musi być dwakroć ważniejsze.

– I prawdopodobnie jeszcze bardziej niebezpieczne – zauważył mag w czerni.

Jego przyjaciel wyjął pochodnię spomiędzy kamieni i razem weszli do tunelu. Szli już około półtora kilometra, gdy podłoga korytarza zaczęła się wyrównywać.

– Przed nami jest jaskinia – powiedział Isalanin. – Chociaż w tym świetle niewiele mogę zobaczyć.

Pug podniósł rękę i z jego dłoni buchnęło światło. Zrobiło się tak jasno jak w dzień.

– Bogowie – szepnął Nakor. – Zdaje się, że mamy problem, Pugu.

Ściany jaskini pięły się w górę na dziesiątki metrów, ale podłoga leżała zaledwie trzy metry pod poziomem korytarza. U ich stóp, ustawione kosićce, krąg za kręgiem, bardzo starannie, jakby w oczekiwaniu na wezwanie, stały szeregi Talnoyów.

– Muszą ich być setki – odszepnął Pug.

– Tysiące. Mamy duży problem – powtórzył Nakor.

